

Elizabeth Lowell

Jadeitowa Wyspa

Część 2 cyklu: Rodzina Donovanów

Prolog

Mężczyzna był przerażony.

Drżącymi dłońmi pakował jadeit do pudeł. Cenny jadeit, stary jak świat, Kamień Niebios - odwieczne marzenia wyryte w minerale z nadludzką cierpliwością, nadludzkim talentem.

Marzenia budzące zazdrość, chciwość, skąpstwo.

Marzenia prowadzące do kradzieży, zdrady, śmierci.

Ręce miał zimne, zimniejsze niż ten kradziony jadeit. Rzeźba za rzeźbą, marzenie za marzeniem - przez jego wilgotne palce przewinęła się dusza całej cywilizacji. Oto wykwintny smok sprzed trzech tysięcy lat skreślony wokół własnej osi. Obok uczony spowity w zwiewną szatę z kremowego kamienia. A w rogu góra - życie mędrców utrwalone w zboczu zielonym jak mech, życie wyryte przez artystów, których czas zwykle mijał przed ukończeniem dzieła.

Marzenia o pięknie zamknięte w tysiącach odcieni jadeitu: bieli przechodzącej w kolor kości słoniowej, zieleni z odcieniem błękitu, czerwieni połyskującej pomarańczowym blaskiem. Wszystkie te barwy przeistaczały surowe światło w wieczny płomień - ogień duszy.

Unikalne.

Bezcenne.

Niezastąpione.

Siedem tysięcy lat cywilizacji zwarte w lśniącym szeregu. Starożytne bi - krążki symbolizujące niebo, równie stare cong - puste cylindry symbolizujące ziemię. Naramienniki i brzeszczoty ozdobione symbolami o znaczeniu starszym niż pamięć. Pierścienie, bransolety, kolczyki, wisiory, sprzączki, klamerki, filiżanki, misy, płytki, noże, topory, chmurki, góry, mężczyźni, kobiety, smoki, konie, ryby, ptaki nieśmiertelny lotos - wszystko, o czym marzyła cywilizacja, cierpliwie wyrzeźbione z jedyne go kamienia szlachetnego, jaki przemawiał do duszy tej kultury. Jadeit.

- Pospiesz się, ty głupcze!

Mężczyzna wstrzymał oddech ze strachu i niechybnie upuściłby kruchą, bezcenną misę, gdyby z tyłu nie wychynęła nagle czyjaś dłoń i nie pochwyciła pewnie chłodnej, wydrążonej półkuli.

- Co ty tu robisz? - wymamrotał pierwszy, a serce biło mu jak szalone.
- Sprawdzam, czy dobrze ci idzie.
- Co?
- Łupienie grobu Cesarza Jadeitu.
- Ja... nie wszystko... ja... nie. Dowiedzą się...
- Na pewno nie, jeśli zrobisz, co każe.
- Ale...
- Słuchaj!

Pierwszy słuchał, drżąc ze strachu. Czuł coraz większy lęk, ale jednocześnie budziła się w nim nadzieja. Nie był tylko pewien, co jest gorsze. Rozumiał jedynie tyle, że ten grób wykopał własnoręcznie.

Słuchając, nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, czy też uciec przed tym diabłem, który szeptał tak spokojnie i cicho o zdradzie. A przecież wcale nie musiał być o nic posądzony. Diabeł upatrzył już inną ofiarę.

Zdał sobie teraz z tego sprawę i roześmiał się głośno.

A gdy znów przystąpił do pakowania jadeitu, miał ciepłe ręce.

1

Na dźwięk niecierpliwego łomotania do drzwi Lianne Blakely gwałtownie usiadła na łóżku. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Przez chwilę sądziła, że to tylko sen; była jednak za bardzo zmęczona, by śnić. Ostatniej nocy do późna wciąż od nowa ustawiała piękne jadesitowe rzeźby. Zakończyła pracę dopiero wówczas, gdy się upewniła, że wystawa jest odpowiednio przygotowana do aukcji na cele dobroczynne.

Walenie stawało się coraz głośniejsze.

Lianne potrząsnęła głową, odsunęła czarne włosy z czoła i zerknęła na stojący przy łóżku zegarek. Dopiero szósta. Wyjrzała przez małe okienko. Wstające słońce zaglądało już do okien w całym Seattle, ale nie w jej, wychodzącym na zachód,

mieszkań przy Pioneer Square. Nawet przy ładnej pogodzie pierwsze promienie docierały tutaj dopiero przed południem.

- Obudź się, Lianne. To Johnny Tang. Otwórz!

Teraz naprawdę zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie śni. Johnny nigdy nie był u niej w domu ani w biurze znajdującym się na końcu tego samego korytarza. Lianne widywała go bardzo rzadko, jedynie podczas odwiedzin u matki mieszkającej w Kirkland.

- Lianne!

- Już idę!

Wdzięczna losowi za to, że nie ma sąsiadów, którzy robiliby jej wyrzuty z powodu porannych hałasów, Lianne wyskoczyła z posłania, chwyciła czerwony jedwabny szlafrok - prezent od matki na ostatnie święta - i wybiegła na korytarz. Dwa zamki, zasuwa i drzwi stanęły otworem.

- Co się stało? - spytała bez tchu. - Coś z mamą?

- Anna czuje się świetnie. Chce się z tobą zobaczyć przed aukcją. Lianne szybko przeanalizowała w myślach rozkład dnia. Gdyby sama zrobiła manikiur, zdążyłaby się spotkać z matką. Z ledwością, ale chyba by zdążyła.

- Wpadnę, jak tylko wszystko przygotuję na wystawę. Johnny skinął głową, ale nie sprawiał wrażenia człowieka, który otrzymał to, po co przyszedł. Wydawał się wyraźnie spięty i poirytowany. Osaczony. Gniew wykrzywił mu usta i napinał skórę na szerokich kościach policzkowych. Poza tym Johnny uchodził za przystojnego mężczyznę. Szczupły, zręczny, bystry, miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i - gdy dopisywał mu humor - miły, serdeczny uśmiech.

- Możesz poczęstować mnie kawą? - spytał. - Czy też nadal używasz chińskiej kofeiny?

- Pijam zarówno kawę, jak i herbatę.

- Poproszę czarną. Oczywiście kawę, nie herbatę.

Lianne odsunęła się od drzwi. Nie wiedziała dokładnie, ile jej biologiczny ojciec ma lat. Z pewnością zbliżał się do sześćdziesiątki, ale wyglądał najwyżej na czterdziestkę. Przez ten cały czas prawie się nie postarzał. Jedynie w jego ciemnych włosach pojawiły się pierwsze srebrne pasma, a zarys szczęki nie "wydawał się równie ostry

jak dawniej. Jednak w porównaniu ze zmianami, jakie zaszły w życiu Lianne w ciągu ostatnich trzech dekad, były to tylko drobiazgi.

I przez te wszystkie lata Johnny Tang nie przyznał ani razu, że dziecko Anny Blakely jest również jego dzieckiem.

Odpychając od siebie przykre myśli, Lianne zamknęła drzwi na zasuwę. To, czy Johnny się przyznawał, czy nie przyznawał, przestało już mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Liczył się wyłącznie ja-deit. Jadeit Tangów. Kolekcja jej dziadka. Setki, tysiące posążków. Wszystkie wielkiej wartości, niektóre wręcz bezcenne, a w każdym z nich lśniła przeszłość, tajemnica i czysta dusza sztuki.

- Lubisz się nimi bawić, co? Nie mogłaś sobie odmówić tej przyjemności? - Johnny zatoczył ręką koło, patrząc wymownie na jadeitowe figurki.

Część z nich stała na kuchennym stole, inne leżały na podłodze, mniejsze - na wąskiej ladzie.

- Bawić? Skoro chcesz to tak określić... To jednak nie są lalki. Roześmiał się skrzekliwie.

- Ojciec chyba by zemdłał, gdyby usłyszał to zestawienie.

- Wen wie, że szanuję jadeit

- Wen wykorzystuje twoje umiejętności, ale za mało ci płaci. Lianne popatrzyła na Johnny'ego ze zdziwieniem.

- Nauczył mnie wszystkiego, co potrafię!

- Nieprawda - zaprotestował zniecierpliwionym tonem. - Jeszcze siedem lat temu nie wiedział w ogóle o twoim istnieniu. Potem znalazłaś w garażu jadeitowe paciorki, a on doszedł do wniosku, że jesteś jakimś jadeitowym geniuszem.

- Te paciorki, jak je nazywasz, pochodziły z czasów zachodniej dynastii Czou, wryto na nich smoki - symbol władzy królewskiej - i nawleczono na wyblakły, czerwony jedwabny sznureczek, starszy niż Konstytucja Stanów Zjednoczonych.

- Gdybyś je sprzedała i zagrała na giełdzie, nie mieszkałabyś teraz w tej norze. Ale nie, ty dałaś je ojcu na urodziny.

Zaskoczył ją tak bardzo, że w pierwszej chwili nie potrafiła się zdobyć na żadną sensowną ripostę. Johnny nie mówił zwykle w ten sposób o Tangach. A już na pewno

nie z nią. Patrząc na niego kątem oka, wychwyciła wszystkie charakterystyczne oznaki zdenerwowania.

- Nie wiedziałam, że ci się to nie podobało.

- A miałyby to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Oczywiście. Nigdy nie chciałam rozgniewać ani ciebie, ani nikogo z twojej rodziny.

Mówiła prawdę. Lianne stawiała na głowie, nauczyła się nawet mandaryńskiego i kantońskiego, pracowała siedem dni w tygodniu i pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, byle tylko przekonać Tangów, że jest ich warta. Nadal zresztą bardzo jej na tym zależało, choć usiłowała udowodnić samej sobie, że trzymając się blisko swoich najlepszych klientów - międzynarodowej dużej rodziny Tangów - dba po prostu o interesy.

- Powinnaś była posłuchać rady swojej matki i zostać nauczycielką - powiedział Johnny.

- I obudziłeś mnie o szóstej rano, by mi to zakomunikować?

- Nie!

Johnny zamilkł, a ona zwiększyła płomień pod maszynką do kawy. W Seattle ten sposób parzenia uważano za świętokradztwo, ale Lianne nie miała czasu na zgłębianie skomplikowanej instrukcji obsługi ekspresu, który przed tygodniem nabyła na wyprzedazy.

Kawa kapała do dzbanka, a Johnny po raz kolejny przemierzał maleńkie mieszkanie. Lianne nie spędzała tu zbyt wielu godzin. Jedyne ozdoby pokoju stanowiły dwa obrazki: jeden przedstawiał wyspy San Juan, drugi - ozdobne jadeity z epoki Walczących Królestw. Ów subtelny dowód tego, że Lianne zajmuje się głównie pracą, a nie życiem prywatnym, wcale Johnny'ego nie ucieszył.

- Dlaczego mieszkasz w tej norze? - spytał.

- Bo jest tania.

- Daję... - Urwał gwałtownie. - Annie z pewnością wystarczyłoby pieniędzy na lepsze mieszkanie dla ciebie.

- To, co ma Anna, należy wyłącznie do niej.

I wszystko dostaje od Johnny'ego. Tego jednak Lianne nigdy by głośno nie powiedziała.

- Jestem wystarczająco dorosła, żeby zarabiać na swoje utrzymanie!

Istotnie, zbliżała się do trzydziestki. Urodziny przyjdzie jej jednak świętować samotnie. Anna i Johnny wybierali się do Hongkongu, na Tahiti czy też na drugą stronę Pacyfiku, by uczcić trzydziestą pierwszą rocznicę swego związku.

- Anna twierdzi, że interesy dobrze ci idą. Dlaczego nie zadbasz o mieszkanie?

- Budynek należy do twojej rodziny. Jeśli uważasz, że to nora, zwróć się z zażaleniem do swojego najstarszego brata, Joego Tanga. To on figuruje w hipotece jako właściciel.

Na chwilę zaległa cisza. Cisza bardzo niezręczna, lecz Lianne nie zamierzała jej przerywać. Sama sobie nie ufała. Mogłaby na przykład powiedzieć: „Skąd to nagle zainteresowanie moją osobą?” Ale takie pytanie zupełnie byłoby nie na miejscu. Johnny uczynił znacznie więcej dla swojej nieślubnej, nigdy formalnie nie uznanej córki niż inni ojcowie dla legalnego potomstwa. Nie ponosił odpowiedzialności za to, że Lianne tęskniła za miłością rodziny, która z kolei potrzebowała jej wyłącznie jako eksperta od jadeitów.

„To stara historia - upomniała się w myślach. - Od początku do końca”. Nie mogła zmienić przeszłości, ale mogła pracować dla przyszłości. I starała się to robić. Patronat Tangów był dla niej oczywiście ważny, ale założyła ten interes również z innych przyczyn. Na jej sukces złożyły się umiejętności oraz chęć, by pracować dziewięćdziesiąt godzin w tygodniu.

- Rozmawiałeś już z Kyle'em Donovanem? - spytał Johnny.

- Czy przyszedłeś do mnie z pierwszą w życiu wizytą po to, by spytać o Donovana?

- A widzisz jakiś inny powód moich odwiedzin?

„Choćby taki, że jestem twoją córką”, i Lianne ugryzła się w język i sięgnęła po kubki. Musiała coś zrobić z rękami, choć kawa jeszcze się całkiem nie zaparzyła.

- Proszę - powiedziała, wręczając Johnny'emu napar. Wziął naczynie i popatrzył na nią wyczekująco.

- No i?

- Jeszcze nie - odparła.

- Dlaczego?

Lianne naląa sobie kawy i upiła mały łyk.

- Jesteś związana z kum innym? - naciskał Tang.

- Nie. Zresztą co to ma do rzeczy? Prosiłeś, żebym zawarła znajomość z Donovanem, a nie, żebym go uwiodła.

- W takim razie zrób to!

- Jak? Mam mu podstawić nogę?

- Daj spokój, nie zgrywaj Chinki! - powiedział zniecierpliwionym tonem. - Jesteś równie amerykańska jak twoja matka. Zachowuj się tylko tak jak inne dziewczyny. Podejdz do niego i po prostu się przedstaw. Ja w taki właśnie sposób poznałem Annę.

J widzisz, co z tego wyszło?" - Lianne znów musiała ugryźć się w język. Wiedziała przecież, że by stworzyć taki układ, potrzebna jest wola dwóch osób. A matka bardzo chętnie zaakceptowała swój drugorzędny status kochanki. Lianne nie mogła tego wprawdzie zrozumieć, lecz powoli zaczynała akceptować. Wreszcie. Koszta jakiegokolwiek walki stawały się zbyt duże.

- On będzie dziś wieczorem na aukcji - oznajmił Johnny. - To świetna okazja.

- Ale...

- Obiecuj!

W oczach ojca dostrzegła coś, czego nie potrafiła określić: gniew, zniecierpliwienie, może jeszcze coś innego. Te uczucia były z pewnością prawdziwe, równie prawdziwe jak jej lęk przed tym, że zacznie postępować niczym córka kurwy, a tak ją właśnie od dzieciństwa nazywano.

- Dlaczego? - Po raz pierwszy w życiu zadała takie pytanie.

- Po uroczystości jadę z Anną na Tahiti. Potem będzie za późno.

- Za późno? Na co? Dlaczego tak bardzo ci zależy na moim spotkaniu z Donovanem?

- Bo to ważne. Bardzo ważne!

- Dlaczego?

- Interesy rodzinne... - Lekko się zawahał. - Nie mogę ci tego wyjaśnić.

I znowu rodzina. Jak zwykle. Ale nie jej rodzina.

- W porządku - odparła. - Wieczorem przystąpię do akcji.

- Może pozwolisz, że podsumuję - powiedział Kyle Donovan, patrząc z niedowierzaniem na starszego brata. - Chcesz, żebym uwiódł nieślubną córkę pewnej Amerykanki i kupca z Hongkongu wyłącznie po to, by sprawdzić, czy dziewczyna ma coś wspólnego ze sprzedażą skarbów kultury wykradzonych z Chin?

Archer przekrzywił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał, popatrzył w słońce, chłodną wodę, nad którą na wyspie San Juan był położony domek brata, i wreszcie skinął twierdząco.

- Tak. Rzeczywiście mniej więcej o to mi chodzi. Uwiedzenie nie jest jednak obowiązkowe.

- Nie wierzę własnym uszom!
- Więc ją uwieź!
- Żartujesz, prawda?
- Wiele bym za to dał.

Czekał na ciąg dalszy, ale brat nie był zbyt rozmowny. I Kyle wiedział chyba dlaczego. Archer nie chciał angażować rodziny w tajemnicze sfery swojej przeszłości. Wujaszek Sam stanowił niewątpliwie jedną z takich sfer. W dodatku ani rząd Stanów Zjednoczonych, ani przeszłość nigdy tak naprawdę nie zniknęły z jego życia.

- Co się właściwie dzieje? - spytał w końcu Kyle, poprawiając się na krześle. - I nie truj mi tylko o dłoniach złączonych nad oceanem i współpracy międzynarodowej.

Archer zerknął na brata. Słońce pozłociło wyblakłe włosy Kyle'a, dodało blasku jego zielonym oczom, lecz nie rozświetliło czarnej obwódki wokół tęczówki, nie wygładziło też zmarszczek ani bruzd na twarzy - widocznych śladów ciężkich przeżyć, których Archer bardzo chętnie by oszczędził najmłodszemu bratu.

- Uwierzyłbyś w interesy?
- Chyba sobie kpisz!

Archer uśmiechał się łagodnie, ale w jego szarzielonych oczach czaił się gniew.

A Kyle po prostu czekał. Tym razem nie zamierzał przerywać milczenia.

Archer podniósł się z krzesła. Był wysoki, smukły, zręczny - podobnie jak jego jasnowłosy brat. Spacerował w ciszy po głównym pokoju chatki i dotykał na chybił trafił przypadkowych przedmiotów: komputera z dodatkami od Tubę Goldberga,

książek na najróżniejsze tematy - od bankowości do historii chińskiego jadeitu liczącej pięć tysięcy lat - barokowego fletu, małego wazonika z gałązką rozmarynu, noża do listów, który nadawałby się również do innych celów, i przynęty na ryby przypominającej miniaturową spódniczkę baletnicy. Pod lśniąca spódniczką tkwił jednak hak tak ostry, że bez trudu wbiłby się nawet w kamień. A już najłatwiej w ciało.

- Zmieniłeś się - powiedział Archer z uśmiechem, odkładając przynętę. - Przed bursztynowym fiaskiem nie potrafiłbyś tak biernie czekać, nawet gdyby twoje życie od tego zależało.

- A zależy?

Archer przestał się uśmiechać.

- O ile mi wiadomo - nie.

- Nasuwa mi się tutaj kolejne pytanie: Co ty właściwie wiesz?

- Dość dużo, żeby się martwić. A zbyt mało, by konstruktywnie działać.

- Witaj w gatunku ludzkim!

Archer jeszcze przez chwilę stał przy oknie. Patrzył na targany wiatrem sosnowy las i słoną wodę pod lasem, gdzie pod gładką powierzchnią cieśniny Rosario szalały wiry.

- Nie wiem więcej niż to, co już ci mówiłem - odezwał się w końcu. - Krążyły plotki o jakimś wspaniałym znalezisku - o grobowcu cesarza z epoki Ming. Ten cesarz był ponoć znawcą jadeitu. Zabrał ze sobą do grobu zbiór liczący sobie siedem tysięcy lat.

- Gdzie jest ten grób? Kto go odkrył? Kiedy? Czy Chiny...

- Przekazałem ci już większość informacji.

- Powiedz mi resztę.

- Mój informator twierdzi, że Dick Farmer nabył wszystkie najważniejsze znaleziska.

Kyle gwizdnął przeciągle.

- To chyba sporo wydał.

- Około czterdzieści milionów.

- Nawet dla faceta z trzema miliardami na koncie...

- Pięcioma - sprostował Archer.

- To spora suma.

- Pieniądze można odtworzyć. Wystarczy prasa drukarska, a sam pan Bóg wie, że Wujaszek Sam takową posiada - rzekł Archer bez ogródek. I Zawartość grobu jest jednak absolutnie unikalna. Chińczycy dostali szau.

- Nic dziwnego. Co robią, by zwrócić na siebie uwagę Wujaszka? i Niewiele. - Ton Archera był równie sardoniczny jak uśmiech. -J

Chińczycy grożą zerwaniem kontaktów ze Stanami, jeśli na naszym terytorium pojawi się skarb Cesarza Jadeitu. Kyle uniósł jasne brwi.

- Rzeczywiście są wkurzeni. A pojawi się?

- Interesuje cię najczarniejszy scenariusz? I Masz jakiś inny w zapasie?

- Skarb już tu dotarł.

- Konkretnie gdzie?

i Mój informator albo nie wiedział, albo nie chciał nam zdradzić tej tajemnicy. Ale to i tak niczego nie zmienia. I

- Farmer nie jest głupi - powiedział wolno Kyle. IZ drugiej strony na pewno by się nie krył z takim skarbem. W kręgach kulturalnych chce uchodzić za grubą rybę, prawdziwego konesera, no i oczywiście bogacza. Jeśli zdobył taki łup jak z grobu Cesarza Jadeitu, będzie się chciał nim pochwalić.

- Tego się właśnie obawia Wujaszek Sam. Obecnie prowadzimy bardzo spokojne, delikatne negocjacje z Chinami.

- Handel, narkotyki, imigranci czy nielegalna broń? - spytał Kyle.

- A czy to ma znaczenie?

- Owszem.

Archer uśmiechnął się lekko. Dopiero niedawno bracia zdali sobie sprawę z tego, że są do siebie tak podobni.

- Nielegalny eksport broni. Fakt, mocno przestarzałej według naszych standardów, lecz bardzo nowoczesnej, jeśli przyłożyć do niej miarę Drugiego lub Trzeciego Świata.

- Cywilizacja! Coś wspaniałego!

- Bije na głowę wszystko, co się znajduje na drugim miejscu, cokolwiek by to było. Dlatego Wujaszek Sam podejmuje rozmowy zamiast od razu strzelać. Ale

negocjujemy z Chinami, więc słyszeliśmy setki „tak” i żadnego „nie”. Jeśli jednak chodzi o zaniechanie eksportu broni, niczego nie podpisano ani nie przypieczętowano.

- Czego chcą Chiny?

- Nie wiem, ale na pewno czegoś więcej, niż bylibyśmy skłonni dać. Jeśli ta afera z Cesarzem Jadeitu wyjdzie na światło dzienne, będziemy naprawdę wyglądać jak kogut w kalesonach. Wujaszкови nie pozostanie nic innego, jak obiecać Chińczykom więcej, aniżeli by należało. Na dłuższą metę Stany niewątpliwie stracą, ale nie będą miały wyboru, chcąc osiągnąć cel krótkoterminowy: mniej broni w rękach ambitnych tyranów.

- Podaj mi mleko - poprosił Kyle. Nie mógł wrócić do łóżka, a potrzebował jakiegoś bodźca do działania, przede wszystkim zaś do myślenia.

Wyrwał Archerowi butelkę i dopóty dolewał mleka do filiżanki, dopóki kawa nie zaczęła przypominać barwę Missisipi w trakcie powodzi. Pił szybko, łapczywie, czekając, by zbawienna kofeina dotarła do komórek mózgowych.

- No dobra! - powiedział w końcu. - A więc Wujaszek uważa, że Tangowie zwinęli zawartość grobu i sprzedali ją Farmerowi.

- To tylko jedna z hipotez.

- A jakie są inne?

- SunCo.

- Przecież oni mają siedzibę na kontynencie. Gdyby rzeczywiście to zrobili, ich rząd już dawno złapałby ich za dupę.

- Może i tak, chociaż nie wiemy, kto z tego rządu za nami stoi Tam jest przecież tyle frakcji, że głowa mała. Na razie jednak powinniśmy się raczej skupić na Tangach.

Kyle wypił ostami łyk kawy, przesunął dłonią po zarośniętych policzkach i spojrzał na Archera jasnymi, zielonymi oczami.

- Od czasów przejęcia Hongkongu Tang Consortium jest właściwie od niego odcięte. Od kontynentu również. Tangowie potrzebują silnego sojusznika w Stanach Zjednoczonych i nie znajdują nikogo silniejszego niż Dick Farmer.

- Fakt. Gdyby nie negocjacje w sprawie broni, Wujaszek bardzo spokojnie patrzyłby na to, jak Chiny, Farmer i Tangowie skaczą sobie do gardeł. A my na pewno

nie kibicowalibyśmy naszemu rodakowi. Farmer nie ma zbyt wielu ustosunkowanych przyjaciół.

- Mówisz o człowieku, który najprawdopodobniej założy własną partię i zostanie prezydentem

- Jeśli chodzi o władzę, byłby to niewątpliwie dla niego krok wstecz. I to ogromny krok. Jeśli prezydent chce zwołać spotkanie międzynarodowe, eksperci od protokołu potrzebują wielu miesięcy, aby je zorganizować. Kiedy taką wolę wyraża Farmer, wszyscy po prostu przyjeżdżają na wyspę i nikt nie zawraca sobie głowy protokołem.

- To prawda. Strasznie mi się podoba ta jego sztuczka ze szpilką w klapie i domowym komputerem. Kiedy po ostatniej konferencji u Farmera wyniosłeś swoją szpilkę, strawiłem kilka miesięcy na zgłębienie konstrukcji tego chipa. Po długich mękach udało mi się jednak zrobić taki chip, dzięki któremu każdego jego właściciela komputer uznałby za Boga.

- To ty tak twierdzisz. Nigdy nie wypróbowano twojego wynalazku.

Kyle wzruszył ramionami. Wystarczyło mu własne przekonanie. Nic innego nie miało dla niego znaczenia.

- Czy moglibyśmy dostać pełny spis zawartości grobu? - zapytał. — Bez tego nie będziemy wiedzieli, czego szukać.

- Na początek należałoby wspomnieć o jadeitowej szacie pogrzebowej. Przetrwiała bowiem w stanie nienaruszonym.

Kyle ze zdziwienia nie mógł wykrztusić ani słowa. Nawet kiedy po chwili trochę ochłonął, nadal nie wiedział, co powiedzieć. Wziął więc do ręki flet i zagrał. Melodia wydawała się zbyt natarczywa, lecz zarazem słodka. Odłożył instrument i zwrócił się do brata:

- Tego rodzaju szaty stanowią ogromną rzadkość. Wszystkie dotychczas odkryte są wciąż w Chinach. Natomiast te, które dotarły za ocean, wpadły w ręce instytucji państwowych, a nie osób prywatnych.

I Archer milczał.

- Co jeszcze było w grobie? - dociekał Kyle.

- To co zwykle: biżuteria, rzeźby, naczynia, berła, parawaniki.

- Rzeczywiście - mruknął Kyle, kręcąc głową. - Będzie nam potrzebny dokładny opis. Rozmiary, kolor, wiek... tego rodzaju rzeczy.

- Spróbuję, ale mogę uzyskać jedynie nieoficjalne informacje.

- Nieoficjalne, powiadasz? Coś podobnego! Naprawdę?

- W najważniejszych sprawach tak się właśnie działa. Nieoficjalnie. Kyle, próbując zwalczyć ból, który znów zaczął mu doskwierać, uniósł lewe ramię. Rana już dawno się zagoiła, ale siła uderzenia zabłąkanej kuli uszkodziła parę chrząstek. Teraz Kyle przepowiadał deszcz znacznie trafniej niż meteorolodzy.

- A więc zadzwonił do ciebie ten „nieoficjalny” informator i stwierdził, że krążą plotki o kradzieży dóbr kulturalnych. Dyplomaci będą musieli zażywać środki uspokajające, rząd uderzy w bęben nacjonalizmu, a każdy, komu została odrobina rozsądku, umyje od tego ręce.

-Fakt.

- Dlaczego on przyszedł akurat do ciebie?

- Nie mówił. Ale istnieją pewne względy oczywiste.

- To znaczy?

- Donovan International ma możliwość, by się do tego włączyć, a ja wiem, jak się w to gra.

- Prawdziwymi kulami - wymamrotał Kyle.

- Nie. Zezwoleniami, paszportami i innymi oficjalnymi dokumentami. Jeśli pošlemy Wujaszka na drzewo, Donovan International będzie miało bardzo ciężkie życie. Trudno zajmować się importem i eksportem bez pomocy amerykańskiej biurokracji. Farmer potrafi sobie z tym poradzić, my - nie.

- Poza tym jesteśmy coś winni Wujaszkowi Samowi, prawda? - spytał cicho Kyle. - Za posprzątanie tego bałaganu na Jadeitowej Wyspie.

Archer wzruszył ramionami, ale z jego zaciśniętych warg można było wiele wyczytać.

- Cholera! - zaklął Kyle. — Miałem nadzieję, że uda mi się utrzymać rodzinę z daleka od tych spraw.

- Ja również - odparł Archer.

Kyle zacisnął dłonie. Po raz kolejny uświadomił sobie, że nie tak dawno znalazł się o krok od śmierci. Naraził również na niebezpieczeństwo siostrę Honor.

Archer odwrócił nagle głowę i popatrzył na wysokiego blondyna, który był kiedyś jego małym braciszkiem i miał na zawsze pozostać młodszym bratem.

- To, co się tam zdarzyło, nie było twoją winą

- No jasne! - powiedział z niesmakiem Kyle. - Bardzo się dziwię, że znowu okazujesz mi zaufanie.

- Bzdury! Nikt oprócz ciebie nie ma tu żadnych problemów z zaufaniem

- Czy twój informator pytał konkretnie o mnie?

- Nie, ale to ciebie obserwuje Lianne Blakely. I to już od dwóch tygodni.

Kyle otworzył szeroko oczy.

- O czym ty mówisz?

- Lianne Blakely to nieślubna córka...

- Nie o to mi chodzi.

- Reszta jest całkowicie jasna. Lianne cię obserwuje, ale ty jesteś tak zajęty tym zimnym jadeitem, że nawet tego nie zauważyłeś.

- Jadeit wcale nie jest zimny, a poza tym nie znam kobiety, która nie marzyłaby wyłącznie o tym, żeby się dobrać do ciebie. Nie do mnie. Co najwyżej po moim trupie.

Archer powstrzymał się od komentarza, który mógłby wywołać klótnię, nie rozumiał, dlaczego wszyscy uważają go za uwodziciela. On zaś był zdania, że najprzystojniejszym Donovanem jest Kyle, a zaraz po nim Justin i Lawę.

- Ale nie ta. Lianne patrzyła na ciebie. I to jest jeden z powodów, dla których obiecałem, że poproszę cię o pomoc w przeniknięciu do Tang Consortium.

- Przeniknięciu, powiadasz? Najpierw jakaś Lianne, potem cały ten cholerny klan. Chyba przeceniasz moje libido, że nie wspomnę już nawet o siłach witalnych.

Archer wydał z siebie dźwięk wyrażający irytację i jednocześnie rozbawienie.

- Tak czy inaczej - ciągnął Kyle - jeśli ta dama patrzyła raczej na mnie niż na ciebie, możemy być pewni jednego.

- Co masz na myśli?

- To pułapka.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - mruknął Archer, mrugając powiekami.

- Więc pomyśl. W ciągu ostatnich dwóch tygodni byliśmy razem na trzech pokazach jadeitów.

- Pięciu.

- Dwa były fatalne, więc się nie liczą. Jeśli Lianne zwróciła uwagę na mnie, a nie na ciebie, to znaczy, że konsorcjum uznało właśnie moją skromną osobę za łatwiejszy orzech do zgryzienia.

- A nie bierzesz pod uwagę takiej możliwości, że ona gustuje w blondynach?

Kyle wzruszył ramionami.

- Niczego nie można wykluczyć, ale ostatnim razem, gdy kobieta wołała mnie od wysokiego bruneta, omal nie zginąłem. Dopiero potem się domyśliłem, co było grane. A takie lekcje się pamięta.

Przez chwilę Archer nie wiedział, jak zareagować. Kyle naprawdę uważał, że kobiety zwracają na niego uwagę wyłącznie po to, by go wykorzystać. Przed wyprawą do Kaliningradu na pewno by czegoś podobnego nie powiedział.

Czasami Archerowi brakowało starego Kyle'a, skorego do śmiechu złotego chłopca skąpanego w wiecznym słońcu. Ale Archer nie poprosiłby tego chłopca o nic więcej niż dobranie wina do posiłków.

- Może i pułapka - zgodził się Archer. - A może jakaś całkiem inna rozgrywka. Właśnie masz się tego dowiedzieć. Jeśli chcesz.

- A jeśli nie chcę?

- Odłożę wyprawę na morza południowe i sam będę się musiał zająć Tangami.

- Co powiesz o Justinie? To też blondyn.

- Justin i Lawę tkwią po uszy w swoich aligatorach i przymierzają się do brazylijskich szmaragdów. Poza tym są za młodzi.

- Ale starsi ode mnie - zauważył Kyle.

- Nie od czasu Kaliningradu.

Kyle się uśmiechnął. Nie był to jednak otwarty, szczerzy uśmiech. Podobnie uśmiechał się Archer.

- Wchodzę w to. Kiedy zaczynamy zabawę?

- Dzisiaj. W Seattle. Włóż smoking!

- Nie mam.

- Znajdzie się rada i na to.

2

Lianne siedziała w wytwornym mieszkaniu matki w Kirkland i patrzyła, jak delikatne pazurki wiatru wbijają się w tafłę Jeziora Waszyngtona. Jezioro nigdy nie bywało spokojne - jego wody lizały czasem nawet schludne trawniczki i chodniki eleganckiego nabrzeża. Gałęzie krzewów na balkonach i drzew przy drodze lśniły taką zielenią, jaka dawała więcej nadziei niż jakakolwiek inna zapowiedź powrotu wiosny. Najśmielsze żonkile już kwitły, unosząc główki do zasnutego chmurami słońca.

- Zielona, jaśminowa czy ulung?! - zawołała Anna Blakely z kuchni.

- Proszę o ulung. Czeka mnie prawdziwy maraton, więc liczę na każdy możliwy rodzaj wsparcia.

I odwagę - przyznała w duchu. Jeśli Kyle Donovan pojawiłby się na aukcji lub balu, musiałyby go poderwać. Albo chociaż spróbować to zrobić. Zadanie byłoby z pewnością łatwiejsze, gdyby Kyle tak bardzo jej się nie podobał. Niestety Lianne czuła do niego ogromny pociąg. Rozbudził i rozpałił wszystkie nerwy jej ciała.

Żaden mężczyzna (a już na pewno żaden postawny jasnowłosy Amerykanin) nie wywarł na niej dotąd takiego wrażenia, toteż bardzo się bała, że w jego obecności straci głowę. Dlatego wciąż odkładała spotkanie; nie chciała się stawiać w kłopotliwym położeniu. Teraz już nie mogła przeciągać struny. Powiedziała sobie, że jeśli plan spali na panewce, to trudno. Córeczka z nieprawego łoża sprawi po raz kolejny zawód swojemu ojcu, Lianne brakowało tupetu, a nawet zwykłej kobiecej pewności siebie, która pozwoliłaby jej zaczepić przystojnego cudzoziemca i zawrzeć z nim znajomość w celach handlowych, nie wspominając o seksualnych.

Lianne należała do osób, które zawsze zwracają długi wdzięczności i dotrzymują obietnicy. A dzięki spotkaniu z Kyle'em Donovanem mogła upiec obie pieczenie na jednym ogniu.

Żołądek aż jej się skręcał na samą myśl o tym spotkaniu. Pocieszała się tylko, że wbrew temu, co sądził ojciec, Kyle nie przyjdzie na bal. Z pewnością nie miał cierpliwości do tego rodzaju pseudoartystycznych imprez ani potrzeby, by wyciągać pieniądze od finansowych elit Seattle.

Szczęściarz.

Lianne żałowała, że nie może teraz pójść do sali gimnastycznej rozładować napięcia na macie lub z partnerem. Nic tak nie mobilizowało umysłu i ciała jak skomplikowane reguły karate, które jest częściowo baletem, a częściowo medytacją - zawsze jednak zajęciem wymagającym ogromnego skupienia.

- Zdenerwowana?! - zawołała matka z kuchni.

Na dźwięk jej głosu omal nie zeskoczyła ze stołka i nie zaczęła skakać po kuchni.

- Oczywiście - odparła. - Przecież sama wybierałam wszystkie eksponaty na tę wystawę. Wen Zhi Tang nigdy przedtem nie obarczył mnie taką odpowiedzialnością.

- Zawodzą go oczy. Poza tym temu staremu lisowi zależało na towarach, które podobałyby się zarówno Amerykanom, jak i Chińczykom zza oceanu.

- A ten bękart, jego wnuczka, zna się dobrze na jankeskim guście?

Dźwięk upuszczonej na blat łyżeczki uraził uszy Lianne, ale nic nie powiedziała. Zbyt wiele lat musiała udawać pól sierotę, wiedząc jednocześnie, że Johnny Tang jest jej ojcem, Wen - dziadkiem, a Anna nie może być wdową, skoro nigdy nie była zamężna.

Miała dość zagadek ze swym pochodzeniem, bołało ją również patrzenie na matkę, którą Tangowie traktowali niczym intruza. Doszła również do wniosku, że bękarty się robi, a nie rodzi.

A Tangowie narobili ich więcej, niż zezwalałaby na to statystyka,

Anna Blakely weszła do pokoju, trzymając lakierowaną tacę, na której stał kościany dzbanek do herbaty i dwie filiżanki bez uszek. Tego wieczoru włożyła brokatowy jedwabny zakiet w motelowym kolorze, wąskie czarne, również jedwabne spodnie i sandały na niskim obcasie. Na szyi miała perły, na jednej ręce bransoletę, na drugiej roleksa wysadzanego brylantami. Na serdecznym palcu prawej dłoni pysznił się pierścień z rubinem i brylantami wart ponad pół miliona dolarów. Gdyby nie wzrost i wspaniałe jasne włosy, Anna wyglądałaby jak typowa, zamożna, tradycyjna pani domu z Hongkongu.

Ale matka Lianne nie była ani zamożną Chinką, ani niczyją żoną. Zbudowała swe życie wokół roli kochanki żonatego mężczyzny dla którego prawdziwa, legalna rodzina stanowiła największą wartość. I ta właśnie rodzina nie nazywała Anny inaczej

niż okrągłooką konkubina Johnny'ego, nie znającą imion swoich rodziców ani tym bardziej przodków.

Anna nigdy nie narzekała, choć często zajmowała ostatnią pozycję na liście zobowiązań swego kochanka. Teraz ze spokojną, właściwą sobie elegancją nalewała herbatę do filiżanek. Mimo że Lianne bardzo kochała matkę, zupełnie nie rozumiała dokonywanych przez nią wyborów.

Poza tym wzbierała w niej gorycz. Nie była stuprocentową Chinką, a takiej winy nie można wybaczyć. Sama - w głębi duszy bardzo amerykańska - nie potrafiła pojąć, dlaczego urodzenie, narodowość czy płeć miałyby w jakikolwiek sposób pomniejszać wartość człowieka. Potrzebowała lat, by wreszcie dojść do wniosku, że rodzina ojca nigdy jej nie zaakceptuje. A o miłości nie mogła nawet marzyć. Przysięgła sobie, że zdobędzie szacunek klanu. Czuła, że nadejdzie taki dzień, kiedy Wen Zhi Tang popatrzy na nią wielkimi oczami o barwie whisky i ujrzy własną wnuczkę, a nie fatalny skutek namiętności. Namiętności, którą jego syn obdarzył przed laty anglojęzyczną konkubinę.

- Johnny przyjdzie wieczorem? - spytała.

Zawsze mówiła o nim po imieniu. Nie nazywała go nigdy „ojcem”, „tatusiem”. „tatkiem” czy „tatem”. Nawet nie „wujkiem”, choć amerykańskie dzieci zwykle takim właśnie mianem określały dobrych znajomych swoich matek.

- Raczej nie - odparła Anna. - Po balu ma się odbyć jakieś spotkanie rodzinne.

Lianne zamarła. Spotkanie rodzinne. A ona, która poświęciła trzy miesiące swego czasu na przygotowanie wystawy, nie została nawet na nie zaproszona.

Właściwie nie powinna odczuwać żalu. Przez tyle lat zdążyła się już przecież przyzwyczać do wszelkiego rodzaju upokorzeń.

A jednak było jej przykro i wiedziała, że nigdy się nie pogodzi z taką sytuacją. Pragnęła stać się częścią klanu: mieć braci, siostry, ciotki, wujów, kuzynów i dziadków; wspomnienia rodzinne i tradycyjne święta w dużym gronie.

Tangowie stanowili jej rodzinę. Nie licząc Anny -jedyną rodzinę. Do Lianne nigdy by się jednak nie przyznali. Bezmyślnie przesunęła palcami po jadesowej bransolecie, którą nosiła na lewym przegubie; szmaragdowozielona, półprzezroczysta, wykonana z

birmańskiego kamienia bransoleta była warta co najmniej trzysta tysięcy dolarów. Długi pojedynczy naszyjnik z tych samych minerałów - dwa razy tyle.

Ani bransoleta, ani naszyjnik nie należały do Lianne. Tego wieczoru dziewczyna grała jedynie rolę ruchomej gablotki z biżuterią, reprezentując na wystawie jadeitów rodzinę Tangów. W sensie handlowym pomysł ten miał niewątpliwie wiele zalet. Na de prostej sukni z białego jedwabiu i jasnożółtej skóry Lianne biżuteria lśniła tajemniczym, wewnętrznym blaskiem, przyciągającym koneserów, zbieraczy i wielbicieli jadeitu.

Osobiste klejnoty Lianne nie kosztowały aż tyle, choć każdy, kto by cokolwiek wiedział o jadeicie, uznałby je niewątpliwie za równie piękne. Wybierała je według własnego gustu, a nie wartości aukcyjnej. Trzy szpilki wbite w kok na czubku głowy wykonano na wzór ozdób sprzed czterech tysięcy lat. Gdy Lianne wpinała je we włosy, czuła się związana z chińską częścią swego dziedzictwa, częścią, która nigdy jej jednak nie zaakceptowała.

Czy zostałaby zaproszona na przyjęcie, gdyby jej narzeczonym był Kyle Donovan? Johnny, trzeci z kolei syn w dynastii Tangów dokonywał cudów, by nawiązać kontakt z Donovan International. Miał już dość czekania, aż Lianne zdobędzie się na odwagę i spróbuje zawrzeć znajomość z Kyle'em.

„Daj spokój, nie zgrywaj Chinki. Jesteś równie amerykańska jak twoja matka. Zachowuj się tylko tak jak inne dziewczyny. Podejdź do niego i po prostu się przedstaw. Ja w taki właśnie sposób poznałem Annę”.

Wspomnienie słów ojca podziało na nią jak kubek zimnej wody. Czyżby Johnny naprawdę sądził, że to, co było dobre dla matki, wystarczy córce? Życie drugiej kobiety w sercu mężczyzny?

Życie kochanki.

Pijąc herbatę ze starej, przepięknej filiżanki, wmawiała sobie, że Johnny chciał tylko, by poznała Kyle'a Donovana, a nie by uwiodła całkiem obcego mężczyznę lub została przez niego uwiedziona dla dobra interesów prowadzonych przez Tangów. Usiłowała również uwierzyć i w to, że podczas tamtej rozmowy dojrzała w oczach ojca raczej niecierpliwość niż strach.

- Lianne?

Przełknęła orzeźwiająca herbatę i uprzytomniła sobie, że matka ją o coś pytała. Odtworzyła szybko w pamięci ostatnie kilkanaście sekund.

- Nie - powiedziała. - Nie zostanę na balu. Dlaczego miałabym zostać?

- Może poznałabyś tam jakiegoś miłego młodego człowieka i... .

- Narobiłam sobie zaległości w pracy - przerwała Lianne. – Już i tak sporo czasu poświęciłam sprawom Tangów.

- Żałuję, że jadę jutro na morza południowe. Przyszedłbym na wystawę.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Lianne z uśmiechem. Matka nie pojawiała się tam, gdzie mogłaby spotkać rodzinę kochanka, ale Lianne udawała, że o tym nie wie. Udawała dorosłą kobietę, która w ważnych momentach życia nie potrzebuje matczynej obecności. -W tym hotelu zbierze się takie zoo...

- Johnny naprawdę docenia twoją pracę. Jest z ciebie bardzo dumny.

Lianne w milczeniu dopiła herbatę. Rozwianie matczynej fantazji doprowadziłoby jedynie do kłótni, której nikt nie miałby szansy wygrać.

- Dzięki za herbatę. Lepiej już pójdę, bo nie znajdę miejsca na parkowanie.

- Johnny nie dał ci przepustki?

- Nie.

- Widocznie zapomniał - odparła Anna, marszcząc brwi. - Ostatnio czymś się wyraźnie martwi, choć nie chce o tym mówić.

Lianne wydała pomruk, który można było uznać za wyraz współczucia, i ruszyła do drzwi.

- Pewnie już się nie zobaczymy przed twoim wyjazdem, więc życzę ci miłej zabawy na wycieczce.

- Dzięki. Może przyjedziesz do nas świętować urodziny?

„A po co? - Lianne pomyślała kwaśno. - Czyżby wieczni kochankowie potrzebowali publiczności? W takim raj?”

- Przydałoby ci się trochę wypoczynku - powiedziała Anna. -Poproszę Johnny'ego, żeby zarezerwował bilet na...

- Nie - odparła krótko Lianne. - Dziękuję, mam, ale nie tym razem. Mam masę zajęć - dodała łagodniej.

Uważając, by nie trzasnąć drzwiami, wyszła w wietrzną noc. W drodze do auta rozglądała się ostrożnie. Wcześniej tego wieczoru, tuż po wyjściu z mieszkania, nabrała nieodpartej, wręcz kłującej pewności, że ktoś ją śledzi. Teraz odnosiła takie samo wrażenie.

Wmawiając w siebie, że jedynie niepokoi się o biżuterię, szybko obiegnęła budynek, wdzięczna losowi za światła z czujnikiem ruchu; zapaliły się natychmiast, gdy znalazła się w ich zasięgu, i zgasły zaraz potem, kiedy minęła fotokomórkę. Mała czerwona toyota stała dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Wsiadła do auta i zanim uruchomiła silnik, starannie pozamykała wszystkie drzwi.

Bal dobroczynny na rzecz Pacific Run Asian Charities był jednym z najważniejszych wydarzeń w Seattle. Zaproszenia zarezerwowano wyłącznie dla bogatych, możnych, sławnych, a także... po prostu pięknych. W normalnych okolicznościach Kyle i Archer nie braliby udziału w tej plotkarskiej rewii, urządzonej pod pretekstem dobroczynności, ale od czasu, gdy do Archera zatelefonowano z rządu, nic nie wyglądało normalnie. Dlatego teraz bracia przepychali się przez tłum stojący przed wejściem.

- Przynajmniej smoking pasuje - wymamrotał Kyle. Istotnie, ubranie leżało na nim jak ulał, no może z wyjątkiem luźnej przestrzeni pod lewą pachą, pełniącej funkcję kieszeni na broń.

- Mówiłem ci przecież, że nosimy ten sam rozmiar.

Kyle nawet się nie odezwał. Nadal nie mógł uwierzyć, że ubranie długonogiego, barczystego Archera jest na niego dobre. Jakaś część Kyle'a przypominała mu zawsze o tym, że jest najmłodszym z Donovanów, obiektem braterskich żartów; małym, który wciąż musi udowodniać, że dorównuje braciom we wszystkich męskich zajęciach: łowieniu ryb, bijatykach ulicznych i szukaniu drogich kamieni.

- Widzisz ją? - Prześlizgnąwszy się wzrokiem po sznurze limuzyn, Kyle popatrzył na tłum wlewający się wartkim strumieniem do „Empire Towers”, najnowszego hotelu Seattle. Hotel należał do Dicka Farmera.

- Jeszcze nie - odparł Archer.

- I niech już tak zostanie. Nie wiedziałem, że tyłu mężczyźni nosi smokingi. A tym bardziej biżuterię. - Gwizdnął cicho na widok kobiety w naszyjniku z brylantów. Punkt centralny kolii stanowił wisior wielkości i barwy kanarka. - Widziałeś ten okaz? Powinien być w muzeum.

Archer zerknął na kobietę i odwrócił oczy. - Skoro już mowa o tym, co powinno się znaleźć w muzeum, spójrz lepiej na towarzyszki tajwańskich przemysłowców. Przyjrzyj się szczególnie dokładnie tej w czerwonym.

Kyle popatrzył we wskazanym kierunku. Powabna właścicielka czerwonej tuniki zwracała na siebie ogólną uwagę. Największy podziw i zazdrość tłumu budziło jej nakrycie głowy: czarne lśniące włosy okrywał czepek wyszywany perłami. Matowe łańki, kołysząc się, rozświetlały twarz. Potrójny sznur pereł, ogromnych jak winogrona, zwisał z tyłu czepka, sięgając rytmicznie poruszających się pośladków.

- Towarzyszki, powiadasz? Czyli kochanki?

- To normalne. Bogaci Azjaci przyjeżdżający do Stanów zostawiają żony z dziećmi w domu, czasem u szwagrów.

- Boją się, że małe kobietki mogłyby zwać do tego lepszego ze światów, gdyby tylko nadarzyła się taka okazja?

- A ty byś nie zwał?

- Ja bym się nie pozwolił tak zniewolić. - Kyle przeszedł przez hotelowe drzwi do korytarza. - Spróbujmy w atrium. Tam odbywa się wystawa Jade Trader. SunCo też zresztą tam właśnie zamierza umieścić swoją ekspozycję. Odkąd Chiny przejęły Hongkong, klan SunCo rywalizuje z Tangami.

Archer lekko się uśmiechnął.

- Robiłeś jakieś specjalne badania na ten temat?

- Gdybym musiał robić specjalne badania, żeby dostrzec coś, co jest absolutnie oczywiste, nie przydałbym się wiele Donovan Incorporation.

- Ty naprawdę poważnie myślisz o wciągnięciu spółki do handlu jadem?

- Myślę o tym od chwili, gdy wziąłem do ręki pierwsze bi. Ta jademowa figurka liczyła chyba pięć tysięcy lat - odparł Kyle. - Nigdy się nie dowiem, dlaczego ją wyrzeźbiono, ale ktoś, kto tego dokonał, był trochę podobny do mnie: kochał ten

gładki, jedwabisty ciężar. W przeciwnym wypadku nie potraktowałby nigdy tego kamienia z taką czułością.

Gdy Kyle odwrócił się i ruszył w stronę atrium, Archer położył mu rękę na ramieniu.

- Jadeit z epoki neolitu ma ściśle określony rynek zbytu - rzekł obojętnie.
- Ale ten rynek się rozszerza. Doszedł nawet Nowy Jork. Poza tym nie chodzi wyłącznie o jadeit z epoki neolitu.
- Znasz się na wszystkich rodzajach jadeitu na tyle dobrze, by się równać z Pacific Rim's?
- Jeszcze nie. Ale Lianne Blakely na pewno się zna. Twój informator o tym nie wspominał?
- Nie mówił po prostu na ten temat. Stwierdził tylko, że dzięki Lianne możemy wejść tylnymi drzwiami do Tang Consprium.
- Tylnymi drzwiami, powiadasz? Dobrze. Przekonajmy się więc, czy zdołam dowiedzieć się od słodkiej Lianne więcej, niż ona ze mnie wyciśnie. Bo zdaje się, że ta panienska zamierza mnie wykorzystać. Tak przynajmniej twierdził Wen Zhi Tang.

Archer zamrugął.

- To przerażające!
 - Co?
 - Dobrze zrozumiałem, co masz na myśli.
- Z Archerem u boku Kyle jakoś utorował sobie drogę przez tłum, w atrium ciżba podzieliła się na drobne grupki, które skupiały się wokół eksponatów prezentowanych przez korporacje sponsorujące aukcję.
- Daj spokój! - Kyle odciągnął Archera od gabloty z perłami z mórz południowych.
 - Lianne Blakely interesuje się jadeitem.
 - Czy coś się stanie, jeśli przy okazji popatrzę na coś innego?
 - Ty i perły to niebezpieczna kombinacja.
 - Równie niebezpieczna jak ty i jadeit?
 - Bardziej - odparł Kyle, rozglądając się wokół.

Na de zasłony atrium ze szkła i roślin ludzie z trzech kontynentów i kilku wysp okrążali główną fontannę, prezentując różnorodność języków i mody. Sama fontanna

wyglądała wspaniale: była to czysta, wyraźna, złożona z prostokątów i rombów szklana konstrukcja, w której tańczyło światło odbite w perlistrych strugach. Szemrząca muzyka wody mieszała się z mową ludzi z Hongkongu, Japonii i kilku regionów Chin, jak również z angielskim w wersji australijskiej, brytyjskiej i kanadyjskiej.

- Jadeit musi być po drugiej stronie atrium - powiedział Kyle.

- Dlaczego?

- Anglicy są tutaj głównie dla birmańskich rubinów, kolumbijskich szmaragdów i rosyjskich brylantów. Jadeit wymaga bardziej subtelnego, cywilizowanego gustu.

- E tara! Cywilizacja nie ma z tym nic wspólnego. Jadeit był już znany w starożytnych Chinach. Brylanty nie. Podobna sytuacja występuje w Europie. Kamienie szlachetne cieszyły się tam zdecydowanie większą popularnością niż jadeit. Tradycja wiąże się z historią materiałów, które są łatwiej dostępne.

Krążąc wokół lśniącej fontanny, dyskutowali o kulturze, cywilizacji i klejnotach. W drodze do azjatyckiego jadeitu minęli bezcenne eksponaty z ery przedkolumbijskiej pochodzące z Meksyku oraz Ameryki Środkowej i Południowej. Uśmiechnęły się do nich przerażające złote i turkusowe maski, odstraszające demony o imionach znanych jedynie ludziom nieżyjącym już od tysięcy lat. Wśród eksponatów znajdowały się również współczesne wyroby sztuki jubilerskiej.

Wszystkie wystawiane przedmioty - zarówno starożytne, jak współczesne - opatrzone tabliczką z nazwą korporacji, do której należały. Demonstracja poparcia dla sztuki stanowiła równie istotny cel wieczoru, jak aukcja na cele dobroczynne poprzedzająca bal.

Zanim bracia doszli do działu przeznaczonych na obiekty pochodzące spoza terytorium Chin, Kyle już zaczynał żałować, że nie siedzi na pokładzie „Tomorrow”, by ostrzyć haczyki i wiązać żyłki na poranny wypad na ryby. Nie pocieszył go nawet kieliszek wina. Na uroczystości tej klasy oczekiwał czegoś lepszego.

- Bingo - powiedział Archer.

Kyle zapomniał natychmiast o kiepskim trunku.

- Gdzie?

- Po lewej stronie od SunCo, obok Sikha w turbanie wysadzonym jadeitem.

Mimo iż stali zaledwie trzy metry od miejsca, które wskazał Archer, Kyle początkowo nie zauważył żadnej kobiety. A potem Sikh odsunął się na bok.

Kyle wytrzeszczył oczy.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie!

- A niech to diabli...

Kyle właściwie niezupełnie wiedział, kogo ma spotkać, ale tym kimś z pewnością nie była Lianne Blakely. Patrzył na tę małą młodą kobietę z mieszaniną sceptycyzmu, niesmaku i wstrzemięźliwego męskiego zainteresowania. To właśnie Lianne była nim podobno zauroczona do tego stopnia, że śledziła go od dwóch tygodni.

No tak. Jasne. Stał wystarczająco blisko, by ocenić krój jej sukni. Dostrzegł też mały patrycjuszowski nosk wetknięty w ekspozycję jadeitowych ozdób z okresu Walczących Królestw.

Nagle dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na Kyle'a. Jej skośne oczy miały barwę koniaku. Zawahała się przez chwilę, jakby go rozpoznała, a potem poprawiła torebkę na ramieniu i znów oglądała jadeit, nie zwracając najmniejszej uwagi na mężczyznę, którego podobno bardzo chciała poznać.

- Jesteś pewien, że to ona? - spytał cicho Kyle, modląc się w duchu o cud.

- Przecież właśnie ci to powiedziałem, prawda?

- Nie wygląda na międzynarodowego złodzieja sztuki.

- Naprawdę? - spytał cicho Archer. - A ilu ich znałeś?

- Z pewnością nie tak wielu jak ty. Więc jak?

- Chcesz wiedzieć, czy ta dziewczyna jest złodziejką?

- Owszem.

- Przecież oni nie noszą plakietek...

Kyle nie odpowiedział. Po prostu obserwował Lianne Blakely. Archer przeniósł wzrok z brata na Lianne. Nie rozumiał, dlaczego Kyle zachowuje się jak wyżeł, który zwietrzył bażanta. Lianne była atrakcyjna, może nawet piękna, ale o egzotycznym typie urody. Nie należała do tych zachwycających kobiet, z którymi mężczyźni uwielbiali się pokazywać. Prosta biała suknia leżała na niej znakomicie, choć nie miała

rozcięcia od zakładki do krocza lub gardła czy dekoltu sięgającego od szyi do kości łonowej. Na rękę Lianne błyszczała kunsztowna birmańska bransoleta, ale Kyle najwyraźniej nie dostrzegał biżuterii. Patrzył na kobietę, ignorując jadeit. Niedobrze.

- Może jednak to sobie darujemy - powiedział Archer. - Odłożę wyprawę do Japonii i Australii. Dam ci trochę czasu na dojście do formy.

- Mówiłem ci, że bark mam jak nowy - powiedział Kyle, nie patrząc na Lianne.

- Po kuli nic już nie jest jak nowe.

Kyle wzruszył ramionami i skrzywił się. Przy zmianach pogody nadal odczuwał bóle kości, a na północnym zachodzie od Pacyfiku padało często.

- Znam się na jadeicie lepiej niż ty.

- Tak, ale to nie jest argument, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę moją nikłą wiedzę na temat kamieni szlachetnych.

Kyle uśmiechnął się krzywo. Archer odpowiedział niemal bez zastanowienia, co mu się bardzo podobało w jego rodzinie: wszyscy jej członkowie znali się wzajemnie na tyle dobrze, że potrafili zgadywać swoje myśli. Miało to również ujemne strony. Taka umiejętność bowiem, rozwinięta u sześciorga dzieci, musiała powodować lęk u pozostałych. Kyle przekonał się jednak boleśnie, że nawet ucieczka na koniec świata nie mogła zmienić jego sądu o rodzinie.

Był cztery lata - a jakby cały wiek - młodszy od najstarszego brata.

- O co ci chodzi? - spytał, patrząc na Archera. - Boisz się, że kolejna kobieta sprowadzi na mnie kłopoty?

- Jeżeli coś ci się stanie, Susa mnie zabije.

- Nasza matka? Przecież jesteś jej ulubieńcem!

Archer popatrzył na Kyle'a wzrokiem, którego wszyscy inni na pewno by się zlekli.

Kyle jednak nie zwrócił na niego uwagi. Czuł się tak, jakby otrzymał mocny cios w brzuch. Lianne Blakely stanowiła kwintesencję wszystkiego tego, co zawsze pociągało go w istotach płci odmiennej, choć do chwili, gdy ją zobaczył, nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Sądził, że lubi duże kobiety - ona była mała; sądził, że woli blondynki - ona miała ciemne włosy. Sądził, że podobają mu się towarzyskie śmieszki - Lianne zamknęła się najwyraźniej w wewnętrznej ciszy.

Jedną rzecz wiedział jednak z całą pewnością: nie chciał zostać znów na łasce seksu. Mimo to pragnął Lianne niezależnie od zdobytej wiedzy, gorzkiej lekcji, obietnic składanych samemu sobie. Nagłe prymitywne pobudzenie doprowadziło go do furii. Złe doświadczenia najwyraźniej niczego go nie nauczyły.

Może jednak mógłby tym razem wykorzystać kobietę, a nie paść jej ofiarą.

- Nie czekaj na mnie - powiedział, ruszając w stronę Lianne. - Muszę się trochę powyglupiać.

3

Choć Lianne udawała, że pochłaniają oglądanie jadeitów w gablocie, od razu zauważyła, w którym dokładnie momencie Kyle ruszył w jej stronę. Obserwowała go zresztą wcześniej, zanim jeszcze ojciec zwrócił się do niej z absurdalną prośbą, by zawarła znajomość z najmłodszym Donovanem. Nie było to zresztą nic trudnego. Z jasnymi włosami i atletyczną budową ciała, kojarzonymi zwykle z dawnymi wikingami, Kyle Donovan wyróżniał się z tłumu.

- Musimy się przestać spotykać w ten sposób - powiedział po prostu.

Zdumiona Lianne oderwała wzrok od jadeitowej klamry i popatrzyła Kyle'owi w oczy. Tak niezwykłych oczu nigdy jeszcze nie widziała: złote cętki wokół źrenicy, a potem zielony krążek aż do czarnej obwódki okalającej tęczę.

- Słucham? - wyjąkała. - Przecież nie mógł pan powiedzieć czegoś podobnego!

- To rzeczywiście nie ja, tylko mój zły brat bliźniak. Ma pani zapalki?

- Nie pałę.

- Ja też nie, ale wydawało mi się, że to błyskotliwy sposób rozpoczęcia rozmowy. Mogłem wymyślić coś bardziej na czasie, ale nie nosi pani zegarka.

Mina dziewczyny świadczyła wyraźnie o tym, że rozbawiły ją kalambury Kyle'a. W nagrodę otrzymała serdeczny uśmiech. Przymrużywszy powieki, zaczęła się zastanawiać, czy Kyle zdaje sobie sprawę, jak bardzo zachęcający jest ten jego uśmiech.

- Nazywam się Kyle Donovan - przedstawił się, wyciągając rękę. - A pani Lianne Blakely. Teraz, kiedy już dokonaliśmy prezentacji, może mi pani chyba powiedzieć, dlaczego od dwóch tygodni chodzi pani za mną krok w krok?

Spoważniała. Dopiero teraz zauważyła, że te niezwykle oczy taksują ją charakterystycznym spojrzeniem, jakim obrzucamy zwykle krewnych pojawiających się w porze kolacji.

- O czym pan mówi? - spytała.
- O tym, że mnie pani śledzi. Dzisiaj. Dwa dni temu. W zeszłym tygodniu.
- Chodzi panu o to, że bywaliśmy na tych samych pokazach?
- Owszem.
- I to pan nazywa śledzeniem?
- Zawsze można mieć nadzieję.
- Zawsze można się odzepić.
- Okej! - Wzruszył ramionami i odwrócił się do odejścia.

- Proszę poczekać - powiedziała Lianne bez zastanowienia. Musiała dotrzymać obietnicy. Poza tym Kyle Donovan naprawdę ją interesował. Może wreszcie zapomni o mężczyźnie, który ją uwiódł, potem poślubił chińską panienkę i nie mógł zrozumieć, dlaczego Lianne już nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Jaka matka - taka córka.

Kyle zatrzymał się i czekał.

Lianne zaczerpnęła powietrza i spod długich rzęs zerknęła na mężczyznę, który miał zbyt szerokie bary, by mogła się przy nim poczuć naprawdę bezpiecznie. W jego wielkiej dłoni kieliszek wina wydawał się wręcz filigranowy, a jednak Kyle trzymał go z niezwyklej delikatnością. Rezerwa i opanowanie mężczyzny dodały jej odwagi. Powtórzyła w myślach swoją dewizę z ostatnich dwóch tygodni: Uda ci się! Przecież wszystkim kobietom się udaje!

Lianne nigdy nie śledziła przystojnych obcych mężczyzn. Aż do niedawna. I została przyłapana na gorącym uczynku. Teraz się zastanawiała, co robić dalej. Należało z pewnością postępować subtelnie ostrożnie, spokojnie i cierpliwie. Takie metody działania stosowała rodzina Tango w.

- Muszę pana prosić o przysługę - powiedziała śmiało. Niech diabli wezmą subtelność i cierpliwość!
- Chce się pani pewnie napić przyzwoitego wina?

Spojrzała na opróżniony do połowy kieliszek i omal się nie uśmiechnęła. Tego wieczoru była tak spięta, że wszystko jej smakowało jak ocet i popiół. Odstawiła kieliszek i głęboko westchnęła.

- Proszę spróbować piwa - poradziła, podnosząc lekko głos, by przekrzyczeć diskutujących po kantońsku o wartości posążku z epoki Ming. - Chińczycy nie słyną z upodobania do wina.

- To wszystko wyjaśnia.

- Co wyjaśnia?

- Zeszłotygodniowe bąbelki w burgundzie.

Po tych obojętnych uwagach Kyle z krzywym uśmiechem patrzył na nią wyczekująco. Czekał na odpowiedź jak kuguar czyhający na błąd jelenia.

Mijający ich właśnie kelner zabrał oba kieliszki, a odmowę dolewki przyjął z pełnym zrozumieniem.

- Bąbelki w burgundzie - powtórzyła Lianne, przygryzając dolną wargę. Kelner zniknął w tłumie.

Zapadła cisza. Kyle nie chciał przerywać milczenia.

- We pan... - zaczęła - byłoby łatwiej, gdyby pan znów się uśmiechnął.

Spełnił jej prośbę.

- Nie zamierzam wbijać pilnika do paznokci w pański nadmiernie rozwinięty tors, jeśli tego się pan właśnie obawia - obiecała.

Choć nie przestał się mieć na bacności, to uśmiechnął się nieco cieplej. Sama myśl o tym, że ta mała, intrygująca kobietka mogłaby go zaatakować, wydała mu się zabawna.

I podniecająca.

Dziwiły go reakcje własnego ciała. Od jakiegoś czasu nie zwracał uwagi na kobiety. Świadomość, że ostatnia kochanka zastawiła na niego śmiertelną pułapkę, ostudziła jego zainteresowania seksem.

- Czego pani ode mnie chce? - spytał bez ogródek.

Niepokój ustąpił miejsca irytacji. Ten człowiek nie miał prawa traktować jej jak przestępcy albo żebraka proszącego o jałmużnę.

- A muszę mieć jakiś plan? Dziewczyny chyba często zaczepiają takiego ogiera? - spytała sarkastycznie.

- Owszem. I dlatego wiem, że pani wyraźnie do czegoś zmierza. Czego pani sobie życzy, Lianne Blakely, i skąd pani wie, że mogę pani pomóc?

- Bo jest pan wielki.

- Wypchany słoń również. Chce pani, bym posłał po wypychacza zwierząt?

Lianne, wyobraziwszy sobie, że na spotkanie z Tangami lub na wyprzedaż jadeitów zabiera ze sobą wypchanego słonia, miała ochotę się roześmiać, ale powstrzymała ją zimny wyraz oczu Kyle'a. Definitywnie straciła nadzieję, że uda jej się dotrzymać obietnicy i jednocześnie zadbać o własne bezpieczeństwo.

- Proszę bardzo - odparła. - Jako wypchane zwierzę wyglądałby pan z pewnością czarująco. Zresztą chyba wyłącznie w takiej postaci.

Kyle parsknął śmiechem.

- Och, miewam lepsze momenty!

- Aż mi dech zaparło z wrażenia. Podniósł jej rękę do ust i musnął wargami.

- Zaczniemy od nowa - powiedział, ujmując jej dłoń w swoje ręce. - Ty masz na imię Lianne, ja Kyle. Oboje jesteśmy ludźmi i interesujemy się chińskim jadeitem. Co jeszcze nas łączy?

- Moja ręka.

- Śliczna rączka - zgodził się Kyle, nie wypuszczając z uścisku dłoni Lianne. - Mała, czysta, ciepła, kształtna, o zadbanym, choć nie polakierowanym paznokciach. To również zresztą nas łączy.

- Zadbane paznokcie?

- Ciepło - odparł, przesuwając lekko opuszkami palców po jej nadgarstku.

Lianne straciła na chwilę oddech.

- W porządku. Bywasz czarujący. Czy mogę dostać z powrotem moją rękę?

- Na pewno ci na tym zależy?

- Jestem do niej bardzo przywiązana.

- I śmiejesz się z moich kalamburów - dodał, krzywiąc usta.

Pozwolił, by wysunęła rękę z jego dłoni. Chcąc ukryć drżenie wywołane tym specyficznym rodzajem pieszczoty, Lianne splotła szybko palce.

- Wszystkie na miejscu? - spytał
- Co takiego?
- Twoje palce.
- Och! Tak. Wszystkie dziesięć. Dziękuję.
- Nie ma za co. Rzadko zjadam dziewczynom palce na pierwszej randce.

Zaczerpnęła powietrza. Czowała, że ta rozmowa wymyka jej się spod kontroli.

Połączenie niepokoju i rozbawienia na twarzy Lianne podobało mu się bardziej niż szczupłe ciało i duże koniakowe oczy. Dziewczyna przypominała mu w pewien sposób Honor i Faith, młodsze siostry bliźniaczki, które lubiły czasem przekomarzać się ze starszymi braćmi.

Nagle doleciał do jego uszu potok słów w języku mandaryńskim. Zrozumiał tylko imię Lianne. Choć dziewczyna wcale się nie poruszyła, Kyle odniósł wrażenie, że zniknęła nagle za grubą szklaną szybą. Najwyraźniej nie chciała się widzieć z tym, kto zmierzał właśnie w jej stronę.

Kyle odwrócił głowę i zobaczył zwalistego Chińczyka w średnim wieku. Dwaj mężczyźni idący za nim mogli być jego synami, kuzynami lub współnikami, choć Kyle bardzo w to wątpił. Obaj mieli w sobie coś z ochroniarzy.

A potem rozpoznał Han Wu Senga i zyskał pewność, że są to jego goryle. Seng ułatwiał życie chińskim politykom. Każdy, kto potrzebował kilku milionów na jakieś interesujące przedsięwzięcie, mógł się zwrócić do Senga, obiecać mu przysługę i wyjść od niego bogatszym człowiekiem. Żadnych przekazów, przelewów i roboty papierkowej. Czysta, żywa gotówka. Stąd ochroniarze. Seng nigdy nie wiedział, kiedy spotka polityka w potrzebie, toteż zawsze był gotów do załatwiania interesów.

Chińczyk stanął bardzo blisko Lianne; nawet najbardziej liberalne standardy kulturowe nie dopuszczały takiej poufałości. Natomiast według norm obowiązujących na kontynencie popełnił niemal fizyczną napaść.

Lianne zrobiła krok w tył, jakby zamierzała powiedzieć coś do Kyle'a, ale był to tylko pretekst. Tak naprawdę chodziło jej po prostu o to, by odsunąć się od Senga. To on właśnie stanowił główny powód, dla którego chciała mieć Kyle'a po swojej stronie przez najbliższe parę tygodni. Przynajmniej do czasu, gdy Seng wróci na kontynent.

Seng pragnął Lianne. A znano go z tego, że zawsze zdobywał wszystko, czego pragnął: władzę, jadeity i., kobiety. Lianne martwiła się jednak najbardziej tym, że Wen Zhi Tang Uczy na przymierze z Sengiem w nadziei na uzyskanie przywilejów na kontynencie. I choć nie interesowały ją specjalnie ambicje Tangów, nie chciała rozgniewać dziadka.

- Ach, tutaj jesteś - powiedział niecierpliwie Seng. - Miałas być przy wystawie Tang Consortium, ale nie. Ty latasz jak jesienny liść po całym budynku. Słyszałaś może coś więcej o zawartości grobu Cesarza? Mówiono mi, że znaleziono tam fantastyczne fellatio, chyba również cunnilingus i nawet instruktazowego fallusa dla młodych konkubin. Jak również...

Lianne uzbroiła się w oficjalny uśmiech i przerwała jednemu z najpotężniejszych chińskich kapitalistów.

- Przepraszam - powiedziała prędko po mandaryńsku. - Musze jednak przedstawić panu mego znajomego, który zna wyłącznie angielski. Będę zmuszona tłumaczyć.

Gdy Lianne dokonywała prezentacji, Seng świdrował Kyle'a chytrymi czarnymi oczkami. I choć energicznie uściśnął dłoń nowego znajomego, nie starał się ukryć braku zainteresowania jego osobą.

I wtedy nagle dotarło do niego nazwisko.

- Donovan International? - spytał z kiepskim akcentem. Kyle skinął głową.

Seng natychmiast uśmiechnął się ciepło i zaczął bardzo szybko mówić coś po mandaryńsku. Lianne tłumaczyła symultanicznie, pozostając jedynie o parę słów w tyle. Kyle skupił się na angielskiej wersji i patrzył na Senga, ten zaś na mandaryńskim i patrzył na Kyle'a. Obaj byli najwyraźniej przyzwyczajeni do spotkań w interesach prowadzonych w kilku językach. Sztuka polegała na tym, by zdobyć dobrego tłumacza, takiego, który przekłada nie tylko dokładnie, ale jeszcze szybko i płynnie.

Lianne okazała się profesjonalistką.

Kyle wysłuchał zwyczajowych komplementów, zrewanżował się tym samym i zaczął dociekać, czego Sen może sobie życzyć od Donovan International.

- Trudno się spotkać z pana ojcem - powiedział w końcu Seng.

- Donovanowie w ogóle bywają trudni - zgodził się Kyle.

- Dlatego trudno robi się z nimi interesy.

- Nie bardzo - odparł z uśmiechem Kyle. - Zawsze można dotrzeć do asystentów ojca.

- Lepiej rozmawiać z samym Donovanem seniorem.

- Też mu to mówiłem, ale mnie nie słucha. W końcu jednak jestem dopiero Synem Numer Cztery. Poznał pan może Archera - Syna Numer Jeden?

- Nie miałem jeszcze okazji.

Kyle rozejrzał się dokoła. Archer nie kręcił się w pobliżu.

- Może następnym razem - powiedział Kyle, wzruszając ramionami, i popatrzył na Lianne. - Jeśli sobie życzysz, jestem gotów wyjść.

Lianne gwałtownie chwyciła go za przegub. Sam nie był pewien, co zdziwiło go bardziej jej refleks czy siła uchwytu.

- Zachowalibyśmy się naprawdę bardzo niegrzecznie, gdybyśmy nie obejrzeliby całej wystawy - powiedziała szybko. - Przecież obiecaliśmy.

Błagalny wyraz jej oczu był równie czytelny jak uścisk.

- Oczywiście - zgodził się Kyle, kładąc dłoń na jej ręce. - Po to właśnie potrzebowałaś wypchanego słonia?

Lianne roześmiała się ochryple.

- Owszem - odrzekła, co stanowiło tylko pół prawdy. Drugie pół uosabiał mężczyzna, który -jak jej się wydawało - siedł za nią aż od domu matki. Mężczyzna, który mignął jej kilka razy w tłumie, gdy odwracała nagle wzrok od wystawy. Mężczyzna średniego wzrostu, w czarnym smokingu. O typowej kaukaskiej karnacji. W ogóle tak bardzo typowy, że nie mogła być nawet pewna, czy rzeczywiście go widziała.

Odnosiła jednak wrażenie, że ktoś ją śledzi, a pomimo wieloletniego ćwiczenia karate zupełnie nie miała ochoty, by zmierzyć się z mordercą albo kimś jeszcze gorszym. Co innego sala gimnastyczna, a co innego ciemny zaułek.

- Choć marzę o pogawędce, bardzo się spieszymy - powiedział Kyle do Senga. - Przed aukcją musimy jeszcze sporo obejrzeć. Jestem pewien, że pan to rozumie. Następnym razem, kiedy będę rozmawiał z ojcem, na pewno o panu wspomnę.

Lianne rozluźniła uścisk, ale wciąż trzymała Kyle'a za rękę. Tym razem tłumaczenie zajęło jej sporo czasu. Kyle nie przestawał się uśmiechać, gdyż

podejrzewał, że dziewczyna wygląda nastroszone ego Chińczyka. Najwyraźniej jednak nie miała ochoty na nic więcej ani nie żałowała, że rezygnuje z towarzystwa Senga.

Jeszcze rok temu Kyle odczuwałby samczą satysfakcję: wygrał przecież w konkurencji z mężczyzną, którego stać by było na kupno nawet całego państwa, nie mówiąc o człowieku. Ciekawość, dlaczego Lianne wybrała właśnie jego na błędnego rycerza, stłumiła jednak wszelkie przebłyki zadowolenia.

Patrząc na szczupłe, mocne palce dziewczyny, wbijające się w nadgarstek, doszedł do wniosku, że Tang Consortium uznało go zapewne za najłatwiejszy cel w Donovan International.

Pozostawało jedynie wyjaśnić, co też oni chcieli właściwie osiągnąć.

- Dziękuję - powiedziała cicho Lianne po odejściu Han Senga i jego dwóch cieni.

- Większość kobiet wiele by dała za to, by Seng patrzył na nie w ten sposób.

- Jak na towar?

- Piękny towar.

- Kolejny kalambur? - spytała, lecz tym razem w jej oczach nie było uśmiechu.

Kyle uniósł brwi.

- Piękny towar to jeden z wielu eufemizmów, jakim Chińczycy określają kurwy - odparła spokojnie.

- Przepraszam. Chcesz zacząć jeszcze raz? Teraz już będę czarujący i w ogóle...

- Zachowajmy sobie ten trzeci raz na czarną godzinę - zaproponowała z lekkim uśmiechem

- Przewidujesz jeszcze większe nieporozumienia?

- Zawsze trzymam coś w zanadrzu. Na wszelki wypadek. Życie mnie tego nauczyło.

- Musisz zatem mieć bardzo interesujące życie.

- Nie tak interesujące jak ta klamra - Lianne odwróciła się do gabloty, którą przedtem oglądała.

Zdziwiła go ta nagła zmiana tematu, ale postanowił przyjąć reguły gry narzucone przez Lianne. Podeszedł bliżej i zajrzał do gabloty ponad głową dziewczyny, gdyż Lianne nie sięgała mu nawet do podbródka. Gdy wciągnął powietrze, poczuł woń

stanowiącą przedziwną mieszaninę zapachu deszczu i konwalii. Kiedy je wypuszczał, poruszył cieniutkie włoski na nęcącym karku, które wymknęły się spod jadeitowych szpilek. A potem jeszcze jeden oddech i znów był deszcz oraz konwalie, tym razem cieplejsze, gdyż teraz znajdował się na tyle blisko, by chłonać również subtelne ciepło kobiety. I znacznie mniej subtelny żar własnego ciała.

Przeklinając po cichu swoje hormony, odsunął się lekko, usiłując odwrócić uwagę od zapachu Lianne i skupić się na starej jadeitowej ozdobie. Jadeitowy smok liczył już ponad dwa tysiące lat, a jednak nadal tętnił życiem.

- Piękny wzór - zgodził się Kyle, odwracając wzrok. - Ale on nie może się równać z czystą siłą ostrza w gablocie obok.

Zerkając na jadeit w kształcie dłuta, z trudem powstrzymała się od uśmiechu. Długi, wąski, niemal prostokątny kształt ostrza znała od dawna z opisów Wena, który często mówił o wyglądzie i rytualnym znaczeniu różnych jadeitowych przedmiotów z epoki neolitu.

- To uwaga w stylu Wena Tanga. On też się pasjonuje starymi jadeitami.

- Masz na myśli Wena Zhi Tanga? - upewnił się Kyle, choć doskonale wiedział, o kogo chodzi.

Lianne skinęła głową, ale nie odwróciła wzroku od gabloty. Z lekkim okrzykiem zdziwienia przysunęła się bliżej szyby, tak że zaparowała ją oddechem. Zniecierpliwiona, odsunęła się nieco i chwilę czekała, by mgiełka znikła ze szklanej tafli.

- Co się stało? - spytał Kyle.

Lianne nie odpowiedziała. Wstrzymując powietrze, badała jadeit tak dokładnie, jak to tylko było możliwe przez szybę.

- Niesamowite - wymamrotała, mrużąc oczy. - Mogłabym zrozumieć rozmiar, zaakceptować kolor, wzór też bez problemu. Ale nawet charakterystyczne plamy w podobnych miejscach, świadczące o pobycie pod ziemią?

W skupieniu zmarszczyła czoło.

- Zrobią ci się bruzdy na czole - powiedział Kyle.

Tylko Amerykanie mają obsesję na punkcie młodości - odparowała, nie odwracając oczu od jadeitu.

- A Chińczycy na punkcie wieku.

- Obsesja to zjawisko międzykulturowe, ludzkie. Natomiast obiekt obsesji zawsze można przypisać konkretnej kulturze - ciągnęła Lianne, obchodząc gablotę i oglądając jadeit pod różnymi kątami.

Będziesz to licytować? - spytał Kyle.

- Owszem.

- W takim razie mam nadzieję, że twój klient jest bogaty. To bardzo piękny jadeit z epoki neolitu. Coś, co mogłoby się znaleźć w grobie cesarza.

Lianne niemal nie słyszała Kyle'a. W myślach analizowała stan posiadania. Uważała, że mogłaby pokryć prawdopodobny koszt jadeitu. Gdyby grzechot w samochodzie oznaczał konieczność większej naprawy, nie pozostałoby jej nic innego, jak uruchomić karty kredytowe. A z pewnością musiałyby się pożegnać z pięknym wisiosem ze wschodniej dynastii Czou, który to klejnot od dawna miała na oku. Przynajmniej na razie. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, by po rozwiązaniu tajemnicy ostrza sprzedała je i znów doszła do równowagi finansowej. Niestety zapewne do tego czasu wisior zmieniłby właściciela.

Z lekkim westchnieniem pożegnała się z jadeitem za dwa i pół tysiąca dolarów, jaki przyrzekła sobie na urodziny.

- Chyba jesteś z czegoś niezadowolona - zauważył Kyle.

- Słucham?

- Większość kolekcjonerów, zwietrzywszy nową zdobycz, ma zacięty wyraz twarzy, szklany wzrok i aż dyszy z niecierpliwości, by położyć łapę na tym, co stało się ich obsesją. Tak mniej więcej wygląda Seng, gdy patrzy na ciebie.

Lianne spojrzała na Kyle'a z ukosa. Nie musiała długo myśleć, by dojść do wniosku, że woli rozmawiać o Sengu niż o ostrzu z epoki neolitu, które - czego była niemal pewna - stanowiło własność jej dziadka.

A w każdym razie należało do niego w przeszłości. Karteczka przy gablocie świadczyła bowiem o tym, że właścicielem eksponatu jest SunCo, które oddało go na aukcję.

- Pan Han...

- Dla przyjaciół Seng - przerwał sucho Kyle. - A przecież on niczego innego nie pragnie, jak zostać twoim przyjacielem. Bliskim. Naprawdę bliskim.

- Pana Hana ekscytuje ostatnio wiele rzeczy. Teraz ja jestem zapewne jedną z nich. Ale to minie. Na razie nie miałabym nic przeciwko pewnego rodzaju eskorcie w trakcie tej imprezy.

- Pewnego rodzaju eskortie?
- Wielkiej eskortie. Takiej jak ty.
- Aha! Wracamy do „wypchanego słonia”.
- Ty to powiedziałeś, nie ja.

Kyle popatrzył na Lianne, jakby była tylko kawałkiem jadeitu nadającym się do sprzedania.

- Mówisz poważnie?
- Że cię potrzebuję? Tak.
- A co ja z tego będę miał?
- Satysfakcję, że jesteś błędnym rycerzem - wypaliła i spłonęła rumieńcem, co natychmiast wprawiło ją w zażenowanie.
- Przykro mi, ale przehandlowałem metalową bieliznę i kupiłem sobie zwykły bawełniany podkoszulek.

Lianne miała nadzieję, że profesjonalny uśmiech ukryje irytację. I rozczarowanie.

- To zrozumiałe. Jestem pewna, że kolczuga musi uwierać. Było mi bardzo miło pana poznać, panie Donovan.

Był tak zdumiony jej rezygnacją, że tylko wbił w nią osłupiały wzrok. Po chwili jednak rzucił się naprzód i odciął jej drogę odwrotu. Miała do wyboru: albo zatrzymać się w pół kroku, albo wpaść na Donovana. Automatycznie zrobiła krok w prawo, ale on znów wyrósł przed nią jak skała, uniemożliwiając ucieczkę.

- Tańce są po aukcji - powiedziała sucho.

Kyle uśmiechnął się ciepło. Iskra gniewu w oczach Liann podobała mu się o wiele bardziej niż poprzednia zimna uprzejmość.

- Mam propozycję - zaczął.
- Cudownie! Proszę zejść mi z drogi, a znajdę kogoś, kto się tym zainteresuje.
- To ma związek z wymianą usług.

Przymrużone powieki Lianne przysłoniły ogień w jej oczach.

- Na przykład?

- Za każdą godzinę „wypchanego słonia” dasz mi godzinę lekcji. Chcę wiedzieć, co tak naprawdę widzisz, patrząc na różne gatunki jadeitu.

Rozszerzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Co takiego?

- Mam pewną wiedzę o zabytkowych jadeitach, ale mógłbym się wiele nauczyć, słuchając, w jaki sposób podchodzi do tematu prawdziwy ekspert.

- Ja wcale nie jestem aż takim ekspertem!

Kyle z trudem powstrzymał śmiech. Jeśli Wen Zhi Tang miał czeladnika, to ów czeladnik z pewnością nazywał się Lianne Blakely. A Wen był bogiem jadeitu.

- W takim razie układ jest bardzo sprawiedliwy, bo ja nie jestem wykwalifikowanym ochroniarzem.

Lianne zaczęła się wahać. Kyle się uśmiechnął. Mówiono mu już nieraz, że ma rozbijający uśmiech, toteż posługiwał się nim wtedy, gdy umniejszanie własnych walorów mogło przynieść jakąś korzyść. A w tym atrium pełnym azjatyckich i kaukaskich rekinów potrzebował każdego rodzaju pomocy. W ciągu sześciu miesięcy poświęconych studiom nad chińskimi jadeitami nie sposób nadrobić czasu spędzonego na szukaniu minerałów.

Uśmiech nie wywarł na Lianne oczekiwanego wrażenia.

- Coś w rodzaju: jak ty mnie podrapiesz, to ja podrapię ciebie? - spytała.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Owszem. Zgoda?

- Jeśli rzeczywiście chodzi wyłącznie o jadeity. De właściwie chcesz wiedzieć?

- Jak się znudzę, to powiem

Lianne przekrzywiła głowę i popatrzyła na Kyle'a.

- Mówisz poważnie, prawda? - spytała, przedrzeźniając jego wcześniejszą wypowiedź.

- Owszem. Nie znoszę się nudzić!

Zaczerpnęła powietrza i przeanalizowała szybko wszystkie powody, dla których powinna się odwrócić i odejść od człowieka o miłym uśmiechu i pięknych, przenikliwych oczach.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Umowa stoi - dodała pewniej. Po raz pierwszy od chwili, gdy spotkał Lianne, przestał odczuwać ucisk w żołądku. Nie wiedział, dlaczego tak bardzo mu zależy na tym, by być blisko niej. Wiedział jednak, że tego pragnie. To, co czuł, u kobiet zwykle się określa intuicją; w odniesieniu do mężczyzn mówi się w takich sytuacjach o wyciąganiu wniosków, dedukcji lub w najgorszym razie o przeczuciu.

A przeczucie podpowiadało Kyle'owi, że w całej tej sprawie chodzi o coś znacznie ważniejszego aniżeli o utrzymanie Senga z dala od Lianne.

- Od czego chce pan zacząć? - spytała.

- Oczywiście od początku. Od ostrza z epoki neolitu.

Kyle'a bardzo ciekawił eksponat, który najpierw wzbudził zainteresowanie Lianne, a później jej strach. Nie mógł jednak na razie wspominać o strachu. Ich sojusz był jeszcze stanowczo zbyt kruchy, by mógł znieść takie obciążenie.

Przez chwilę się zastanawiał, w co on się właściwie wpakował. Potem Lianne przeszła tuż obok niego, by spojrzeć na gablotę, i do Kyle-a znów dotarł delikatny zapach konwalii oraz deszczu. Ta woń podziałała na niego jak połączenie adrenaliny ze spokojem - kojąco na umysł, ożywczo na ciało.

- Chińczycy nazywają tego rodzaju ostrza łopata... - zaczęła Lianne.

- Dlaczego?

- Wen twierdzi, że w starożytności używano do kopania właśnie takich narzędzi. Akademicy są zdania, że jest to raczej topór niż łopata. Wszyscy zgadzają się jednak co do tego, że tego typu ostrza powstały na wzór pewnego artefaktu na tyle istotnego dla ówczesnej kultury, że znalazł swoje miejsce w obrzędach rytualnych.

Kyle poważnie skinął głową.

- To ostrze - ciągnęła, wskazując gablotę - to pih. jedna z tradycyjnych kategorii barw jadeitu.

- Zielonego?

- O odcieniu mchu. Niektórzy przyrównaliby tę barwę do szpinaku. W każdym razie ów przedmiot to świetny przykład jadeitu ukrytego pod ziemią.

- Między innymi w grobach?

- Oczywiście. Europejczycy zawsze bardzo sobie cenili takie znaleziska. Chińczycy zza oceanu są wolni od starych kontynentalnych oporów związanych ze zbieraniem przedmiotów pochodzących z krypt. Plamy na ostrzu powstały w czasie tysiącletniego zalegania w grobie. Zniszczony jadeit stanowi część chińskiej tradycji estetycznej.

Słowo „plamy” wymówiła z wyraźnym szacunkiem. Kyle ze zdziwienia uniósł brwi.

- Plamy, powiadasz? Czy nie są to wyłącznie wskaźniki wieku?

- W pewnych przypadkach tak. Dla kolekcjonera prawdziwa wartość tych konkretnych plam polega na tym, że uwydatniają one totemy wyryte na ostrzu.

- Tak też słyszałem. Muszę jednak przyznać, że ten aspekt wymyka się mojej uwadze.

- Dlaczego? — spytała Lianne, podnosząc wzrok.

- Wybór, zdobienie i polerowanie jadeitu to dzieło rak ludzkich; plamy natomiast powstawały przypadkiem, gdyż jadeit tkwił w mokrej ziemi, przy nieboszczyku. Są zatem czymś w rodzaju skutku ubocznego.

- Bardzo zachodni punkt widzenia.

- Nic dziwnego. Urodziłem się i wychowałem na Zachodzie.

- Ja też. Wen wielokrotnie mi wypominał brak subtelności i precyzji w ocenie jadeitu. A kłopoty miałam właśnie z przypadkowymi plamami.

- Miałaś kłopoty?

- Teraz myślę o nich jak rzeźbiarz, który myślał o kamieniu jako takim, zanim przystąpił do pracy.

Kyle odwrócił wzrok od jadeitu i spojrzał na Lianne.

- Nie rozumiem.

- Każdy jadeit jest inny. Obowiązkiem rzeźbiarza i jego największą przyjemnością jest poznawanie przedmiotu ukrytego w kamieniu.

Przytaknął.

- Rozumiem. Zręczność i inteligencja stosowana.

- A plamy - ciągnęła Lianne - to kwintesencja czasu. Stanowią one tak samo część dzisiejszego jadeitu, jak oryginalnego kamienia, nawet talentu rzeźbiarza. Wartość całości zmniejszy się, niezależnie od tego, czy naruszony zostaje wzór, czy też sam kamień. Gdy czas podnosi wartość przedmiotu, powstaje wspaniałe, wielopoziomowe dzieło sztuki, takie, od którego nie możesz oderwać oczu na dłużej niż parę sekund.

Kyle popatrzył na Lianne z miną winowajcy. Uśmiech przywrócił jej oczom barwę ciemnego miodu.

- Nie narzekam - powiedziała. - Z przyjemnością rozmawiam z kimś, kto się tym naprawdę interesuje, a nie tylko zbiera jadeit ze snobizmu, by wyrzucić wrażenie na innych, lub dlatego, że jest to ostami krzyk mody.

- Mimo że wolę jadeit bez plam?

- Musisz po prostu pamiętać, że rozmieszczenie plam na jadeicie pochodzącym z wykopalisk ma wielkie znaczenie dla chińskich zbieraczy.

- A co z Amerykanami? Ich preferencje się nie liczą?

- Oni mogą sobie kochać te skazy lub ich nienawidzić. Nie zmienia to jednak faktu, że plamy zwiększające wartość estetyczną kamieni a podnoszą jego cenę. Szczególnie na mieszanej, azjatycko-kaukaskiej aukcji, takiej jak ta,

- Wobec tego przed instytucją Pacific Rim Asian Charities rysuje się wspaniała przyszłość - zauważył sucho Kyle. - Nie mogę sobie jednak wyobrazić przyczyny, dla której jakikolwiek kolekcjoner mógłby zrezygnować z takiego ostrza. Chyba że jest to jakaś klęska lub śmierć. A może przemawia przede mną brak doświadczenia?

Lianne popatrzyła w zamyśleniu na niezwykle przedmiot. Choć był to tylko kamień, to jednak tak natchniony czasem i wciąż pokoleń, że bił od niego szczególnie blask.

- Nie, Wen na pewno z niego nie zrezygnuje. Słowa te podświadomie wypowiedziała na głos. Poczula dziwny chłód w okolicy kręgosłupa. Jakie nieszczęście, jakie przekleństwo musiało spaść na rodzinę Tangów, by zmusić ją do sprzedaży kolekcji będącej ich własnością od czasów dynastii Ming?

Zrozumiała, dlaczego jej ojciec był do tego stopnia tym wszystkim przejęty, że zapomniał o talonie na parking. Nic dziwnego, iż zmuszał ją do wprowadzenia

Tangow do firmy Donovanów. Gdyby po prostu powiedział jej, co się stało, nie marnowałyby czasu na podrywanie Kyle'a. Tangowie być może nie lubili się do tego przyznawać, ale przecież byli jej rodziną. Jej jedyną rodziną,

- Lianne?

Zdawała sobie sprawę, że Kyle do niej mówi, ale nie rozumiała słów. Jej myśli stanowiły przedziwną mieszalinę spekulacji i niepokoju.

- Przepraszam - powiedziała. - Myślałam o jadeicie. I strachu.

Gdy Johnny usiłował ją przekonać o konieczności nawiązania kontaktu z Kyle'em, w jego oczach nie było zniecierpliwienia. W jego oczach czaił się strach.

Jadeitowa misa z dynastii Sung przyciągała wielbicieli jak magnes, do którego lgną błyszczące kolorowe szpilki. Azjatyccy i kaukascy kolekcjonerzy tłoczyli się wokół wysokiej gabloty, szepcząc coś do siebie z podziwem i zazdrością.

Misa wyrzeźbiona w półprzezroczystym białym jadeicie, ze śladami zieleni na zagięciach, była prosta i piękna. W gablocie na de z ciemnego aksamitu lśniła niczym wschodzący księżyc. Dyskretna tabliczka informowała jedynie o tym, że ów eksponat, stanowiący własność Richarda Farmera, nie jest na sprzedaż.

- Zwykle nie zwracam uwagi na przedmioty z dynastii Sung - rzekł Kyle, patrząc na gablotę ponad głowami zebranych wokół niej ludzi. - Ta misa jednak mogłaby zasadniczo wpłynąć na zmianę moich upodobań. Dobrze, że nie jest na sprzedaż. Stać na nią wyłącznie takich jak Dick Farmer. Czy to jeden z twoich klientów?

- Nigdy nie rozmawiałam z nim osobiście.

Kyle zaczął się zastanawiać, czy Lianne świadomie unika odpowiedzi na pytanie. Farmer mógł być jej klientem, choć nie mieli ze sobą bezpośredniego kontaktu. Multimiliardera Dicka Farmera otaczały legiony ludzi, którzy wiele by dali za to, by zająć się jego interesami. I jego miliardami.

- Wiesz, kto zdobył tę misę dla Farmera? - spytał Kyle.

- Sądzę, że Chang Wo Sun.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Czy on się zajmuje jadeitami?

- Nie. Pracuje dla SunCo.

- Nie wiedziałem, że SunCo prowadzi jakieś interesy z Farmerem.

- Bo nie prowadzi. Jeszcze nie. Sądzę, że ta misa jest jakoś związana ze skomplikowanym chińskim rytuałem zalotów.

Lianne stanęła na palcach, próbując dojrzeć misę ponad plecami dwóch mężczyzn. Gdy przypadkowe wzruszenie ramion zasłoniło widok, wydała jęk zawodu.

Natychmiast poczuła, że podłoga usuwa jej się spod stóp. Unoszona ponad tłum silnymi rękami Kyle'a, krzyknęła cicho ze zdziwienia

- Teraz lepiej? - spytał uprzejmie Donovan.

- O wiele. Dzięki.

- Nie ma za co. Wykonuję po prostu obowiązki „wypchanego słonia”.

Lianne się roześmiała. Była ciekawa, czy Kyle czuje nagle bicie jej serca, tak jak ona ciepło jego dłoni na swych żebrach. Miała nadzieję, że to nagle bicie uzna raczej za objaw zdziwienia niż kobiecą odpowiedź na żar i siłę obejmującego ją mężczyzny.

Po kilku pierwszych oddechach Lianne stwierdziła, że bardzo jej się podoba widok, jaki ma z góry. Tuż pod nią - niczym perlista balerina - kołysał się finezyjny czepek, którego właścicielka oglądała piękną misę. Nad jej ramieniem widniała męska łysina, naturalna tonsurka zasłonięta włosami szczesanymi na bok. Delegacja z Chin stała z boku gabloty. Lekceważąc prawo administracyjne obowiązujące w Seatde, wszyscy członkowie delegacji wydmuchiwali mgiełki papierosowego dymu. Gdy Lianne zerknęła w bok, dostrzegła tego samego mężczyznę, który już wcześniej ją śledził. Teraz próbował cicho i szybko zniknąć z jej pola widzenia. Mam cię!

Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją, choć przeszły ją igielki gorąca, a potem zimna. Jej prześladowca na pewno nie przewidział takiego rozwoju wypadków. Sądził, że wystarczy iść za wysokim Anglikiem, a niska, mała Lianne będzie tuż obok.

- Nie bój się, na pewno cię nie upuszczę - zapewnił Kyle, czując nagle napięcie jej mięśni. - Chodziłem po górskich przełęczach z ładunkami cięższymi niż ty.

- Nie o to mi chodzi.

Mężczyzna, który się nagle pojawił, zmartwił Lianne. Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w zebranych ludzi, ale go nie zobaczyła. Zniknął, jakby stanowił jedynie wytwór jej wyobraźni.

Może rzeczywiście nim był? Może po prostu niepokoiła się o biżuterię, która do niej nie należała?

- Dzięki, widziałam już dość - powiedziała Lianne. Kyle opuścił ją na podłogę.
- Poznałeś go? - spytał szeptem.

Lekka zmarszczka zdziwienia na czole dziewczyny powiedziała Kyle'owi wyraźnie, że się nie myli: Lianne nie patrzyła na jadeit.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła.

Ogarnęło go zniecierpliwienie i irytacja. Najwyraźniej ta mała kobietka traktowała go naprawdę jak wypchanego słonia.

- W porządku! - rzucił krótko, odsuwając się od gabloty. - Co masz teraz w planie?
- Do aukcji zostały co najmniej dwie godziny. Czego jeszcze nie widziałeś?
- Bufetu - odparł szczerze Kyle. - A może jadłaś kolację przed przyjściem tutaj?
- Nie. Byłam zbyt zdenerwowana - przyznała.

- Czym? - spytał obojętnie, wyprowadzając ją z atrium w stronę bufetu w sali balowej.

- Przygotowaniem ekspozycji - powiedziała, co było jedynie częściowo prawdą. Nie mogła się przyznać Kyle'owi, że na samą myśl o tym spotkaniu czuje skurcze żołądka.

- To ja miałam wybrać jadeity.

- Sądziłem, że zajmie się tym patriarcha we własnej osobie.

- Wen?

- Ostatnim razem, gdy to sprawdzałem, właśnie on był seniorem klanu Tangów.

- Owszem. Tylko że... Wen jest bardzo zajęty - dokończyła słabym głosem.

Kyle popatrzył na nią z ukosa. Tb wyjaśnienie wydało mu się absolutnie nieprzekonywujące.

Lianne pomyślała, że zdrowie Wena to tajemnica poliszynela i nawet Kyle pozna ją natychmiast, kiedy zostanie przedstawiony rodzinie.

- Zaczekaj - powiedziała, przyciskając się do Kyle'a. Stając na palcach, mogła mówić bez obawy, że jej słowa dotrą do niepowołanych uszu.

- Wen ma bardzo kiepski wzrok. Nie może nawet liczyć na zmysł dotyku. To chyba artretyzm, choć nikt jeszcze nie mówi o tym głośno. Wen brał jednak pośrednio udział w przygotowaniu ekspozycji. Joe przekazał jego sugestie Harry'emu i Johnny'emu, który z kolei podał je mnie.

Kyle starał się nie dopuścić do tego, by specyficzny zapach Lianne odwrócił jego uwagę od najważniejszego zagadnienia: a mianowicie od faktu, że w jednej z najbogatszych rodzin kupieckich na świecie dokonywała się właśnie po cichu zmiana przywództwa.

Wen czuł się coraz gorzej po szoku, jakiego doznał, gdy Hongkong wrócił do Chin, a różne gałęzie rodziny Tangów nie ustawały w wysiłkach, by ustalić, kto zaprowadzi klan na zyskowne pola minowe dwudziestego pierwszego wieku.

- Joe? Harry? Johnny? - dopytywał się Kyle

- Joe Ju Tang jest najstarszym, a Harry Ju Tang drugim w kolejności synem Wena. Johnny to najmłodszy.

- Znasz ich dobrze?

- Owszem - odparła Lianne z kamienną twarzą. - Rodzina Tangów bardzo interesuje się jadeitem. To moi najlepsi klienci.

Prowadząc Lianne w stronę stolików z przekąskami, Kyle przybrał równie obojętną minę.

- Co wie rodzina Tangów o grobie Cesarza Jadeitu? - spytał zdawkowo, wręczając jej talerz.

- To samo co wszyscy - odparła, wzruszając ramionami.

- To znaczy?

Lianne popatrzyła na niego z ukosa. Kyle jednak skupił swą uwagę na wyborze przekąsek, jakby ta rozmowa miała grzecznościowy, a nie konkretny charakter.

- Kombinacja ciekawości z chciwością - powiedziała, biorąc do ręki miniaturową pałeczkę. Aromat unoszący się znad kawałków wspaniale przyprawionej kielbasy owiniętej cienkim ciastem zaostrił jej apetyt - Kolekcjonerzy umierają z ciekawości, bo nie wiedzą, czy kolekcja z grobu Cesarza obniży, czy też podniesie wartość zbiorów.

- Sądzisz, że ostrze może pochodzić z grobu Cesarza? - drążył Kyle.

- Nie wiem. Ale wszystko jest możliwe.

Włożył do ust cieniutkiego, niezwykle delikatnego nema i zaczął go przeżuwać, obserwując spod oka Lianne. Nie było to szczególnie niemiłe zadanie. Kości

policzkowych mogłaby jej pozazdrościć każda modelka; przepiękne czarne włosy jaśniały jak słońce. Usta miała pełne, dojrzałe, zapraszające.

A przez białe niczym śnieg, równe zęby kłamała jak najęta o ostrzu z epoki neolitu. Bardzo dobrze wiedziała, skąd ono pochodzi. Kyle mógł się o to założyć. Był również pewien, że nie uległ złudzeniu i serce Lianne naprawdę waliło jak młotem, gdy uniósł ją ponad głowami tłumu. Nie wiedział jedynie, co spowodowało taką reakcję: pożądanie czy strach. Może jedno i drugie? A potem zaczął się zastanawiać, czego dowie się najpierw - prawdy o Lianne czy o grobie Cesarza Jadeitu.

Lianne połknęła małże i wydała cichy melodyjny pomruk, który wzbudził w Kyle'u taki głód, jakiego nie zdołałyby zaspokoić najbardziej finezyjne przekąski.

- Boże - powiedziała, niemal drżąc z zadowolenia. - Takie jedzenie powinno być zabronione przez prawo. - Czy te nemy są również tak wspaniałe?

- Ty mi powiedz. - Włożył jej chrupiący pasztecik do ust i patrzył, jak go przeżuwa.

- Niesamowite - orzekła. - Niestety nie będę w stanie spróbować wszystkiego, bo już jestem najedzona.

Wyraz zawodu, z jakim patrzyła na stół z przekąskami, na pewno bardzo by go rozśmieszył, ale zbyt mocno pragnął zlizać okruszek nema, przyklejony do kącika jej ust. Ta potrzeba skręcała mu wnętrzności z zadziwiającą siłą. Najpierw usiłował tłumaczyć swój stan zbyt długą abstynencją, ale potem poczuł niepokojącą pewność że nawet gdyby przed chwilą wyczołgał się z łóżka innej, to i tak nadal pragnąłby Lianne.

- Powkładaj mi trochę tego żarcia do kieszeni - zaproponował.

- Nie kuś mnie. - Zaśmiała się, znów spojrzała na stół i westchnęła. - Gdybyśmy mieli trochę przyzwoitego wina... Co za uczta!

- Znam szefową kuchni. Ta to się dopiero zna na winach! Na pewno nie ona dokonała wyboru na dzisiejszy wieczór.

Ręka Lianne znieruchomiła w połowie drogi między półmiskiem a jej rozchylonymi ustami. Mała krewetka przyprawiona imbirem zakołysała się lekko na kolorowej wykałaczce.

- Znasz szefową kuchni?

- Owszem. A teraz zjedz krewetkę, zanim ja to zrobię. Słowa Kyle'a zdziwiły ją bardziej niż to wspaniałe jedzenie.

Szybko podsunęła mu krewetki i inne przystawki.

- Mogłeś mi powiedzieć, że umierasz z głodu - powiedziała, gdy zmiotł z talerza wszystko, co mu podała. - Zaczęlibyśmy ten rajd od bufetu. A więc kto jest szefową kuchni?

- Mei O'Toole. Jej mąż pracuje dla Donovan International. Ona i jej siostry znudziły się już gadaniną na temat fuzji kulinarnej, która nie objęła Azji, i postanowiły pokazać miastu, jak powinna wyglądać kuchnia na wybrzeżu Pacyfiku. Dwa miesiące temu otworzyły „Rain Lotus”.

- Powinna się była tego domyślić - powiedziała Lianne. Dopiero teraz dostrzegła karteczkę z informacją, która restauracja dostarczyła jedzenie do bufetu. - Próbowałam się dostać do tego lokalu od chwili, gdy po raz pierwszy o nim usłyszałam. Wszystkie stoliki są zarezerwowane na następne pół roku.

- To może dzisiaj po aukcji? - spytał Kyle. - Czy też zamierzałaś może zostać na balu?

- Nie, nie robiłam takich planów. A co ma być dzisiaj po aukcji?

- Późna kolacja dla dwojga w „Rain Lotus”. Lianne popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Chyba żartujesz.

- Nie. To należy do obowiązków „wypchanego słonia”.

- W „Rain Lotus” zjem chemie o każdej porze: i wcześniej, i później. Uśmiechnął się. Ten, kto twierdził, że drogą do serca kobiety jest brylantowa bransoletka, najwyraźniej nie znał Lianne. Może należało wpychać w nią jedzenie, dopóki nie zaczęłyby błagać o litość, a dopiero potem wypytywać o Tangów i kradzież z grobu Cesarza.

- W takim razie umowa stoi. Zabieram cię na kolację, a ty opowiesz mi wszystko, co słyszałaś o grobie Cesarza.

- Ty też? - spytała, kręcąc głową.

- Co ja?

- Też oszalałeś na tym punkcie?

- Dlaczego nie? Przecież to najbardziej łakomy kąsek od czasów, gdy Czang Kaj-szek ukradł skarby z kontynentu w drodze na Tajwan!

- W przeciwieństwie do sprawy Czang Kaj-szeka nie ma żadnego dowodu, że Cesarz Jadeitu kiedykolwiek istniał, a już na pewno nie wiadomo, czy rzeczywiście jego grób był pełen skarbów ze wszystkich poprzednich etapów historii - powiedziała Lianne.

Mówiąc, napełniała talerz z nadzieją i radością, której nawet nie starała się ukryć. Kyle tymczasem się zastanawiał, czy Lianne w ten sam sposób traktuje seks - otwarcie i bezpośrednio. Gdy wsunęła w usta kawałek kraba, a następnie oblizała palce, jego ciekawość jeszcze się wzmogła.

- Załóżmy, że Cesarz Jadeitu żył naprawdę - powiedział, odwracając głowę i nakładając na talerz przypadkowe przekąski. Smakowało mu wszystko, co pochodziło z kuchni Mei O'Toole. - I założmy, że odnaleziono jego grób.

- Kiedy? - spytała Lianne. - Przed czy po Mao?

- Jakie to ma znaczenie?

- Jeśli te przedmioty opuściły Chiny przed Mao, problem własności można jakoś rozwiązać, choć i tak sprawa jest trochę śliska.

- Jak twoje palce?

Złapana na gorącym uczynku Lianne zrobiła minę winowajcy jednocześnie patrząc na Kyle'a prowokująco.

- Nie ma pałeczek, a te wykałaczki są trochę za małe.

Kyle roześmiał się głośno. Żałował, że nie zna Lianne na tyle dobrze, by mógł oblizać jej palce.

- Po Mao niczego się nie da ustalić? - spytał, nie odrywając od niej wzroku.

Przytaknęła. Zawahała się chwilę i przestała oblizywać sos z palców, po czym wsunęła sobie do ust kolejną przekąskę i delektując się jej smakiem, aż przymknęła oczy z rozkoszy.

- Niewiarygodne - westchnęła, sięgając po następny kawałek kaczki przybrany surowymi warzywami. Drugi kęs smakował jej nawet bardziej niż pierwszy. - Można wpaść w nałóg - orzekła, nakładając sobie trzecią porcję.

Kyle zmusił się, by odwrócić wzrok od tej intrygującej, zmysłowej przyjemności, jaką Lianne sprawiało jedzenie.

- Dlaczego po Mao jest trudniej? - spytał po chwili.

- Bo nie wolno eksportować niczego, co ma więcej niż pięćdziesiąt lat. Z wyjątkiem ludzi - dodała gorzko. - Ludzi nie zalicza się do dóbr kultury.

- Od kiedy to pochodzenie stanowi taki problem dla kolekcjonerów? Przecież chciwy zbieracz nie zagląda w zęby darowanemu koniowi.

- Oczywiście. Ale kiedy Stany i Chiny rozpoczęły ten handlowy taniec, pochodzenie stało się punktem zapalnym całej sprawy. Nadal możesz kupować, sprzedawać i posiadać wszystko, na co pozwala ci sumienie, ale nie wolno ci wystawiać przedmiotów nabytych na czarnym rynku.

Kyle był bardzo ciekaw, w którym miejscu przebiega ta subtelna granica moralna, ale zrezygnował z tego pytania. Uznał je za równie nie na miejscu jak oblizywanie palców Lianne.

Do bufetu podeszła spora grupa Japończyków. Mimo iż wokół przekąsek stały tłumy ludzi, Japończycy zachowywali się tak, jakby nikogo innego nie było w sali. Nie zamierzali jednak postępować nieuprzejmie. Przyzwyczajali się po prostu do tego, że znajdują się na czele kulturowej kolejki głodomorów.

- Dobrze, że napełniliśmy talerze - powiedział Kyle, wyprowadzając Lianne z tłumu. - Gdzie w takim razie znaleziono grób Cesarza?

- A kto twierdzi, że w ogóle go znaleziono?

- Wiele osób.

Lianne nie podjęła dyskusji. Była zbyt zajęta degustacją kraba w sosie, który smakował jak tęcza z dodatkiem błyskawicy.

- Słyszałam, że w czasie wojny domowej, zanim jeszcze Mao doszedł do władzy - odparła, przełykając. - I jeszcze, że dwadzieścia lat później. Niektórzy natomiast twierdzą, że dopiero w zeszłym roku. - Wzruszyła ramionami. - A ty?

- Ja jestem nowy w tym interesie. Dotarło do mnie tylko parę plotek. Ale jeśli grób istnieje, zawiera zbiory człowieka, którego konto bankowe było tak wielkie jak Chiny, a zachcianki równały się prawu. Możesz to sobie wyobrazić?

- Nie chcę. A już szczególnie próbuję nie myśleć o tym, co on mógł zebrać w okresie neolitu, którym się tak pasjonuję. Jednak zastanawiam się czasem, jak by to było odkryć największą na świecie kolekcję jadeitu.

- Zawsze ci wolno pomarzyć. W dodatku za darmo. Ale jeśli istotnie odkryto i wywieziono ten zbiór, to w jaki sposób by go sprzedano?

- Dlatego właśnie nie wierzę w jego znalezienie - odparła Lianne z prostotą. - Nie przypominam sobie wyprzedaży na taką skalę.

- Może po prostu nie zostałam na nią zaproszona.

- Nieważne. Nie udałoby się ukryć tak wielkiej kolekcji, nieznannej przedtem na rynku. Nie ma większych plotkarzy niż kolekcjonerzy dzieł sztuki.

Kyle zjadł wszystko, co miał na talerzu, i zaczął podkraść przekąski Lianne; pogroziła mu wykałaczką. Ponieważ jednak zostawiła mu sporo czasu na ucieczkę, nie przejął się specjalnie jej groźbą.

- A gdyby tak złodziejstwo przebiegało etapami?

- Mówisz o moich przekąskach czy jadeitach mitycznego cesarza? Uśmiechnął się i znów wyciągnął rękę do jej talerza.

- O jadeicie.

- Podzielenie kolekcji zmniejszyłoby jej wartość, ale... - Wyprzedzając zamiary Kyle'a, Lianne sięgnęła po ostatniego nema i zaczęła go ostrożnie przeżuwać. -Ale z drugiej strony to by mogło wyjaśnić brak plotek.

- Może jeszcze? - spytał Kyle, wskazując bufet.

- A ja wciąż żyję?

Roześmieli się oboje. Lianne z zadowoleniem stwierdziła, że dzięki temu wybuchowi wesołości z oczu mężczyzny znikło wyrachowanie, a pozostało piękno działające na nią równie silnie jak jadeit. Przez te kilka sekund czuła się jak kobieta na randce z bardzo interesującym mężczyzną. Gdy Kyle nakładał na talerze kolejne porcje, patrzyła na niego z przyjemnością, nie mającą nic wspólnego z nadziejami na dobre jedzenie.

A potem zobaczyła, że podchodzi do nich Johnny Tang. Zadowolenie natychmiast ustąpiło miejsca chłodnej rezerwie.

- Witaj, Johnny - powiedziała. - Przyszedłeś skontrolować ekspozycję?

- Oczywiście.

Czekała, co powie, ale on milczał.

- No i jak ci się podoba?

- Wspaniała. Zresztą nie mogło być inaczej. Jadeity Tangów i twój amerykański gust to wspaniała kombinacja.

- Przygotowując wystawę, starałam się również nie zapomnieć o chińskiej koncepcji piękna.

Johnny machnął ręką.

- Chińczycy znają Tangów - odparł spokojnie. - Należy raczej zadbać o Amerykanów, szczególnie w sytuacji, kiedy Hongkong stracił niepodległość. A skoro mowa o...

- Kyle - przerwała zrećźnie Lianne, widząc, że Donovan odchodzi od bufetu i staje za plecami jej ojca - to jest Johnny Tang. Johnny, poznaj Kyle'a Donovana.

Na twarzy Chińczyka pojawił się na chwilę wyraz ulgi. Kiedy jednak Johnny odwrócił się do Kyle'a, jego mina nie wyrażała nic poza uprzejmym zainteresowaniem.

- Pan Donovan - powiedział, wyciągając rękę.

Lianne wzięła talerz od Kyle'a, by mężczyźni mogli rytualnie uścisnąć sobie dłonie.

- Wen przyjechał z tobą?

- Nie. Zbiera energię na wieczór.

- Rozumiem. Przyjęcie rodzinne.

Uwagi Kyle'a nie uszedł akcent, jaki Lianne położyła na słowie „rodzinne”.

Nawet jeśli Johnny również to zauważył, nie dał niczego po sobie poznać.

- Ojcu byłoby bardzo miło, gdybyś mogła się pojawić na naszym małym party. I przyprowadź pana Donovana. - Odwrócił się do Kyle'a. - My, Tangowie, podziwiamy rodzinę Donovanów. Sądzę, że nie zabraknie nam interesujących tematów do rozmowy.

Lianne miała nadzieję, że i z jej twarzy, podobnie jak z twarzy Johnny'ego, nie można niczego wyczytać. Zastanawiała się już nieraz, czym musiałaby sobie zasłużyć na zaproszenie do Tangów. Teraz wiedziała czym.

I wcale jej się to nie podobało.

- Dzięki - powiedział Kyle - ale to Lianne zdecyduje, dokąd pójdziemy po aukcji.
- W takim razie do zobaczenia - odparł Johnny z zadowoleniem. -Lianne na pewno

nie sprawiłaby zawodu Wenowi.

Po chwili Johnny poprosił o wybaczenie i wmieszał się w tłum zmierzający powoli w stronę sali, gdzie odbywała się aukcja. Chińczyk zachowywał się tak, jakby niecierpliwość mogła przyspieszyć bieg wydarzeń.

- Skończyłaś? - spytał Kyle.

Lianne wbiła wzrok w talerz czysty jak jej paznokcie, choć nie przypominała sobie, by zjadła więcej niż połowę przekąsek.

- A ty?
- Na przyjęciu u Tanga będzie jedzenie?
- Oczywiście. Całe góry! To konieczny element zabawiania gości.
- Dobre chociaż?
- To zależy. Lubisz tradycyjną azjatycką kuchnię czy bardziej nowoczesną?
- Darowałbym sobie stuletnie embriony kur, ale paluszki... proszę bardzo.
- Świetnie, oddam ci swoje.
- A jaki masz stosunek do stuletnich jajek?
- Jednym słowem? Faj! Ale inne potrawy są bardzo smaczne.
- W takim razie przetrwam do końca aukcji.

Kyle odstawił talerze na tacę, wziął Lianne pod rękę i zaprowadził do atrium.

- Nie musisz tego robić - powiedziała Lianne.
- Oglądać jadeitów?
- Nie, iść na przyjęcie do Tangów.
- Jedzenie podobno jest znakomite, a ty na pewno nie chciałabyś sprawić zawodu najlepszym klientom.

Klienci.

Zastanawiała się przez chwilę, jak najkrócej wyjaśnić Kyle'owi swoje skomplikowane stosunki z rodziną Tangów, lecz nic nie przyszło jej do głowy. Nadeszła znów jedna z tych trudnych chwil, jakie musiała znosić, będąc bękartem Johnny'ego Tanga.

- Na pewno nie chciałabym sprawić im zawodu - powiedziała w końcu.

A potem uśmiechnęła się smutno. Co za żart! Przecież sprawiła im zawód już w chwili narodzin. Stanowiła bolesny, żywy dowód związku Johnny'ego z inną kobietą.

- Mogę ci zadać pytanie? - zaczął Kyle, gdy wyczuł nagłe napięcie dłoni, którą położyła mu na ramieniu. - Pytanie zawodowe, nie osobiste.

- Dotyczące Tangów?

- Nie, tej twojej torebeczki.

Lianne spojrzała na maleńką jedwabną kopertkę wiszącą na końcu długiego cienkiego paska. Torebeczka ważyła tak niewiele, że Lianne niemal o niej zapomniała.

- Co z torebką?

- Najważniejsi sprzedawcy robią notatki o każdym z wystawianych przedmiotów.

Przytaknęła.

- W twojej saszetce nie zmieści się żaden notatnik, ale jest tu wystarczająco dużo miejsca na nowoczesny miniaturowy magnetofonik.

- Wierzę ci na słowo. Niestety, nie ma w niej nic oprócz kluczyków i wizytówek. - Nie wspomniała o pojemniczku ze sprayem, który w razie potrzeby mógłby oślepić napastnika.

- Czy to znaczy, że nie jesteś poważnym kupcem?

- Nie, tylko tyle, że mam fotograficzną pamięć.

- W porządku. W takim razie na pewno potrafisz opisać faceta, który cię śledzi.

5

Lianne chciała przez chwilę wszystkiego się wyprzeć, ale potem doszła do wniosku, że jeśli Kyle nazwie ją oszustką i odejdzie, będzie musiała sama przetrwać tę noc.

- Mężczyzna rasy kaukaskiej, metr osiemdziesiąt wzrostu, średniej budowy ciała, gładko ogolony, włosy ciemne, biała koszula, czarny smoking, trochę za ciasny w pasie, buty raczej codzienne niż eleganckie; niezwykła umiejętność wtapiania się w tłum.

Kyle zagwizdał cicho.

- Chyba często go widywałaś.

- Tylko raz, dzisiaj, przez parę sekund. Wtedy, kiedy wzięłaś mnie na rękę.

- Fotograficzna pamięć... - wymamrotała.

- Owszem.

- Jak długo on za tobą chodzi?

- On osobiście? Trudno mi powiedzieć. W ciągu ostatnich paru tygodni wielokrotnie odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Kyle popatrzył spod oka na Lianne - na jej dumnie uniesiony podbródek, proste plecy, kołyszące się lekko biodra. Na tle białego jedwabiu sukni lśniła jadeitowa biżuteria.

- Zastanów się - poprosił cicho.

Lianne uniosła podbródek jeszcze wyżej, ale nie potrafiła opanować lekkiego drżenia.

- To prawda. Nie wiem, dlaczego jestem śledzona.

- Spróbuj się domyślić.

- Może chodzi o biżuterię.

- Nośłaś ją w ciągu ostatnich kilku tygodni? -Nie.

- W takim razie podaj inny możliwy powód.

Spróbowała wysunąć mu rękę spod ramienia, ale natrafiła na opór.

- Nie zamierzam się bawić w dwadzieścia pytań - odparła szorstko. - Skoro tak bardzo się tym niepokoisz, po prostu odejdz.

- Może porzuciłaś właśnie kochanka?

Na myśl o Lee Chinie, nazywanym obecnie Tangiem, rozbłysły jej oczy. Ale China nie widziała przecież od dwóch lat. A już na pewno go nie rzuciła. Po prostu nie chciała kontynuować romansu po jego ślubie z kuzynką Tangów i po tym, jak przyjął ich nazwisko.

- Nie - odparła. - Żadnych kochanków. Ani porzuconych, ani innych.

- A zawiedzionych wielbicieli?

- Ani jednego.

- Co z rodziną? Może któryś z twoich krewnych znalazł się ostatnio na czyjejs czarnej liście?

- Ostatnio? - Wzruszyła ramionami. - Sprawa przedstawia się dokładnie tak samo jak zwykle.

- Czyli?

- Moja matka jest kochanką Johnny'ego. Już od przeszło trzydziestu lat. Dlatego zajmuje wysoką pozycję na czarnej liście Tangów.

Kyle rozluźnił nieco uścisk ramienia Lianne i pociągnął ją w spokojny kąt atrium, gdzie wystawiano przykłady sztuki kaligraficznej. Kaligrafia stanowiła azjatycką wersję sztuki nowoczesnej; nie znajdowała poklasku u ludzi bez specjalnego przygotowania. Dzięki temu w zatłoczonej sali powstała maleńka wyspa spokoju.

- Może ostatnio kupiłaś lub sprzedałaś jakieś kwestionowane klejnoty? - spytał cicho Kyle. - Albo wkurzyłaś podejrzanego kolekcjonera?

Lianne pokręciła głową, udając, że skupia całą uwagę na kaligrafii

- Już ci mówiłam, że nie wiem, dlaczego ktoś miałby mnie śledzić.

Kyle ustawił się przy gablocie tak, by widzieć, co się dzieje za Lianne. Wokół większości eksponatów wirowali zwiedzający - czerń smokingów mieszała się z jedwabiami w kolorach tęczy oraz lśniąącymi klejnotami. Nad Azjatami dominowali zdecydowanie ludzie rasy kaukaskiej. Od mężczyzny opisanego przez Lianne musiało ich dzielić co najmniej pięć metrów.

A przynajmniej tak się Kyle'owi wydawało.

- Co z Sengiem? - spytał.

- Nawet jeśli zatrudnia białych, to ja ich nie spotkałam.

- Może kogoś wynajął?

- To nie w jego stylu.

- Co konkretnie masz na myśli?

- Takie podchody. On zwykle atakuje z otwartą przyłbicą.

- A ciebie atakował?

- Niezupełnie. Ale dał mi wyraźnie do zrozumienia, że powinnam mu z radością wskoczyć do łóżka.

- Co się stało, kiedy odmówiłaś?

- Prawie w ogóle tego nie zauważył. Przy Sengu zapaśnik sumo to po prostu uosobienie subtelności.

Kyle parsknął śmiechem, a Lianne uniosła wzrok znad kaligrafii.

- Żadnych telefonów, notatek, prezentów, gróźb?
- Nic takiego. Tylko dreszczyk niepokoju i umykający cień oglądany kątem oka.
- Powinnaś się była postarać o wielkiego białego myśliwego. „Wypchany słoń” może nie wystarczyć.
- Nie musisz... - zaczęła.
- Obejrzyjmy jeszcze kilka jadeitów - wtrącił Kyle. - Może twój tajemniczy wielbiciel wreszcie się zagapi, potknie o moje wielkie stopy i skręci kark.

Lianne popatrzyła ze zdziwieniem na Kyle'a. Donovan uśmiechał się miło, ale w jego przymrużonych, czujnych oczach nie było wesołości. Gdyby poznała go w innych okolicznościach, na pewno by się go bała. Wręcz odnosiłaby wrażenie, że wpadła z deszczu pod rynnę. - Może obejrzymy jeszcze raz to ostrze z epoki neolitu? - zaproponował Kyle.

Lianne przyspieszyła kroku. Sama tego pragnęła. Wmawiała w siebie, że ten bezcenny przedmiot nie może pochodzić z kolekcji Tangów. Musiała się pomylić.

Ale pomyłka nie wchodziła w grę.

Wątpliwości - a jednocześnie pewność - nie dawały jej spokoju. Pamięć wzrokowa nie splatała jej nigdy podobnego figla. Właśnie z powodu swej niezawodnej dokładności zyskała opinię znawcy wszystkich odmian jadeitu z każdej epoki.

Ludzie oglądający ekspozycję SunCo skupiali się raczej na finezyjnych, bardzo dekoracyjnych przedmiotach z dynastii Szóstej i Han. Gabloty z jadeitem z epoki neolitu nie były aż tak bardzo oblegane. Lianne wciąż mając nadzieję, że się pomyliła, dokładnie obejrzała stare ostrze.

Nie ma mowy o pomyłce. Obraz w jej umyśle i ostrze w gablocie pasowały do siebie tak dobrze, że musiał to być po prostu ten sam bezcenny przedmiot.

Niespokojnie śledziła wzrokiem Donovana okrążającego gablotę. Mężczyzna najwyraźniej był pod urokiem jadeitu.

- Chyba nie chcesz brać udziału w licytacji? - spytała w końcu. i Czy to jakiś problem?

Może nie.

- A ty? Też masz taki zamiar?

- Ja... - zawahała się. - Owszem. Nic mi zresztą innego nie pozostało.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i przystanęła przy kolejnej gablocie SunCo. Tu również wystawiono przedmioty z epoki neolitu; były one jednak o tysiąc lat młodsze niż interesujące ją ostrze.

Kyle patrzył na Lianne, zastanawiając się nad tym, co też takiego miał w sobie przedmiot, na widok którego te ciemne oczy barwy koniaku zasnuły się smutkiem, a może nawet lękiem.

- Sądziłem, że pasjonujesz się raczej jadeitem z epoki Walczących Królestw.

- W zasadzie tak.

- A ostrze z epoki neolitu to tylko wyjątek, który potwierdza regułę?

Wydała dźwięk, który mógł wiele znaczyć, i podniosła wzrok na Kyle'a.

-Widziałeś tę gablotę? - spytała. - Zawiera przedmioty z czasów dynastii Shang - powiedziała ostrożnie. - Równie wyjątkowe jak ostrze.

Kyle niechętnie odwrócił uwagę od ostrza i skierował ją na gablotę, przy której stała Lianne. W eleganckiej szklanej skrzyni na wiśniowym aksamicie leżały dwie bransolety z jadeitu.

- Zwróć przede wszystkim uwagę na bransoletkę po prawej – zasugerowała- Kiedyś w przeszłości ten jadeit uległ spaleni, zapewne w grobowcu, a być może później w domu kolekcjonera zniszczonym przez wojnę

- Skąd wiesz?

- Nefryt, chiński jadeit, przybiera odcień kredowego, jasnego beżu- tzw. kolor kości kurczaka -jedynie wtedy, gdy zostanie poddany działaniu temperatury sięgającej tysiąca stopni. Zmienia ona skład chemiczny jadeitu. Pod jej wpływem kamień ten staje się nieprzezroczysty, oryginalny kolor bieleje, ale sam wzór pozostaje tak wyraźny i czysty jak w momencie powstania. Czas i ogień zmieniły główną barwę, pozostawiając bez zmian żyłkowaty wzór. Efekt jest piorunujący.

- Wartość podniesiona przez czas.

- Szybko się uczysz - zauważyła z przelotnym uśmiechem. -A może mówię ci rzeczy, które już wiesz?

- Przecież obiecałem, że jeśli się znudzę, nie omieszkam cię o tym poinformować.

Co jeszcze widzisz, patrząc na bransoletkę w kolorze kości kurczaka?

- Z profilu byłaby raczej wklęsła nit prosta.

Kyle uważniej przyjrzał się ozdobie i skinął głową.

- Wklęsły profil trudniej uformować. Rzeźbiarz był jednak wystarczająco zdolny i cierpliwy, by w każdym punkcie utrzymać jednakową grubość.

Schylił się, a następnie przykucnął, aby popatrzeć na bransoletę pod innym kątem.

- W erze maszyn taka precyzja wykonania jest dla nas oczywista -wyjaśniła Lianne.
- A jednak ta bransoleta pochodzi z kultury Uang-czu. Liczącej sobie chyba pięć tysięcy lat.

Kyle słyszał zarówno to, co Lianne mówiła, jak i to, czego nie ubrała w słowa. Podobała jej się bransoleta, szanowała tradycję, której ta biżuteria się wywodzi, podziwiała efekt końcowy i nie miała ochoty jej kupić.

- Co sprawia, że to neolityczne ostrze jest warte więcej niż bransoletka?- spytał Kyle

- Nic.
- A jednak me zamierzasz brać udziału w licytacji?
- Nie.
- Dlaczego?
- To sprawa osobista, nie zawodowa.
- Innymi słowy, nie mój interes.
- Jak już mówiłam, szybko się uczysz.

Wyprostował plecy tak błyskawicznie i zwinnie, że Lianne aż się cofnęła.

- I jesteś bardzo szybki.
- Najmłodszy bracia muszą być szybcy, w przeciwnym razie traktuje się ich zawsze jak chłopców do bicia.

Patrzyła na niego chwilę, próbując wyobrazić sobie tego wysokiego, postawnego mężczyznę jako chłopca

- Ilu masz braci?
- Trzech, wszyscy są starsi ode mnie- 1 jeszcze dwie mam dwie siostry
- Pięcioro rodzeństwa - powiedziała Lianne ze smętnym uśmiechem - Ale zabawa!

- Istny cyrk.

Mimo gorzkich słów uśmiechał się serdecznie. Z braćmi nieustannie darł kory, niezależne i uparte siostry doprowadzały go do szału, a jednak nic zamieniłby takiego życia na spokój i ciszę. Przynajmniej nie na stałe.

Czasem jednak pragnął samotności. Po fiasku ze skradzionym bursztynem potrzebował spokoju, aby wylizać rany i pomysleć o wszystkich tych głupich rzeczach, których nie powinien był robić i na pewno by nie zrobił, gdyby mógł cofnąć czas. Gdy myślenie stawało się zbyt bolesne, wchodził na pokład „Tomorrow” i płynął na ryby, a czas przeciekał mu przez palce.

- Twoja rodzina tu mieszka? - spytała Lianne.

- Część tak, część nie. Jesteśmy raczej porozrzucani po tej planecie. Trudno zresztą, by było inaczej, kiedy się prowadzi międzynarodowe firmy eksportowo-importowe.

- Donovan International.

- W moim przypadku Donovan Gems i Minerals. Czterej bracia założyli własną spółkę. Stanowimy niezależną filię firmy ojca.

- Ale i tak trzymacie się blisko.

- Nic na to nie można poradzić. Od Donovana Wielkiego trudno się odczepić.

- Wielkiego?

- Tak nazywamy tatę. Między innymi tak.

- Nie możecie się dogadać?

- Raczej na siebie wrzeszczymy. A potem Susa, nasza matka, przywraca pokój.

Lianne przez chwilę spróbowała sobie wyobrazić, jak to jest być częścią hałaśliwej, czulej rodziny. Zupełnie jej się to nie udało. We wspomnieniach z dzieciństwa dominował spokój. Matka bardzo się starała, aby stworzyć w swym domu oazę dla ukochanego. Nie znaczyło to jednak wcale, że nie miała czasu dla Lianne. Odwrotnie. Tyle że łączyła je raczej przyjaźń niż zwykły związek między matką i córką.

Poszła wolno za Kyle'em w stronę kolejnej gabloty, zawierającej zbiór różnorodnych przedmiotów z jadeitu. Kamień miał wspaniałą, niemal szklistą fakturę. Na zielonej półprzejrzystej powierzchni widniały ptaki lub smoki. Wszystko zaś lśniło subtelnym wewnętrznym światłem właściwym jadeitowi.

- Fantastycznie mieć taką wielką rodzinę - powiedziała Lianne.

- Różnie bywa - odparł Kyle z uśmiechem, mówiącym więcej niż słowa. - Czasami wszyscy modliliśmy się o to, by choć na chwilę zostać jedynakiem. A co myślisz o tym?

Niechętnie odwróciła wzrok od jasnych włosów Kyle'a i jego zaraźliwego uśmiechu.

- Jeśli ta ekspozycja jest miarodajna, sądzę, że SunCo ma wspaniałą kolekcję jadeitu. Wzory wykonano niezwykle starannie. Wiesz, dlaczego w tej epoce tak bardzo lubiano smoki i ptaki?

- Nigdy jakoś nie zdobyłem nawet podstawowej wiedzy na temat jadeitów z epoki neolitycznej, czy też tzw. jadeitów kulturowych. Nie miałem też czasu, by się zachwycać resztą epok.

- Ptaki symbolizowały łagodność, a smoki umiarkowanie. Uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Umiarkowanie? Smoki?

- Chińczycy postrzegali smoki inaczej niż Celtowie. Celtowie widzieli w nich niebezpieczeństwo, przemoc i śmierć. Dzięki smokom mężczyźni mogli sprawdzić, czy będą potrafili się przeciwstawić brutalnej sile. Chińczycy traktowali je natomiast jak istoty nieśmiertelne, cierpliwe, mądre i nieskończenie subtelne.

- Dla mnie to bardzo niebezpieczna koncepcja. Szczególnie ten fragment o subtelności. Chrześcijański diabeł jest nieśmiertelny, cierpliwy i równie subtelny jak grzech podniesiony do dziesięciotysięcznej potęgi.

- Ale brak mu umiarkowania? - spytała z lekkim uśmiechem.

- Owszem. Będziesz licytować któryś z tych przedmiotów?

- Żaden z moich kolekcjonerów nie złożył zamówienia na jadeit z czasów zachodniej dynastii Czou.

- A kto prosił o ostrze z epoki neolitu?

- Rozmowa o klientach byłaby z mojej strony nieetyczna.

- Dlaczego? - rzucił beztrąsko Kyle. - Jestem przecież „wypchanym słoniem”, a nie klientem czy konkurentem.

- Jesteś „wypchanym słoniem”, który jednak pasjonuje się jadeitem z epoki neolitycznej.

- Teraz uspokojonym „wypchanym słoniem”.
- Uspokojonym? Dlaczego?
- Kiedy powiedziałaś, że interesujesz się ostrzem z przyczyn osobistych, trochę się przestraszyłem. Wiedziałem, że będziesz wściekła, jeżeli cię przelicytuję. Ale teraz, gdy wiem, że chodzi o klienta... - Uśmiechnął się i rozłożył ręce. - interes to interes i niech wygra najlepszy.

Lianne, schwytna we własne sidła, mocniej ścisnęła pasek torebki. Gdyby przyznała, że żaden klient nie istnieje, Kyle chciałby wiedzieć, dlaczego zdecydowała się kupić ostrze z epoki neolitu, choć interesuje się podobno jadeitami z epoki Walczących Królestw. A jeśli-by mu wyjawiała swoje podejrzenia, zalałby ją pewno powodzią pytań na które nie istniały łatwe odpowiedzi.

Im dłużej myślała o ostrzu, tym bardziej się martwiła. Sprzedaż najlepiej wyjaśniała, dlaczego ostrze znalazło się wśród eksponatów Sun-Co, lecz Lianne nie bardzo mogła uwierzyć w to, że najważniejszy przedmiot z kolekcji dziadka zmienił właściciela bez jej wiedzy. Choć nigdy nie powiedziano tego wprost, opieka nad pokaźną częścią zbiorów stawała się stopniowo zadaniem Lianne, gdyż wzrok Wena wciąż się pogarszał. Poprzedniego dnia, gdy zabierała ze skarbca jadeity wybrane na ekspozycję, odnosiła wrażenie, że niczego nie brakuje.

Nie sprawdzała jednak wszystkiego dokładnie. Nie było zresztą takiej potrzeby. Przeglądów dokonywano rzadko i to wyłącznie wtedy, gdy jadeity wypożyczano na różne wystawy. Ich kolekcję trzymano za stalowymi drzwiami, wyposażonymi w skomplikowaną kombinację zamków. Jadeit stanowił znaczącą część osobistego majątku Wena Co więcej, cała rodzina Tangów szczyciła się swymi zbiorami i bardzo je kochała.

Zatem jedynym wytłumaczeniem obecności ostrza na wystawie mogła być pomyłka. Innymi słowy - pamięć, wykształcenie, umiejętności i talent zawiodły ją całkowicie.

Takie wyjaśnienie trochę pocieszało Lianne, mimo iż wciąż przyjmowała je do wiadomości z ogromną trudnością. Jedynym sposobem, by zyskać pewność, było kupienie ostrza, zanieśenie go do skarbca i sprawdzenie, czy w kolekcji Wenów istnieje jego duplikat. Jeśli nie... Cóż, to nasunęłyby następne pytania. Z kolei

odpowiedzi na nie mogłyby się okazać równie niepokojące, jak strach w oczach Johnny'ego Tanga.

Kyle dostrzegł rosnące napięcie swojej towarzyszki. Lianne zacisnęła palce na pasku torebki tak mocno, że aż pobieleły jej kłykcie. Nie rozumiał, dlaczego to ostrze tyle dla niej znaczy, a tym bardziej nie potrafił pojąć, z jakiego powodu przedmiot z epoki neolitu doprowadzają do takiego stanu zdenerwowania.

Bez wątpienia Lianne wiedziała o ostrzu znacznie więcej, niż mu wyjawiała. Wszystko jednak było jeszcze przed Kyle'em. Musiał tylko zdobyć zaufanie dziewczyny. Z tego co mówiła o rodzinie Tangów, wynikało, że Lianne może polegać wyłącznie na sobie. Wydawała się całkowicie bezbronna.

I dlatego stanowiła łatwy łup.

A dzięki temu zadanie Kyle'a stawało się znacznie łatwiejsze.

„Chcesz, żebym uwiódł nieślubną córkę pewnej Amerykanki i kupca z Hongkongu wyłącznie po to, by sprawdzić, czy ta dziewczyna ma coś wspólnego ze sprzedażą skarbów kultury wykradzionych z Chin?”

Niestety, im dłużej wdychał konwaliowo-deszczową woń, tym większą miał ochotę na uwiedzenie Lianne. By zaspokoić swój głód, pozostało mu jedynie prosić sumienie o krótki urlop. Gdyby przypominał sobie częściej, że to ona rozpoczęła grę, nie uważałby siebie za łajdaka wykorzystującego niewinną dziewczynę.

- Uspokój się - powiedział. - Przecież ten twój klient na pewno wyznaczył ci jakiś limit. Jeśli cena go przekroczy, nie będzie miał do ciebie pretensji.

- Muszę się zapisać na aukcję. A ty?

- Ja też. Nie planowałem udziału w licytacji, dopóki nie zobaczyłem tego ostrza.

Lianne wygięła usta w żalony łuk, co było odbiciem zimnej pewności, powodującej ucisk w żołądku. Nie mogła nawet porównywać swoich finansów z zasobami pieniężnymi Kyle'a.

6

Podczas przerwy między drugą i trzecią sesją aukcji salę wypełniały szepty ludzi, śliskie szelesty jedwabnych sukien i zapachy perfum. Widzowie siedzieli oddzielnie od licytujących i obserwowali rozwój wydarzeń. Niedoświadczeni kupujący pootwierali

podniszczone katalogi na stronach odpowiednich dla danego obiektu. Na łopatkach z kremowego pergaminu, które ściskali w rękach, widniały wyraźne stylizowane numerki.

Starzy bywalcy aukcji byli bardziej swobodni albo przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Katalogów nawet nie otworzyli, numerki trzymali niedbale. Wiedzieli przecież, do jakiej sumy będą licytować i gdzie przebiega granica między zyskiem a chęcią posiadania, granica, której nie wolno przekroczyć. Gorączka aukcyjna ogarniała jedynie żółtodziobów.

Czy to z powodu aukcji, czy też wzrastającego zainteresowania dla sztuki azjatyckiej licytowano ostro. Tego wieczoru nie zawarto ani jednej okazyjnej transakcji. Brąz inkrustowany złotem, srebrem lub miedzią przyniósł zysk wysokości stu piętnastu tysięcy dolarów. Ogromną, bardzo piękną misę z epoki Ming sprzedano za ponad siedemset tysięcy dolarów.

Gdy gong ogłosił rozpoczęcie trzeciej sesji, po sali rozszedł się odgłos westchnień. W jaskrawym świetle zalsniły przewracane z szelestem strony katalogów. Podobnie jak licytacja brązów i porcelany ta również miała burzliwy przebieg.

Siedząca na przodzie Lianne denerwowała się coraz bardziej, w miarę jak prezentowano, licytowano i sprzedawano kolejne jadeitowe okazy. Przedmiot, który Wen postanowił oddać na cele dobroczynne - zwyczajna figurka starca z laską pochodząca z czasów dynastii Cin - osiągnął zawrotną cenę siedmiu tysięcy dolarów. Bransoletki z okresu dynastii Shang sprzedano po sześć tysięcy za sztukę; klamrę oddano za pięć tysięcy.

Nadeszła kolej na ostrze z epoki neolitu.

Modląc się w duchu, by cena nie przekroczyła czterech tysięcy (a najlepiej dwóch i pół tysiąca), Lianne rozsiadła się wygodnie i próbowała wyczuć intencje licytujących.

Cena wywoławcza wynosiła tysiąc dolarów. Od razu podniosły się trzy numerki. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że nie należą one do poważnych kupców, gdyż tacy - podobnie jak ona - próbowali najpierw rozgryźć konkurencję; tabliczki zastępowały km na razie jedynie wachlarze.

- Tysiąc pięćset - oznajmił licytator, taksując wzrokiem tłum. W górę natychmiast poszły dwa numerki, zaraz potem trzeci. Ten ostatni należał do Charlesa Singera, właściciela wspaniałego sklepu z jadeitami w centrum Seattle.

- Dwa tysiące.

Singer uniósł tabliczkę, jego dwaj konkurenci również.

- Dwa i pół tysiąca.

I znowu Singer machnął tabliczką.

- Trzy tysiące. Nikt się nie kwapił.

- No dalej, panowie i panie- kusił licytator. - To wspaniały okaz sztuki z epoki neolitu. Kamień lśni tajemnicą, nieśmiertelnością i sześcioma tysiącami lat zagadek. Dla wytrawnego kolekcjonera jest chyba wart pięćdziesiąt centów rocznie?

Zebrani się roześmieli. Singer uniósł numerkę gestem człowieka, który doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że przepłaca, ale ponieważ cel jest szczytny, stać go na takie poświęcenie.

- Mamy trzy tysiące dolarów. Może ktoś zaproponuje trzy tysiące trzysta?

Tabliczka Singera pozostała na kolanach właściciela. Kyle i Lianne w tym samym momencie unieśli swoje tabliczki. To samo uczynił mężczyzna siedzący na końcu sekcji dla licytujących.

- Wspaniale - zamruczał licytator. - Wiedziałem, że moim gościom nie zabraknie odwagi.

Kiedy cena wzrosła do trzech tysięcy dziewięćset, zebrani buchnęli śmiechem. Singer i mężczyzna z tyłu dodali jeszcze sto a potem Singer odpadł. Pozostał jedynie anonimowy kupiec, którego Lianne z dużej odległości nie widziała.

- Cztery i pół tysiąca. Mamy cztery i pół tysiąca. Kto da cztery sześćset?

Lianne uniosła tabliczkę. Nie bardzo mogła sobie pozwolić na cztery sześćset... no może, gdyby przez cały miesiąc jadła owsiankę samochód przestał spalać benzynę, a rajstopy nie puszczały oczek...

- Cztery sześćset Cztery sześćset, czy... Dziękuję, numerze sto sześć. Nie brak ci cywilnej odwagi. Mamy cztery sześćset... Czy zobaczymy cztery siedemset?

Kyle popatrzył na Lianne po raz pierwszy, odkąd zaczęto licytować ostrze. Pod maską jej zawodowego spokoju kryła się jednak absolutna desperacja.

- Cztery sześćset po raz trzeci. Następna cena to cztery siedemset, panie i panowie!

W niemym pytaniu Kyle dotknął ręki Lianne, która odłożyła tymczasem numerek na kolana. Dla niej licytacja już się skończyła. Powinna była zrezygnować przy czterech tysiącach.

- Po raz...

Kyle uniósł energicznie tabliczkę.

- Dziękuję, numerze sto dziesięć. Mamy cztery tysiące siedemset. Cztery tysiące siedemset czeka na cztery osiemset. Kto da cztery osiemset?! - wołał licytator, patrząc wyraźnie w stronę siedzących w końcu sekcji. - Cztery osiemset, dziękuję, czekam na cztery dziewięćset!

- Pięć dziewięćset - powiedział Kyle.

- Pięć dziewięćset! Czy ja dobrze słyszę? Pięć dziewięćset za ostrze z epoki neolitu?!

Kyle uniósł numerek na znak potwierdzenia. Zapadła cisza, a potem kilka osób w różnych kątach sali zaczęło bić brawo. Choć cena nie osiągnęła tak wysokiego pułapu, jak przy licytowaniu innych przedmiotów, to teraz gra okazała się bardziej zacięta i bardziej zajmująca.

Gdy zabrzmiał gong oznajmiający zakończenie licytacji, Lianne przymknęła oczy i rozważała, co zrobi, jeśli, zaglądając do skarbca Wena, odkryje, że nie ma tam ostrza z epoki neolitu.

Wen by go nie sprzedał. Im dłużej o tym myślała, tym nabierała większej pewności. Wen ubóstwiał ten niezwykły, wyjątkowy okaz, choć posiadał wiele cenniejszych przedmiotów. Gdyby nawet ogromnie potrzebował gotówki, mógł sprzedać co innego lub wymyślić mniej bolesny sposób zdobycia pieniędzy.

Przeszedł ją zimny dreszcz, dreszcz towarzyszący przekonaniu, iż ostrze stanowiące teraz własność Kyle'a zostało skradzione Wen Zhi Tangowi.

- Dziękuję - powiedział licytator. - Zanim przejdziemy do ostatniego punktu programu, czyli sprzedaży cennych i ważnych klejnotów wybrzeży Pacyfiku, mamy dla państwa wyjątkowo łakomy kąsek. Pan Richard Farmer, którego misę podziwialiśmy w atrium zgodził się łaskawie udostępnić publiczności wspaniałe, całkiem dosłownie cesarskie okazy, które zamierza wystawić w swym nowym, jeszcze

nie otwartym Muzeum Azjatyckiego Jadeitu. Ogarnia mnie pokusa, by nadać panu Farmerowi tytuł nowego Cesarza Jadeitu. Proszę, powitajmy Richarda Farmera, międzynarodowego businessmana, filantropa, humanistę i wspaniałego znawcę jadeitu!

Na dźwięk słów „Cesarz Jadeitu” Kyle'owi zwięzły się oczy. Zerknął z ukosa na Lianne, aby zobaczyć, jak ona przyjęła tę zapowiedź. Ale dziewczyna nie słyszała. Twarz miała bardzo bladą, oczy przymknięte. Pochylił się więc do jej ucha, by przekrzyczeć wiwaty.

- Lianne? Dobrze się czujesz?

Drgnęła, skinęła głową i otworzyła oczy, próbując udawać zainteresowanie tym, co się wokół niej dzieje.

Publiczność klaskała z prawdziwym entuzjazmem. Gdyby nie firma Richarda Farmera, aukcja w ogóle nie doszłaby do skutku i nie uzyskano by środków na cele charytatywne.

Choć wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że filantropijna działalność Farmera służy mu wyłącznie do osiągnięcia osobistych celów, nikt nie narzekał. Wiele przedsiębiorstw w ogóle nie interesowało się dobroczynnością. Farmer zaś znajdował się właśnie na najlepszej drodze, by przez umowy licencyjne zagarnąć spory kawałek wolnego świata, a kontrolować jeszcze większy, ale to nikomu nie przeszkadzało. Przeciwnie. Mógł nawet oczekiwać większej wdzięczności za swoją filantropię, niezależnie od jej prawdziwego charakteru.

Światła przygasły dramatycznie, a potem znów się zapaliły. W ich blasku ukazał się Dick Farmer: szedł w stronę podium, które opuścił licytator. Małą scenę osłonięto kurtyną, czarny frak Farmera bardzo wyraźnie rysował się na tle czerwonego aksamitu. Farmer był mężczyzną średniego wzrostu, o niezbyt rzucającej się w oczy aparycji; odznaczał się przy tym ogromną pewnością siebie.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję! - powtarzał, podnosząc bezprzewodowy mikrofon i wychodząc z nim na środek sceny niczym piosenkarz rockowy lub prezenter telewizyjny. - Jestem niezmiernie szczęśliwy i wzruszony, że znalazłem się wśród hojnych sponsorów sztuki, zwłaszcza sztuki azjatyckiej.

Kyle poprawił się na niewygodnym siedzeniu. Żałował, że nie wiedział o tym wystąpieniu. Mógł przecież wyjść, zanim Farmer rozpoczął pean pochwalny na swoją cześć. Zwykle tego rodzaju gadaninę rezerwowano na początek lub pod koniec aukcji na cele dobroczynne. Bełkot w antraktach stanowił raczej domenę telewizji publicznej.

Gdyby mu tak bardzo nie zależało na zobaczeniu jadeitów Farmera, po prostu by wstał i wyszedł. Uczyniłby to zresztą również w przypadku, gdyby Farmer bredził jeszcze trzy minuty. Muzeum Jadeitu Azjatyckiego otwierało swe podwoje w następnym tygodniu; mógł zatem równie dobrze wtedy obejrzeć wszystkie eksponaty, me narażając się na wysłuchiwanie napuszonej mowy.

- Zanim pokażę swoje jadeity, chciałbym najpierw wyjaśnić wszystkim zainteresowanym malarstwem i ceramiką, na czym polegało znaczenie jadeitu dla Chin.

Kyle'owi udało się stłumić głośny jęk.

- Podobnie jak innym kamieniom szlachetnym lub półszlachetnym, jadeitowi przypisywano własności szczególne, nawet duchowe - wykladał Farmer. - Już od zarania cywilizacji chińskiej jadeit uosabiał najróżniejsze cnoty uchodzące dziś za chrześcijańskie: lojalność, skromność, mądrość, sprawiedliwość, prawość i oczywiście miłosierdzie.

Publiczność zareagowała pomrukiem zadowolenia.

Kyle'owi zrobiło się niedobrze z obrzydzenia. Farmer nie miał nic wspólnego z wymienionymi przez siebie cnotami. Po pierwsze, drugie i ostatnie był człowiekiem interesu. Niezawodnie wyczuwał koniunkturę rynkową. Inwestował jedynie wówczas, gdy mógł za marne pieniądze kupić ziemię i pracowników, by sprzedawać później za krocie. Rządy różnych krajów psioczyły na tego rodzaju transakcje, ale wciągały Farmera do interesów, ilekroć nadarzała się ku temu okazja. Potrafił bowiem stworzyć coś z niczego.

Kyle podziwiał geniusz handlowy i wręcz kuglarski instynkt tego człowieka. Nie darzył natomiast szczególną estymą jego wysiłków, by stać się w oczach świata symbolem miłosierdzia, dobrym, sprawiedliwym panem.

- Oczywiście, kiedy nadchodził czas pogrzebu, jadeit stawał się jednym z najważniejszych przedmiotów wkładanych zmarłym do grobu - ciągnął Farmer. -

Uważano, że ten niezniszczalny kamień zapobiega rozkładowi ciała ludzkiego, toteż w pewien szczególny sposób gwarantuje nieśmiertelność. Przed dziewięcioma tysiącami lat zmarli spoczywali w grobach z jadeitami włożonymi w dziewięć otworów ciała. Z czasem ludzie doszli do wniosku, że skoro dziewięć, to dlaczego nie sto? A najlepiej tysiąc. Dlatego szatę pogrzebową zszywano złotą nicią z kawałków jadeitu. Szaty te wyglądały podobnie do znacznie późniejszych, średniowiecznych zbroi wykonanych w całości z tego drogiego kamienia. Od hełmu po bryle.

Kyle przestał się kręcić i zaczął słuchać. Naprawdę słuchać. I nie on jeden. Publiczność zamarła w bezruchu, a Farmer przemierzał scenę wciągając zebranych w opowieść, w tworzoną naprędce wizję starożytności.

- Oto w czym chowano cesarzy z dynastii Han - mówił dalej Farmer. - W szatach z czystego jadeitu - Kamienia Niebios sprowadzonego na ziemię z myślą o człowieku. To wszystko działo się w czasach, gdy ukształtowanie i przedziurawienie jednej płytki zabierało artyście wiele miesięcy. A szaty pogrzebowe składały się przecież z tysięcy takich kawałków. Rozrzutny styl życia Chińczyków oraz ich wyjątkowe umiłowanie piękna to fakty ogólnie znane. Niewiele mówi się jednak o tym, że książęta i ludzie dworu żyli, a także umierali, w sposób, jakiego mogliby im pozazdrościć nawet faraonowie egipscy. Takim typowym przykładem są książęta z dynastii Han. Ich groby wypełniono po brzegi największymi i najwspanialszymi okazami ówczesnej sztuki. Proszę to sobie wyobrazić: twórczość całego państwa służyła upiększeniu królewskich grobów. Najwspanialsze dzieła tamtej cywilizacji pogrzebane na zawsze. - Dozując napięcie, przerwał na chwilę. - No może nie na zawsze. Wiele grobów okradziono, nim wystygły zwłoki. Imponującą zawartość krypt wyniesiono na światło dzienne i sprzedano bogatym koneserom. Ale niektórych grobów, konkretnie: kilku wyjątkowych grobowców nie tknęło przez setki, tysiące lat. Jednym z nich jest - lub nim był - ten, którego zważają grobem Cesarza Jadeitu.

Tłum się poruszył, jakby wszyscy usiłowali zbliżyć się do podium. Kyle i Lianne niczym się pod tym względem nie różnili; wychyleni do przodu, zamienili się w słuch, nie chcąc uronić ani słowa.

- Cesarz Jadeitu był księciem dynastii Ming. Całe swe życie poświęcił na zbieranie tylko jednej jedynej rzeczy - jadeitu. Mając dużo czasu, nieograniczoną władzę i bystre

oko prawdziwego konesera, kolekcjonował najlepsze okazy, jakie mogły wówczas zaoferować Chiny. Gdy umarł, wszystkie jego skarby włożono do grobu. Oczywiście mogłem tu przynieść zaledwie kilka przedmiotów, jakie udało mi się zgromadzić w swoich zbiorach. Więcej eksponatów zaprezentuję szerokiej publiczności po otwarciu muzeum. Teraz, panie i panowie, pokażę wam coś, co należało do Cesarza Jadeitu.

Rozsunęła się aksamitna kurtyna. Na scenie pojawiła się - oświetlona pionowym słupem - jedna jedyna, samotna szata pogrzebowa lśniąca różnymi odcieniami zieleń.

Lianne poczuła, że wbija paznokcie w dłoń Kyle'a, a on ściska jej palce. Nie zwracała na to jednak uwagi. Musiała się trzymać czegoś stabilnego, ciepłego, silnego, czegoś, co mogłoby przezwyciężyć przyprawiający ją o mdłości strach.

Wiedziała o tylko jednej szacie pogrzebowej będącej w prywatnych rękach, a ta szata znajdowała się w piwnicy Wen Zgi Tanga.

Lub znajdowała się tam kiedyś - podobnie jak ostrze z epoki neolitu.

I choć Lianne usiłowała sobie wmówić, że szata pogrzebowa, na którą patrzy, nie może należeć do Wena, czuła, że musi ją dokładnie obejrzeć, by wzbierający w niej strach nic przerodził się w koszmarną pewność.

Tę pewność, jaką stawał się teraz.

Nawet z odległości kilku metrów szata wyglądała identycznie z tą, którą posiadał Wen. Wydawało się, że powstała z kawałków jadeitu cesarskiego, nie zaś delikatniejszego serpentynu. Ciemniejsza u góry, przechodząca w kremową zieleń w okolicach torsu i głęboki odcień mchu w okolicy stóp. Zewsząd wzywały złote nici, widoczne zwłaszcza w częściach zakrywających twarz i tors. W tych miejscach nie była gruba, staranne serie krzyżyków przecinały i wyróżniały każdy z jadeitowych kawałków.

Lianne nieświadomie podniosła się z miejsca i wychyliła w stronę podium. Nie ona jedna zresztą. Wszyscy wyskakiwali z foteli niczym korki od szampana. Nastąpiło krótkie zamieszanie, a następnie zbiorowa szarża na scenę.

Lianne nie zwracała uwagi na tumult. Wpatrywała się we wzory jadeitu i złota. Z miejsca, w którym stała, wydawały jej się takie same, jakie widziała w szacie należącej do Wena.

Powietrze stało się nagle zbyt gęste, by mogła nim oddychać przez zaciśnięte gardło. Zastanawiała się, co byłoby gorsze: czy gdyby się myliła, czy też gdyby miała rację.

- Przepuść mnie! - zażądała, gdy nie udało się jej wyminąć Kyle'a. - Muszę to zobaczyć z bliska!

- Jak wszyscy miłośnicy jadeitu. Sam chętnie bym to zobaczył. Ale spóźniliśmy się, popatrz na ten tłum.

- Nic nie rozumiesz. Muszę zbadać tę szatę. Odsuń się!

Spojrzał na nią z ukosa. Miała bladą, napiętą twarz, drżała na całym ciele i wbijała mu paznokcie w dłonie. Rozpychając się łokciami, usiłowała utorować sobie drogę w ciżbie napierającej na podium.

- Dlaczego? - spytał. Lianne potrząsnęła głową.

- Przepuść mnie!

- Trzymaj się blisko, zrobię ci przejście.

- Panie i panowie! - powiedział głośno Farmer. - Usiądźcie, proszę. Szata zostanie wystawiona w dniu otwarcia muzeum i będzie stała częścią ekspozycji. Każdy, kto sobie tego życzy, na pewno zdąży ją zobaczyć.

Część ludzi przystanęła, reszta szła dalej. Tuż obok Farmera pojawili się ubrani w smokingi strażnicy o surowych twarzach.

Ciągnąc za sobą Lianne, Kyle ruszył w stronę podium. Nie zważał na przekleństwa i oburzone spojrzenia ludzi, którzy stanęli mu na drodze. A potem zobaczył, jak strażnicy tworzą krąg wokół Farmera, który krzyczał do nich wściekle, by chronili nie jego, ale szatę, i zrozumiał, że za chwilę nikt już nie zdoła się przedrzeć na scenę.

- Zemdlej! - powiedział cicho.

- Co takiego?

- Jeśli chcesz się zbliżyć do tej szaty, zemdlej! Lianne osunęła się na podłogę.

Kyle chwycił ją na rękę, podniósł i zaczął przepychać się przez tłum.

- Z drogi! - wołał. - Ona potrzebuje powietrza! Zróbcie przejście: Szybko przedostał się na podium, które było jedynym nie zatłoczonym miejscem w sali. Strażnicy ruszyli natychmiast w jego stronę, ale na widok Lianne zawrócili, by pilnować tych, którzy trzymali się jeszcze na nogach. Tuż za plecami Kyle'a opadła kurtyna, zaplatając

najzagorzalszych zwolenników jadeitu w delikatne fałdy i znacznie mniej delikatne ręce ochroniarzy.

- Trzymaj się z dala od szaty! - prychnął strażnik.

- Mam gdzieś szatę. Ta dziewczyna potrzebuje powietrza! Zanim strażnik zdecydował, czy ruszyć za Kyle'em, czy zostawić

go w spokoju, spod kurtyny wychynał nagle Chińczyk z kontynentu. Strażnik skupił się na wymianie międzykulturowej, a Kyle stanął niepostrzeżenie za piedestałem wielkości trumny, na którym leżała szata.

- Obudź się, śpiąca królowo - szepnął do ucha Lianne. — Masz trzydzieści sekund. Potem zobaczy nas strażnik i po kolejnych dziesięciu wyrzuci na zbity pysk.

Lianne nie potrzebowała drugiego zaproszenia. Szybko przekreśliła się w ramionach Kyle'a twarzą do szaty.

Piedestał znajdował się zaledwie niecały metr od nich. padało na niego silne światło reflektora, przypominające ogromny biały słup. Złote nitki lśniły jak żywe, ale żywa była tylko Lianne wyrywająca się do jadeitu z niecierpliwością wprawiającą ją w drżenie.

- Hej! Co wy wyrabiacie?! - wrzasnął strażnik.

- Nie denerwuj się - odparł Kyle. - Tylko tutaj można swobodnie oddychać.

- Zabierz ją na zewnątrz! - rozkazał krótko ochroniarz, biegnąc przez scenę. - No, ruszaj się!

- Już po nas - mruknął Kyle, kierując się do wyjścia.

Ale Lianne nie narzekała. Widziała już dość. Nawet za wiele. Przepiękny eksponat Farmera niewątpliwie należał niegdyś do Wena Zhi tanga.

Ta pewność ją poraziła.

I dlatego dopiero po dłuższej chwili pojęła, że Kyle nadal trzyma ją na rękach.

- Postaw mnie!

- Za chwilę.

- Ale dokąd idziemy?

- Na zewnątrz.

- Dlaczego? Strażnik wciąż nas goni?

- Nie, ale chcę sprawdzić, czy przypadkiem nie grozi nam inne towarzystwo. Masz coś przeciwko temu?

Nawet gdyby Lianne miała istotnie jakieś obiekcje, nie zdołałaby ich wyartykułować. Kyle ją postawił i przepchnął przez otwarte drzwi tak szybko, że prawie nie dotknęła stopami podłogi. A potem pociągnął dalej, dopóki nie znaleźli się za jasno oświetlonym budynkiem w końcu alejki. Skryli się w ciemnym pasażu, prowadzącym do podziemnego garażu hotelowego.

Kyle zatrzymał się w pół kroku, tuląc nieruchomą Lianne do piersi.

Ponad jej głową widział pustą alejkę, z której przed chwilą wyszli.

- Co ty... - zaczęła.

- Nie ruszaj się! - szepnął.

Czekała spokojnie, dygocząc z zimna i próbując odnaleźć w oczach Kyle'a jakiegokolwiek potwierdzenie jego przypuszczeń, że są śledzeni. Na zaciętej twarzy mężczyzny wyciosanej z cienia i lodu dostrzegła jednak tylko słaby blask księżycowej poświaty. Kyle wyglądał jak okrutny barbarzyńca, dawny wiking, wilk przebrany za cywilizowaną owieczkę.

Jakaś część umysłu dziewczyny, nie sparaliżowana odkryciem szaty, mówiła jej, że chyba postradała zmysły, ufając Kyle'owi.

A więc Lianne oszalała i kropka. Musiała zwariować, skoro wierzyła, że Wen rozstał się z sercem swych zbiorów - jadesitową szatą pogrzebową, jedynym takim okazem na świecie znajdującym się w prywatnych rękach.

- Nie martw się tak - powiedział ledwo słyszalnie Kyle. - Nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił ci krzywdę.

Lianne omal się nie roześmiała.

Nie martw się, dobre sobie!

Na razie mogła jedynie zepchnąć Wena i skradzione jadeity w jakiś najdalszy zakątek umysłu. Postanowiła zająć się nimi później, gdy się uspokoi i dowie czegoś więcej.

Uciekając się do tych starych, wypróbowanych sposobów radzenia sobie z kłopotami, rozluźniła ciało. Nauczyła się panować nad umysłem już jako dziewczynka, gdy bardzo cierpiała z powodu braku akceptacji ze strony ojca. Dzięki

tej umiejętności mogła zawsze sprostać potrzebom chwili. Udoskonaliła tę zdolność i zyskała szacunek do siebie samej dzięki ćwiczeniom karate, wymagającym kontroli zarówno psychicznej, jak fizycznej.

Ale nawet lata treningu nie uchroniły Lianne przed dreszczem, jaki wstrząsnął jej ciałem kilka minut później. Usiłowała wprawdzie wmówić w siebie, że to tylko wiatr lub resztki niepokoju, lecz tak naprawdę wiedziała doskonale, co się dzieje: palce Kyle'a wędrowały wolniutko wzdłuż jej kręgosłupa.

Ilekróć jego dłoń trafiała na wgłębienie lub wznórek, zatrzymywała się na chwilę, jakby pragnęła zapamiętać to miejsce.

- Zimno ci? - spytał.

- A spróbuj tak tu postać w jedwabnej bieliźnie—powiedziała cicho. - Oczywiście, że jest mi zimno.

- W bieliźnie? Nie... - Zamierzał powiedzieć, że wyczuł jedynie cienką warstwę jedwabiu i drugą, gorącą, warstwę ciała kobiety, ale wątpił, czy Lianne ucieszyłoby takie wyznanie. - Przykro mi, nie myślałem o temperaturze. Zaraz wejdziemy z powrotem do środka. On jednak chyba nie połknął przynęty.

- Może po prostu nikt taki nie istnieje? Może najpierw ja uległam złudzeniu, a teraz ty coś wymyślasz?

- Może - odparł Kyle, ale jego czujne spojrzenie mówiło zgoła co innego.

- Dlaczego jesteś taki pewien, że nie ponosi nas po prostu fantazja? - spytała Lianne równie cicho.

- Żołądek.

- Żołądek?

- Tak. Mam kurcze żołądka.

- Brałeś krople?

Zaśmiał się cicho, kręcąc głową, i zamarł w bezruchu.

- Co...? - Nie mogła dokończyć pytania, gdyż Kyle szarpnął tak mocno, że przyłgnęła ustami do czarnej tkaniny smokingu.

- Cicho! - szepnął.

W całkowitym bezruchu patrzył na postać, która wyłoniła się z bocznych drzwi i usunęła natychmiast w lewo. Mężczyzna średniego wzrostu. W czarnym smokingu. Jak leżał na nim ten smoking, nie zdołał ocenić.

Zamigotało jakieś światełko i znikło równie szybko, jak się pojawiło. Nieznajomy osłonił zapalną w taki sposób, że w okolicy jego szczęki Kyle dostrzegł jedynie czerwoną poświatę. Żadnej brody ani wąsów. Gdy mężczyzna wciągnął dym do płuc, żar papierosa przybrał złocistą barwę. Palacz sztachnął się jeszcze kilkakrotnie, rzucił peta w krzaki i wrócił do środka.

Kyle odczekał chwilę, dopóki nie nabrał pewności, że niewolnik nikotyny już się nie pojawi.

- W porządku - powiedział cicho, wypuszczając Lianne z objęć. -Idziemy z powrotem, bo zamarzniesz na śmierć.

- Raczej się uduszę.

- Co takiego?

- Nie zdążyłabym zamarznąć, bo wcześniej bym się udusiła. Wiesz, jak smakuje smoking?

- Nie - uśmiechnął się. Miał wielką ochotę przesunąć dłonią po plecach Lianne i zatrzymać się dopiero na jej szczupłej, kuszącej pupci. - Jadam wyłącznie garnitury - wyjaśnił, wyprowadzając ją znowu na oświetloną ścieżkę.

- Czy on próbował nas śledzić? - spytała, nie zwracając uwagi na kpiący ton Kyle'a.

- Trudno powiedzieć. Mógł wyskoczyć na zewnątrz, żeby zobaczyć, dokąd idziemy, albo to nałogowiec, który musiał zapalić.

- W takim razie wracamy do punktu wyjścia.

_ Nie całkiem. Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego kupiłem to ostrze za tak zawrotną cenę.

- Ogarnęła cię gorączka aukcyjna.

- Kolejny strzał.

- Bo jesteś ignorantem w tej dziedzinie. Zacisnął mocniej rękę na jej ramieniu.

- Zgaduj jeszcze raz.

- Nie potrafię czytać w myślach.

- Nawet we własnych myślach? To przecież tobie zależało na tym ostrzu!
Dlaczego?

Jedyną odpowiedzią, na jaką potrafiła się zdobyć, było wymowne uniesienie podbródka. Nie mogła wykrztusić słowa.

Kyle ruszył do głównego wejścia tak szybkim krokiem, że Lianne musiała dobrze wyciągać nogi, aby za nim nadążyć.

- Rozumiem, dlaczego byłaś gotowa na wszystko, byleby tylko zobaczyć tę szatę, ale nie pojmuję zupełnie, z jakiego powodu tak wysoko sobie cenisz to ostrze.

- I co z tego?

- Chcesz mi w ten sposób dać do zrozumienia, że to nieważne?

- Nie, jedynie tyle, że to nie twoja sprawa. Zatrzymał ją tuż przed wejściem do hotelu.

- Czy ostrze z epoki neolitu łączy się jakoś z człowiekiem, który cię śledził?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo dziś wieczorem przestraszyłaś się trzykrotnie: najpierw na widok tego faceta, potem na widok ostrza.

Nie musiała go pytać o trzeci raz.

-Tu nie ma żadnego związku - odparła pospiesznie, nie chcąc w żadnym wypadku sprowadzać rozmowy na temat szaty.

- Skąd wiesz?

- Ostrze to sprawa Tangów. Mężczyzna jest biały. Jakie tu widzisz powiązanie?

- Jesteś jeszcze ty.

Odpowiedzią Lianne było milczenie.

Poczuł charakterystyczne skurcze żołądka. Nie wiedział o właściwie chodzi, ale był pewien, że coś jest nie tak. A jego następną myślą było to, że mimo smokingu nie przygotował się odpowiednio na te okazje. Kieszeń pod pachą była pusta.

Bez słowa chwycił Lianne za rękę i ruszył do auta.

Manewrując zręcznie między samochodami, Kyle oglądał w lusterkach korki na ulicach Seattle. Nie było tu tak tłoczno jak w Los Angeles czy Vancouver, ale wystarczył remont jednego pasa na First Avenue, by utworzył się zator długi na sześć przecznic. Zerknął ponownie do lusterka i mimo zakazu skręcił gwałtownie w lewo,

przejechał przez częściowo tylko zastawiony autami parking, ruszył pod prąd wąską jednokierunkową alejką i wydostał się wreszcie na boczną uliczkę. Nikt go nie śledził.

Humor psuło mu przeczucie, że to cisza przed burzą. A burza byłaby naprawdę straszna, gdyby się okazało, że Archer mówił prawdę „Chińczycy grożą, że zerwą kontakty ze Stanami, jeśli skarb Cesarza Jadeitu pojawi się na naszym terytorium”.

Nie wiedział, na czym polega rola Lianne w tej całej sprawie, lecz był pewien, że dziewczyna jest w nią uwikłana. To nie czysto zawodowa ciekawość, ale desperacja kazała jej obejrzeć szatę pogrzebową.

- A ja myślałam, że Johnny jest bardzo złym kierowcą - wymamrotała Lianne, gdy Kyle znów złamał zakaz skrętu i wystrzelił w kolejną alejkę.

- Co to znaczy? Samochód cały, bez najmniejszego zadrapania, mandatu też nie dostaliśmy, a przed nami pusta droga,

- I z tyłu nie widzisz żadnych migających świateł? Nie słyszysz syren? Niczego takiego nie zauważyłeś?

- Absolutnie nie!

Wypuściła powietrze i usadowiła się wygodniej w skórzanym fotelu pasażera.

- Szczęściarz! Dokąd jedziemy? A może krążysz w kółko, bo chcesz mi podnieść poziom adrenaliny?

Kyle nie odpowiedział. Wolał sam zapytać.

- Gdzie się odbywa przyjęcie Tangów?

- W hotelu, który właśnie opuściliśmy. Tangowie wynajęli na ten cel apartament pod dachem.

- W tym samym hotelu, powiadasz? I mam znów wystąpić w tym małym stroju?

- To zależy od ciebie.

Kyle'owi było zupełnie wszystko jedno. Na przyjęciu mógł się równie dobrze zaprezentować w spodniach od dresu, jak i w smokingu, ale zmiana ubrania stanowiła najlepszy pretekst, by wrócić do pokoju. A już najlepiej do pokoju Archera. Starszy brat miał na pewno w sejfie dziewięć milimetrów i ze dwa zapasowe magazynki.

Nie chciał ulegać przeczuciom, ale nie mógł zignorować ostrzeżenia. Ostatnim razem, gdy usiłował sobie wmówić, że - niczym przedszkolak w Halloween - boi się

wyłącznie własnego cienia, tylko jedno uderzenie dzieliło go od śmierci. Jego własne. Napastnik wyleciał głową naprzód z szoferki i wylądował w błocie na poboczu.

- Zobaczę, co mam w szafie - powiedział Kyle.

- Tylko niczym się nie krępuj. Dosłownie.

Popatrzył na Lianne. Nie była już taka blada i spięta jak w hotelu. Wyglądała spokojnie, jakby w ogóle się nie denerwowała. Jakby wszystko sobie jedynie wyobraził. Zanim jednak w to uwierzy, to znów go ostrzegła, że rozumuje jak głupiec.

Cokolwiek by się działo, Lianne tkwiła w tym całym bagnie po uszy. Bardzo ładne uszy.

Kyle wjechał na parking luksusowej posiadłości. Wszystkie trzy budynki miały po dwadzieścia pięter, a ich okna wychodziły na nabrzeże. Domy stanowiły własność Donovan International.

- To twoje? - spytała Lianne.

- Mojej rodziny. Korzystają z nich ci Donovanowie, którzy akurat są w mieście.

- To miłe.

- Wolę swój domek - odparł Kyle. - Ale ja jestem tutaj, a domek nie.

- Gdzie on się w takim razie znajduje?

- Na wyspach San Juan.

Ze skrytki wyjął niewielkie urządzenie elektroniczne.

- To pilot do bramy? - spytała Lianne.

- Coś w tym rodzaju.

- Wygląda jak pilot do telewizora.

- Taką funkcję również pełni.

Gadżet, za pomocą którego Kyle wjechał na parking, najpierw służył jako pilot do bramy garażu podmiejskiego domku. Potem Kyle doszedł do wniosku, że mały ebonitowy prostokąt okazałby się z pewnością bardziej przydatny, gdyby nie tylko otwierał drzwi, lecz informował jeszcze, czy pod jego nieobecność nie złożyli mu wizyty nieproszeni goście. Powstało więc urządzenie, które było zarazem pagerem, pilotem do drzwi, pilotem do telewizora i wspaniałym maleńkim chipem komputerowym, mogącym pomieścić jednocześnie podręcznik chemii organicznej i pełną wersję słownika oxfordzkiego.

Ten wynalazek Archer nazwał mikrokapusiem i natychmiast zamówił podobny dla siebie. Jeśli pamiętali o wymianie baterii, mikrokapuś nigdy ich nie zawodził.

Drzwi do garażu otworzyły się automatycznie i uniesione czekały tak długo, aż zgniłozielone BMW wjechało do środka. Kyle zerknął w okienko kapusia i zobaczył uspokajający szereg zer. Nikt nieproszony ich nie odwiedzał. Drzwi były dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawił. Zamknięte.

- Czy to jakiś nowoczesny alarm? - spytała Lianne, gdy Kyle odłożył kapusia.
- Tylko takie urządzenie. Musiałem je wymyślić, bo straszny ze mnie leń.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Do tej pory nie zaobserwowała niczego, co by wskazywało, że Kyle jest leniem.

- To prawda - potwierdził z uśmiechem, wyłączwszy silnik- -Dopóki sytuacja mnie nie zmusza, nie chce mi się nawet kiwnąć palcem w bucie. No, chyba że chodzi o ryby. Byłaś kiedyś na rybach? -spytał, zmieniając temat.

- Podczas sezonu na łososie. Na prawdziwym kutrze.
- Super! I jak?
- Jednego udało mi się złowić - odparła z błyszczącymi oczyma. -Nawet te małe są strasznie silne!
- A ten twój był mały?
- Ważył trzy kilo.
- Rzeczywiście, niewielki - zgodził się Kyle.
- Ale jaki pyszny! - zapewniła. - Soczysty jak krab - dodała, oblizując wargi. -I miał taki żywo czerwony kolor.

Kyle wysiadł z samochodu. Nie pozostało mu zresztą nic innego. Chyba żeby zdecydował się skorzystać z nieświadomego zaproszenia Lianne, kryjącego się w tym kuszącym wysunięciu języka.

Oparł się o drzwiczki, zajrzał do auta i popatrzył na nią uważnie. Nie podciągnęła spódnicy do połowy uda, nie bawiła się koralami opadającymi na piersi. Jeśli rzeczywiście wysyłała jakieś sygnały seksualne, to postępowała znacznie subtelniej niż inne znane mu kobiety.

A po czyścucu cementowo-silnikowego smrodu zapach Lianne wydał mu się iście niebiański.

- Możesz iść ze mną na górę - powiedział Kyle - ale jeśli to budzi twój niepokój, zostań. Jak chcesz. Ja i tak zaraz wracam.

Lianne spojrzała mu prosto w oczy,

- Gdybyś był jakimś zboczeńcem, próbowałbyś czegoś, kiedy „zemdlałam” albo przy okazji zabawy w chowanego przed hotelem.

- Ale to mi chodziło po głowie - odparł z uśmiechem.

- Potem czy przedtem, jak już policzyłeś wszystkie kręgi w moim kręgosłupie?

Śmiech Kyle'a rozniósł się echem po całym parkingu. Donovan pomyślał, że Lianne z pewnością przypadłaby do gustu jego wygadanyim siostram. Braciom również, ale ta myśl dziwnie nie sprawiła mu przyjemności - wszyscy Donovanowie byli bardzo przystojni.

Obszedł auto akurat w samą porę, by przynajmniej zamknąć drzwi, bo nie zdążył ich przed nią otworzyć, sama o to zadbała.

- Tędy - powiedział, kładąc jej delikatnie rękę na plecach. Mięka wełna płaszczka nie mogła się jednak równać z gładkim jedwabiem, przez który przebijał żar kobiecego ciała. W poszukiwaniu utraconego ciepła nieświadomie przycisnął dłoń do jej pleców.

- Znowu liczysz mi kręgi? - spytała Lianne.

- Muszę się upewnić, czy żadnego nie opuściłem.

- Masz taki cięty język dzięki temu, że pochodzisz z dużej rodziny?

- Wątpię. Ty jesteś jedynaczką, a twojemu też nic nie brakuje. A jaki ma wyrazisty kolor!

Lianne dostrzegła złośliwy uśmiech Kyle'a i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zostać w samochodzie, by stawić czoło wszystkim zmartwieniom odłożonym na później.

Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, pokręciła głową. Nie chciała, by to „później” zmieniło się w „teraz”. Musiała się przecież uporać z całą rodziną Tangów. A nie mogła tego dokonać, myśląc o ostrzu z epoki neolitu i jadeitowej szacie, która powinna się znajdować w piwnicy Tanga.

- Nie martw się - powiedział Kyle, dostrzegając delikatną zmarszczkę na czole Lianne. - Nie będę się bawił w Jekylla i Hyde'a - dodał, wkładając w otwór klucz od windy.

Zamrugnęła, odsunęła od siebie wszystkie złe myśli i skupiła się na Kyle'u. Nie sprawiło jej to zresztą specjalnej trudności. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej podobało jej się to, co widzi. I czuje. Doznała dziwnego, ale bardzo przyjemnego uczucia, że znów zaczyna być świadoma swojej kobiecości.

- Jesteś pewien, że nie będzie żadnego Jekylla i Hyde*a?

- Prawie - powiedział, otwierając przed nią drzwi.

- Szkoda - mruknęła, wchodząc do luksusowej windy. - Miałam nadzieję, że wypróbuję swój spray.

- Nie w windzie, kochanie. Tego nie przeżyłoby chyba żadne z nas.

Kyle wciskał sześciocyfrowy kod na podświetlonej tabliczce, a Lianne podziwiała windę: podwieszany sufit, dywan tybetański w kolorach kamieni szlachetnych, panele z wiśniowego i klonowego drewna, telefon wykonany z jakiegoś kosmicznego materiału, ekran telewizyjny.

- Co? Nie ma barku? - zdziwiła się.

- W windzie? — spytał, unosząc brwi.

- Oprócz barku jest tu przecież wszystko, co można znaleźć w dobrej limuzynie. Łącznie z kierowcą w smokingu.

- Wiesz - powiedział spokojnie Kyle - od porządnego całowania dzieli cię tylko ten spray.

Lianne położyła sobie rękę na sercu i - niczym panienka z epoki wiktoriańskiej - wzniosła oczy do nieba. A potem zaczęła się śmiać, co nawet ją samą wprowadziło w zdumienie. Miło było cieszyć się towarzystwem mężczyzny i nie uważać na każde słowo lub gest. Będąc z Lee Chin Tangiem, musiała być bardzo ostrożna. Mieli zupełnie inne poczucie humoru. Zresztą poza zainteresowaniem chińską kulturą oraz rodziną Tangów tak naprawdę nic ich nie łączyło.

No, może pragnienie, by stać się częścią klanu Tangów. Lee zaspokoił swoje ambicje, ale nie dzięki Lianne. Poślubił wnuczkę jednego z kuzynów Wena, zmienił nazwisko i obecnie zarządzał filią konsorcjum, mieszczącą się w Seattle. Nadal czasem się z nim widywała i te spotkania sprawiały jej coraz mniejszy ból. Żądło godziło teraz w poczucie godności, nie w serce. Lee pragnął związku z rodziną Tangów bardziej niż kiedykolwiek pragnął jej.

Winda zatrzymała się cicho. Ku zdumieniu Lianne Kyle wcisnął jeszcze kilka cyferek i dopiero wtedy drzwi otworzyły się szeroko.

- Tędy - wskazał.

Dywan w holu był grubszą wersją tego w windzie. Ściany miały jasnokremową, świetlistą barwę. W korytarzu wisiały chińskie jedwabne malowidła. I choć Lianne nie znała się zbyt dobrze na malarstwie azjatyckim, rozpoznała w nich dzieła starych mistrzów.

- Żeby wydostać się z windy, trzeba znać kod - mruknęła. - Teraz rozumiem dlaczego.

Kyle zerknął na malowidła i uśmiechnął się.

- Archer wygrał je w pokera.

- Widać w głębi serca jest Chińczykiem.

- Doszłaś do tego wniosku z powodu tych obrazów?

- Nie, hazardu. Tę skłonność dziedziczyły po sobie wszystkie pokolenia. Każdy mężczyzna, który ukończył dziesięć lat, gra w mah-jong albo na wyścigach psów lub koni. W ostateczności zakłada się przynajmniej z kolegą, który rower dotrze w pierwszej kolejności na skrzyżowanie.

- Dobry przepis na puste kieszenie.

- Uszczerbek na honorze jest znacznie gorszy. Ten, kto przegrał te malowidła, stanowiące niewątpliwie bezcenny majątek rodziny, utracił również twarz w oczach jej członków.

- Ale te obrazy nadal stanowią majątek rodzinny. Tyle że ich właściciele mają teraz inne nazwisko.

- To bardzo zachodni punkt widzenia.

- Bo ja jestem bardzo zachodnim facetem - powiedział Kyle otwierając drzwi. - Wejdz i siadaj.

Z racji charakteru pracy Lianne bywała w wielu bogato urządzonej wnętrzach. Żadne z nich nie podobało jej się jednak tak bardzo jak to - z wysokimi sufitami, kolorowymi dywanami, porozkładanymi na dębowej podłodze, i ścianą okien wychodzących na lśniące, przesiąknięte deszczem miasto.

- Jakie to dziwne- mruknęła, rozglądając się wokół.

- Co masz na myśli?
 - Podoba mi się tutaj.
 - I to jest dla ciebie szok?
 - Zawsze wolałam orientalny sposób urządzania wnętrz.
 - Mahoniowe parawaniki, niskie stoły, poduszki na podłodze, tego rodzaju rzeczy?
- spytał Kyle, zapalając światło.

- Przyznaję, że lubię krzesła. Tylko że pokój tej wielkości i wysokości, całe to szkło i przestrzeń... - Lianne urwała na chwilę. - Zwykle efekt jest całkowicie bezosobowy; apartament przypomina pałac albo duży hol hotelowy. A tu jest ślicznie i przytulnie.

- To zastępczy dom moich rodziców. Przynajmniej jeden z wielu. Donovan i Susa mieszkają w ciągu roku w Cortez, Colorado. Chyba że podróżują. Matka chce namalować Jedwabny Szlak.

- Namalować?

W odpowiedzi Kyle wcisnął kolejny włącznik. Impresjonistyczne krajobrazy wisiały na jedynej nie przeszklonej ścianie.

Lianne zaparło dech. Miała wrażenie, że wnika w te płótna, przechodzi poprzez nie na drugą stronę. Dostała dziwnego zawrotu głowy, z której uleciały wszystkie zmartwienia. Uderzyła ją niewiarygodna siła wyrazu tych gór i przestrzeni, pustyni i ciszy, deszczu i burzy, wytrzymałości i odnowy.

- Kto? - spytała. - Kto to namalował?

Kyle popatrzył ponad jej głową na ścianę obrazów.

- To? Susa.

- Twoja matka?

- Owszem. Dobrze, prawda?

- Dobrze? Powinny być w muzeum!

- Niektóre z nich są. To ulubione płótna tatusia. Z bliska wyglądają jak czysta abstrakcja, nie tracąc siły wyrazu.

Porażona eksplozją barw, Lianne zatopiła się we własnych myślach.

- Pójdę wybrać coś z garderoby. Chyba że chcesz, żebym najpierw przygotował ci drinka.

Potrząsnęła głową, nawet na niego nie patrząc.

- Nie, dziękuję. Obrazy wystarczą mi całkowicie. Aż nadto.

Kyle wyminął Lianne, okrążył półkę na książki i wyszedł na wyłożony płytkami korytarz, niewidoczny od strony głównego wejścia. Po obu stronach holu mieściło się sześć niezależnych apartamentów zamykających się od wewnątrz. Mieszkała tu głównie rodzina. Jeśli jednak któryś z jej członków potrzebował prywatności, barykadował się od środka i zyskiwał w ten sposób choć odrobinę spokoju.

Drzwi do apartamentu Archera stały otworem, co znaczyło, że brat Kyle'a do końca brał udział w aukcji. Nigdy nie tracił okazji, by zorientować się w koniunkturze.

Kyle zamknął za sobą drzwi i podszedł do sejfu. Był to stary model tarczowy, który Archer zdołałby otworzyć nawet wówczas, gdyby Donovan Wielki zmienił kombinację cyfr. To się już zresztą zdarzało. Kyle jednak musiał zastosować bardziej konwencjonalną metodę.

- Mam nadzieję, że stary nie bawił się numerkami - mruknął, przekręcając tarczę.

Po kilku próbach drzwi sejfu szeroko się otworzyły. W środku leżał rulon pieniędzy, kabura, pistolet dziewięciomilimetrowy i cztery zapasowe magazynki. Archer odziedziczył styl życia po ojcu; po wydarzeniach w Kaliningradzie Kyle doskonale rozumiał te środki ostrożności

Zdjął frak, zapiał kaburę, umieścił w niej pistolet, a do kieszeni spodni wsunął jeden z ciężkich, zimnych magazynków. Frak idealnie zasłonił skórzany futerał - materiał nigdzie się nie marszczył ani nie wybrzuszał.

Archer jak zwykle miał rację: ubranie leżało doskonale. Kyle poczuł się we fraku o wiele lepiej.

Podszedł do szafy i przejrzał buty ustawione na dole w idealnie równym szeregu. Pochwały za ten stan rzeczy należały się jednak gosposi, a nie Archerowi. Jedna z par była czarna i trochę bardziej rozchodzona niż wizytowe trzewiki, które sprawiły mu tyle bólu. Kyle zrzucił je bez wahania i włożył pantofle znalezione w szafie. Nie pasowały na niego wprawdzie tak idealnie jak frak, ale przynajmniej uwierały w innych miejscach niż te, z których się uwolnił.

A potem cicho odblokował zasuwę drzwi prowadzących na korytarz, otworzył je i zamknął z powrotem.

Lianne stała na środku pokoju całkowicie skupiona na obrazach jego matki. Kyle spotkał się już z różnymi reakcjami na malarstwo Susy; od grzecznego „interesujące” po rozentuzjasmowany zachwyty nad pociągnięciami pędzla, energią, kolorystyką i geniuszem twórcy. Nigdy jednak nie widział, by obrazy wywarły na kimkolwiek tak ogromne wrażenie jak na Lianne.

Poczuł nagle, gorące pragnienie, by pociągnąć tę niezwykłą kobietę na dywan i sprawdzić, czy w jej duszy płonie tyle radosnego zachwyty co w tych płótnach. Gdy tłumaczył sobie właśnie, że byłby to wyjątkowo idiotyczny pomysł, zadzwonił telefon. A właściwie telefony, jako że w pokoju znajdowało się kilka aparatów.

Lianne drgnęła.

Najbliższy telefon stał na niskim stoliku niedaleko okien. Kyle podniósł słuchawkę przed drugim dzwonkiem.

- Halo!
- Wszystko w porządku? - spytał Archer.
- Owszem.
- Uciekałeś z tej aukcji, jakbyś miał biegunkę.
- Lianne źle się czuła... hm... zemdląca - powiedział Kyle.
- Jadeitowa szata?
- Każdy by zemdlął.
- A co ona o tym powiedziała?
- Farmer dał niezły popis, prawda? Archer zrozumiał natychmiast.
- Cholera, nie jesteś sam!
- Właśnie.
- Blakely?
- Tak.
- Dobra robota!

Kyle wydał zduszony dźwięk.

Lianne odwróciła się plecami do obrazów, ale stała zaledwie dziesięć kroków dalej i słyszała każde słowo.

- Zamierzacie tu nocować?
- Częściowo zgadłeś - powiedział Kyle.

- Będziesz spał sam?
- Owszem.
- Fatalnie.
- Nie wszyscy Donovanowie są tacy przystojni jak ty.
- Jasne - odparł Archer bez przekonania. - To dlaczego wróciłeś do domu?
- Bo doszedłem do wniosku, że miałeś rację co do fraka. Teraz lepiej na mnie leży.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Podjąłeś tę decyzję przed czy po bombie Farmera?
- Przed.

Cisza, potem przeciągły gwizd. Archer zrozumiał, że Kyle, ten sam Kyle, który nie przepadał za bronią, czuł potrzebę jej posiadania jeszcze przed wystąpieniem Farmera.

- Przydałaby ci się może jeszcze jakaś pomoc oprócz tego, co było w sejfie?
- To chyba za wiele - zapewnił Kyle. - Ale nie chciałbym być jedyną osobą nieodpowiednio ubraną na tę okazję.

- Co wzbudziło twój niepokój?
- Trójka to już tłum.
- Ktoś za tobą chodzi?
- I znów masz tylko w połowie rację.
- Lianne ciągnie za sobą ogon?
- Właśnie.
- Wie o tym? -Tak.
- Rozpoznała go? A może ją?
- Wiesz, jak to jest z facetami - odparł gładko Kyle. - W ciemnościach wszyscy

wyglądają podobnie.

- Dobrze mu się przyjrzałeś?
- Musiał dostać zezwolenie departamentu sztuki.
- Ciekawe!
- Jeżeli będziesz miał czas, popytaj. Nie chciałbym przez przypadek zjeść lunchu

Wujaszka.

- Raczej ty zostałbyś zjedzony.
- Musisz wierzyć w to, czego mnie uczyłeś: wiara czyni cuda.

- Wiara to niezbyt dobry sposób na życie. Zostań lepiej tam, gdzie jesteś, a ja przyjadę i...

- Dziękuję - przerwał Kyle - ale wracamy do „Towers”. Przyjście na poddaszu i tak dalej.

- Tangowie wynajęli poddasze?

- Chyba tak.

- Wejść do hotelu bocznymi drzwiami. Sprawdź, czy nie masz pluskiew.

- Brzmi nieźle. Zadzwoń jutro, dobrze? Zjemy lunch.

- Wypchaj się!

- Coś podobnego! Już to chyba gdzieś słyszałem. Jak myślisz: Lianne wiedziała wcześniej o tej szacie?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

- Zdobyłeś coś dla Wujaszka?

- Nie.

- A będziesz mógł porozmawiać ze mną w hotelu? - spytał niecierpliwie Archer.

- Dzięki, ale nie widzę takiej potrzeby. Wolę jutro.

- Nie lubię czekać. Nie wtedy, kiedy masz przy sobie mój pistolet.

- Spraw sobie inny. Rozmiar uniwersalny.

- Chyba sam cię wypcham!

Kyle z ponurym uśmiechem odłożył słuchawkę, zanim zdążył to zrobić Archer.

8

Gdy Kyle podszedł do Lianne, nawet nie odwróciła wzroku od obrazu; odwrotnie - zbliżyła się do kolorowych prostokątów, które wprost kipiały barwą i energią. Malowidła wzbudziłyby zachwyt Lianne w każdej sytuacji, lecz tego wieczoru wywarły na niej szczególne wrażenie. Nigdy przedtem tak bardzo nie potrzebowała siły, by pokonać strach, który wręcz ją porażał, ilekroć zaczynała myśleć o Cesarzu Jadeitu, szatach pogrzebowych i dziadku, Wen Zhi Tangu.

- Możemy sobie darować to twoje przyjęcie - powiedział Kyle, patrząc na minę Lianne. - Napijemy się czegoś, pooglądamy te genialne obrazy i pogadamy.

Podskoczyła, jakby użądlił ją jakiś owad.

- Daj mi jeszcze chwilę - powiedziała, nie patrząc na Kyle'a. - Zawsze myślałam, że wolę rzeźbę. Wiesz... ten jedwabisty dotyk gładkiego kamienia, a w głowie tysiąc lat historii. Ale te obrazy...

Po chwili Kyle podszedł do panela alarmowego przy drzwiach wejściowych i sprawdził odczyt. Cudowny rząd zer, żadnych mrugających świateł. Ten widok poprawił mu samopoczucie. Wtedy, w Kaliningradzie, bardzo boleśnie się przekonał, że niespodzianki wcale nie są zabawne. Lepiej być żywym nudziarzem niż zabitym miłośnikiem przygód.

- Nie wolałabyś pomówić o Cesarzu Jadeitu? - spytał, podchodząc do Lianne.

Zanim się do niego odwróciła, zerknęła raz jeszcze na obraz wzbudzający takie emocje, że lada chwila groziło to wybuchem.

- Masz niezwykłą matkę.

Koniec z Cesarzem Jadeitu. Kyle'owi nie pozostało nic innego, jak zgodzić się na zmianę tematu. Na przypieranie do muru Lianne miał zresztą całą noc.

- To dobre określenie. Susa to jedyna osoba na świecie, która potrafi skłonić Donovana do zrobienia czegoś, na co on kompletnie nie ma ochoty.

- Jeśli ma choć połowę energii zawartej w tych obrazach, na pewno trudno się jej oprzeć.

- Dwa razy tyle.

- Co takiego?

- Ma dwa razy tyle energii - powtórzył Kyle. - W porównaniu z nią wszyscy jesteśmy do niczego.

- Cała wasza szóstka? - spytała Lianne. - Wątpię.

- Siódemka. Tata też.

Znów skierowała wzrok na obrazy.

- Nie - powiedział, prowadząc ją do drzwi. - Jeżeli znowu zaczniesz, sprawimy zawód Wen Zhi Tangowi. Co mi przypomina... dlaczego Tangowie podają swoje personalia na zachodnią modłę?

- Chodzi ci o to, że najpierw wymieniamy imię, a potem nazwisko?

- Tak.

Kyle wyszedł za Lianne na korytarz i włączył alarm.

- Ojciec Wena zdecydował, że ta gałąź klanu zwiąże swą przyszłość z Ameryką. Chciał, aby cała rodzina mówiła po angielsku przedstawiała się w zachodni sposób i nadawała dziewczętom imiona zamiast numerów porządkowych zgodnych z kolejnością, w jakiej przychodziły na świat.

- Prawdziwy był z niego radykał.

- Raczej pragmatyk - odparła Lianne, idąc za Kyle'em do windy. -Po rewolucji Tangowie zostali odcięci od struktur władzy na kontynencie.

- Niewłaściwa opcja polityczna? - Kyle wystukał kod otwierający windę.

- Częściowo tak - odparła, wchodząc do środka. - A z drugiej strony Tangowie zawsze trzymali się z dala od rządu albo istnieli równolegle do układu politycznego. No, chyba że sami stanowili władzę.

- Jako dygnitarze wojskowi lub wodzowie feudalni?

- Eufemizm. Wielu cesarzy nazwałoby Tangów przestępcami, łajdakami albo wręcz bandytami. Ale w czasie panowania dynastii Ming, potem jak Tangowie dorobili się naprawdę ogromnego majątku i handlowali życiem ludzkim niczym workami ryżu, mówiono już o nich zupełnie inaczej. Chińczycy cenią nie tyle bogactwo co władzę.

Drzwi od windy otworzyły się cicho. Owiął ich znów specyficzny zapach betonu i rozgrzanych silników. W garażu - mimo dobrego oświetlenia - nie brakowało ciemnych kątów i zacienionych nisz. Kyle obrzucił spojrzeniem skarbiec, by sprawdzić, czy nikt się w pobliżu nie kręci; nikogo jednak nie zauważył.

- A więc Tangowie wzbogacili się na handlu z zagranicznymi diabłami - skonstatował, przepuszczając Lianne w drzwiach.

- Handel, zbieranie podatków za pozwoleniem cesarza lub bez jego zgody, monopole na grabienie grobów i hazard. A przede wszystkim to, co Chińczycy nazywają guatua.

- Czyli powiązania - upewnił się Kyle.

- Angielskie słowo nie oddaje w pełni chińskiej rzeczywistości - odparła Lianne. - Guarui to sieć wzajemnie ze sobą powiązanych przedsiębiorstw, prowadzonych przez

kuzynów i braci, wujów i ojców - wszystkich członków rodziny, niezależnie od ich aktualnego statusu społecznego: od najbogatszych dworzan począwszy, na najbiedniejszym wieśniaku rozrzucającym ludzkie odchody na polu ryżowym skończywszy.

Kyle mocno zamknął drzwi i obszedł auto.

- W każdej rodzinie są jacyś ubodzy krewni - powiedział, uruchomiwszy silnik. -
Zatem fortuna Tangów pochodzi z nielegalnych interesów? - spytał, kierując pojazd w stronę bramy wyjazdowej.

- Powiedz najpierw, co rozumiesz przez nielegalne? Tangowie robią pieniądze od wieków. Wątpię, czy wszystkie dochody, jakie zdołali osiągnąć, były legalne według standardów obowiązujących w danej cywilizacji. Poza tym uznanie czegoś za legalne bądź nielegalne bardzo często zależy od podejścia.

- A za pieniądze można kupić pożądany osąd - dodał Kyle obojętnie.

- Oczywiście - odparła, wzruszając ramionami. - Tu też nie jest inaczej. Dlatego najróżniejsze korporacje i towarzystwa dotują polityków. Ktoś nowy dochodzi do władzy, pewne niewygodne prawa zostają zmienione i otwierają się nowe źródła bogactwa.

- Stare też zdają egzamin: hazard, prostytutka, narkotyki, wszystko to, czego ludzie pragną, a prawo zabrania.

Lianne popatrzyła groźnie na Kyle'a; w błyszczącym deszczu i blasku jarzących się kolorowych świateł Seattle trudno było jednak z jego twarzy cokolwiek wyczytać.

- Tangowie nie są jakąś tam chińską mafią - powiedziała krótko.

- Czują punkt? Wypuściła powietrze.

- Jeżeli czytasz gazety z Hongkongu...

- Nie czytam.

- A ja tak. Nowy reżim panujący w Hongkongu utożsamia nazwisko Tangów ze słowem gangster. Sunowie, rzecz jasna, chodzą po wodzie, nigdy nie mają nieczystych myśli i...

- Ich wiatry pachną niczym płatki róży.

Lianne wydała dziwny dźwięk, a potem głośno się roześmiała.

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

- Mówimy oczywiście o Sunach z SunCo?
 - Owszem.
 - Z tego, co wiem od taty i Archera, Sunowie wyrobili już sobie całkiem niezłą pozycję na scenie międzynarodowego handlu.
 - Bo systematycznie redukowali wpływy Tangów za oceanem -powiedziała gorzko Lianne. - Mając zresztą pełne błogosławieństwo nowego reżimu z Hongkongu i starego reżimu z kontynentu.
 - To nic osobistego, kochanie. Tylko business.
 - A dla mnie to coś bardzo osobistego. Szczególnie wtedy, kiedy widzę wspaniałą, bardzo dobrze mi znany jadeit, a obok niego tabliczkę z nazwą SunCo... - Urwała gwałtownie, nie chcąc rozmawiać dłużej o ostrzu z epoki neolitu. Mogłaby sprowokować pytania dotyczące szaty pogrzebowej Farmera, a do tego nie była przygotowana. Wieczorem, podczas spotkania ze swoją niby-ale-nie-całkiem rodziną, będzie musiała zachować spokój. Sama myśl o szacie przyprawiała ją o skurcze żołądka. - Kiedy przegrywasz, zawsze bierzesz to do siebie.
 - Klęski są zawsze osobiste - powiedział swobodnie Kyle.
 - Jedne bardziej, inne mniej.
 - Tak jak to ostrze oddane na aukcję przez SunCo? Lub mistrzowskie posunięcie Farmera, który zaprezentował szatę pogrzebową audytorium składającemu się wyłącznie z zazdrosnych koneserów?
- Lianne wzruszyła ramionami i umilkła.
- Naprawdę sądzisz, że Farmer położył łapę na grobie Cesarza Jadeitu? - naciskał Kyle.
 - Na podstawie tej historii z szatą?
 - Tak.
- Lianne chciała zaprzeczyć, ale uświadomiła sobie, że taka odpowiedź wzbudzi jeszcze więcej wątpliwości.
- Nie wiem.
 - A jak sądzisz? Przymknęła oczy.
 - Sądzę, że ten, kto sprzedał Farmerowi szatę, będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań.

- Z powodu przepisów regulujących sprawy związane z ewentualną kradzieżą dóbr kultury?

- Między innymi.

- Czyli?

- Pochodzenie danego przedmiotu zawsze budzi wątpliwości.

- Owszem. A jak sądzisz, skąd pochodzi ta szata?

- Nie wiem.

- Widziałaś ją przecież z bliska. To autentyk czy współczesna kopia?

- Takie pobieżne oględziny nie wystarczą, żeby wyrobić sobie jakiś rozsądny pogląd.

- Nie proszę o opinię z pieczętką eksperta. Interesuje mnie po prostu twoje zdanie.

- Dlaczego mnie dręczysz? Przecież ta szata nie należy do mnie, tylko do Farmera. Wrzuć go na ruszt i podpiecz na wolnym ognia.

- Musiałbym kupić większy grill.

Popatrzył w lusterko: jechało za nim kilka samochodów. Światło zmieniło się właśnie z żółtego na czerwone. Dodał gazu i przeleciał jak strzała przez skrzyżowanie. Nikt go nie gonił.

Na chwilę zapadła cisza. Do uszu Kyle'a docierał tylko szum wycieraczek i świst opon na mokrym asfalcie. Był bardzo ciekaw, o czym myśli Lianne, ale nie pytał. Jej poważna mina i lekko zmarszczone brwi świadczyły dobitnie o nie najlepszym humorze. Przedłużające się milczenie miało również swoją wymowę. Ze stłumionym przekleństwem zahamował na parkingu przy „Towers” i wyłączył silnik.

- Obudź się! - powiedział. - Jesteśmy na miejscu.

Lianne mrugając, jakby dopiero co się ocknęła, rozejrzała się dookoła, zdumiona, że już dojechali do hotelu.

- Przepraszam. Nie dotrzymuję warunków umowy, prawda?

- Co masz na myśli?

- Obiecałam, że będę ci opowiadać o jadeicie, a... - Machnęła ręką i wzruszyła ramionami.

- Doliczę sobie po prostu dodatkową godzinę wykładów - odparł, po raz ostatni zerkając do lusterek.

Nadal nikt ich nie śledził. A nawet jeśli tak, to śledzący zachowywali największe środki ostrożności. Kyle musiał jednak sprawdzić, czy Lianne nie pociągnie za sobą ogona w drodze między parkingiem a południowym wejściem do hotelu.

- Tędy - powiedział, prowadząc ją do głównych drzwi.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Bo mi wolno.

Zamrugnęła, przyjrzała mu się uważnie i pokazała zęby w uśmiechu.

- Taka odpowiedź załatwia wiele pytań.

- Dlatego tak bardzo mi się podoba.

Zerknął przez ramię. Nikt nie wjechał za nimi na parking. Otworzył hotelowe podwoje przed Lianne, wszedł za nią do środka i szybko otaksował wzrokiem luksusowe sklepy. Wszystkie zamknięte, wszystkie puste. Niedaleko głównego wejścia stało paru palaczy, ale obok południowych drzwi nie było nikogo.

Nie zauważył Archera ani w środku, ani na zewnątrz, ale czuł, że brat znalazł jakiś sposób, aby go obserwować. Gdy Archer oznajmiał, że zamierza coś zrobić, zawsze dotrzymywał słowa. Jediną znaną Kyle'owi osobą, która dorównywała najstarszemu bratu intelektem, spokojem i umiejętnością zabijania, był mąż jego siostry Honor - Jake Mallory.

- Winda na dach jest tutaj, zaraz za rogiem - powiedziała Lianne.

Na ich widok ciemny, szczupły Azjata stojący przy windzie wybuchnął kaskadą rozentuzjasmowanej chińszczyzny, a potem ujął Lianne za rękę i kilkakrotnie pogładził jej dłoń. Jak na Chińczyka była to zupełnie niezwykła manifestacja uczuć. Chyba że ów Chińczyk pochodził z bardzo bogatej, zamerykanizowanej rodziny, mieszkającej za oceanem

Lianne odpowiedziała na powitanie z profesjonalnym uśmiechem, dzięki któremu Kyle docenił ciepło uśmiechów przeznaczonych wyłącznie dla niego.

Może w końcu nie była mu pisana samotna noc?

Ale najpierw musiał oderwać od jej ręki tę przystojną pijawicę. Choć Chińczyk miał kocią, typowo kobiecą urodę, sygnały, jakie wysyłał, były heteroseksualne i zupełnie wyraźne.

- Kyle - powiedziała gładko Lianne. - To jest Lee Chin Tang. Pan Tang zarządza rodzinnym konsorcjum. Nie mówi po angielsku.

- Miło mi go poznać? - raczej zapytał niż stwierdził.

- Owszem, ale nie za bardzo. Lee pełni tu oficjalnie rolę gospodarza.

Patrząc na ciemne, wodniste oczy Lee i jego kruczoczarne włosy, czekała na przyływ żalu lub złości, które towarzyszyły jej zawsze przy okazji spotkań z nim. Tym razem nie czuła jednak nic oprócz gorzkiej świadomości, że już go nie kocha. Miłość minęła bezpowrotnie.

Z kolejnym uprzejmym uśmiechem wysunęła palce z uścisku.

- Tak, ten mężczyzna w moim towarzystwie to Kyle Donovan - powiedziała łamanym dialektem kantońskim. - Zaprowadź nas do apartamentu. Wuj Wen chce się czegoś dowiedzieć o wynikach aukcji - dodała, posługując się przy tym grzecznościowym tytułem „wuj”, który stanowił odpowiednik angielskiego „sir”.

- Wcześniej wyszłaś - powiedział Lee. - Czy to prawda, że grób Cesarza Jadeitu został sprzedany jakiemuś obcemu diabłu?

- Spytaj Wen Zhi Tanga - odparła Lianne bez namysłu. - On wie o jadeicie znacznie więcej niż ja.

- Dlaczego tak szybko zrezygnowałaś z aukcji? Dokąd ci się tak spieszyło? Czy ten mężczyzna ci towarzyszył?

- Nie musiałam zostawać na aukcji - odpowiedziała tylko na jedno pytanie. - Wuj Wen, podobnie jak i ja, nie interesuje się zanadto kamieniami z wybrzeża Pacyfiku.

Silne, wąskie palce pieściły jej dłoń, przegub, dotknęły delikatnej żyłki pulsusa.

- Tęskniłem za tobą.

- Miło słyszeć.

Na chwilę zapłonął w niej dawny gniew. Jeszcze sześć miesięcy temu oddałaby wszystko, by z pełnych ust Lee usłyszeć te właśnie słowa. Teraz stać ją było jedynie na profesjonalną uprzejmość.

Ale nie do końca. Jej bardzo osobista, kobieca część cieszyła się z tego, że do spotkania z Lee doszło w tych, a nie innych okolicznościach. Kyle Donovan przyciągał uwagę wszystkich kobiet - zarówno rasy chińskiej, jak i kaukaskiej. Popatrzyła teraz na swego towarzysza spod długich rzęs i uśmiechnęła się do niego ze szczerym uznaniem.

Obaj mężczyźni natychmiast zauważyli, jak bardzo różni się ten uśmiech od poprzednich. Lee przybrał nagle obojętny wyraz twarzy, otworzył windę i wprowadził ich do środka.

- To dobrze, że nie noszę okularów - powiedział Kyle, gdy zamknęły się za nimi drzwi. - Uśmiechnęłaś się do mnie tak, że na pewno by mi zaparowały.

Lianne zaczęła chichotać. Poczula się jak nastolatka. Miło było schować Lee do szufladki ze starociami i zyskać pewność, że nie będzie chciał jej otworzyć na przykład w środku nocy, kiedy wspomnienia sprawiały najwięcej bólu.

- Mam potraktować ten uśmiech dosłownie, czy też chciałaś po prostu wkurzyć Lee?

- Nie zamierzałam nikogo rozgniewać. Byłam po prostu zadowolona z tego, że jestem tu i teraz, a nie tam i wtedy.

- Czy mogę zapytać, o czym mówiliście?

- Nie.

- Próbować zawsze można.

- Pewnie. - Lianne wzięła Kyle'a pod ramię i znów obdarzyła go szerokim uśmiechem. - Czy ktoś ci kiedyś mówił, że naprawdę przystojny z ciebie słoń? I to w dodatku z klasą!

- Jesteś pierwsza.

- Mogę się założyć, że odpowiadasz w ten sposób wszystkim dziewczętom

- Tylko tym, które mogłyby mi uwierzyć.

Winda wyhamowała tak gwałtownie, że żołądek podjechał Kyle'owi do gardła. Lee wcisnął guzik z napisem „otwórz”.

- Na prawo - powiedział po chińsku. Gdy Lianne usiłowała go wyminąć, chwycił ją nagle za ramię i zatrzymał. - Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś była moją szanowaną konkubina niż dziwką tego cudzoziemskiego diabła - syknął.

- Nie jestem ani konkubina, ani dziwka. Puść mnie! Johnny nie będzie zachwycony, jeśli jego honorowy gość, Kyle Donovan, spóźni się na przyjęcie.

- Johnny to tylko Syn Numer Trzy.

- Trzy to więcej niż zero - odparła chłodno. - A to jest właśnie twój numer, Lee. Zero! Poślubiłeś daleką, niczym się nie wyróżniającą kuzynkę wuja Wena i zmieniłeś nazwisko na Tang. Nie jesteś niczym synem!

- Nie mów do mnie w ten sposób, ty żeński pomiole cudzoziemskiej kurwy!

- Z przyjemnością w ogóle bym się do ciebie nie odzywała.

- Oby twoje najskrytsze marzenia stały się prawdą! — odparł Lee z uśmiechem równie zimnym jak jego spojrzenie.

Było to stare chińskie przekleństwo. Lianne przymrużyła oczy i uniosła dumnie podbródek. A potem spojrzała na rękę Lee, nadal zaciśniętą na jej ramieniu, i pomyślała o sprayu.

Winda zahuczała, sygnalizując zbyt długi postój.

- Pospiesz się, kochanie - powiedział uprzejmie Kyle. - Mój żołądek już zapomniał o tej przekąsce, którą jedliśmy na aukcji.

- Przepraszam, ja... - Popatrzyła na Kyle'a i urwała. Donovan mówił tak obojętnym tonem, że zimny gniew w jego oczach naprawdę ją przeraził.

- Może powiesz temu windziarzowi, żeby zdjął kciuk z guzika? - poprosił równie spokojnie. - A może powinienem go wziąć za kark jak szczeniaka i podnieść, bo inaczej się od ciebie nie odczepi?

Winda zaczęła wyć.

Kyle zerknął na Lee. Pod wpływem tego spojrzenia Chińczyk wypuścił z uścisku ramię Lianne.

Gdy Kyle i Lianne szli w stronę apartamentu, brzęczyk windy wciąż wył. Donovan czuł, że Lee zabija go wzrokiem. Na pewno jednak nie pochowałby go w szacie z jadeitu, tylko w zwykłym garniturze.

Z apartamentu Tango w dochodziły śmiechy i jakieś kobiece głosy zawodzące chińskie pieśni. Lianne zwolniła kroku. Ten hałas wprowadził ją w zdumienie. Dawniej Tangowie nawet podczas zebrań towarzyskich zachowywali się spokojnie, wręcz cicho; czasem słychać było tylko szuranie miękkich pantofli Wena po suchym

drewnie, szmer jego słów, którymi opisywał posążki z jadeitu wyrzeźbione pięć tysięcy lat przed Chrystusem.

- Żałujesz? - spytał Kyle.

Z zawrotem głowy splótł się męski falset. Na twarzy Lianne pojawił się wyraz cierpienia.

- Zdaje się, że Wen ma nie tylko kłopoty z oczami, ale również ze słuchem.
- Nie martw się. Zjazdy rodzinne zawsze są takie hałaśliwe.
- Nie wpadłabym na to. Nigdy na żadnym nie byłam.

Kyle popatrzył na nią ze zdziwieniem. Lianne próbowała najwyraźniej nad sobą zapanować, robić dobrą minę do złej gry, skryć wszelkie uczucia za fasadą obojętności. Dla niej spotkania rodzinne miały raczej charakter pola bitwy; nie kojarzyła ich z bezpieczeństwem czy odpoczynkiem.

Lianne weszła do zadymionego pokoju i rozejrzała się szybko w poszukiwaniu znajomych twarzy. Od razu zauważyła dwie rzeczy: na przyjęcie zaproszono jedynie Tangów płci męskiej, a wszystkie towarzyszące im kobiety były młode, piękne i... na sprzedaż.

W tej jednej jedynej chwili Lianne się ucieszyła, że jej matka nie znalazła się na liście gości. Gdyby tu była, doznałaby z pewnością ogromnego upokorzenia, na które Tangowie naraziliby ją z całą premedytacją.

- Wesoła rodzinka - powiedział Kyle, zerkając na kilkunasto mężczyzn w różnym wieku i towarzyszące im młode prostytutki. - Od czego zaczynamy? Można się częstować?

Lianne najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła do windy, ale było za późno, gdyż w foyer ukazał się Johnny. W jednym ręku trzymał kanapkę, drugą wyciągnął przyjaźnie do Kyle'a.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na jej poczucie obowiązku - powiedział z szerokim uśmiechem. - Poznam pana z resztą gości. Służę tłumaczeniem.

Kyle popatrzył na Lianne. Zarówno przecucie, jak inteligencja podpowiadały mu, że dziewczyna jest zła i urażona, choć niczego nie daje po sobie poznać. Jeśli nawet żywiła urazę do ojca, że ją odprawił, tak jakby w tym momencie była jego niepotrzebnym pracownikiem - to nie okazała żadnych emocji. A może rzeczywiście

nic nie czuła? Podjęła się po prostu roli gońca i wykonała swoje zadanie. Dostarczyła Tangom Kyle'a i teraz już nikomu nie zależało na jej towarzystwie.

Cieniutka żyłka na szyi dziewczyny pulsowała jednak zbyt szybko, by można ją było posądzić o brak emocji.

- Nie chcę pana odrywać od obowiązków rodzinnych - powiedział Kyle. - Lianne jest doskonałym tłumaczem.

- Oczywiście. Zawsze zapominam, że spędziła dwa lata w Hongkongu. - Odwrócił się do Lianne. - Świetnie się spisałaś, ale nie anektuj tak całkowicie naszego gościa. Chciałbym, aby Harry też go poznał.

- Kiedy już przedstawię Kyle'a Harry'emu, zaprowadzę go od razu do Syna Numer Dwa - odparła.

Johnny zaciął usta, ale natychmiast odzyskał spokój.

- Jakie to właściwe i chińskie!

- Bardzo jesteś łaskawy.

- Po dokonaniu niezbędnych prezentacji pomóż innym roznosić drinki. Ja będę służył panu Donovanowi za tłumacza.

Lianne drgnęła powieka, co stanowiło jedyną widoczną oznakę jej wściekłości.

- Niestety nie jestem wykwalifikowaną panią do towarzystwa. Niewykwalifikowaną również nie jestem.

- Jakie to właściwe i amerykańskie!

- Miło słyszeć.

- Powinnaś pamiętać, że jesteś tu zaledwie tolerowana przez Tangów. Nie chciałabyś chyba swym zachowaniem upokorzyć matki.

Kultura chińska nakazywała Lianne przyjąć reprimendę z pochyloną głową i wypowiedzieć kilka przeprosin. Jakaś jej częśćka zamierzała postąpić w ten sposób. W chwili później jednak wzrok jej padł na smukłe młode kobiety, klęczące u stóp Harry'ego Tanga i karmiące go za pomocą pałeczek z kości słoniowej. Harry nawet nie odwrócił wzroku od mężczyzny, z którym rozmawiał. Zgodnie z wzorcami azjatyckimi tak właśnie należało traktować istoty płci żeńskiej.

A Lianne wolałaby zginąć marnie, niż zachować się jak grzeczna azjatycka dziewczynka. Nie tutaj. Nie w Ameryce.

- Mam znakomitą pamięć - powiedziała, patrząc gniewnie w oczy swemu ojcu. - Według rodziny Tangów to zresztą moja jedyna zaleta. Co do manier - to są takie, jakich można by oczekiwać od córki cudzołożnicy i jej kochanka.

9

Kyle nie rozumiał słów, ale język ciała nie wymagał tłumacza. Lianne miała lodowaty wyraz oczu, Johnny wyglądał jak człowiek, który otrzymał mocny policzek i zamierza oddać cios.

- Kochanie - powiedział Kyle, uśmiechając się serdecznie do Lianne. - Nie chciałbym przeszkadzać, ale jestem tak głodny, że miałbym ochotę wrócić i zjeść tę przeklętą winę. Czy możesz przetłumaczyć dla mnie nazwy tych wszystkich dań?

Lianne odwróciła się od ojca.

- Oczywiście - rzekła łagodnie do Kyle'a. - Jesteś przecież gościem honorowym Tangów. Johnny usprawiedliwi cię przecież przed wujem Wenem. Powie mu, jaki jesteś głodny, prawda, Johnny?

Po twarzy Johnny'ego przebiegł dziwny grymas nadziei połączonej z gniewem. Skinął głową i ruszył w stronę starszego mężczyzny z dziewczyną u stóp. Dziewczyna grała na yueqin, chińskiej „gitarze księżycowej”. Ale ani skala tonalna, ani sposób śpiewania nie miały odniesienia do tradycji zachodnich.

W tej chwili inna młoda kobieta podbiegła do Johnny'ego i wyjęła mu z ręki pusty talerz. Nie doczekawszy się słowa podziękowania, wróciła do bufetu.

- Nie należy chyba dopominać się o jedzenie przed prezentacją - domyślnie zauważył Kyle.

- I mówić w języku niezrozumiałym dla gościa.

A także traktować własnej córki jak źle wyszkolonego pracownika.

- Tak też mi się wydawało - mruknął z lekkim uśmiechem

W drodze do bufetu Lianne zauważyła swoich przyrodnych braci: Johnny'ego juniora i Thomasa. Nie pomachała im jednak na powitanie. W ogóle się do nich nie odezwała z bardzo prostego powodu: nigdy nie została im przedstawiona. Synowie Johnny'ego rozprawiali ze swymi licznymi kuzynami o korupcji na kontynencie,

łapówkach w Hongkongu i wyższości banków chińskich nad amerykańskimi lub kanadyjskimi.

- O co chodzi? - spytał Kyle, wskazując trzech szczególnie rozentuzjasmowanych dyskutantów.

- Jeden z młodych ludzi próbuje przekonać wujka, by ten zainwestował więcej pieniędzy w chińskie banki, aby zyskać fory w przetargach na prace inżynieryjno-budowlane lub koncesje importowe.

Kyle bardzo dobrze znał ten temat. W sprawach międzynarodowych finansów podziały w klanie Donovanów przebiegały między pokoleniami.

- A co mówi jego wuj?

- Nie chce. Boi się kolejnego przewrotu na kontynencie. Wolałby raczej od razu przekupić jakiegoś biurokratę i w ten sposób pozyskać względy.

- Siostrzeniec jest znacznie głośniejszy.

- Bo przegrywa i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Starsi lepiej wyczuwają mocno nieprzewidywalną, czasem autodestrukcyjną politykę Chin.

- Kto się raz sparzy, ten na zimne dmucha?

- Jeśli tylko raz się sparzyłeś, to znaczy, że od niedawna robisz interesy w Chinach.

Widok bufetu pobudzał apetyt, ale jedynie Kyle nakładał sobie przekąski wprost ze stołu. Innym podawano jedzenie tam, gdzie siedzieli lub stali.

- Taka samoobsługa naraża mnie z pewnością na utratę twarzy - powiedział obojętnie.

- Ja ci podam - powiedziała szybko Lianne. - Powinnam była o tym pomyśleć.

Rozejrzał się wokół, zwracając uwagę na zachowanie się mężczyzn i młodych kobiet, po czym wziął talerz z ręki Lianne.

- Dziękuję, ale sam sobie poradzę. Nie wynająłem cię ani na tę, ani na żadną inną noc.

Choć Lianne oblała się rumieńcem, panowała całkowicie nad emocjami.

- Zwyczaje chińskie znacznie się różnią od amerykańskich.

- Niektóre są takie same.

- Gdybyśmy naprawdę byli w Ameryce, a nie w Hongkongu - powiedział Kyle, nakładając sobie na talerz kurczaka w sosie czosnkowym - serwowanie jedzenia nie

miałoby nic wspólnego z seksizmem czy jakimkolwiek prestiżem danej osoby. Znajdujemy się jednak zupełnie gdzie indziej.

- Dlatego właśnie powinnam...

- Jeśli sam się obsłużę - przerwał jej łagodnie - korona mi z głowy nie spadnie. Ale o tobie wszyscy pomyśleliby tylko jedno. A za to dałbym każdemu w łeb.

- Jesteś...

- Bardzo amerykański - dokończył Kyle. - To jednak ustaliliśmy już wcześniej. Chcesz kurczaka z czosnkiem? Może się przydać choćby dla samoobrony.

- Poproszę - powiedziała cicho. Ogarnęło ją dziwne uczucie wdzięczności zmieszanej z czymś jeszcze - może pragnieniem? Do-tknęła przegubu Kyle'a, czerpiąc typowo kobiecą przyjemność z siły i ciepła, jakie od niego były. - Dzięki za zrozumienie czegoś, co nie wszystkim się udało.

- Niepotrzebne mi podziękowania - odparł, nakładając kurczaka na jej talerz. -To wszystko należy do obowiązków „wypchanego słonia”.

- Ma raczej coś wspólnego z tym, że jesteś Amerykaninem. I mężczyzną. I jeszcze z tym, że jesteś... dobry.

Wahanie w głosie Lianne wzbudziło w nim nagłe pragnienie, by odstawić talerz i nadgryźć miłośnie dziewczynę zamiast kurczaka; obdarował ją jednak tylko leniwym uśmiechem, bynajmniej nie świadczącym o dobroci.

W głowie czuła pustkę, nie potrafiła wykrztusić słowa. Zrozumiała, że pragnęłaby się zatracić w namiętym uczuciu do tego mężczyzny. Żadnego strachu, zmartwień ani Cesarza Jadeitu, wyłaniającego się nagle jak śmierć na jej horyzoncie.

- Kyle?

- W każdej chwili - odparł, nie spuszczać z niej wzroku. - A jeśli nadal będziesz tak na mnie patrzeć, to nawet zaraz!

Zdziwiona spojrzała mu w oczy. I to był błąd. Zobaczyła w nich bowiem siebie aż nadto wyraźnie. Zobaczyła również inne rzeczy: ich nagie ciała, swoje ręce na bicepsach Kyle'a, wykrzywione z rozkoszy twarze...

Ostre słowa brutalnie przerwały te fantazje. Johnny junior klócił się po kantonku ze swoim młodszym bratem. Wykrzykiwał, że tamten co najmniej kilka lat będzie musiał czekać, by ojciec wyraził zgodę na jakiegokolwiek małżeństwo, nie mówiąc o

małżeństwie z cudzoziemką. Dodał jeszcze, że należy brać przykład z ojca, który ożenił się z Chinką, a puszczał z każdą, która go podniecała, niezależnie od jej pochodzenia i koloru skóry.

- Hej! - powiedział Kyle, siląc się na uśmiech mimo zalewającej go fali pożądania.

- Nie bój się! Tak naprawdę nie zamierzam cię wcale zgwałcić na tym stole z przekąskami.

- Co takiego? - Gdy wreszcie do Lianne dotarł sens słów Kyle'a, oderwała się od awantury między przyrodnimi braćmi i wszystkiego, co to za sobą pociągało. - To naprawdę fatalnie! A ja już zaczęłam sobie wyobrażać... no wiesz, ty, ja, sos krabowy...

- Poprosiłbym cię na pewno, żebyś mi powiedziała więcej, ale trochę mi wstyd.

- Tobie? A czego ty się wstydzisz? Chyba nie tego, jak wyglądasz w tych spodniach. Bo każdy inny na twoim miejscu byłby dumny jak paw.

Kyle parsknął cicho, a potem odchylił głowę i wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem. Lianne śmiała się razem z nim, próbując nie myśleć o tym, że już w niedalekiej przyszłości poczuje jego silne ręce na swoim ciele.

- Wiedziałem, że powinniśmy byli zostać w domu. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. A spostrzegłszy żądzę

w oczach Kyle'a, przestała się śmiać.

- Nie znam... nie znamy się zbyt dobrze.

- Jutro już byś tego nie mogła powiedzieć.

- Nie - odparła szybko. - To zbyt wiele. Za wcześnie.

- W takim razie pojutrze. Jestem cierpliwy.

Z tymi słowami podszedł do bufetu i zaczął nakładać na oba talerze przysmaki kuchni kantońskiej. Zachodnie były zresztą jedynie desery, wybrane raczej ze względu na wyjątkowo słodki smak niż walory estetyczne.

- Chińczycy są łasuchami - powiedziała Lianne, widząc minę Kyle'a.

- Już to do mnie dotarło.

Uśmiechnęła się lekko. Tego wieczoru Donovan najwyraźniej zrozumiał wiele rzeczy. Mimo wszystko, nakładając przekąski na talerz Lianne, nie zwracał uwagi na

spojrzenia Tangów. Nie reagował również na wyraźnie zachęcający uśmiech młodej kobiety, stojącej nieopodal bufetu z pustym niebiesko-białym talerzem.

Dziewczyna była piękna. Złocista cera, pełne czerwone usta, skośne oczy, kaskada prostych czarnych włosów sięgających aż za biodra. Włosy kończyły się dokładnie w tym samym miejscu co czarna obcisła suknia, na skutek czego Chinka wyglądała z tyłu nieco dziwnie.

Hostessa trzymała w ręku talerz Johnny'ego, toteż tym bardziej nie mogła wzbudzić w Lianne cieplejszych uczuć.

- Cześć! - powiedziała, stając blisko, nawet za blisko Kyle'a. - Chyba się nie znamy.

- Nazywam się Kyle Donovan. A to jest Lianne Blakely. Uśmiech dziewczyny przeznaczony dla Lianne był o wiele chłodniejszy niż przesłany Kyle'owi.

- Z przyjemnością ci usłużę - powiedziała, wyciągając rękę po talerz Kyle'a. - W każdy możliwy sposób.

- Dzięki - odparł obojętnie Kyle - ale jestem w samowystarczalnym nastroju.

Hostessa przesunęła palcem wskazującym po brzegu talerza.

- Jeśli zmienisz zdanie, po prostu gwizdnij.

- Jesteś psem, żeby na ciebie gwizdać? - spytała Lianne w dialekcie kantońskim.

- Jeżeli gwizdanie obudzi głowę śpiącego żółwia, będę zaszczycona. Powitam radośnie tego ciepłego, rozkosznego uchodźcę z zimnego świata...

Lianne skrzywiła się z niesmakiem; „głowa żółwia” była jednym z mniej eleganckich chińskich określeń penisa.

- Zajmij się tymi, którzy ci zapłacili - poradziła.

- Sama nie chcesz obsługiwać tego cudzoziemca, a mnie odpędzasz. Dlaczego, siostrze?

Lianne pomyślała o uniwersalnej odpowiedzi Kyle'a i uśmiechnęła się chłodno.

- Bo mi wolno.

Hostessa wzruszyła ramionami bardzo po amerykańsku i uśmiechnęła się w sposób nie wymagający wyjaśnień.

- Miło mi było pana poznać. Może kiedyś znów się spotkamy. Oby już wkrótce.

Odwróciła się i odeszła w stronę mężczyzn. Jej czarne lśniące włosy poruszały się dokładnie w rytm bioder, a nogi naprawdę były warte uwagi.

- No, no - mruknął Kyle - ale laska. - Zerknął w stronę bufetu. - Masz ochotę na wino, piwo czy na to pomarańczowe coś?

Lianne raz jeszcze popatrzyła groźnie za hostessą.

- Pamiętasz naszą wcześniejszą dyskusję o winie i Chinach?

- Racja. - Kyle wyjął z lodu dwie butelki piwa i od razu je otworzył. - Będę miał przynajmniej zajęcie na parę minut. A ty?

Spojrzała na talerz. Podczas gdy myślała o tej piękności do wynajęcia, Kyle nałożył jej na talerz całą stertę przekąsek.

- A ja na tydzień.

- Nie ma obawy. Chętnie ci pomogę.

- Czyli: jak nie będziesz szybko wsuwała, to się nie najesz.

- Właśnie. Potrzyмай - poprosił, wręczając Lianne dwie butelki piwa. Ledwo je wzięła, zabrał z jej talerza trzy nemy i pożarł z apetytem, zanim dziewczyna zdołała zaprotestować. - Lepiej przestań mówić i zacznij jeść, bo zostanie ci najwyżej pusty talerz - powiedział, oblizując wargi i sięgając po następnego nema.

Dopiero wtedy Lianne odkryła podstęp: nie mogła jeść, bo miała zajęte ręce, a Kyle podkrażał jej smakołyki. Śmiejąc się głośno, oddała mu piwo. Na dźwięk tego szczerego amerykańskiego śmiechu kilka głów odwróciło się w ich stronę. Ona jednak nawet nie zwróciła na to uwagi. Zbyt dobrze bawiła się ze swoim seksownym, zadziwiającym „wypchanym słoniem”.

Odciągając dyskretnie Lianne od szwedzkiego stołu, Kyle mrugnął do niej porozumiewawczo. Upatrzył miejsce, gdzie mógłby stanąć plecami do ściany i jednocześnie znaleźć się niedaleko drzwi, żeby w odpowiedniej chwili pospiesznie wyjść. Była to pierwsza zasada przyjęć Archera: zdecyduj od razu, gdzie chcesz być, kiedy zacznie się burda. Kyle tak naprawdę nie spodziewał się żadnej awantury, ale wiedział, że w obcym kraju nie opłaca się być naiwnym cudzoziemcem, w tym wypadku Amerykaninem poza granicami Ameryki.

Może hotel „Towers” mieścił się w Seattle, a Seattle leżało w Stanach, ale ten apartament stanowił czysty, dojrzały fragment Hongkongu sprzed czasów przejścia go przez Chiny.

Kyle jadł szybko, obserwował ludzi i marzył, by wreszcie przestało go męczyć podniecenie. Zauważył, że choć język, muzyka oraz jedzenie były chińskie, to nawet starzec z białą brodą, siedzący w przeciwległym kącie pokoju, miał na sobie zachodnie ubranie. Kyle nie musiał rozumieć słów, by stwierdzić, że wśród mężczyzn obowiązuje pewna hierarchia; jednak nawet ci z dołu drabiny nie zachowywali się jak służący czy ochroniarze.

Meble - kanapy, tapicerowane krzesła, stoliki do kawy - miały typowo zachodni charakter, tylko wzór obić zaczerpnięto z tradycyjnych chińskich szat. Kadzidła potęgowały zadymienie pomieszczenia, nie tłumiąc przy tym zapachu tytoniu. Młode kobiety krążyły po sali niczym barwne motyle. I mimo braku różnic w strojach mężczyzn wszystkie dziewczęta doskonale wiedziały, kto jakie miejsce zajmuje w szeregu.

Wen był pierwszy. U jego stóp siedziała hostessa grająca na gitarze, a z boku druga panią, która karmiła go jak dziecko. W przeciwieństwie do innych Wen nie mógłby się obyć bez takiej usługi - ręce spoczywające na pięknie rzeźbionej lasce z jadesitową gałką zniekształcił artretyzm. Starzec miałby nawet trudności z utrzymaniem pałeczek. Ze sposobu zaś, w jaki trzymał głowę, wynikało wyraźnie, że nie widzi talerza.

Drugi najważniejszy mężczyzna w pokoju praktycznie nie oddalał się od Wena ani na chwilę. Niezależnie od tego, czy mężczyzna siedział, czy stał, hostessa znajdowała się zawsze u jego boku, gotowa podać mu jedzenie lub drinka. Wyglądała starszej niż inne: zaliczała się raczej do kobiet niż dziewczyn, dokładniej - do oszałamiających kobiet; pięknie ukształtowane nogi i ręce, ponętne krzywizny ciała. Przegub dłoni zdobiła brylantowo-rubinowa bransoletka, równie piękna jak jej właścicielka.

- Ten mężczyzna w rogu - powiedział cicho Kyle. - Ten blisko Wena. Kto to jest?

Lianne popatrzyła przez ramię.

- To Harry Tang, Syn Numer Dwa.

- A z tego co widzę. Dziewczyna Numer Jeden jest tuż obok - powiedział Kyle, nadgryzając kluskę nadziewaną wieprzowiną z imbirem.

- Nie wiem, jak ona ma na imię. Jeśli w ogóle jakieś ma. Uwagi Kyle'a nie uszła gniewna nutka w głosie Lianne.

- Jeśli ta bransoletka o czymkolwiek świadczy, to Harry zna jej imię już od bardzo dawna.

Lianne upomniała się w myślach, że powinna przestać reagować na to „zebranie rodzinne” jak dziecko, które odkryło, że nie ma tatusia. Nie musiała tak bardzo się przejmować okolicznościami swego urodzenia. Matka Lianne dawno dokonała wyboru, wyboru, którego córka nie potrafiła zaakceptować, a mimo wszystko musiała się z nim pogodzić.

Popatrzyła na Harry'ego i jego towarzyszkę chłodno, bez emocji, tak jakby jej nie łączyło z rodziną Tangów. Kyle na pewno się nie mylił. Ta dziewczyna nie zaliczała się do hostess na jedną noc. Znała Harry'ego wystarczająco dobrze, by czytać w jego myślach, a także pilnować pozostałych dziewcząt. I choć nie była żoną Syna Numer Dwa, odpowiadała tego wieczoru za przebieg przyjęcia.

A jej bransoletka miała znacznie większą wartość niż pierścień Anny. Ale w końcu kochanka Syna Numer Trzy musiała się zadowolić mniej kosztowną biżuterią niż kobieta należąca do Harry'ego.

- Bogaci Chińczycy zawsze brali sobie kochanki - powiedziała

Lianne obojętnym tonem. - Przed rewolucją to po prostu należało do dobrego tonu. A w starożytności obowiązywał rodzaj poligamii. Prócz żony Chińczyk utrzymywał tyle konkubin, na ile mógł sobie pozwolić. Rola żony łączyła się wprawdzie z większym prestiżem, ale często właśnie konkubiny zyskiwały prawdziwą władzę.

- Jasne, złap mężczyznę za „piotrusia”, a pójdzie za tobą wszędzie.

Lianne omal nie zakrztusiła się kurczakiem.

- Piotruś - powiedziała, kiedy udało jej się przełknąć jedzenie. -Nigdy nie słyszałam, by ktoś nazywał to w ten sposób!

- A jak na to mówią Chińczycy?

- Różnie. Czasem z szacunkiem, na przykład, „jadeitowa łodyga” lub „jadeitowy flet”.

- Jadeitowy, powiadasz? Kamień Niebios.

- Pewnie tak. - Próbowała zachować powagę, ale błysk w oczach Kyle'a skutecznie jej to uniemożliwił.

- Jak sądzisz, co symbolizuje jadeit w tej „łodydze” i „flecie”?

- Strukturę i... twardość.

- A więc twierdzisz, że najlepszy przyjaciel mężczyzny wcale nie jest niebiański i nieśmiertelny?

Lianne zapomniała o miejscu, gdzie się znajdują, i roześmiała się głośno, nie zważając na to, że ściąga na siebie zdziwione spojrzenia Tangów. Kyle wsunął swój pusty talerz pod talerz Lianne, wziął oba w ręce i zaczął jeść. Kiedy dziewczyna wreszcie przestała chichotać, stwierdziła, że Kyle zupełnie pozbawił ją posiłku.

- Jesteś niesamowity! - powiedziała, patrząc na kilka żaloznych okruszków.

- Po prostu jem za dwóch.

- Za siebie i kogo jeszcze? Mnie?

- Nie, za mojego kumpla. Wyobrażasz sobie, ile energii mu potrzeba, by sprostać oczekiwaniom pań?

Kręcąc głową, Lianne odstawiła niedopite piwo na tacę przechodzącej kelnerki i rozejrzała się uważnie.

Z kąta, w którym dwóch starszków zajadało słone orzeszki d tarł do jej uszu potok chińskiego.

- Znowu różnica zdań? - spytał Kyle.

- Nie, oni całkowicie się ze sobą zgadzają. Sądzą, że nie należy dopuścić do tego, by SunCo rozszerzało wpływy w Ameryce.

- To mogłoby okazać się trudne.

Lianne popatrzyła na Kyle'a, który nie spuszczał niezwykłych złotozielonych oczu z zebranych.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Mówi się, że SunCo i Dick Farmer ubijają interes, który okaże się korzystny zarówno dla Chin, jak i Ameryki.

- Sądzę, że jednak głównie dla nich samych.

- Spostrzeżenie równie trafne jak to, że słońce wschodzi na wschodzie. Kto jest na trzecim miejscu?

- Johnny Tang. Syn Numer Trzy. Joe Tang, Numer Jeden, nie przyszedł na przyjęcie, chyba wyjechał do Szanghaju.

Kyle dyskretnie obserwował Lianne. Gdyby nie wiedział, że Johnny jest jej ojcem, na pewno nie udałoby mu się tego wywnioskować z zachowania obojga. O wujach Lianne mówiła zresztą równie obojętnie. Nawet jeśli między tą dziewczyną a Tangami istniały jakiegokolwiek związki uczuciowe, to były one niewidoczne.

- Po Johnnym hierarchia staje się mniej oczywista. Starsi są kuzynami lub szwagrami zatrudnionymi przez Tang Consortium. Młodszy to synowie lub kuzynowie braci Tangów.

Kyle patrzył na bogato ubranych młodzieńców, próbując dociec, którzy z nich są kuzynami Lianne, a którzy jej przybranymi braćmi. Ogarnęła go pokusa, by ją o to zapytać i zerwać w ten sposób wreszcie z jej twarzy maskę profesjonalizmu. A maskę tę Lianne tak ściśle naciągnęła na swe uczucia już w chwili, gdy po raz pierwszy próbował z niej wyciągnąć jakiegokolwiek informacje o rodzinie. Powstrzymała go jednak myśl, że w ten sposób pozbawiłby dziewczynę oręża, które właśnie tu, w tej jaskini Tangów, było jej na pewno bardzo potrzebne.

- Skończyłaś jeść?- spytał.

- W ogóle nie zaczęłam.

- A chcesz?

Lianne pokręciła głową.

- Nie jestem głodna. To chyba nerwy.

- Cesarz Jadeitu?

Po jej twarzy przebiegł skurcz.

- Między innymi.

- Aukcja miała dla ciebie takie znaczenie?

- Dokonanie wyboru eksponatów na wystawę to zaszczyt dla mnie - powiedziała.

Nie dodała jednak, że całe życie czekała na akceptację ze strony rodziny swego ojca. - Tak czy inaczej większość zaszczytów szarpie nerwy.

Mówiąc, myślała o ostrzu z epoki neolitu zakupionym przez Kyle'a i wspaniałej kolekcji Tangów, o przechowywanej w tajemnicy szacie pogrzebowej Wena i upublicznionym nabytku Farmera. Pod maską spokoju i towarzyskiej pogawędki czaił się strach zaciskający żołądek.

Musiała pomówić z Wenem. Jeszcze tego wieczoru. A jeśli nie, to następnego dnia po zwróceniu jadeitów do skarbcza w Vancouver.

Teraz jednak nadeszła pora, by zająć się interesem, który Johnny chciał ubić z Kyle'em.

- Jesteś gotów na spotkanie z Wenem? - spytała.

- Nie wiem. A jestem?

- Owszem - zdecydowała. - Jesteś.

Powiodła Kyle'a w poprzek pokoju. Nikt jej nie witał, choć jeden z młodych mężczyzn popatrzył na nią wzrokiem, który doprowadził Kyle'a do wrzenia. Donovan dałby wiele za to, by się dowiedzieć, czy ten facet uśmiecha się tak obleśnie do siostry czy kuzynki.

Johnny zobaczył, że Lianne zbliża się do Wena, i opuścił swą piękną towarzyszkę, nawet się nie oglądając. Doszedłszy do ojca, nakazał delikatnej gitarzystce, by przerwała grę, i zaczął coś szybko mówić po kantońsku.

Wen skinął głową i zwrócił uwagę na obcego, który teraz stał na wprost niego. Dostrzegł jednak tylko wysoki cień ze złotą aureolą nad głową, cień przypominający anioła z chrześcijańskich hymnów Ogromnego anioła! Po znajomym zapachu perfum Wen od razu się domyślił, że Lianne jest tym drugim, ledwo widocznym perlistym cieniem stojącym u boku obcego.

Harry pojawił się w chwili, gdy Johnny kończył przedstawiać Ryle'a Wenowi. Nastąpiły kolejne prezentacje. Na znak Johnny'ego pojawiły się trzy krzesła i hostessy odeszły, by obsługiwać innym mężczyznom. Towarzyszka Harry'ego stanęła jednak tuż za nim, czekając na wezwanie.

Wen przemówił papierowym głosem starego człowieka.

- Prosi, żebyś usiadł - tłumaczyła Lianne. - Już nie może dłużej wyciągać szyi, by dojrzeć czubek takiego wysokiego drzewa.

Kyle poszukał wzrokiem krzesła. Johnny zajął jedno, a Harry drugie. Ostatnie zostało dla Donovana; dla Lianne najwyraźniej zabrakło miejsca.

- Spocznij, proszę - szepnęła, rozumiejąc jego wahanie. - Jak już zauważyłeś wcześniej, nie jesteśmy w Ameryce. Ponadto Wen mówi bardzo cicho, gdyż rozmowa go męczy. Muszę stać tuż przy nim, żeby cokolwiek usłyszeć.

Kyle wzruszył ramionami i usiadł. Nawet w tej pozycji przewyższał Wena - o połowę niższego od synów - co najmniej o dwie głowy.

Lianne podziękowała Kyle'owi uśmiechem, stanęła tak, by słyszeć słaby głos dziadka, i nałożyła na siebie bezosobowe obowiązki tłumacza, jakby to była mile widziana zbroja.

Donovan przez chwilę słuchał zawoalowanych, typowo chińskich komplementów, jakie prawili mu Tangowie. Wszyscy oprócz Harry'ego. Syn Numer Dwa najwyraźniej nie był przekonany o tym, że Kyle powinien być gościem na przyjęciu, a zwłaszcza gościem honorowym.

Po wstępnej wymianie grzeczności Wen rozsiadł się wygodniej na krześle. Traktując to jak sygnał, Harry i Johnny przeszli na angielski, Lianne zaś nadal tłumaczyła, mając na uwadze raczej Kyle'a niż Wena.

Zanim rozmowa przybrała merytoryczny charakter, minęło co najmniej pół godziny.

- Wen uważa cię za znawcę zabytkowego jadeitu – powiedział Harry.
- Interesuje mnie głównie epoka neolitu - odparł Kyle, patrząc na wuja Lianne.

Harry - starszy od Johnny'ego co najmniej o dziesięć lat- miał gładko wygolone policzki i był znacznie cięższy niż brat. Po angielsku mówił kiepsko, ale zrozumiale. Poruszał się energicznie, w sposób charakterystyczny dla ludzi władzy. Jego towarzyska, której nie przedstawiono, zapalała mu cygara, dolewała piwa i dbała, by zawsze miał w zasięgu ręki talerzyk z solonymi orzeszkami. Podobnie usługiwała również Wenowi, Johnny'emu i Kyle'owi, ale Harry udzielał jej instrukcji.

- Mój ojciec też interesuje się jadeitem - powiedział Harry.

- Tak mi mówiono - odparł Kyle. - Kolekcja Wen Zhi Tanga stanowi przedmiot zazdrości każdego, kto kiedykolwiek o niej słyszał. Choć teraz, jak sądzę, to Dick Farmer zostanie królem ekspertów jadeitu. Współczesnym Cesarzem Jadeitu. Chyba słyszał pan o jego wspaniałej szacie pogrzebowej?

Harry Tang zbył uwagę o Dicku Farmerze i pytanie Kyle'a jednym ruchem nieskazitelnie wymanikiurowanej dłoni.

- Pański ojciec też się interesuje minerałami? - spytał Harry. -Nie.
- A co go pasjonuje? Hazard? Polityka? Kobiety?

- Jest monogamistą. Harry zamrugął.

- Naprawdę? Niektórzy podobno rzeczywiście postępują w ten sposób. Więc ma jedną namiętność i żadnego hobby?

- Hobby Donalda Donovana to szukanie, wykopywanie i uszlachetnianie rud metali. Jego czterej synowie wolą kamienie szlachetne i półszlachetne; w moim przypadku są to jadeity.

Harry ze zrozumieniem pokiwał głową i wyciągnął rękę w stronę milczącej towarzyski. W chwilę później w jego palcach tkwił już zapalony papieros. Tang wypuścił smużkę dymu; jego woń zmieszała się z zapachem kadzideł i innych papierosów. Gdy przemówił po raz kolejny, bardzo ostrożnie dobierał słowa.

- Czy właśnie dlatego znanej spółce twego ojca brak jadeitowych odnóg? - spytał.

- Jak również ramion. Donovan senior nie dba o nic, czego się nie da przetopić - odparł pogodnie Kyle, jakby nie zwracał uwagi na ciemne chmury powoli zbierające się nad gładką konwersacją. -Ale pracuję nad tym. Hekroć nadarza mi się taka okazja, zmuszam ojca, by choć trochę zainteresował się jadeitem.

Hostessa wsunęła cygaro w uniesione wyczekująco palce Wena. Starzec wetknął cygaro do ust i zaczął pykać, a Lianne tłumaczyła rozmowę na kantoński. Nawet Harry, który szczycił się swoją angielszczyzną, słuchał uważnie jej słów: potrzebował pomocy, by zrozumieć szybkie, najeżone idiomami wypowiedzi Kyle'a.

Johnny nie musiał czekać na tłumaczenie, ale odpowiedzialność za prowadzenie rozmów spadała na Harry'ego. Johnny musiał pilnować, by - mimo niechęci Drugiego Syna do rozpoczęcia ponownych negocjacji z Donovanami - dyskusja nie zbaczała z tematu. Gdyby bowiem Harry postawił na swoim, Tang Consortium zainwestowałyby cały kapitał w chińskie społeczności zamorskie, a konkretnie: w kasyna, banki, hotele i stocznie.

Ale Harry nie postawił na swoim, bo też nie miał na to szans. Choć Syn Numer Jeden nie podzielał zamiłowania Wena do jadeitów, doceniał międzynarodową potęgę Donovanów. Jeśliby zainteresowanie Kyle'a mogło stać się podstawą do zawarcia aliansu, Joe byłby całym sercem za tym. Wen również. Tangowie bardzo potrzebowali zagranicznych sojuszników.

- Ach, jadeit! To dobrze - powiedział Harry, wypuszczając kolejny kłęb dymu. Popielniczka natychmiast wylądowała w zasięgu jego ręki, wrzucił więc do niej niedopalone cygaro i skinął na hostesę, by odstawiła ją na bok. - Opowiadasz swemu szacownemu ojcu o jadeicie. Dla tych, którzy to rozumieją, Tangowie i jadeit wyglądają tak -oznajmił, krzyżując palce wskazujące. - Jeśli zna się jedno, wie się wszystko o drugim.

- Ja też mu to tłumaczyłem, ale Donovan Wielki mówi bez przerwy o SunCo. Zresztą sam muszę przyznać, że SunCo wystawiło dzisiaj parę fantastycznych okazów. Oczywiście ich jadeity nie mogą się równać z tym, co oferują Tangowie czy Farmer, ale nie zawsze trzeba przecież mieć wszystko w najlepszym gatunku. - Kyle uśmiechnął się szeroko do Harry'ego. - Ale Lianne na pewno wymyśli jakiś sposób, dzięki któremu mój ojciec zwróci wreszcie uwagę na jadeity Tangów. Ona naprawdę się na tym zna. Jest po prostu niesamowita: ma więcej pomysłów niż pies pcheł. Może mówię za szybko, stary?

Johnny poruszył się niecierpliwie na krześle. Wyglądał jak ktoś bardzo zmartwiony lub chory na niestrawność.

Kyle jednak zupełnie nie dbał o to, z jakiego powodu ojciec Lianne ma taką minę. Johnny był Numerem Trzecim, Wen prawie spał, a dowodził Harry. Harry, którego pogarda dla Donovana Numer Cztery nie wymagała tłumacza.

Lianne posłała Kyle'owi ostrzegawcze spojrzenie.

On zaś odwzajemnił się nieprzyjemnym, pozbawionym ciepła uśmiechem. Gdyby Harry się domyślił, że Lianne natrafiła na łatwy cel, Kyle zostałby natychmiast wyłączony z gry. A to, że toczy się tutaj jakaś gra, było dla niego zupełnie oczywiste.

Jak również i to, że Lianne tkwi w tej aferze po sam uparty podbródek.

10

Archer wszedł do pokoju Kyle'a bez pukania, potrząsnął nim niezbyt delikatnie i pomachał mu przed nosem egzemplarzem „USA Today”. Kyle otworzył jedno oko, spojrzął na zegarek i odwrócił się bez słowa. Podobnie jak ich siostra Honor, wierzył, że wczesny ranek należy witać z zamkniętymi oczyma.

- Nie tym razem - powiedział Archer, zdzierając z niego kołdrę. -Odezwij się do mnie. Od trzech godzin prowadzę bardzo niemiłe rozmowy telefoniczne.

- Jest dopiero szósta.

- W Waszyngtonie D.C. życie zaczyna się wcześnie, szczególnie wówczas, gdy Chiny robią aferę o skradzione dobra kulturalne. Wstawaj!

- Położyłem się o drugiej, ty obudziłeś mnie o trzeciej...

- ...mimo że pociągało to za sobą pewne ryzyko - mruknął Archer.

- ...a ja kazałem ci się odwalić i znowu zasnąłem - dokończył Kyle.

- Dlaczego w takim razie narzekasz? Spałeś całe cztery godziny.

- To mi nie wystarczy.

- Będzie musiało. Ty się bawiłeś z Tangami, a tymczasem nowina o szacie pogrzebowej Farmera dotarła do Republiki. Chińczycy nie są zachwyceni.

Chłodne powietrze otrzeźwiło Kyle'a. Nie mógł dosięgnąć kołdry, leżał z gołym tyłkiem na łóżku, a Archer nie zamierzał ustąpić. Klnąc pod nosem, wyskoczył z łóżka, pobiegł do łazienki i zatrzasnął drzwi.

Uśmiechając się lekko, Archer poszedł po nagrodę dla brata - filiżankę kawy, która mogłaby przeciąć stal.

Kyle nie wierzył w zimne prysznice. Jeśli musiał wstawać o świcie, to przynajmniej należał mu się gorący tusz. Już był na dobrej drodze do parującego błogosławieństwa, gdy Archer otworzył kabinę i zakręcił kurek z ukropem.

W dwie sekundy później Kyle, krzycząc, wyskoczył z kabiny.

- Wyszusz się - powiedział Archer, owijając głowę brata dużym ręcznikiem. - W kuchni stoi kawa.

- I jedzenie.

- Myślisz, że jestem kelnerem?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, co myślę!

- Przeczytaj gazetę, a ja tymczasem przypalę dla ciebie jajka.

- To sam je będziesz jadł!

- Czytaj! - nakazał Archer z niecierpliwością rannego ptaszka, który pragnie obudzić cały świat.

Kyle wciągnął stare spodnie od dresu i wszedł do pogodnej żółtej kuchni. Za oknem nisko wiszące chmury, wiatr i słońce walczyły o panowanie nad Seattle. Archer wbijał jajka do miski; bosonogi, w wysłużonych dżinsach i niebieskiej koszuli, wyglądał znacznie młodziej niż na trzydzieści pięć lat, które niedawno skończył.

- Kawa - powiedział Kyle, ziewając.
- Otwórz lepiej oczy, knypku. Stoi na stole.
- Sam jesteś knypek! - mruknął Kyle. - Miałem wczoraj na sobie twój smoking, już zapomniałeś?
- I moje buty.
- Uwierały mnie jak cholera.
- Bo to buty do smokingu. Użyłeś reszty pożyczonych rzeczy, czy tylko miałeś je przy sobie?
- Miałem je przy sobie.
- To dobrze. Wujaszek wolałby nie sprzątać żadnych trupów. Kyle podzielał zdanie brata, ale było za wcześnie na ugodę.
- W takim razie Wujaszek nie powinien nas zmuszać do uprawiania takich niebezpiecznych sportów.
- Wypij kawę, bo sam to zrobię.

Kyle podszedł do długiego stołu, zajmującego sporą część kuchni. Po jednej stronie stały dwa kawiarniane taborety z kutego żelaza przeznaczone dla tych członków rodziny, którzy nie mieli ochoty na siedzenie w półkolistej niszy śniadaniowej. Na wprost jednego z taboretów stał parający kubek z wypisaną sentencją, że najgorszy dzień spędzony na rybach jest lepszy niż najbardziej udany dzień pracy Kyie przeczująca!, że kawa jest mocna i cierpka, taka, jaką zwykle pił Archer, ale było mu to zupełnie obojętne.

Gdy wziął do ręki kubek, zrozumiał, że wydarzyło się coś naprawdę ważnego: w kawie była śmietanka. A widząc Archera krojącego ser i grzyby na omlet, zaniepokoił się nie na żarty.

- Aż tak źle, co? - spytał, przełykając kawę.
- O co ci chodzi?
- Kawa ze śmietanką i omlet zamiast jajecznicy. Czegoś ode mnie chcesz.

- Czytaj! - powiedział Archer.

- Nie wybierasz się już do Japonii? Zaraz, może to miała być Australia?

Archer popatrzył wymownie na Kyie'a. Jego szarozielone oczy przybrały zimny, stalowy odcień. To zamknęło dowcipnisiowi usta i Kyie wziął wreszcie gazetę do ręki.

„Multimiliarder kupuje grób cesarza” - krzyczał nagłówek w spisie treści i podawał numer strony, na której zamieszczono artykuł na ten temat. Kyie przerzucił gazetę i odnalazł niewyraźną fotografię szaty pogrzebowej Hana. „Cenna jadeitowa szata pogrzebowa starożytnego władcy” - informował napis pod zdjęciem. Autor krótkiego artykułu określił przypuszczalny wiek grobu na sześćset lat, ale nie wymienił żadnych nazwisk czy instytucji przypuszczalnych odkrywców. Nie wspominał również o miejscu, w którym dokonano znaleziska. Pisał o „wspaniałych” i „bezcennych” przedmiotach, lecz nie przytoczył o nich żadnych konkretnych informacji.

- Po to zerwałeś mnie z łóżka? - spytał Kyie. - Już ci wczoraj mówiłem, że szaty pogrzebowe Hana są rzadkie, nawet bardzo rzadkie, ale nie unikatowe. A więc być może pochodzą z grobowca Cesarza Jadeitu, a może nie. O tym zadecydują naukowcy. Ale artykuł prasowy na pewno nie wpłynie w żaden sposób na ich orzeczenie.

Jajka upadły z sykiem na gorącą patelnię. Kyie'owi zaburczało w brzuchu. Kawa postawiła go na nogi, ale nie zastąpiła jedzenia.

- Co słyszałeś na aukcji? - spytał Archer.

- Ploty.

- Chcesz, żebym ci wrzucił ten omlet na głowę, czy wolisz go zjeść?

- Jeszcze zanim Farmer zaczął się chwalić swoim nowym garniturem, pytałem Lianne o grób Cesarza Jadeitu. Powiedziała, że chyba go nie znaleziono, a jeśli nawet, to już na pewno nie obrabowano.

- Dlaczego tak sądzi? - dociekał Archer, nie podnosząc nawet wzroku znad patelni.

- Może dlatego, że nie słyszała, by aktualnie ktokolwiek wyprzedawał wysokiej jakości przedmioty pochodzące z grobowca.

- Pewnie złodzieje wyzbywają się ich stopniowo, nie wszystkich naraz.

- To samo jej powiedziałem.

Archer zsunął omlet na ciepły talerz i postawił go przed Kyle'em.

- I co ona na to?

- Przed czy po tym numerze Farmera?

- Przed.

- Stwierdziła, że taka sprzedaż obniżyłaby wartość kolekcji, ale za to nie wzbudziłaby podejrzeń.

- I co sądzisz?

Kyie odchylił się do tyłu tak mocno, że krzesło niebezpiecznie za-kołysało się na dwóch nogach, chwycił widelec i zaatakował omlet. Mówił i jadł jednocześnie, będąc zdania, że jeśli Archerowi się to nie spodoba, może zamknąć oczy.

- Sądzę, że ona więcej myśli, niż mówi.

Archer nalał sobie filiżankę kawy, oparł się o ladę i skupił całą uwagę na Kyle'u.

- Coś konkretnego, czy znów twoje słynne przeczucie?

- Lianne nie interesuje się specjalnie tą epoką, ale była gotowa walczyć z tłumem i strażnikami Farmera, byle tylko zobaczyć szatę.

Archer wzruszył ramionami. Oświadczenie Kyle'a nie wywarło na nim zbyt wielkiego wrażenia.

- No i jeszcze ten jadeit z wykopalisk, naprawdę godny cesarza: ostrze długie na dwadzieścia centymetrów, w kolorze mchu, z domieszką żółci pozwalającą jedynie odkryć wzór kamienia. Lianne powiedziała, że te plamy znajdują się akurat we właściwych miejscach, by spodobać się Azjatom.

- Sądziła, że ostrze może pochodzić z grobu?

- Nie mogła wykluczyć takiej ewentualności.

Archer mruknął coś pod nosem i usiadł naprzeciwko Kyle'a.

- Nie jesteś szczególnie pomocny.

- Może i nie. Ale ona licytowała to ostrze.

- Bo znalazło się na aukcji.

- Lianne interesuje się głównie okresem Walczących Królestw - powiedział Kyle z ustami pełnymi omletu. -A ostrze pochodziło z neolitu.

- Widocznie miała na nie klienta.

- Może.

- Ale ty tak nie uważasz? - dopytywał się Archer, sącąc kawę i patrząc na brata znad krawędzi kubka.

- Kiedy ją przelicytowano, odniosłem wrażenie, że to dla niej porażka o charakterze osobistym, nie zawodowym.

- Znowu intuicja?

- Owszem, a co, zazdrościsz?

- Wolałbym się raczej oprzeć na czymś konkretnym.

- Na przykład na pistolecie? - odparował Kyle.

- Na przykład na Tangach. Ilu członków konsorcjum miałeś okazję poznać?

- Z najbliższej rodziny? -Tak.

- Wszystkich mężczyzn oprócz Joego, Syna Numer Jeden.

- A co ci mówi przecucie na temat Harry'ego?

- Gdybym był na miejscu Joego, oglądałbym się za siebie nieco częściej; Harry lubi rządzić.

- A Wen?

- Jest stary i starzeje się coraz bardziej. Ma bardzo słaby wzrok i zreumatyzowane ręce.

- Można się obyć bez oczu i rąk. Co z jego umysłem?

- Nie mówię po chińsku, więc trudno mi sądzić. Ale Harry odnosił się do swego tatusia z prawdziwą atencją, toteż sądzę, że umysł Wena funkcjonuje prawidłowo.

Archer zajrzał do kubka z kawą. Była czarna jak diabeł i gorzka jak klęska.

- Wen ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Kyle gwizdnął cicho.

- A Joe?

- Sześćdziesiąt trzy.

- Harry nie wygląda na więcej niż pięćdziesiątkę. Dorobił się też paru siwych włosów na głowie, ale ty też się możesz takimi poszczycić, staruszk.

- Jak nie przestaniesz mnie drażnić, to w ogóle stracisz głowę -odparł spokojnie Archer. - Harry skończył niedawno pięćdziesiąt osiem lat.

- A Johnny?

- Pięćdziesiąt siedem. Jest jeszcze osiem dziewcząt. Najmłodsza przekroczyła czterdziestkę, najstarsza liczy już sobie siedemdziesiąt jeden lat. Rodzina Tangów jest w pewnym sensie staroświecka. Kiedy siostry powychodziły za mąż, przestały nosić nazwisko Tang.

- Lianne ma ile... Dwadzieścia dwa lata?
- Prawie trzydzieści. Kyle uniósł brwi.
- Widać to zasługa wody z Hongkongu. Prawdziwa fontanna młodości.
- Lianne wychowała się w Seattle.

Kyle zakołysał się na stołku, a metalowe nogi zgrzytnęły o podłogę.

- A reszta jej rodziny?
- Przed trzynastym rokiem życia Anna Blakely mieszkała w wielu domach zastępczych. Potem uciekła do miasta i w dwa lata później urodziła Lianne. Johnny, wówczas dwudziestosiedmioletni, mógł się już pochwalić żoną, Chinką z Hongkongu, oraz dwojgiem dzieci.

- Bardzo obrotny facet.
- I taki już pozostał. Lianne ma siedmioro przybranego rodzeństwa.
- A matka Lianne była blisko z Johnnym w czasie, kiedy on płodził więcej

Tangów?

- Bardzo blisko.
- Z powodu pieniędzy?
- Sam ją o to zapytaj - powiedział Archer. - Wszystko wskazuje na to, że przy Johnnym od samego początku nie powodziło jej się najgorzej. Nawet jeśli kiedykolwiek sypiała z kim innym, to nikt o tym nie wiedział.

- Dopóki śmierć ich nie rozłączy, tak?
- W niektórych przypadkach to działa.

Kyle głośno popchnął krzesło do lady i podsunął Archerowi dzbanek. Brat bez słowa dołał mu kawy. Kyle upił łyk, wzdrygnął się, ale nie zrezygnował i znów zaczął sączyć gorący napar. Śmietanki dodawał tylko do pierwszej porannej filiżanki. Pomyślał, że potem wystarczą mu pigułki z laktozą albo po prostu położy się spać.

- Wiesz coś może o takim jednym przystojniaku, Lee Chin Tangu? - spytał Kyle.
- Dlaczego pytasz?
- Bo on chciałby mnie zabić. A ja nie wiem dlaczego. Archer popatrzył znad kawy, którą właśnie nalewał dla siebie.

- Czy to właśnie z powodu Lee wróciłeś do domu po broń?
- Nie, ale kiedy go spotkałem, byłem bardzo szczęśliwy, że mam ją przy sobie.

- Jak on wygląda?

- Trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Chińczyk o gwiazdorskiej urodzie amanta filmowego. Nie zna angielskiego, a wzrokiem potrafiłby skutecznie prześwidrować stal.

- Nikt mi o nim nie wspominał, co znaczy, że nie jest to żaden z najważniejszych graczy w konsorcjum.

- Ale chciałby być najważniejszy w łóżku Lianne. Archer uniósł pytająco brew.

- I co ona na to?

- Zmroziła go lodowatym spojrzeniem.

- Mówiłem ci przecież, że woli blondynów.

- A co z tym facetem, który nas śledził?

- Też był blondynem?

- Może ty mi to powiesz.

- Niewykluczone, że ciągnąłeś za sobą ogon, wychodząc z aukcji. Trudno mieć w tej sprawie jakkolwiek pewność, bo ludzie strasznie się pchali, żeby zobaczyć szatę. - Archer potarł czarną szczecinę, której nie miał czasu ogolić. - Wiem natomiast na pewno, że do hotelu wracałeś bez towarzystwa.

- Dlaczego w takim razie Wujaszek tak się do ciebie przyczepił? - spytał po chwili Kyle. - Tylko nie sprzedawaj mi kita o tym artykule w gazecie.

Archer pociągnął spory łyk kawy i smętnie spojrzał na nędzne resztki na dnie kubka.

- Pytałem ją o to wielokrotnie. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi wartej powtórzenia.

- Ją? Wciągnęli w to znowu... jak jej tam?

- O kim mówisz?

- O starej kumpelce Jake'a.

- Już wiem. Ale jej nie znam. Ona jednak zna ciebie. Widocznie była na aukcji. Bardzo się zdziwiła, że tu nocowałeś. I to w dodatku sam.

- Rany! - mruknął Kyle. - Naprawdę sobie nie życzę, żeby Wujaszek wtykał nos w moje prywatne sprawy.

Archer nie odpowiedział. Nie musiał. Gdyby się dobrze czuł w roli tajniaka, zapewne by z niej nie zrezygnował. Kyle zerknął na zegarek.

- Co masz na dziś w planie?
 - Wykład o jadeitach.
 - Słucham?
 - Lianne poświęci mi pięć godzin i pięćdziesiąt jeden minut swego cennego czasu.
 - Ktoś to będzie liczył? - spytał sucho Archer.
 - Owszem. Ja. I ona. Za każdą godzinę usług „wypchanego słonia” ona udzieli mi godzinnej lekcji na temat kupna i sprzedaży jadeitu.
 - „Wypchany słoń” - powtórzył obojętnie Archer. - To chyba coś znaczy, prawda?
 - Jestem duży.
 - Jesteś knyp.
 - W porównaniu z Han Wu Sengiem...
 - Z Sengiem! A co on ma wspólnego z całą tą sprawą?
 - Znasz go?
 - Nie, ale Wujaszek go zna. Seng dotuje amerykańskie partie polityczne. Pełni również rolę łącznika między chińską elitą i zamorskim wojskiem triady Czerwonego Feniksa. Triada zdobyła monopol na dystrybucję heroiny między Vancouver i Hongkongiem.
 - Fajny facet.
 - W porównaniu z innymi - owszem. Kyle zwęził oczy. Brat mówił całkiem poważnie.
 - Nawet nie chcę o tym słyszeć!
 - Ja też nie chciałem, ale czasem człowiekowi braknie szczęścia. W jaki sposób poznałeś Senga?
 - Na aukcji. Lianne twierdzi, że to właśnie z powodu Senga chciała nawiązać ze mną znajomość. Bo jestem duży.
 - Więc potrzebuje rycerza w lśniącej zbroi, takiego, który przepędziłby smoka. Czy tak?
 - Jeśli nawet, to ma pecha. Ten rycerski interes nie jest wart funta kłaków.
- Archer uniósł kubek na znak zgody.

- Nie zapomnij o dzisiejszej kolacji.
- Jakiej kolacji?
- Honor wiedziała, że nie będziesz pamiętał. Rodzice obchodzą trzydziestą szóstą rocznicę ślubu.

Kyle walnął się pięścią w czoło.

- Cholera, muszę im coś kupić!
- Honor już się tym zajęła. Oddasz jej później. Dzięki Bogu za małe siostrzyczki.
- Muszą się czasem na coś przydać, nie?
- Śmieszne - powiedział Kyle. - Faith i Honor mówiły to samo o młodszych braciszkach.

- Skoro już wspomniałeś o Faith... - Twarz Archera była zupełnie pozbawiona emocji. - Na przyjęcie wybiera się z narzeczoną. To Anthony Kerrigan. Mogę się założyć, że będzie miała brylant na palcu.

Kyle syknął przez zęby coś równie niesympatycznego jak wyraz jego twarzy.

- Ja też nie lubię tego sukinsyna — odparł spokojnie Archer. - To jednak wyłącznie nasz problem. Od kiedy Honor wyszła za męża, Faith czuje się naprawdę bardzo samotna. Jeśli dzięki Tony'emu odzyska formę, to już niech tak będzie. Masz się tu stawić o siódmej z miłym uśmiechem na buźce.

- Zamierzałem się spotkać z Lianne.
- To ją też przyprowadź.
- Cudownie! - odparł Kyle. - Zaproś agentkę z rodziny Tangów na przyjęcie do Donovanów po to, by miała okazję poznać tego gównozjada, który ma zostać mężem Faith!

Archer przeczesał palcami włosy.

- Gdybym sądził, że to coś pomoże, zabrałbym Tony'ego na Alaskę i nakarmił nim misia grizzly.

- Już jadę po bilety na samolot
- Nigdy ci się nie wydawało, że jesteśmy stanowczo zbyt opiekuńczy w stosunku do naszej małej siostrzyczki?

- Nie. Tony przegrał w punkcie wyjścia. Sądzi, że małżeństwo z Faith to dożywotni bilet do raju. Jak się zorientuje, że Faith nie weźmie od rodziny nawet centa, którego sama nie zarobiła, wszystko diabli wezmą.

Archer nie zaprzeczył.

- Gdybym sądził, że to przyspieszy całą sprawę, przekazałbym Faith wszystkie informacje, jakie zdobyłem o Tonym, ale ona...

- Wygadaj się lepiej przede mną - zaproponował Kyle. Już dawno się przekonał, że Faith bywa uparta, szczególnie wówczas, gdy bracia ingerują w jej życie.

Co zresztą czynili stale.

- Tony to niezły uwodziciel, ale na dłuższą metę zupełnie się nie sprawdza. Jego pierwsza żona z Bostonu zaskarżyła go do sądu o niepłacenie alimentów. Dziewczyna z Las Vegas musiała zrobić przez niego dwie skrobanki. Inna, z Miami, sądzi, że Tony zamierza się z nią ożenić, gdyż za dwa miesiące urodzi mu syna, czyli następcę tronu.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

- A więc stary, dobry Tony chce się przekonać, jak wygląda tycie w innym świecie? To ja mu pokażę! Zabiorę go na ryby na Kamczatkę. To wielki kraj. Dziki. Pusty. I problem z głowy.

- Zapamiętam to sobie. Ale najpierw dajmy Faith szansę. Niech się sama o tym przekona.

- Za późno. Mówiłeś, że przyjdzie z brylantem na palcu.

- Ale to będzie tylko pierścionek zaręczynowy. Nie obrączka. Jeszcze nie.

- I nigdy nie! - stanowczo powiedział Kyle. - Serio. Kobiety takie jak Faith i Honor to zagrożony gatunek: są przyzwoite, •wspaniałomyślne, uczciwe. Jake broni Honor. A Faith może liczyć tylko na nas.

- Faith jest niegłupią dziewczyną, tylko strasznie upartą. Hormony i pobożne życzenia przestaną działać bardzo szybko. Prędzej czy później sama się przekona, że Tony to zwykły buhaj rozplodowy. Tyle.

Przez chwilę Kyle się nie odzywał. Patrzył tylko na cienie chmur przesuwające się po żółtych ścianach kuchni.

- Tony najwyraźniej lubi robić dzieci. Co będzie, jeżeli Faith zajdzie w ciążę, zanim zdrowy rozsądek dojdzie do głosu?

- Zyskamy siostrzenicę lub siostrzeńca do rozpieszczania - zauważył łagodnie Archer. - A ten szczęśliwy bobas będzie miał tylu ojców, ilu jest Donovanów.

Kyle wypuścił z sykiem powietrze. Dokończył kawę i odstawił kubek na szklaną taflę stolika.

- Zjawię się o siódmej. Z Lianne.

- Jedziesz po nią? Skinął głową.

- Zgłoś się, jak będziecie wyruszać, to was popilnuję.

- Co za odmiana! Tym razem będę wiedział, kto za mną jedzie. A jeśli już teraz ktoś śledzi Lianne?

- Liczę na to! - odparł Archer z drapieżnym oczekiwaniem. Widząc wyraz jego oczu, Kyle niemal od razu zaczął współczuć

szpiegowi Lianne. Tak naprawdę żałował jednak wyłącznie tego, że nie będzie mógł towarzyszyć Archerowi i postawić tej osobie żadnych pytań.

- Pewnie spóźnisz się na kolację - powiedział Kyle.

- To zależy.

- Od czego?

- Jeśli tablica rejestracyjna ogona Lianne należy do Wujaszka, to będę na czas.

- Dlaczego rząd miałby się interesować Lianne?

- Żeby ustalić, dokąd ona chadza.

- Pocałuj mnie gdzieś! Wiesz, o co pytam!

- Może chcę się przekonać, czy jest czysta, czy nie. Ja bym to na pewno zrobił.

Kyle właśnie zamierzał powiedzieć, że Lianne nie ma z tym nic wspólnego, ale w porę ugryzł się w język. Jego przeczucia zupełnie się nie liczyły.

Dla niego samego też byłoby zresztą znacznie lepiej, gdyby nie traktował intuicji zbyt poważnie.

- A jeśli tablice należą do kogoś innego?

- Wtedy życie stanie się ciekawsze.

11

Lianne przejechała przez granicę amerykańsko-kanadyjską bez kłopotów i formalności, nie licząc uprzejmego skinienia głowy i pożegnalnego gestu ręki.

Samochody bez nalepek zezwalających na częste przejazdy stały w kolejce szerokiej na cztery auta i długiej na dwadzieścia, a ich kierowcy odpowiadali na pytania dotyczące roślin, sprayów, tytoniu, alkoholu, brom i innych zakazanych owoców.

Gdy Lianne wjechała na grubego „śpiącego policjanta” - zmuszającego do zwalniania ruchu aut opuszczających strefę przygraniczną- zerknęła na zegarek. Po prawej stronie szerokiej wyasfaltowanej drogi kanadyjscy celnicy przeszukiwali kufry samochodów swoich rodaków. Najczęstsze pogwałcenie prawa celnego polegało na przemyście nie zgłoszonych towarów amerykańskich - zarówno skarpetek, jak i papierosów. Wysokie kanadyjskie podatki sprawiły, że dla skądinąd uczciwych obywateli szmuglowanie artykułów osobistego użytku stało się nie tylko kuszące, ale wręcz nieuniknione.

Jadeitowe skarby z bagażnika czerwonej toyoty Lianne nie podlegały oczeniu. Żadnych podatków czy deklaracji. Lianne nie potrzebowała również strażników, goryli, broni ani innych akcesoriów używanych przez ludzi konwojujących pieniądze; wiozła towar bardzo zwyczajny, a w dodatku taki, którego łatwo się pozbyć. Przewożony przez nią jadeit był bezcenny, co nie znaczyło, że udałoby się go z łatwością zamienić na gotówkę.

Mimo wszystko Lianne bez przerwy zerknęła w lusterka. Po wydarzeniach na aukcji odczuwała ciągły niepokój. W głębi serca jednak wcale nie wierzyła w to, że jest śledzona. Żadne auto nie uczepliło się kurczowo jej zderzaka, nie podążało za nią uparcie, niezależnie od tego, gdzie skręciła. Kilka wozów brało paliwo na tej samej stacji benzynowej, ale to przecież nic nie znaczyło. Benzyna w Kanadzie kosztowała dwa razy tyle co w Stanach, Zapobiegliwi kierowcy kupowali więc na zapas.

Tuż za granicą ruch kierowano na BO. Nowe posiadłości - sypial" nie współczesnego Vancouver - walczyły z krowami o tereny położone między granicą a ostro wijącą się rzeką Fraser. Samo miasto - ściana białych domów wciśnięta między dzikie czarne góry i zimne niebieskie morze - leżało po drugiej stronie rzeki.

Piękne położenie Vancouver wywarło jak zwykle ogromne wrażenie na Lianne. San Francisco szczyliło się cudownymi widokami, lecz Vancouver mogło się pochwalić jeszcze piękniejszą scenerią -choćby zapierającym dech mostem prowadzącym do chronionego, głębokiego portu. W porównaniu z San Francisco miastu brakowało

jedynie San Andreas Fault. Mieszkańcy Vancouver wydawali się zadowoleni z życia. Los oszczędził im również nerwów powodowanych trzęsieniami ziemi.

Lianne panowała nad emocjami. Tej nocy śniła o wiekowych ja-deitowych szatach i seksualności Kyle'a Donovana. Gdyby nie była tak zdecydowana na rozmowę z Wenem, złamałaby starą zasadę zakazującą seksu na pierwszej randce i poszła z Kyle'em do jego mieszkania.

Opuszczone kącki ust nadały jej twarzy wyraz goryczy. Mimo oczywistych zalet samotnie spędzonej nocy żałowała, że Kyle jej nie zaprosił. Nie spałaby wcale krócej, a z pewnością bawiłaby się znacznie lepiej. Co do tego nie miała wątpliwości.

I właśnie dlatego miała kiepski sen. Ponadto Harry kategorycznie nie zgodził się na to, by odwiozła Wena do Vancouver - po zwróceniu jadeitów do skarbcza - i po przyjęciu sam zajął się ojcem.

Posiadłość rodzinna Tangów, złożona z kompleksu budynków, znajdowała się przy bardzo ruchliwej ulicy Greenville. Z zewnątrz do złudzenia przypominała więzienie. Wysokie, solidne ściany w różnych kolorach, bez okien, wchodziły prosto na chodnik. Choć kompleks wyglądał tak, jakby był złożony przynajmniej z czterech osobnych domów stykających się ścianami, lecz mających osobne wejścia, jedynie niektóre z tych wejść dokądś prowadziły. Całość przypominała frontony domów w zachodnim stylu.

Natomiast za prawdziwymi drzwiami i bramami mieścił się zupełnie inny świat. Piękny i spokojny. Na centralnym dziedzińcu rosły karłowate klony i jałowce, kwitły rododendrony i azalie. Ptaki piły wodę ze stawu, wokół którego, niczym ogromne flagi, pyszniły się wielkie koi, akacje hawajskie. Ciszę wypełniał zapach wczesnych lilii i słodkiego deszczu.

W lecie dziedziniec pełen był pszczoł i śmiechu bawiących się dzieci; jesienią płonął kolorami klonu i jesionu, zimą zaś spał wdzięcznie jak biało-czarny kot, zbierający energię na wiosenne psoty.

Lianne widywała dziedziniec o każdej porze roku, ale nigdy nie dołączyła do innych kobiet z rodziny Tang, które siadywały, śmiały się i rozmawiały, podczas gdy ich dzieci goniły za motylami lub bawiły się w betka. Lecz Lianne nie trzymała się na uboczu z powodu bariery językowej; traktowano ją po prostu jak pracownika Tangów,

a nie członka rodziny. A to była przeszkoda znacznie poważniejsza i trudniejsza do pokonania.

Daleki, wiekowy kuzyn Tangów, pełniący funkcję lokaja i odźwiernego, czekał na nią przy bocznym wejściu.

- Wuj Wen śpi. Zmęczyła go wczorajsza uroczystość. Daniel pomoże ci odnieść jadeity.

Serce Lianne zatrzymało się na chwilę, po czym zaczęło bić jak oszalałe. Daniel był trzecim synem Johnny'ego. Jej przyrodnim bratem. Widziała go wiele razy, lecz nie miała dotąd okazji z nim rozmawiać. Tak naprawdę to poza wczorajszym przyjęciem nigdy nie znajdowała się na tyle blisko swych braci, by móc zamienić z nimi cnotę parę słów.

Zanim zdążyła podziękować za pomoc, Daniel zszedł szybko ze schodów ów wejścia dla służby, gdzie zaparkowała samochód. Mimo że Lianne w ogóle go nie widywała, zdobyła o nim całkiem sporo informacji, podobnie zresztą jak o pozostałym rodzeństwie. Do dziesią*

tego roku życia Daniela wychowywano w Hongkongu, a potem wysłano do krewnych w Los Angeles. W wieku dwudziestu sześciu lat Daniel miał już dyplom magistra sztuki Uniwersytetu Południowej Kalifornii, stopień magistra praw z Harvardu i poruszał się z łatwością w obu społecznościach: chińskiej i amerykańskiej.

Lianne najbardziej jednak uderzyło niezwykle podobieństwo Daniela do ojca. Ich wspólnego ojca. Daniel odziedziczył po Johnnym postawną sylwetkę, interesującą twarz i silne ręce. Był od Lianne wyższy o dwadzieścia centymetrów i cięższy o trzydzieści pięć kilogramów.

I wystarczyło tylko na niego spojrzeć, by wiedzieć, że nią pogardza.

- Otwórz bagażnik! - rozkazał krótko. - Włożę jadeit z powrotem do skarbca. Nie musisz ze mną iść.

- To miłe z twojej strony, ale muszę sama dopilnować, aby wszystko trafiło na swoje miejsce - odparła, przybierając oficjalny, chłodny ton. - Tak, jak życzył sobie Wen.

- Posłuchaj, panienko. Nie ma potrzeby, żebyś pętała się po okolicy w oczekiwaniu na aprobatę Wena. Wyślij po prostu rachunek do Jade Trader; dziadkowi nie zależy na twojej pomocy.

Ogarnął ją gniew i zarazem Wstyd; przyrodni brat traktował ją jak domokrażcę. Przez chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Potem jednak uniosła dumnie podbródek i patrząc Danielowi w oczy, powiedziała:

- Wen Zhi Tang powierzył mi zaszczytną funkcję zorganizowania ekspozycji Jade Trader w Seattle. To pociąga za sobą również obowiązek dostarczenia wszystkich jadeitów do skarbcza. Wszystkich. Co do jednego. Jeśli ci to przeszkadza, nie patrz!

- Chciałabyś, co? Chciałabyś zostać sama z całym tym jademitem.

- Nie po raz pierwszy miałabym taką okazję.

- Wiem. I dlatego mnie to martwi.

- Sugerujesz, że nie można mi ufać? — spytała lodowato.

- Ostra jesteś, co? Ale ja już od dawna to podejrzewałem. Już od kilku miesięcy.

- O czym ty mówisz?

- Zgrywaj niewiniątko przed kim innym - uciał. - Od dziś ilekroć wejdiesz do skarbcza, nie opuszczę cię ani na krok. Jak mnie tu nie będzie, to nic z tego! A będę bywał bardzo rzadko!

- Chodźmy do Wena i...

- Dosyć tego łążenia do Wena - przerwał Daniel. - Wen jest stary, chory i potrzebuje spokoju. Od dziś będziesz miała do czynienia ze mną. Ja jestem teraz rodzinnym ekspertem od jadeitów.

- A co na to Joe Ju Tang?

- Nic tobie do tego! Nie należysz do rodziny.

Daniel nie zdołał powiedzieć nic więcej, bo od progu dobiegł czyjś głos - cichy, ale nie pozbawiony siły.

W drzwiach stał starzec. Wiatr szarpał mu ubranie i rozwiewał długie, sięgające karku, przerzedzone włosy. Wen był niewiele wyższy od Lianne i zaledwie o dwa lub trzy kilogramy cięższy, a jednak ściągał na siebie wszystkie spojrzenia. Miał na sobie idealnie dopasowany ciemnoszary garnitur z mieszanki jedwabiu i wełny, jedwabną

koszulę, ciemnowiśniowy krawat oraz ręcznie szyte buty ze skóry tak miękkiej, że z powodzeniem nadawałaby się na rękawiczki.

- Dlaczego stoisz na zewnątrz, skoro w środku jest ciepło? - spytał niecierpliwie. - Chodź już, chodź! Wiosenny wiatr nie służy starym kościom. Qin, Qin, jesteś tam?

- Jestem - odparł cierpliwie lokaj.

- Zanieś herbatę do skarbcza. I jeszcze ciastka. Zgłodniałem.

- Dziadku - odezwał się Daniel po chińsku. - Nie rób sobie kłopotu. Osobiście dopilnuję, by wszystkie figurki zawędrowały na swoje miejsce.

- Kłopotu? - Wen roześmiał się ochryłym, skrzekliwym śmiechem. - W moim wieku jadeit to jedyny kłopot, jaki mam ochotę sobie robić. Pomóż Lianne oddać moje dzieci do skarbcza. Jeśli będziesz uważnie słuchał i patrzył, może dowiesz się czegoś pożytecznego o tym Kamieniu Niebios.

Daniel pociemniał na twarzy, ale mówił wciąż tym samym, spokojnym tonem.

- Dzięki, dziadku. Muszę się jeszcze dużo od ciebie nauczyć.

- To lepiej się pospiesz - mruknął Wen. - Łupina mojego ciała wysycha coraz bardziej. Już wkrótce uniesie mnie wiatr.

- Nie śmie - odparła Lianne z uśmiechem. - Choć byłby z ciebie wspaniały, waleczny latawiec.

Wen zmarszczył twarz w uśmiechu i chichocząc cicho, zrobił kilka kroków w stronę domu. Nagle się zatrzymał i zerknął przez ramię, szukając maleńkiego, bajecznie kolorowego cienia, gdyż jedynie pod taką postacią widział Lianne.

- Niech chłopak przyniesie jadeit! - rozkazał krótko Wen. - Chodź, dziewczyno! Chodź i opisz mi, jak prezentują się moje dzieci w gniazdkach z jedwabiu, satyny i aksamitu.

Bardziej wyczuła niż dostrzegła starannie kontrolowaną wściekłość Daniela. Kiedy jednak odwróciła ku niemu wzrok, zobaczyła tylko, jak pochyla się nad bagażnikiem jej auta, z którego wydobywa pudła z jadeitem i stawia je ostrożnie na podjeździe tak, jakby najbardziej na świecie pragnął spełniać życzenia Wena.

- Idę, wujku - powiedziała Lianne, przyspieszając kroku. — Lubię służyć ci za oczy. To zaszczyt dla mnie.

Pokrywa bagażnika samochodu opadła z takim trzaskiem, że mogłaby z łatwością powyginać metal. Lianne tylko się skrzywiła, nie powiedziała ani słowa. Przez te wszystkie lata zdołała się już przyzwyczaić do obojętności Tangów, ale otwarta wrogość była dla niej czymś zupełnie nowym. Złapała się na tym, że pragnęłaby mieć teraz przy sobie własnego „wypchanego słonia”. Uśmiechnęła się w duchu, zapominając natychmiast o arogancji Daniela i jego wątpliwościach co do jej uczciwości.

Drzwi wiodły do kuchni. Podobnie jak wszystkie pomieszczenia domu stanowiła ona kombinację stylu orientalnego z okcydentalnym. Barwy, operowanie przestrzenią, podłogi oraz ozdoby miały typowo azjatycki charakter. W zachodnim stylu były natomiast meble, oświetlenie, wyposażenie i biały montaż. Wokół unosił się ulubiony zan Wena - mieszanina orientalnego kadzidła z aromatyczną wonią pieczonego ciasta.

Gdy szli przez kuchnię i w dół korytarzem do skarbcza, Wen wypytywał Lianne o szatę Dicka Farmera.

- Moi wnukowie nie mogli mi udzielić żadnej odpowiedzi -rzekł z irytacją. - Myślą tylko o akcjach, bankach i nieruchomościach. Widziałas to?

- Owszem.

- Ach tak! - Czekał, ale ona już nic nie dodała. - Czy ktoś tu jest? -spytał nagle.

Lianne spojrzała przez ramię. Nikt im nie towarzyszył.

- Nie.

- Czy ta szata dorównuje mojej? - spytał niecierpliwie Wen.

I Była zbyt zszokowana, by odpowiedzieć. Odkryła największy skarb dziadka przypadkiem przed kilkoma laty, kiedy robiła inwentaryzację i inspekcję skarbcza. Znajdowała się właśnie w jednej z głębokich wnęk, gdzie oglądała tacę z pierścieniami i spinkami łuczniczymi, kiedy nagle drzwi się otworzyły, a do skarbcza wszedł Joe z Wenem. Spierali się o konie i dawną kaligrafię.

Lianne postanowiła dokończyć spis. Miała nadzieję, że mężczyźni przestaną się kłócić, zanim ona ujawni swoją obecność. W kilka minut później usłyszała trzask. Wyłoniła się z wnęki i spostrzegła Syna Numer Jeden opartego o coś, co przypominało stalowe drzwi. Kiedy jednak zobaczyła, co za nimi kryje małe pomieszczenie, doznała

szoku; Wen łajał Joego za pijacką niezręczność, a Lianne wpatrywała się w jadeitowe skarby. O ujrzaniu podobnych cudów mogłaby tylko marzyć!

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła w tym momencie, była szata z jadeitu. Jej obraz miała już od dawna głęboko wyryty w umyśle, lecz aż do tamtej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że taki skarb może trafić do prywatnych rąk.

I wtedy zauważył ją Joe. Krzyknął, by się wynosiła. Ale do akcji wkroczył Wen. Podszedł do niej, a widząc, jak bardzo jest wstrząśnięta i zarazem zachwycona jadeitem, po prostu się uśmiechnął. Odprawił Joego, wymógł na niej przysięgę, że dochowa tajemnicy, a potem spędził kilka najmielszych godzin swego życia, ukazując wnuczce duszę rodzinnych skarbów.

Lianne nikomu nie wspomniała o tej szacie. Od tamtej pory widziała ją zaledwie raz - wówczas, gdy Wen pod wpływem ataku choroby lub wściekłości zażądał, by pozostawiono go w skarbcu sam na sam z Lianne. Nauczył ją wtedy otwierać ukryte drzwi; a potem oboje stali w ciszy, dotykając szaty, jakby próbowali czerpać siłę z nieśmiertelnych właściwości jadeitu. Skarbiec opuścili dopiero po godzinie.

Żadne z nich nie mówiło o szacie. Później również nie. Aż do tej chwili.

- Słyszysz mnie? - spytał Wen. - Czy ta jego szata jest wspanialsza od mojej?

Lianne poczuła dziwny ucisk w piersiach. Nie chciała kłamać przed dziadkiem, ale prawda nie mogła jej przejść przez usta.

- Nie obejrzałam jej dokładnie - powiedziała w końcu.

- Dlaczego bogowie mnie pokarali tą beużyteczną istotą rodzaju żeńskiego? - mruknął Wen. - Gdybym to ja brał udział w aukcji...

Głos uwiązał mu w gardle. Gdyby był na aukcji i tak niewiele by zobaczył. Już od miesięcy bowiem widział tylko plamy, zarysy przedmiotów czy ludzi.

- Ale gdybyś pozwolił mi teraz obejrzeć swoją szatę, mogłabym ci powiedzieć, którą uważam za wspanialszą.

- Nie dziś. Daniel jest tutaj.

Stłumiła okrzyk protestu. Przekonywanie Wena do zmiany zdania wywoływało zawsze wręcz odwrotny skutek.

- Pospiesz się z tym zamkiem, nogi mnie bolą! - gderał Lianne obeszła dookoła bezcenny parawan wykonany z koronkowych kawałeczków jadeitu osadzonych w

bogato rzeźbionych ramkach z mahoni. Parawan oddzielał skrzydło, w którym mieścił się skarbiec, od reszty domu. Mruczając coś pod nosem, Wen czekał Lianne upora się z urządzeniem otwierającym wielkie ognioodporne drzwi.

Niektóre jadeity leżały na wierzchu, jakby same prosiły się o to by je podziwiać, kochać i pieścić. Większość jednak ukrywały stalowe szuflady i szafy pancerne. A w pewnym bardzo szczególnym, małym, obitym stalową blachą pomieszczeniu znajdował się piedestał wielkości trumny, na którym spoczywał najbardziej niezwykły skarb Tangów - nietknięta przez wieki jadeitowa szata pogrzebowa z dynastii Han. Małeńki pokoik otwierano rzadko, a mówiono o nim jeszcze rzadziej. Jedynie pierworodny syn Syna Numer Jeden wiedział o istnieniu szaty; rodzinną tajemnicę przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Niegdyś Wen czerpał ogromną przyjemność z faktu, że jedynie on ma dostęp do skarbcza. Po pewnym czasie z wielką pompą przekazał kombinację szyfrową Synowi Numer Jeden w dzień jego trzydziestych urodzin. Joe rozejrzał się jednak po skarbcu bez szczególnego zainteresowania, po czym wysłuchał cierpliwie płomiennego wykładu Wena na temat politycznego, filozoficznego, religijnego i monetarnego znaczenia jadeitu - Kamienia Niebios. A następnie ochoczo powrócił do studiów historycznych nad sztuką starożytnej kaligrafii oraz do praktycznego jej ćwiczenia.

Lianne okazała się znacznie wdzięczniejszym akolitą przy ołtarzu Kamienia Niebios. Przed szesnastoma laty Wen nakazał przenieść kwaterę główną Tang Consortium z Vancouver do Hongkongu i wtedy właśnie odkrył, że nieślubna córka Johnny'ego okazuje niezwykle rzadkie, doskonale, instynktowne wręcz wyczucie jadeitu.

A potem dojrzał Daniel. Choć brakowało mu doświadczonego oka Lianne i jej nieomylnego instynktu, miał inne, bardzo istotne cechy-był Tangiem, mężczyzną i fascynował go jadeit. Wen poświęcił ni gdyś wiele czasu, by odkryć we wnuku to, czego nie znalazł w syn

Wraz z wiedzą przekazał mu tajemnicę kombinacji otwierających skarbiec; wszystkich, z wyjątkiem jednej. I choć Daniel uważał, że nadszedł czas, by wymienić staroświeckie zamki, rozumiał jednocześnie, że dostał ogromnego zaszczytu, poznając szyfr. Jeśli nawet bardzo chciał wiedzieć, co mieści się za zamkniętymi

stalowymi drzwiami w zachodnim skrzydle, nigdy o to nie pytał. Niezależnie od pory dnia i nocy, kiedy Wen poczuł potrzebę kontaktu ze swymi skarbami, Daniel posłusznie schodził do skarbcza, otwierał za pomocą szyfru drzwi prowadzące do schowków i spędzał długie godziny w towarzystwie dziadka, słuchając go i ucząc się od niego coraz więcej.

Wen bardzo pragnął, by jego Syn Numer Jeden choć w połowie dorównywał pilnością Danielowi. Senior rodu z goryczą myślał o tym, że los Tangów przekaże w ręce syna, który tak mało wie o jadeitach, a kocha je jeszcze mniej. Joe nie mieszkał nigdy w apartamentach w Vancouver dłużej niż przez kilka dni. Po prostu nie chciał.

Uczucia, jakimi obdarzył Daniela, nie wpłynęły w żaden sposób na jego poczucie obowiązku w stosunku do syna, podobnie jak wówczas, gdy głos serca nie odwiódł go od oddania ręki najstarszej córki bogatemu kupcowi. Piękno można kupić - władzę trzeba poślubić.

Tak czy inaczej przejęcie majątku przez najstarszego syna nakazywała nie tylko rodowa tradycja, lecz także przekonanie, że Joe najlepiej nadawał się do tej roli. Harrym rządziła nieodpowiedzialna ambicja, Johnny czuł się emocjonalnie związany z Ameryką. A więc jedynie Joe potrafi wznieść rodzinne konsorcjum na wyżyny władzy i prestiżu w dwudziestym pierwszym wieku.

Wen musiał jedynie poczekać, aż SunCo powinie się noga, a Tangowie znów zostaną entuzjastycznie powitani w Hongkongu. Potem Joe mógł już spokojnie dopilnować reszty.

- Ostatni zamek trochę się zacina - powiedziała Lianne, marszcząc brwi. - Sprawdzalesz bębny?

- Daniel się tym zajmie - powiedział Wen, odwracając się w kierunku parawanu. - Jutro, dobrze?

- Dobrze, dziadku - odparł Daniel z drugiego końca pomieszczenia.

Wen mruknął coś z zadowoleniem. Może tracił wzrok, ale za to miał specyficzną dla wszystkich despotów umiejętność wyczuwania obecności drugiego człowieka na sporą odległość.

W końcu ostatni zamek poddał się zdrtwiałym palcom Lianne a drzwi do skarbcza stanęły otworem. Owiało ich chłodne powietrze pachnące kadzidłem. Pomieszczenie

to było niegdyś domem jednorodzinny. Teraz stanowiło dwupiętrowy, ognioodporny skarbiec pełen specjalnych szuflad, szaf i komódek. Tu właśnie mieściła się duma Tangów, sedno bogactwa Wena i jego obsesji: jadeit

- Uważaj na ten stół! - ostrzegła. - Zmienił trochę położenie, odkąd byłam tutaj po raz ostatni.

Wen mruknął coś pod nosem i pozwolił się prowadzić dookoła stołu, którego już nie mógł zobaczyć.

Lianne z nadzieją spojrzała w prawo: tam, za kolejnymi zamkniętymi drzwiami mieściła się szata pogrzebowa z dynastii Han. Dopóki Daniel kręcił się w pobliżu, nie mogła obejrzeć skarbu, gdyż Wen dał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że absolutnie sobie tego nie życzy.

- Usiądź, wuju - powiedziała, prowadząc starca w stronę jedyne siedziska w skarbcu. Obok wygodnego krzesła stał mały stolik, a na stoliku znajdowała się biała jadeitowa misa, oszałamiająco piękna nawet bez specjalnego oświetlenia. Była równie wspaniała, może nawet wspanialsza od eksponatu, który Dick Farmer z taką dumą prezentował na aukcji.

- Twoja ulubiona misa czeka na ciebie. Wen roześmiał się sucho.
- Nadal uważasz, że powinnaś ją była włączyć do ekspozycji?
- Oczywiście.
- Tylko głupiec wystawia swe bogactwo na pokaz zazdrośnikom-
- Oczywiście, wuju.

Mimo to Lianne wciąż żałowała, że misa nie opuściła skarbcu. Ten jadeitowy przedmiot miał nieskazitelny kształt i charakteryzował się ponadto spektakularną, świetlistą prostotą. Doskonałe połączenie sztuki i funkcjonalności z pewnością odwróciłoby uwagę od wystawianych eksponatów.

Lianne popatrzyła z ukosa w stronę, gdzie Wen przechowywał kolekcję ostrzy z epoki neolitu. Choć bardzo pragnęła dowieść, że się pomyliła, i stwierdzić, że ostrze znajduje się nadal w skarbcu, nie potrafiła znaleźć żadnego pretekstu, by podejść do czwartej szafy po prawej stronie, otworzyć piątą szufladę i zajrzeć do środka.

Pomogła Wenowi usiąść, a Daniel tymczasem postawił na stole jedno z pudeł. W tej samej chwili w skarbcu pojawiło się jeszcze pięć innych kartonów; wnieśli je służący, którzy zaraz opuścili skarbiec równie bezszelestnie, jak do niego weszli.

Daniel został. Lianne wystarczyło jedno spojrzenie na jego przystojną, zaciętą twarz, by się domyślić, że wnuk Wena nie zamierza wyjść ze skarbcza, dopóki ona tam jest. Poznanie prawdy o neolitycznym ostrzu i szacie z jadeitu musiało poczekać. Klnąc bezgłośnie, wyciągnęła rękę w stronę pierwszego pudła i zaczęła je ostrożnie otwierać. Karton zawierał birmańską biżuterię, którą Lianne miała na sobie poprzedniego wieczoru. Na klejnoty czekało miejsce w szafie z wąskimi, płytkimi szufladkami wyłożonymi aksamitem.

- Niech Daniel się tym zajmie - powiedział Wen. - A ty przynieś mi wielbłąda Tangów. Już od dawna nie trzymałem w dłoni mojego starego przyjaciela.

Zerknęła na Daniela, ale ten zupełnie nie zwracał na nią uwagi i rozpakowywał drugie pudło z jadeitami z taką miną, jakby sam był w skarbcu.

A potem popatrzył na Lianne. W jego spojrzeniu kryło się ryle nienawiści, że dziewczyna zrobiła mimowolnie krok do tyłu.

- Nie słyszałaś mnie? - spytał ochrypłym głosem Wen.

- Słyszałam, wuju. Przyniosę wielbłąda.

Zastanawiając się, czym sobie zasłużyła na taką pogardę, Lianne przeszła na wschodnią stronę skarbcza, gdzie szuflady wypełniały całą przestrzeń od podłogi do sufitu. Ignorując drabinę, stanęła na palcach i sięgnęła do schowka kryjącego najcenniejsze klejnoty Tangów.

Żadna inna kolekcja wielbłądów nie mogła się równać ze zbiorem Wena.

Szuflada wysunęła się cicho, niemal bezszelestnie, dzięki systematycznie oliwionym płozom. Lianne musiała przyznać, że wnuk Wena dba o skarbiec. Nie będąc w stanie zajrzeć do szuflady, dokładnie obmacała wyłożone jedwabiem dno, gdzie spodziewała się znaleźć wielbłąda z jadeitu. Leżało ich tam kilka, lecz żaden z nich nie odpowiadał kształtem temu, co zapamiętały jej palce.

- Wyjmowałeś go ostatnio? - spytała Lianne.

- Nie słuchasz? Nie miałem go w rękę od dwóch miesięcy. Daniel przerwał rozpakowywanie i zerknął na Lianne. Choć był wystarczająco rosy, by dosięgnąć

szuflady, nie zaoferował pomocy. Po prostu patrzył, jak dziewczyna podstawia drabinę, wchodzi na stopnie i zagląda do środka.

Na jedwabistej wyściółce spoczywały figurki wielkości dłoni. Każdy z wielbłądów znajdował się w pozycji pólężącej. Zwinięty w kłębek, odchyłał giętką szyję do tyłu, a głowę opierał o grzbiet. Kolor kamienia miał odcień od subtelnego kremowego do jasnożółtozielonego. Aby stworzyć wrażenie ruchu i witalności, artysta posłużył się naturalnym zróżnicowaniem barw w tej samej figurce. Dzięki wspaniałej grze światel oglądającemu mogło się wydawać, że jadeitowy wielbłąd po prostu odpoczywa i spokojnie oddycha.

- O, jest - powiedziała Lianne. - Ktoś widocznie zamknął szufladę zbyt energicznie i wielbłąd przesunął się nieco dalej.

- Przynies go, przynieś! - ponaglał Wen.

- Tylko tego jednego?

- Nie słyszysz, co mówię?

- Aż trudno się zdecydować, który jest najładniejszy. Tyle tu pięknych figurek!

Ulubionego wielbłąda Wena wyrzeźbiono z kawałka kremowego jadeitu, przez który przebiegały brązowe żyłki. Sam jadeit odznaczał się wysoko cenioną świetlistością i przejrzystością, a mimo to przywodził na myśl zakurzoną monotonię chińskich pustyń, gdzie wielbłądy woziły na własnych grzbietach marzenia swych jeźdźców.

Lianne wsunęła opuszkę palca pod jedną z podwiniętych nóg wielbłąda; rzeźby Tangów wycinano w taki sposób, by łatwo je było wziąć do ręki. O ile pamięć jej nie myliła - a to się raczej irie zdarzało - w przypadku tej figurki zadbano szczególnie starannie o rozdzielenie palców kopyt, w efekcie czego pod gładkimi stopami utworzyły się niewielkie odciski powstałe zapewne w czasie uciążliwych wędrówek po bajkowym Jedwabistym Szlaku.

W poszukiwaniu tych niemal tajemnych grudek pod kopytami wielbłąda Lianne delikatnie przesunęła palcem po jego stopie.

Nie wyczuła jednak niczego poza gładką, lekko wklęsłą powierzchnią.

Zmarszczywszy brwi ze zdziwienia, odwróciła wielbłąda. Wszystkie palce jego stóp były gładkie. Lianne zajrzała powtórnie do szuflady, szukając innego jasnego wielbłąda poprzecinanego brązowymi żyłkami.

Daniel chwycił wzmocnione specjalną teksturą boki kartonu tak mocno, że omal go nie wygiął. Zwężonymi oczyma obserwował Lianne pochyloną nisko nad szufladą.

- Dziewczyno - powiedział krótko Wen. — Tobie z pewnością zostało jeszcze dużo czasu, ale ja mam wszystko za sobą. Przynieś mi natychmiast wielbłąda! Potrzymam go w dłoni, a ty przypomnisz mi tymczasem, jaki jest wspaniały. Bo ja już tego nie mogę zobaczyć.

Ani wyczuć. Do tego jednak Wen nigdy by się nie przyznał.

Ociągając się nieco, co mógł zresztą zauważyć wyłącznie Daniel, Lianne zeszła z drabiny z figurką w dłoni. Nie był to jednak ten wielbłąd, którego domagał się Wen. Niedokładnie ten. Różnica sprowadzała się do czegoś tak subtelnego jak podeszwy wielbłądzich stóp; Lianne wątpiła jednak, czy Wen ją w ogóle zauważy.

Kiedy wyjęła rękę z szuflady. Daniel przystąpił ponownie do rozpakowywania jadeitu i uważnych oględzin wszystkich figurek. Nie nuała żadnych wątpliwości co do tego, że Tang usiłuje dopatrzeć się śladów nieostrożnego przewożenia. Wiedziała również, że nic takiego nie znajdzie.

- Proszę, wuju - powiedziała.

Ustawiła mu lśniącą brązowo-zieloną rzeźbę na kolanach i poprowadziła delikatnie rękę starca po ponadczasowo pięknych krzywiznach, opisując jednocześnie głośno jadeit. Nie wspomniała jednak ani słowem o najbardziej specyficznej cesze: o delikatnym podziale palców - szczególnie odróżniającym wielbłąda od innych podobnych zwierzątek.

- To kamień najwyższej jakości, prześwieca delikatnie, ale wyraźnie i jest gładki niczym płatki lotosu, garby są żółte, reszta ma kolor wilgotnej, żyznej ziemi. Rysunek wyraźny, absolutnie perfekcyjny. Na lewej tylnej stopie dokładnie widoczna piękna żyłkowata plama. Sam kształt niezwykle elegancki, tak bardzo poszukiwany i jednocześnie wyjątkowo rzadki.

Lianne, opisując jadeit, stosowała tradycyjny chiński system oceny, zwany sześcioma obserwacjami; Wen siedział nieruchomo, jedynie od czasu do czasu kiwał

głową, jeśli jakaś uwaga Lianne szczególnie przypadła mu do gustu. Daniel również słuchał. Jego ręce rozpakowujące figurki i ustawiające je na stole poruszały się coraz wolniej. Co chwila jednak rzucał ukradkowe spojrzenia na maleńki jadeit leżący między kościstymi udami Wena, jakby porównywał słowa Lianne z wyglądem rzeźby. Chodząc po skarbcu i odkładając na miejsce jadeity powracające z ekspozycji w Seattle, żałował, że Wen nie przekazał mu swej ogromnej wiedzy wcześniej, zanim zawiodły go oczy i dotyk. Niestety, z tych bezcennych nauk skorzystał bękart Johnny'ego.

- Tak, właśnie tak - powiedział cicho Wen do Lianne. - Dzięki tobie moje oczy znów żyją.

- Choć w ten sposób mogę ci się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Wen uśmiechnął się szeroko, pokazując żółte zęby.

- Odłóż wielbłąda i przynieś mi coś naprawdę starego, coś tak starego jak chińskie wspomnienia, jak...

- Jadeit z wykopalisk?

- Tak. Większy niż pięść, ale nie za wielki na moje stare dłonie.

- W takim razie ostrze - powiedziała szybko. - Znam tylko jedno takie ostrze, naprawdę wyjątkowe.

- Ach, ostrze cesarza. Przynieś mi je koniecznie! Muszę znów poczuć jego wspaniałość.

Lianne pospiesznie odstawiła wielbłąda i podeszła do północnej ściany półek zarezerwowanych na ostrza. Daniel zagroził jej jednak drogę, zanim zdążyła wyciągnąć szufladę.

- Odejdź! - powiedziała krótko, odsuwając go na bok.

- Mam większe prawo do tego, by tu być.

- Powiedz o tym swojemu dziadkowi. Tu on rozkazuje, nie ty. Daniel wykrzywił usta w obraźliwym uśmiechu.

- Sądzisz, że jesteś bezkarna? Głęboko się mylisz, a ja wiem, jak cię załatwić. - Odwróconą dłonią wskazał szufladę. — No już, ty głupia suko! Graj w swoją grę.

Serce jej zaczęło bić jak młotem, ręce ścierpły ze zdenerwowania i wzburzenia. Miała ochotę zdrapać ten uśmieszek z jego twarzy, ale nie uczyniła żadnego gestu.

Musiała kiedyś znosić jeszcze gorsze wyzwiska, gdy szkolni koledzy odkryli, że jej matka jest kochanką żonatego mężczyzny.

- Odwagi dopiero nabierasz wtedy, gdy schowasz się za dziadkiem - powiedziała spokojnie. - Musisz dorosnąć, chłopczyku. Wejdź do dorosłego świata, tego świata, w którym przyszło nam żyć, choć nie my go tworzymy.

-Ty...

- Zjeżdżaj! - przerwała cicho Lianne z wściekłością w głosie.

- Czekam - zrzędził Wen.

Daniel spojrział na dziadka i przepuścił Lianne. Próbując zapanować nad drżeniem, Lianne otworzyła szufladę. W świetle górnej lampy załśniły poukładane rzędem ostrza z epoki neolitu. Przyszło jej na myśl, że Kyle na pewno bardzo by pragnął obejrzeć.

A potem poczuła dziwny ucisk w okolicy serca: ostrze w kolorze mchu z charakterystycznymi plamami zniknęło.

Odwróciła się na piecie i spojrzała w mordercze, czarne oczy Daniela, tak przerażająco podobne do oczu jej ojca.

- Dlaczego tak się dzisiaj grzebiesz, dziewczyno? - spytał Wen ochryłym głosem.

- Czyżby moje prośby nie były łatwe do spełnienia? To tylko ostrze z wykopalisk, nic poza tym. Wiesz, które lubię najbardziej. Przynieś je!

- No - szepnął Daniel po angielsku. - Zanieś mu to, o co prosi, ty bękarcie. Oczywiście jeżeli ci się uda.

Lianne przeszedł dreszcz. Daniel wiedział, że ostrze zniknęło.

Jego ręka wystrzeliła tuż obok jej ramienia tak szybko, że Lianne ledwo uskoczyła w obawie przed ciosem. Daniel wyciągnął ja-deit z szuflady, ujmując ostrze tak, jakby to rzeczywiście była broń.

- Trzecie od lewej, w drugim rzędzie. Czyż nie tak, dziadku? - spytał Daniel po kantońsku.

- Tak, tak. Już zapomniałaś, Lianne?

Potrząsnęła głową, po czym natychmiast sobie uświadomiła, że Wen jej przecież nie widzi.

- Nie, wuju. Nie zapomniałam.

Popatrzyła na ręce Daniela. Tang wyjął właśnie trzecie ostrze od lewej w drugim rzędzie, lecz nie był to ów bezcenny przedmiot, który pamiętała Lianne. Odrętwiała z przerażenia odeszła od szuflad, a tymczasem Daniel umieścił fałszywe ostrze w powykrzywianych przez artretyzm dłoniach Wena.

Lianne nie rozpoznała jadeitu. Zauważyła jedynie, że ma on ten sam rozmiar i podobny ciężar, co ostrze kupione przez Kyle'a. Przedmiot w dłoniach Wena był wprawdzie półprzezroczysty, ale nie tak błyszczący jak oryginał. I na nim również widniały plamy, lecz nie tak piękne. Kształt miał czysty i wyraźny. Powierzchnia na pierwszy rzut oka wydawała się nie uszkodzona, nie psuły jej żadne wyszczerbienia ani ubytki.

- Ach - powiedział starzec. - Gładkie, ani ciepłe, ani zimne. Jak jedwab. Kolejny stary dobry przyjaciel. Opisz mi ten jadeit, Lianne.

Otworzyła usta, ale nie wypowiedziała ani słowa. Ostrze, którym tak zachwycił się Wen, było na pewno bardzo cenne, w żaden sposób jednak nie mogło się równać z takim na aukcji.

A Wen nie potrafił już ich odróżnić.

- Ja ci je opiszę - zaproponował Daniel.

Z wyraźnym triumfem w głosie rozpoczął opowieść o ostrzu z epoki neolitu, posługując się dawną, niemal poetycką terminologią. Wen kiwał głową i mruczał z zadowolenia, zupełnie tak, jakby spotkał się ze starym przyjacielem.

Gdyby Lianne zamknęła oczy, zapewne dojrzałyby również przedmiot opisywany przez Daniela. Było to ostrze stanowiące obecnie własność Kyle'a Donovana.

12

Kyle przechadzał się nerwowo po poczekalni Jade Statements - firmy Lianne, która miała swą siedzibę na poddaszu budynku wychodzącego na Pioneer Square. O tym, że ktoś prowadzi tutaj działalność gospodarczą, świadczył jedynie szyld w języku angielskim i chińskim, wiszący nad zniszczonymi schodami. Klienci dowiadawali się o Lianne od siebie nawzajem.

Wystrój wnętrza poczekalni nie mógł z pewnością wywrzeć korzystnego wrażenia na niezdecydowanych. Na ścianach brakowało obramowanych certyfikatów, świadczących o umiejętnościach, jak również wykazów nagród. Ale pomieszczenie było czyste, urządzone z powściągliwym smakiem, charakterystycznym dla wybrzeży Pacyfiku. Na stoliczkach leżały katalogi Sotheby'ego i aukcyjne w języku chińskim. Brakowało natomiast typowych kolorowych folderów prezentujących kolekcje, które wyceniła, nabyła lub sprzedała właścicielka firmy.

Choć trudno byłoby się tego domyślić, patrząc na zatroskanego recepcjonistę, Jade Statements nie narzekało na brak klientów. Przez ostatnie piętnaście minut, kiedy to Kyle czekał na Lianne, telefon nie przestawał dzwonić ani na chwilę. Rozmowy prowadzono jednak głównie po chińsku, jedynie kilka przebiegało w języku angielskim. Kyle zdołał podsłuchać tylko opisy paru minerałów i powtarzane wielokrotnie zaprzeczenia, że właścicielka firmy cokolwiek wie o odkryciu grobu Cesarza Jadeitu.

Zerknął na zegarek. Siódma. Miał przyjść o szóstej trzydzieści i zabrać ją na kolację. Wsunął ręce do kieszeni ciemnych spodni i ponownie obszedł poczekalnię. Nic się nie zmieniło. Postanowił, że da Lianne jeszcze trzy minuty, potem zasygnalizuje sprawę Archerowi. Telefon znów się odezwał. Recepcjonista podniósł słuchawkę, poprawił na nosie okulary, warknął coś po angielsku i spojrzał na Kyle'a.

- Do pana.

Kyle podszedł szybko do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Jest? - spytał Archer,

- Nie. Może lepiej sprawdź u Wujaszka, czy nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego.

- Już to zrobiłem. O trzeciej czterdzieści osiem wjeżdżała na południową nitkę przez Pace Lane. Sprawdzali ją w komputerze.

- Widocznie utknęła na I-Pięć, na północ od Ship Canal Bridge.

- Tak też mi się wydawało. Zatelefonowałem do apartamentu i już im powiedziałem, że się spóźnisz, a ja jeszcze bardziej.

- Zostawię dla ciebie kość do ogryzienia.

- Jeśli to wszystko, co zamierzasz mi zostawić, to ty będziesz ogryzał moją piętę.

Kyle z uśmiechem oddał słuchawkę recepcjonistce, wziął katalog i zaczął go przeglądać. Przedstawiony na jednej ze stron piękny birmański kołnierz z jadeitu hipnotyzował niemal wewnętrznym światłem. Cena okazała się jednak równie hipnotyzująca: siedem milionów dolarów. Dla kogoś wychowanego w kulturze ceniącej czyste kamienie szlachetne, takie jak rubiny, szmaragdy, szafiry i brylanty, kołnierz wydawał się zbyt drogi. Dla Azjatów żaden kamień nie mógł się jednak równać z jadem. Kyle patrzył na błyszczące strony katalogu prezentującego najcenniejsze okazy jadeitu, nie mając najmniejszej ochoty na nabycie któregoś z nich. Dla niego piękno, wartość i rzadkość wynikały wyłącznie z historii. Wszystko inne było tylko ładne.

Nagle drzwi się otworzyły. Kyle nie musiał podnosić wzroku, by wiedzieć, że przyszła Lianne. Czysty zapach lilii, deszczu i kobiety podziałał na niego niczym delikatna pieśczoła.

- Przepraszam - powiedziała krótko. - Przedłużyło mi się.

- Nie szkodzi. - Jednym szybkim spojrzeniem objął elegancki krój garsonki, kłamerkę spinającą włosy na karku, a także wyraźne ślady napięcia na twarzy. - Zmęczona? - spytał.

- Bardzo.

- Może przełożymy spotkanie?

Przez chwilę Lianne miała ochotę skorzystać z tej propozycji. Pogarda, jaką okazał jej Daniel, nadal sprawiała ból. Ale jeszcze gorszy był strach, narastający z każdą myślą o ostrzu, bladym wielbłądzie i jadem. Została w skarbcu o kilka godzin dłużej niż planowała, chcąc sprawdzić, czy szata znajduje się na swoim miejscu lub chociaż, czy nie brakuje któregoś z mniej cennych przedmiotów. Jednak jej się to nie udało.

Ilekrót zbliżała się do szuflad, Daniel zaczynał krążyć wokół niej jak sęp. I mimo że bardzo zależało jej na przeprowadzeniu choćby pobieżnego przeglądu, wcale nie zamierzała tłumaczyć się z niczego przed mężczyzną, który patrzył na nią z pogardą i nienawiścią. Nie mogła również otworzyć przy nim pomieszczenia z jadem szatą.

To, czego nie była w stanie zmienić, zepchnęła jednak do podświadomości i skupiła się na chwili obecnej.

- Uczeszę tylko włosy, umaluję usta i zaraz będę gotowa do wyjścia.

Pozostanie w domu w niczym by jej nie pomogło. Podczas jazdy z Vancouver do Seattle miała ponad trzy godziny na myślenie. Bardzo dużo czasu. Zbyt dużo.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większej nabierała pewności, że wydarzyło się coś złego. A potem przyszedł strach, którego nie potrafiła zignorować. Istniały tylko dwie możliwości: albo Daniel naprawdę uważał, że to ona ukradła brakujące jadeity, albo też zamierzał obarczyć ją odpowiedzialnością za zaginięcie kamieni.

Walcząc z mdłościami, poczuła skurcze żołądka. Przez całe życie usiłowała przekonać rodzinę Tangów o swojej wartości, a teraz została potraktowana jak złodziej. Mały bękart.

Wokół zaciśniętych ust Lianne Kyle dostrzegł głębokie bruzdy. Dziewczyna miała bladą, niemal woskową skórę, drżące ręce.

- Lianne? - szepnął, delikatnie dotykając jej ramienia. Odskoczyła.

- Może zjemy spokojną kolację w „Rain Lotus”? - zaproponował. - Nie wytrzymasz naszych rodzinnych kłótni.

Odetchnęła głęboko, zmuszając żelazne obręcze zaciśnięte wokół płuc, by rozsunęły się choć na chwilę i wpuściły trochę powietrza.

- Nie. Jadąc tu z Vancouver miałam dość spokoju. I wcale jej to nie pomogło.

- Jest coś pilnego, Fred? - spytała, odwracając się do recepcjonisty.

- Pani Wong chce się dowiedzieć, kiedy może liczyć na wycenę kolekcji do celów ubezpieczeniowych.

- Masz mój kalendarz spotkań. Wpisz ją gdzieś.

- Właśnie o to chodzi... Pan Han...

- Tylko nie pan Han - mruknęła Lianne.

- ...przygotował już swoje zbiory i przyniósł figurki, które chce sprzedać. Pan Harold Tang, hm, prosi...

- Prosi? Harry? - przerwała. - To coś nowego.

- Owszem - odparł Fred z westchnieniem. Jego rzadkie siwe włosy nie pasowały do gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy. Z akt wynikało wyraźnie, że skończył

pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał co najmniej o dekadę młodziej. Tylko oczy były znacznie starsze. Fred pracował jako oficer łącznikowy na Tajwanie, a po dwudziestu latach służby doszedł do wniosku, że życie nie może się ograniczać do roboty papierkowej. - Jednak Tangowie to najlepsi pani klienci - ciągnął Fred. - I doskonale zdają sobie z tego sprawę. Pan Tang życzy sobie, aby przyjęła pani kolekcję Hana tak szybko, jak to będzie możliwe. Jade Trader już przygotował propozycje na wymianę z tymi, które pan Han chce deakwirować. Oczywiście zamierza je pani dostarczyć.

- Deakwirować? - spytał z ironią Kyle. - Tak to się właśnie nazywa?

- Jedyne wśród muzealników, którzy mijają się z prawdą.

- To znaczy?

- Niektóre nasze zdobycze nie wytrzymują próby czasu. Albo zdarza się tak, że wchodzisz w posiadanie czegoś podobnego, ale bardziej wartościowego i nie chcesz mieć obu tych przedmiotów. Wtedy zatrzymujesz lepszy i...

- ...deakwirujesz gorszy - odpowiedział Kyle.

- Właśnie.

- „Pozbyć się” ma znacznie mniej sylab.

Lianne uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy wyszła z rezydencji Tangów.

- Dlatego nigdy nie używamy tego słowa. Im więcej sylab, tym ważniejszy przedmiot, a im ważniejszy przedmiot, tym większą ma cenę.

- „Śmieć” to tylko jedna sylaba. Brzmi niemal nieprzyzwoicie prawda?

- W moim businessie tak. - Uśmiech Lianne przeszedł w chichot. Miała ochotę przytulić się do Kyle'a wyłącznie dlatego, że kontakt z nim sprawiał jej tyle radości. A Donovan patrzył na nią po prostu tylko z aprobatą.

Fred odchrząknął znacząco i podniósł wzrok znad kalendarza.

- Pan Tang to... hm...

- Wrzód na tyłku? - zasugerował Kyle. Recepcjonista ukrył rozbawienie.

- Pan może ująć to w ten sposób, ja nie. - Popatrzył na swoją szefową. - Pan Han oczekuje pani jutro o szóstej.

- Rano? - spytała zdziwiona.

- Wieczorem.

- Ale przecież o tej porze nie kursują promy...

- Przygotowano dla pani nocleg - wyjaśnił szybko Fred. - Popłynie pani na Orcas. Tam odbierze panią łódź z instytutu i zawiezie na miejsce, a rano w ten sam sposób wróci pani do domu.

Lianne przestała się śmiać. Na samo wspomnienie głodnych oczu Senga poczuła się tak, jakby oblaźło ją robactwo. -Nie!

- Pan Tang twierdzi, że to... - zaczął Fred.

- Nie! - przerwała. - Umów mnie inaczej, tak żebym po kolacji mogła wrócić do Seattle.

- Próbowałem. Kalendarz pana Hana jest niestety wypełniony. -Fred otworzył notatnik i zajrzał do zapisków stanowiących mieszaninę chińskich ideogramów i zachodniego pisma. - Pojutrze wyjeżdża do Chin, a jutro między piątą a ósmą ma bez przerwy spotkania. Zrobi wszystko, by spotkać się z panią wcześniej, ale wierzy, że z pewnością świetnie pani sobie poradzi z jadeitem Tangów. Jest również przekonany, że pan Wen Zhi Tang wybierze odpowiednie przedmioty na wymianę.

Lianne przymknęła oczy i zaczęła myśleć o tym, co właśnie usłyszała. Harry i Seng wciąż usiłowali ominąć problemy związane z podatkami, przekazywaniem pieniędzy i wymianą walut. Ułatwiał im to handel jadeitem. Dealerzy zresztą postępowali tak cały czas; wymiany nie podlegały opodatkowaniu.

Co więcej, Seng nie mógł jednocześnie uczestniczyć w spotkaniach i ocierać się o nią jak kocur w marcu. Lianne wielokrotnie usiłowała sobie wytłumaczyć, że zbyt poufałe zachowanie Senga wcale nie świadczy o wyuzdanych intencjach. Mimo to nie chciała zostać z nim sama. Kropka.

- Na której wyspie przebywa Seng? - spytał Kyle.

- Kiedyś nazywała się to Wyspa Jałowa - powiedziała Lianne. -A teraz Wyspa Farmera...

Kyle znał doskonale to miejsce położone nieopodal Jadeitowej Wyspy: niegdyś dość często tam biwakował i raz o mało nie zginął.

- Seng gości zapewne u Farmera? W instytucie?

- Tak. Skąd wiesz?

- To nic trudnego. Niełatwo znaleźć na kontynencie kapitalistę o lepszych koneksjach. A Farmer aż się ślini, by stanąć pewnie na rynku obejmującym jedną czwartą populacji świata.

- A Donovan International? Też się ślini?

- My jesteśmy tym bardzo zainteresowani. W przeciwieństwie do Farmera nie zajmujemy się reeksportem sprzętu elektronicznego. Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

Zamrugwała oczyma.

- Chcesz zobaczyć odrzuty Senga?

- Umieram z ciekawości — odparł lakonicznie. — Możemy dojechać do portu, a ty zrobisz, co będziesz miała do zrobienia, podczas gdy ja będę patrzył, słuchał i zdobywał wiedzę. A potem wrócimy.

- Nie skorzystamy z promu?

- Mam łódź.

- Ach tak! - Lianne pomyślała chwilę, a potem uśmiechnęła się złośliwie i... z ulgą. Ulgą wynikała z możliwości ułagodzenia Harry'ego; aż do tej chwili Lianne poważnie się obawiała, że to się nie uda. Z drugiej strony myśl o tym, iż zaraz po dokonaniu ekspertyzy powędruje prosto w ramiona Kyle'a Donovana, budziła w niej uczucie złośliwej satysfakcji. - Ale to już wykracza poza zakres obowiązków, nawet poza opiekę „wypchanego słonia”...

- Skorzystałbym chętnie z każdego pretekstu, by stanąć na pokładzie „Tomorrow”.

- Tak się nazywa twoja łódka? „Jutro”?

- Nadałem jej takie imię, bo zawsze chciałem mieć więcej czasu na ryby.

- I miałeś nadzieję, że nastąpi to z pewnością już następnego dnia -przerwała z uśmiechem.

- A potem, kilka miesięcy temu, zrozumiałem, że jutro nigdy nie nadejdzie, jeśli nie zaplanuję go dziś.

- Jesteś pewien, że to nie będzie dla ciebie zbyt wielki problem?

- Popłynąć na wyspę? Oczywiście, że nie. Będę musiał sprawdzić prognozę pogody. Ale jeśli wyruszymy wystarczająco wcześnie, może uda się nam złowić po drodze jakieś ryby.

Z błyskiem w oczach i zapałem malującym się na twarzy Kyle wyglądał znacznie młodziej niż na trzydzieści jeden lat.

- Ty złowisz rybę, a ja ją przyrządzę - powiedziała Lianne.

- A kto oprawi?

I

- Może jednak zjemy w restauracji?

- Idź się umalować. Dokończymy tę dyskusję w drodze do posiadłości.

Kiedy tylko Lianne zamknęła za sobą drzwi dzielące gabinet od recepcji, Kyle odwrócił się do Freda.

- Potwierdź, że Lianne będzie na wyspie jutro o szóstej - powiedział Kyle. - Nie wspominaj o mnie, o łodzi ani o tym, że nocleg nie będzie potrzebny.

Fred chciał zapytać dlaczego, doszedł jednak do wniosku, że to nie jego sprawa, i podniósł słuchawkę.

- Zaczekaj - powiedziała Lianne, gdy Kyle skierował się w stronę wejścia do domu Donovanów. - Muszę się doprowadzić do ładu.

- Daj spokój - mruknął, gdy wygładzała spódnice i obciągała zakiet, próbując bezskutecznie usunąć zgniecenia. - Wyglądasz cudownie.

- Jasne. Nigdy byś się nie domyślił, że spędziłam w tym ubraniu dwanaście godzin, z czego aż siedem w samochodzie.

Ignorując jej narzekania, Kyle pchnął drzwi.

- Susa wystroiła się pewnie w dzinsy ubrudzone farbą i jeden ze starych podkoszulków Archera.

- Susa jeszcze się nie zjawiała - odparła Honor, stając w progu i biorąc Kyle'a w objęcia. - Jeżeli jeszcze wyprzystojniejesz, będę ci musiała kupić psa obronnego.

- Chyba mówisz o Archerze - odparł Kyle, serdecznie witając się z siostrą. - To on potrzebuje ochrony przed kobietami.

Lianne popatrzyła na wysoką, szczupłą kobietę o niezwykłych oczach Kyle'a i uśmiechu, który mógłby rozświetlić jaskinię. Honor miała na sobie gruby, miękki, zgniłozielony sweter, dokładnie taki, jaki nosił Kyle. Spodnie natomiast leżały na niej jak druga skóra, eksponując bardzo długie nogi.

- Lianne Blakely, to Honor Donovan... przepraszam Mallory. Trudno mi się przyzwyczaić do jej nowego nazwiska.

- Witaj, Lianne - odparła Honor. - Nazwisko wcale nie jest nowe. Kyle po prostu bardzo wolno się uczy.

- Po trzydziestu latach pół roku to stanowczo zbyt mało, aby się przyzwycząić - odparł Kyle. - No jak, kiedy wreszcie zrobisz ze mnie wujka?

- Chcesz rozpieszczać jakieś dziecko, to postaraj się o nie w tradycyjny sposób - powiedziała Honor - Wejdz, Lianne. Miło mi cię widzieć w zoo Donovanów. - Odwróciła się do brata, który właśnie zamykał drzwi. - Tuż przed telefonem Archera dzwoniła Susa i Donovan Wielki. Miał jakieś problemy z wymianą - to znaczy tata, nie Archer - a Susa zaczęła się nudzić i malować zachód słońca odbity we mgle i...

- Spóźnił się - dokończył Kyle. - Co im kupiłem na rocznicę?

- Dobrze, mogę się z tobą pobawić - mruknęła Honor ze zdziwieniem. - Co im kupiłeś?

Na widok przerażenia w oczach Kyle'a Lianne wybuchnęła śmiechem i dotknęła współczująco jego ramienia.

- Twoja siostra po prostu z ciebie żartuje.

- No nie! - wykrzyknął Kyle z udanym przestradchem. - Skąd wiesz, że to moja siostra?

- Bo wasze swetry pasują do siebie tak doskonale jak wasze oczy. Tyle że oczy Honor są znacznie ładniejsze.

- Zabrałam ten sweter Justinowi. Kyle na pewno podwędził swój z szuflady Lawę'a. To bliźniacy. Mam oczywiście na myśli Lawę'a i Justina. Kyle jest jedyny w swoim rodzaju.

- Podwędził? Tylko pożyczylem - odparł Kyle obronnym tonem. - Nie sądziłem, że spędzę tyle czasu w Seatle. Poza tym Justin i Lawę są w Ameryce Południowej. Nie dowiedzą się o tych swetrach, jeżeli się nie wygadasz.

- Jeśli ty nic nie powiesz, to ja też nie - obiecała Honor i uśmiechnęła się do Lianne. - Chodź, poznasz mego męża. Jake, gdzie jesteś?

- Marynuję łososia! - Niski męski głos dochodził z głębi domostwa. - Czy ktoś mógłby mi pomóc przy tych ziołach?

- Już idziemy! - odkrzyknęła Honor.

- Łosoś - westchnęła Lianne i podświadomie oblizała wargi. Po szybkim porozumiewawczym spojrzeniu na ściany z pejzażami, które coś do niej wołały, posłusznie poszła za Honor do kuchni. Gdy w nozdrza uderzył ją zapach świeżego jedzenia, miejsce dobrych manier zajął szczery entuzjazm. - Jestem w niebie!

- Chyba nie - mruknął Jake, wyciskając cytrynę. - Za dużo Donovanów.

- Tylko jeden - odparował Kyle. - Ja.

- Wystarczy - powiedział Jake i uśmiechnął się do Lianne. - Pani nazywa się Blakely, prawda? A ja jestem Jake Mallory.

- Miło mi. Ale proszę mi mówić Lianne - zaproponowała, przyglądając się z zainteresowaniem postawnemu mężczyźnie. W rękach Jake'a nawet całkiem spore cytryny wyglądały jak limonka - Gdzie są zioła?

- W wazonie - odparł, wskazując głową ladę. - Nóż?

- Za mną w tej małej szufladce po prawej stronie.

- Zioła posiekane raz! - Lianne otworzyła szufladę i wydobyła z niej ostry nóż szefa kuchni.

A potem kilkoma zręcznymi, szybkimi ruchami zredukowała zioła do pachnących maleńkich płateczków. Honor i Kyle patrzyli na nią jak zafascynowani.

- O rany! - szepnął Kyle do siostry. - Przypomnij mi, żeby nigdy nie wszedł jej w drogę.

Lianne zgarnęła zręcznie zioła na ostrze i odwróciła się do Jake'a.

- Gdzie mam je położyć?

- Jesteś lepsza od robota - pochwalił Jake i oderwał ręce od patelni. - Rzuć je po prostu na rybę.

Lianne pochyliła się nad płytką patelnią z filetami grubości czterech centymetrów i dyskretnie powąchała rybę. Poczowała delikatną woń morza. Łosoś pachniał dokładnie tak, jak powinny pachnieć surowe ryby.

- Wspaniale! - powiedziała z uznaniem.—Skąd bierzecie tak świeże ryby? Nawet te z targu przy Pike Place nie mogą się z nią równać.

- Złowiłem ją rano - odparł Jake.

Popatrzyła w jego szaroniebieskie oczy i zrozumiała, że Jake nie żartuje.

- Jesteś zawodowym rybakiem?

- Nie, rybakiem smakoszem. A tego małego złowiła Honor

- Gdzie? - spytał natychmiast Kyle.

- Niedaleko Fidalgo Head - odparła Honor. - Całe osiemnaści kilo. Ryby, nie przylądka.

- Czawycza? Skinęła głową.

- Fantastyczny okaz. Wojowniczy i drapieżny. Ugryzł mnie w palec, kiedy wyjmowałam mu haczyk z pyska. - Pokazała skaleczenie. -Ale nie upuścił mi zbyt wiele krwi. Tak czy inaczej będziemy go jedli Szkoda, że tego nie widzieliście - dodała, z błyskiem podniecenia w oczach. - Rzucił się na przynętę jak rozpędzony pociąg i...

- Moja żona nienawidzi łowić - przerwał Jake. - Sami ją zresztą zapytajcie.

- Doskonale rozumiem Honor - zapewniła z uśmiechem Lianne. -Sama złapałam kiedyś łososia. Był maleńki. Ale taki pyszny, że nigdy go nie zapomnę.

- Ten będzie lepszy - powiedziała konfidencko Honor. -Nikt nie przyrządza łososia tak jak Jake. A ja naprawdę nienawidziłam łowić, dopóki go nie spotkałam.

- Zawsze byłem ciekaw, jak ją do tego namówiłeś - powiedział Kyle, odwracając się do szwagra. - W jaki sposób ją przekonałeś, że nie ma w tym zajęciu nic oślizłego, przerażającego i ohydneho.

- Nie miałem z tym problemów. Spodobał jej się mój kij.

Zapanowała cisza, a po chwili Kyle roześmiał się głośno.

Na policzki Honor wystąpiły rumieńce. Próbowwała się nie śmiać, ale nie potrafiła się opanować. Dała Jake'owi lekkiego kuksańca, a potem pogłaskała go delikatnie po rękę. Odwzajemnił się mokrym cytrynowym uściskiem dłoni i serdecznym uśmiechem, który rozjaśnił mu twarz.

Lianne posypała filety ziołami. Podziwiając zestawienie żywej zieleni z pomarańczoworóżowym mięsem ryby, pomyślała o latach spędzonych z Lee. Nigdy się z nim nie przekomarzała ani nie droczyła. Nie towarzyszyła im nigdy taka przyjacielska atmosfera, nie było żartów o podtekście seksualnym. Może dzieliła ich różnica kultur, może różnica charakterów. Tak czy inaczej więcej ich dzieliło niż łączyło. Otworzyły się główne drzwi.

- Archer? - zawołał Kyle, ruszając do wejścia. Chciał się od razu dowiedzieć, czy ktoś śledził Lianne. A jeśli tak, dla kogo pracował.

- Nie! - odskrzyknął mu kobiecy głos. - To Faith i Tony. Lianne była bardzo ciekawa, czy Honor i Jake dostrzegli, podobnie jak ona, subtelną zmianę wyrazu twarzy Kyle'a.

- Faith to moja siostra bliźniaczka - wyjaśniła Honor i z serdecznym uśmiechem wybiegła z salonu.

Kyle i Jake wymienili szybkie dyskretnie spojrzenia, ale żaden z nich nie powiedział ani słowa.

- Oto twoja niezwykła siostra - odezwał się męski głos. - Słyszałem o tobie wiele dobrego. Ślicznie wypełniasz ten sweter.

Odpowiedź Honor nie dotarła do kuchni.

- Polej to oliwą - powiedział Jake. - A ja lepiej dopilnuję, żeby Honor i Faith nie popadły w tarapaty już w drodze do kuchni.

- Przypominają mi szczeniaki - mruknął Kyle. — Jeżeli jeden z nich nie wpadnie na pomysł jakiegoś figla, to na pewno w tej sprawie może liczyć na drugiego.

Lianne uniosła brwi.

- Ty i twój brat nigdy się wzajemnie nie podpuszczaliście, prawda?

Przygwoździł ją niewinnymi złotozielonymi oczyma.

- Ja i podpuszczanie? Przecież zachowywałem się jak ministrant!

- Byłabym naprawdę pod wrażeniem, gdybym ci wierzyła. Honor weszła do kuchni razem z siostrą. Honor odznaczała się krągłą budową ciała, a w jej bujnych kasztanowatych lokach lśniły złote pasemka. Jasnowłosa Faidi była wysoka i szczupła. Oczy Honor przypominały niezwykłą barwą oczy Kyle'a, oczy Faith przywodziły na myśl rzedniejącą, srebrzystą mgłę z niewielką domieszką błękitu. Obie siostry miały wydatne kości policzkowe, wysunięte podbródki, jasny uśmiech i energiczny krok.

Postawny blondyn o piwnych oczach idący obok Jake'a wyglądał jak atleta. W college'u boksował i grał w amerykańskiej zawodów ' lidze futbolowej, ale potem postawił źle prawą nogę na sztucznej da ni i dosłownie roztrzaskał ją w kostce. Za pomocą tytanowych gwoździ i śrub chirurg zdołał poskładać jakoś kostkę do kupy, ale kariera Tony'ego dobiegła końca. Aby się jednak o tym przekonać, musiał ponownie

złamać nogę w tym samym miejscu. W końcu jednak porzucił marzenia o karierze baseballisty i podjął pracę w firmie ojca.

- Kyle! Przybij piątkę! No i co powiesz o Sea Hawks? - spytał Tony z triumfem.

Kyle i Jake popatrzyli na niego tępo. Wszyscy inni, z wyjątkiem Faith, również. Sezon futbolowy już dawno się zakończył.

- Ale gra! - zachwycił się Tony. - Załatwili ich w moim stylu.

- O jakiej grze mówisz? - spytał Kyle.

- Ostatniej, na kanale sportowym. Zrobili retransmisję i jeszcze dodali komentarz trenera Sea Hawks.

- Nie widziałem - odparł Kyle. - Lianne, to jest...

- Naprawdę? - spytał Tony z niedowierzaniem w głosie i uśmiechnął się lekko. - No tak. Cały czas zapominam, że ty nie grałeś. Dziwne, taki byk jak ty! A jaki właściwie sport uprawiałeś?

- Pływanie synchroniczne.

Honor przestała się uśmiechać, a na twarzy Faith pojawił się wyraz uporu.

Kyle zapanował nad złością. Na lewej ręce Faith lśnił diament wielkości Wisconsin. Teraz ta dłoń zacisnęła się w pięść. Kyle'owi me zależało zupełnie na Tonym, ale bardzo kochał swoją siostrzyczkę-

- Lianne Blakely - powiedział, ukazując rząd białych zębów. -A to moja siostra Faith i jej narzeczony, Tony Kerrigan.

Lianne uśmiechnęła się, przełożyła nóż do lewej ręki, a prawą podała Faith. Tony gwizdnął, chwycił rękę Lianne, zanim zdążyła to zrobić jego narzeczona, i zerknął na Kyle'a.

- Aż mnie zatkało! - wyznał. - Gdzie poderwałeś tę egzotyczną panienkę?

- Prawdę mówiąc - powiedziała rozbawiona Lianne - to ja go poderwałam. - Wyzwoliła dłoń z uścisku Tony'ego i podała ją dziewczynie. -Witaj. Miło cię poznać.

- Mnie również. - Faith uśmiechnęła się serdecznie, ale i z ulgą. -Jak go poderwałeś?

- Za pomocą żurawia...

Niepokój w oczach Faith ustąpił miejsca wesołości. Gdy dziewczyna rozluźniła lewą rękę, w fasetach brylantu rozbłysły iskierki.

Choć Kyle postanowił się pogodzić z decyzją siostry, to jednak musiał zaspokoić ciekawość, z czyjej karty kredytowej nabyto kamień: Faith czy Tony'ego. Tony mógł zdobyć pieniądze jedynie na zakładach.

Honor nie potrzebowała mapy pogody, by zauważyć burzowe chmury. Przyzwyczajona do rozładowywania napięć powodowanych przez nieprzewidywalne nastroje swoich starszych braci, nakazała zręcznie Jake'owi, by zajął się barbecue oraz Tonym i jego opowieścią o dawnej karierze. Kyle'a zaś oddelegowano do przyniesienia węgla z magazynu w podziemnym garażu.

Dzwonek telefonu z trudem przedarł się przez śmiech zebranych słuchających opowieści Susy o tym, jak kiedyś namówiła męża na pozowanie. Skończyło się to farbą na jej ciele zamiast na płótnie.

- Tak poczęto Faith i Honor - powiedział sucho Archer, sięgając po słuchawkę. - Teraz już rozumiem ich artystyczne skłonności.

Donald Donovan uśmiechnął się tylko, uniósł rękę Susy do ust i połaskotał jej dłoń długimi wąsami. Albo językiem. Lianne nie była pewna. Wiedziała tylko, że Susa zaśmiała się głośno i popatrzyła na męża kochającymi, orzechowymi oczyma.

- Zaraz zejdzie - powiedział Archer do słuchawki. - Taksówka czeka - zwrócił się do Lianne.

- Szybko przyjechała.

- Dwadzieścia minut to szybko?

- To naprawdę zajęło aż tyle czasu? Wydawało mi się, że minęły najwyżej dwie, trzy minuty.

Popatrzyła na Kyle'a siedzącego obok, ocierającego się ciepłym ciałem o jej biodro i udo. Ciało było zresztą więcej niż ciepłe. Płonęło. Lianne w swoim życiu nigdy nie była bardziej fizycznie świadoma mężczyzny. Gdy Kyle chciał podnieść się z miejsca, położyła mu delikatnie rękę na udzie.

- Nie fatyguj się. Zostań z rodziną.

- Będą tutaj, jak wrócę. Skoro nie pozwalasz się odwieźć do domu, mogę jedynie odprowadzić cię bezpiecznie do taksówki.

Wstając, otarł się napiętym mięśniem uda o wierzch jej dłoni. A potem, z ręką oplecioną wokół talii Lianne czekał, aż dziewczyna skończy się żegnać. Gdy zaś

Honor i Faith mocno ją uściśniły, co wyraźnie miało znaczyć: „musisz nas znowu odwiedzić”, jedynie on dostrzegł, że oczy Archera zwęziły się jak szparki.

- Masz wspaniałą rodzinę - powiedziała Lianne, gdy zamknęły się za nimi drzwi windy. - Cieszę się, że zechciałeś się nią podzielić.

- Jesteś pewna? Większość ludzi czułaby się zdominowana przez tych wszystkich Donovanów.

Uśmiech rozjaśnił jej oczy.

- Szkoda, że twoi rodzice nie mieli dwadzieściorga dzieci. Kyle się tylko uśmiechnął i pokręcił głową.

- Aż mi się słabo robi na myśl o czymś takim.

Zaplótł mocno palce wokół dłoni Lianne, udając, że nie zauważa ani pulsującej żyłki na jej szyi, ani też falowania piersi, giętkiej talu, słodkiej obietnicy bioder, kształtnych nóg.

Z równym powodzeniem mógł jednak powstrzymać bicie serca.

Winda stanęła i drzwi rozsunęły się z szelestem. Taksówka czekała przy oszklonym wejściu do luksusowego foyer.

- Odeślę go i sam cię odwiozę - powiedział Kyle.

Z trudem oparła się pokusie i potrząsnęła głową. Wiedziała, że jeśli skorzysta z propozycji Kyle'a, na pewno nie będzie spała sama tej nocy. A ona nie lubiła romansów na jedną noc, nawet z bardzo seksownym partnerem. Może dlatego, że była bękartem, może me pozwalała jej na to duma, a może też nie odczuwała zbyt wielkiego popędu seksualnego.

Tak czy inaczej nie zamierzała iść do łóżka z mężczyzną, który nie pragnął od niej niczego poza tym, co mógłby dostać od zwykłej dziwki.

- Dziękuję - powiedziała, stając na palcach, by musnąć ustami jego wargi. - Już dawno tak dobrze się nie bawiłam.

Ten dotyk trwał stanowczo zbyt krótko. Kyle się pochylił, by pocałować ją raz jeszcze, równie zdawkowo jak ona jego. Coś się jednak po drodze wydarzyło. Zamiast ustami dotknął jej rozchylonych warg czubkiem języka, a ona z ochryplym westchnieniem wpuściła go do środka. Nie wiedział, jak długo trwał ten pocałunek. Gdy poprzez czerwoną mgłę pożądania przedarło się poirytowane trąbienie

taksówkarza, Kyle przyciskał już Lianne do ściany, a ona jeszcze mocniej się do niego przytulała. Wydawała przy tym gardłowe, zawodzące dźwięki, świadczące jednoznacznie o tym, czego pragnęła.

- Chryste! - mruknął, stawiając ją delikatnie na ziemi.

Pod Lianne ugięły się kolana. Oczy miała szeroko otwarte, nieprzytomne. Z ust wydobył się dziwny pomruk - ni to śmiech, ni przekleństwo. A potem potrząsnęła głową, jakby chciała usunąć z uszu łomot serca, które biło jak oszalałe.

- Co się dzieje? - spytała drżącym głosem, ale nim Kyle odpowiedział, uwolniła się z jego ramion i pobiegła do taksówki.

- Jutro! - zawołał za Lianne, - Przyjadę po ciebie o dziesiątej i zabiorę do Anacortes.

- Nie! Honor dała mi twój adres. Tam się spotkamy. O drugiej. Zatrzasnęła drzwiczki, po czym czerwone reflektory samochodu zabłyśły w mroku, zmieszały się z innymi światłami miasta i zniknęły. Winda towarowa zadzwoniła cicho i wyszedł z niej Archer. Me sprawiał wrażenia szczęśliwego człowieka.

- Co się dzieje? - spytał Kyle.

- Sam chciałem cię o to zapytać. Winda się zacięła czy co?

- A jak myślisz?

Archer objął wzrokiem zmierzwione włosy Kyle'a, usta ubrudzone szminką i spore wybrzuszenie na wysokości krocza.

- Myślę, że przydałby ci się zimny prysznic.

- A może zamiast tego pójdziemy do sali gimnastycznej na małe starcie? Chciałeś komuś przyłożyć już od chwili, gdy wróciłeś do domu. I to wcale nie kamień na palcu Faith tak cię wkurzył.

- To rząd kazał śledzić Lianne - powiedział krótko Archer,

- Nie dziwię się. Wiedzieliśmy przecież obaj, że Wujaszek się nią interesuje.

- Pogadałem sobie z jej cieniem. Najpierw on telefonował, potem podał mi numer i ja z niego skorzystałem.

Kyle uniósł brwi.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego? Na przykład tego, czy ten facet chętnie wykonał telefon.

- Jemu zależało na twarzy, a mnie na tym numerze. To, co czuliśmy, nie grało roli.
 - Jak długo ją śledził?
 - Nie mówił. To nie ma znaczenia. - Archer podniósł rękę, nie dopuszczając brata do głosu. - Widział, jak Lianne wyjeżdża z Vancouver i fortecy Tangów z bagażnikiem pełnym jadeitów.
 - No to co? Przecież zajmowała się ekspozycją Tangów. Nic więc dziwnego, że jeździła tam i z powrotem z jadeitami w bagażniku.
 - Tylko że pewna część eksponatów została w aucie. Od aresztowania dzieli ją dosłownie jeden krok.
 - Co to znaczy? - spytał głucho Kyle.
 - To, co słyszysz - odparł Archer bezbarwnym głosem. - Wujaszek ma wtyczkę u Tangów. Część kamieni zniknęła ze skarbca.
 - Ale jaja, fatalnie, tak się zdarza. Co wybierasz? Czy ktoś widział Lianne z brakującymi przedmiotami? Ktoś je od niej kupił?
 - Na pierwsze pytanie - tak. Co do drugiego - jeszcze tego nie ustalili.
 - Cieniutko. Naprawdę sądzą, że Lianne byłaby taka głupia, żeby kraść akurat te jadeity, których ktoś będzie szukał?
 - Nie głupia, tylko bardzo, bardzo sprytna. Wybierała najlepsze kaski z kolekcji Wena, sprzedawała je i zastępowała gorszymi, tak by nikt nie zauważył braków.
 - To się kupy nie trzyma. Wen na pewno by się zorientował.
 - Kilka lat temu, owszem. Ale wszystko się zmienia. A już na pewno zmieniły się oczy Wena i jego ręce. Tym bardziej że podłożone jadeity były całkiem niezłe, choć może nie tak rzadkie, piękne i stare. Takie różnice dostrzega jednak tylko ekspert, choć mają one ogromne znaczenie dla wartości handlowej.
- Kyle pomyślał o zreumatyzowanych rękach Wena i jego zamglonych oczach. A potem przypomniał sobie bystry wzrok Lianne i jej wrażliwe palce.
- Nie podoba mi się to.
 - A ktoś chciał, żeby ci się podobało? Nikt by zresztą nigdy nie przyłapał Lianne, gdyby jej przyrodni brat nie znał się tak dobrze na jadeitach.
 - Dlaczego Lianne miałyby ograbić Wena? Archer popatrzył na brata z niedowierzaniem.

- Powód jest chyba oczywisty. Chciwość. Cóż by innego?

- To mi do niej nie pasuje - powiedział Kyle z przekonaniem. Tym razem rozsądek i serce mówiły jednym głosem.

- Chciwość jest rzeczywiście mało stylowa. Ale skoro nie podoba ci się chciwość, to może wolisz zemstę.

- Oni nie zrobili Lianne nic złego. Zapewnili jej tylko wielu klientów i wejście do hermetycznego świata jadeitów.

- Bzdury! Myśl mózgiem, a nie kutasem. Jak sądzisz, jak postąpiłaby Faith, gdyby się dowiedziała, że jest takim samym Donovanem jak my, a jednak wszyscy, od tatusia począwszy, traktują ją byle jak. Ale byłaby użyteczna, miała talent, więc wykorzystalibyśmy ją tak jak każdego innego pracownika, tyle że...

- Lianne... - przerwał Kyle.

- Zamknij się i słuchaj. Tyle że wyczuwalibyśmy jej chęć, głód nawet, by należeć do rodziny, i to również obrócilibyśmy przeciwko niej. Zupełnie jakbyśmy wieszali cukierki na nitkach tuż przed nosem złaknionego słodczy dziecka. Ktoś z temperamentem Faith, kto marzyłby o rodzinie, próbowałby udowodnić, że jest wart miłości. A w końcu taka Faith, już dorosła, zdałaby sobie sprawę z tego, że została tak samo wypieprzona jak jej niezamężna matka, tyle że za o wiele niższą cenę.

Kyle zacisnął pięści. Miał ochotę pokłócić się z Archerem. Intuicja mu podpowiadała, że Lianne jest niewinna.

Umysł jednak pojmował aż nazbyt dobrze jej potrzebę zemsty. Lianne była równie inteligentna jak dumna i dlatego nad wyraz niebezpieczna w pewnych sytuacjach.

- Nie będę się z tobą spierał - powiedział spokojnie do brata. - Co nie znaczy, że się zgadzam. Bo nie mogę się zgodzić.

Archer wypuścił z sykiem powietrze i zaklął.

- Z czym masz problem? Z głową czy z kutasem?

- Z przeczuciem.

- Niech to diabli! - Archer skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się o ścianę. - Jak inaczej wytłumaczysz zaginięcie jadeitów. Bo one naprawdę zaginęły!

- Kinju - powiedział zwięźle Kyle.

Sardoniczny uśmiech pogłębił zmarszczki na ponurej twarzy Archera.

- Kinju, tak?
 - Tak. Ktoś Inny Je Ukradł.
 - W takie bajery wierzą tylko adwokaci.
 - I ja. Przynajmniej dopóki nie wymyślę czegoś lepszego.
 - Japonia o tej porze roku wygląda naprawdę pięknie - powiedział Archer. - Wystawy Mikomoto należą do najbardziej spektakularnych pokazów kamieni szlachetnych. Sale pełne pereł wszystkie rozmiarów i kształtów lśnią jak niebo stykające się z ziemią- A czarne perły z mórz południowych trzeba zobaczyć, żeby w nie uwierzyć.
 - Mitej podróży!
 - Ty jedziesz. Ja zostaję w domu.
 - Wyślij Faith. Trzeba ją odgrodzić od tego przyjemniaczka.
 - Pomyślę nad tym - obiecał Archer. - Wasza dwójka na pewno...
 - Nie!
- Jeszcze przed rokiem Archer rozpoczęłyby spór. I na pewno by go wygrał. Ale czas biegł naprzód.
- Będę postępował, jak sobie życzysz - zdecydował. - Przynajmniej na razie.
 - A potem?
 - Zrobię, co będzie trzeba.

13

Następnego dnia, gdy wyruszył wraz z Lianne na Wyspę Farmera. myślał wciąż o słowach brata.

„Co będzie trzeba”.

Nie była to groźba ani obietnica. Archer po prostu stwierdził fakt. Jeszcze przed rokiem Kyle trochę by się tym denerwował- Teraz był tylko ciekaw, czy udałoby mu się zbliżyć do prawdy o Cesarzu Jadeitu, gdyby poprzedniego wieczoru kochał się z Lianne do nieprzytomności.

A niewiele brakowało. To znaczy do łóżka, a nie do prawdy. Grzeczny pocałunek na dobranoc spalił wszystkie bezpieczniki; Kyle o mało nie zdarł z dziewczyny

ubrania i nie wziął jej w otwartej windzie na oczach taksówkarza. Kiedy w końcu się opamiętał Lianne drżała na całym ciele, ale nie ze strachu; czuła dokładnie to co on.

„Co się stało?”

Kyle nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie. Kiedy sobie uświadomił, jak głęboko i szybko ta niepozorna, drobna kobietka załazła mu za skórę, poczuł się tak, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą. Wiedział, że nie powinien tak mocno pragnąć żadnej kobiety, a już na pewno nie tej konkretnej kobiety i nie wtedy, gdy Wujaszek zamierzał ją aresztować.

Z drugiej strony być może kilka męczących nocy w pościeli rozwiązałyby jej seksowny, pożądlivy języczek. Jednak od chwili, gdy spotkał się z Lianne w porcie położonym tuż obok domku, nie udało mu się absolutnie nic z mej wyciągnąć. Ledwo wspomniał o jadeitowej szacie, nabierała wody w usta i zmieniała temat. Kiedy zaś zagadnął ją ponownie o jadeit, zainteresowała się nagle wędkowaniem.

Dlatego zabrał tę śliczną małą złodziejkę na ryby.

Tyle że Lianne nie przypominała mu w niczym złodziejki. Szczególnie teraz, gdy bawiła się w przeciąganie liny z wargaczem i aż tańczyła z radości na pokładzie „Tomorrow”. Na garsonkę narzuciła rybacką kurtkę, sięgającą jej do połowy łydek. W takim stroju każda inna wyglądałaby śmiesznie, a ona prezentowała się zupełnie znośnie. Trudno uwierzyć, że ta właśnie kobieta jest międzynarodowym złodziejem dóbr kultury i za chwilę ma zostać aresztowana.

Archer na pewno się mylił. Albo rząd popełnił błąd. Albo...

„Masz problemy z głową czy z kutasem?”

Sardoniczne pytanie Archera odezwało się echem w myślach Kyle'a. Wmawiał w siebie, że jest za stary i za mądry, by znów się dać oszukać. Udowodnił to zresztą zeszłej nocy: to on przerwał pocałunek, nie Lianne.

Wiele przemawiało za jej niewinnością. Fakt, że istniały przesłanki świadczące o czymś przeciwnym, uatrakcyjniał jedynie grę. To było wszystko: po prostu gra.

Nie chcąc jednak brać udziału w zabawie, musiał pamiętać, że on winien jest rządowi przysługę, a nie Archer. Jego brat mógł liczyć perły w Japonii, Australii lub na Tahiti. Kyle zamierzał się dowiedzieć, czy Lianne jest złodziejką, a on idiotą

myślącym kutasem, lub też dowieść jej niewinności, więc zarazem tego, że jeszcze całkiem nie zwariował.

Śmiech i błysk koniakowych oczu oderwał Kyle'a od denerwujących rozważań. Sprawdził położenie „Tomorrow” i doszedł do wniosku, że nic się nie zmieniło. Powrócił do obserwacji Lianne. Dziewięciometrowa łódź motorowa, zakotwiczona niedaleko Jadeitowej Wypsy, u stóp klifowego wzgórza, nie wymagała chwilowo opieki.

Kyle wybrał tę odizolowaną, skalistą wyspę z trzech powodów. Po pierwsze - od Wypsy Farmera dzieliła ją niewielka odległość. Po drugie - wśród morskich fal zalewających małą wysepkę, która wyłaniała się z ciemnozielonego morza, nietrudno było o wargacza. Po trzecie - Kyle omal nie postradał na niej życia. Surowe piękno sosen, skał, wiatru i morza miały mu zawsze przypominać o tym, że nie należy powtarzać pewnych błędów, jeśli chce się ocalić głowę.

Do owych błędów należało między innymi myślenie kutasem.

Lianne odgarnęła włosy z czoła, stanęła pewniej na lekko chyboczącym się pokładzie i nerwowo ścisnęła wędkę.

- Kolejny pies morski? - spytał Kyle.
- Skąd mogę wiedzieć. Przecież nie widzę. Może to łosoś.
- Wątpię.

Nie mieli czasu na poważne polowanie na łososia, pływ też im nie sprzyjał. Na szczęście wargacze były smaczne i nie tak wybredne jak łososie.

- Wspaniale! - powiedziała wesoło Lianne, zwijając żyłkę: - Za pierwszym razem bardzo długo w ogóle nie mogliśmy znaleźć rybnego miejsca, a dziś mam już dwie sztuki.

- To były psy morskie. Dlatego popłynęliśmy gdzie indziej.
- W Chinach moglibyśmy je zjeść.
- W Chinach jesz wszystko, co wcześniej nie zje ciebie. Zwijaj.

- Jestem tak głodny, że wsunąłbym sam całego wargacza i jeszcze zaczął się rozglądać za innymi.

- Nie zamierzasz łowić? - spytała Lianne, marszcząc brwi.

- Chyba nie będę miał czasu. Muszę ci przecież nakładać przynętę.

I jeszcze wyciągać haki z dna, wymieniać je na inne, rozplątywać węzłki i usuwać skutki wszystkich mniejszych katastrof prześladowanych adepta wędkarstwa.

Gdy wargacz znów zaczął walczyć z linką, Lianne zaśmiała się serdecznie. Cała ta zabawa sprawiała jej najwyraźniej ogromną przyjemność. Patrząc na dziewczynę, Kyle usiłował siebie przekonać, że ma do czynienia ze złodziejką żądną zemsty za każdą cenę. Przychodziło mu to jednak z wielką trudnością, gdyż wdał się w skomplikowaną dyskusję z samym sobą; rozum przemawiał za winą, a intuicja podpowiadała, że Lianne nie może mieć nic wspólnego z żadnym przestępstwem.

- To musi być naprawdę ogromna ryba - powiedziała Lianne, wbijając stopy w chybotliwy pokład.

- Wątpię. Na początku wargacze zawsze walczą ostro, ale potem łatwo się poddają.

- A kiedy ten się podda?

- Już za chwilę. Zwijaj i nie gadaj!

Pod ciężarem nieszczęsnego wargacza wędzisko wygięło się w łuk. Długą giętką wędkę skonstruowano w taki sposób, by łowiący mógł wyczuć każdy, nawet najmniejszy ruch ryby, kołowrotek zaś zrobiono z myślą o sportowcach, na skutek czego Lianne musiała ostro walczyć o swoją zdobycz. Większość kołowroteków ma podwójne przełożenie - jeden obrót korbki odpowiada dwóm nawojom żyłki. Kyle używał jednak prostego przełożenia: jeden obrót równał się jednemu nawojowi żyłki. I kropka. Osiem centymetrów, nie szesnaście.

Nagle ciężar na żyłce zmalął. Lianne wydała jęk zawodu.

- Uciekł!

- Nie. Po prostu się poddał. Zwijaj!

Zgodnie z przewidywaniami Kyle'a ryba podплыnęła potulnie do łódki i zaczęła się pławić tuż przy burcie.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Dzięki błędom młodości. Widzisz te czerwone kolce na grzbiecie?

- Owszem.

- Trzymaj się od nich z daleka. A teraz owiń żyłkę na dłoni i wrzuć to małeństwo na pokład.

- A co z podbierakiem?

- Podbieraki są na łososia.

Ze szczypcami i pałką w ręku czekał, aż Lianne wrzuci rybę do specjalnego pojemnika umieszczonego na rufie. Po kilku bezskutecznych próbach dziewczyna wychyliła się za burtę, owinęła żyłkę wokół dłoni i wciągnęła rybę na pokład.

Kyle żałował, że nie ma już więcej wargaczy. Przechylona przez burtę Lianne wyglądała niezwykle kusząco: podwinięta spódnica i marynarka odsłaniały pończochy utrzymujące się na miejscu dzięki specjalnym elastycznym gumkom i tworzyły seksowny, szaropopielaty kontrast ze złocistą skórą nóg. Kyle nie mógł przestać myśleć o tym, jak miło by było pieścić te uda, doprowadzając i Lianne, i siebie do stanu maksymalnego podniecenia.

„Z czym masz problem? Z głową czy kutasem?”

Kyle chwycił wargacza za dolną szczękę i uderzył go pałką w głowę. Był przekonany, że dziewczyna się wzdygnie, ale ona nie zareagowała, po prostu patrzyła na Kyle'a i słuchała, co mówi.

- Zabijanie nie robi na tobie wrażenia? - spytał Kyle, usuwając hak szybkim ruchem szczypiec.

Popatrzyła na niego ciemnymi, dużymi oczami.

- Rozczarowany? - spytała z kpiącym uśmiechem. Zaśmiał się, otworzył pojemnik i wrzucił wargacza do środka.

- Może trochę. Honor i Faith zawsze strasznie piszczały przy takich okazjach. A to stanowiło połowę przyjemności wędkowania.

Nie dodał, że na początku, kiedy musiał oprawiać rybę, zawsze dostawał mdłości. Czuł się równie fatalnie, kiedy niechcący trafiał haczykiem w oko rybki służącej za przynętę. Jego bracia przeżywali to samo, ale prędzej pozwoliliby się upiec na wolnym ogniu niż przyznali do tego przed młodszymi siostrami.

Zanim Kyle nadział na haczyk kolejnego nieżywego śledzia Lianne wyjęła mu przynętę z ręki i sprawnie przebiła rybę tuż za oczami.

- Czy na pewno nie jesteś wędkarzem? - dociekał Kyle.
- Honor twierdzi, że powinno się mówić „wędkarką”.
- Honor bredzi.
- Bardzo mi się podobały twoje siostry. Są sobie takie bliskie -powiedziała Lianne z nieświadomym smutkiem. -1 masz takich wspaniałych rodziców. Wobec siebie czuli i ustepliwi, twardzi i nieugięci wobec innych. Fantastyczni - dodała, wyrzucając przynętę za burtę. - Susa jest mniejsza ode mnie. Dopóki nie przyszła, czułam się jak karlica.

- Wszystko przez Tony'ego. Ten to się dopiero wywyższa.
- Właśnie dlatego ty mi się tak podobasz: jesteś duży, ale się nie wywyższasz.
- A twoja matka? - spytał Kyle. - Duża, mała, średnia?
- Tak jak ja. Mała.
- Mała? Przecież ty jesteś w sam... Trzymaj wędkę w górze! To łoś! -
- Skąd...
- Uważaj na kłykie! - przerwał.

Ostrzeżenie dotarło jednak do niej dokładnie w chwili, gdy wirująca dziko korbka kołowrotka uderzyła ją w rękę, Dziewczyna krzyknęła głośno i chwyciła wędkę w lewą dłoń.

- Wszystko w porządku? - spytał Kyle.

Skinęła głową i zaczęła zwijać żyłkę. Albo przynajmniej próbowała. Ryba cały czas odchodziła, szybko wyciągając żyłkę z kołowrotka. Gwałtownemu wirowaniu korbki, która wrywała się dziewczynie z dłoni, towarzyszyło przeciągłe wycie hamulca.

- Niezła sztuka z tego łośosia! - gwizdnął Kyle.
- Jesteś pewien, że to łoś! - spytała, walcząc z wędką. - Ja sędzę, że to raczej wieloryb ludojad.

- łoś! - czawycza. Mogę się założyć, że zgarnełaś go prosto z dna.
- Ja go nie zgarnełam, to on mnie usiłuje zgarnąć.

Kyle patrzył z uśmiechem na Lianne walczącą o panowanie nad żyłką.

- Trzymaj szczytowkę w górze - poradził. - Niech ryba walczy z wędką, nie z tobą.
- Łatwo ci mówić! Ten drań też potrafi myśleć. Wolno podciągnęła rybę w kierunku łódki.

- Widzę go! Dawaj podbierak!

- Jeśli ty widzisz rybę, ona widzi łódź, a to znaczy, że...

Nagle żyłka zsunęła się z furkotem z kołowrotka. Lianne krzyknęła, cofnęła rękę przed krwiożerczą korbką, a ryba umknęła w stronę zielonej Wyspy Farmera, mającej kilka mil dalej.

- Zerwie się do ucieczki - dokończył Kyle z satysfakcją. - Masz czawyczę, kochanie. I będziesz mogła ją zatrzymać. Jest duża.

- Skąd wiesz?

- Można wiele powiedzieć o rybie po sposobie, w jaki walczy. Daję głowę, że twoja zaraz się podda.

- Oby! - mruknęła Lianne, odgarniając włosy z twarzy. - Odnoszę wrażenie, że próbuję wciągnąć na pokład land-rovera.

- Chcesz, żebym ja spróbował?

- W żadnym wypadku! - odparła gniewnie. - Łosoś należy do mnie!

- Z pewnością. To całkiem nieodpowiedni czas, miejsce, pływ i sposób na łososa. Typowe szczęście debiutanta zawsze góruje nad umiejętnościami.

Ale Lianne była zbyt zajęta zwijaniem żyłki, by słuchać komentarza Kyle'a.

A on obserwował w milczeniu napięcie żyłki, wygięcie wędziska i determinację Lianne, która usiłowała zapanować nad sytuacją. P patrzył na ciemniejące niebo: już wkrótce słońce miało się zmienić w pomarańczowy krążek, wciągający dzień w czarną otchłań oceanu. Mogli się spóźnić do instytutu i Han Senga. On jednak zupełnie się tym nie przejmował.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o pompowaniu? - zapytał.

- Nie - odparła, dysząc ciężko.

- To się robi tak.

Kyle stanął za Lianne i położył lewą dłoń na jej lewej ręce, w której ścisnęła wędkę. Prawą objął ją w talii i przystawił grubszy koniec wędki do torsu dziewczyny.

- Jeśli to cię będzie bolało, spróbuj oprzeć wędkę o biodro lub udo. Honor woli pierwszy sposób, Faith - drugi.

- A ty?

- Ja korzystam z siły górnych partii ciała. Ty nie możesz.

- Odczep się! - mruknęła. - Mięśnie to nie wszystko. Liczy się sposób działania.

Kyle uśmiechnął się i omal nie ugryzł jej w szyję. Lianne wyglądała jak zjeżony, nieprzystępny kot

- Zastosuj dźwignię - mruknął jej do ucha. - O tak! Grubszy koniec wędki umieścił w szczelinie między jej torsem a udem.

- I jak? - spytał.

- Lepiej. Co teraz?

- Przyciągnij do siebie wędkę lewą ręką. A jeśli nie potrafisz tego zrobić, mając zgięty łokieć, to go wyprostuj.

- Dźwignia - wymamrotała bez tchu.

- Właśnie.

Oparta mocno o Kyle'a, pociągnęła wędkę mocniej, ale kij ani drgnął.

Bliskość Lianne podziałała na Kyle'a podniecająco.

- Podnieś rękę wyżej - poradził.

Lianne poruszyła nie tylko ręką, ale całym ciałem. Zgrzytnął zębami i myślał wyłącznie o tym niezamierzonym, niesamowicie seksownym tarciu, wywołanym każdym ruchem dziewczyny. Lianne, jak na złość, dość często zmieniała pozycję.

- Trzymasz mocno wędkę?

- Tak.

- To wyprostuj rękę i odchyl się do tyłu, potem szybko do przodu. Ani na chwilę nie przestawaj zwijać. Pomogę ci utrzymać równowagę, dopóki nie złapiesz rytmu.

Lianne zrobiła, co kazał. Przy pierwszej próbie zdołała odzyskać ponad trzydzieści centymetrów żyłki.

Dysząc z wysiłku, znów powtórzyła manewr. Po kilku minutach Kyle również zaczął sapać, co jednak nie miało nic wspólnego ze zmęczeniem. Zapach rozpalonej, wyperfumowanej skóry, ciepło, dotyk ciała ocierającego się bez przerwy o jego tors i uda - wszystko to składało się na pewnego rodzaju torturę seksualną, jakiej nie zaznał od czasów szkoły średniej.

Gdyby w ten sposób dotykał Lianne poprzedniego wieczoru, na pewno nie pozwoliłby jej odejść. Teraz pomagała mu jednak świadomość, że dziewczyna skupia się raczej na rybie niż na mężczyźnie, który się do niej przykleił jak plaster.

- Chyba zyskuję przewagę - powiedziała bez tchu.
- Świetnie - syknął przez zaciśnięte zęby. - Cały czas pompuj! I tyle.
- Kiedy weźmiesz podbierak?
- Już wkrótce - szepnęła z nadzieją.
- Oby jak najszybciej. - Lianne otarła się o niego jak kotka.
- Oby - dodał, z trudem tłumiąc jęk.
- Co takiego? - spytała Lianne.
- Pompuj!

Pompowała, zdobywając około trzydziestu centymetrów żyłki przy każdej próbie. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że dyszy i się śmieje, i znów zaczyna dyszeć. Wiedziała jedynie, że przy drugim końcu żyłki znajduje się coś dużego i żywego, coś, co zamierzało sprawdzić jej siłę i wolę, a dopiero później zrezygnować z walki.

Nawet przez chwilę nie sądziła, że może przegrać.

Przyciągnęła rybę do burty tylko po to, by ta znów mogła jej uciec. Trzydzieści metrów żyłki zeszło z gwizdem z kołowrotka. Lianne zmieniła pozycję niczym bokser przygotowujący się do ostatniej rundy i ponownie zaczęła pompowanie.

Kyle nie wiedział, czy jest mu wesoło, czy smutno. Na pewno oszalał. Tego jednego był pewien. Zaczął nawet pragnąć, by łoś uciekł jej przynajmniej jeszcze raz.

Za trzecim razem, gdy Lianne podprowadziła rybę do łódki, ta nie broniła się już tak wściekle. Uśmiechając się zwycięsko, dziewczyna zwinęła kilkadziesiąt centymetrów żyłki.

- Muszę cię teraz puścić. Idę po podbierak, dobrze? - spytał Kyle.

Dopiero w tej chwili sobie uświadomiła, że Kyle otoczył ją ramionami niczym kochanek i przez cały czas pomagał utrzymywać równowagę. Poczowała nagły przypływ gorąca, ten sam ogień, który trawił ją podczas długiej, bezsennej nocy.

- Dam sobie radę - zapewniła.

Niechętnie cofnął ręce i zrobił krok w tył. To, iż stracił pretekst, by jej dotykać, wcale nie napawało go radością. Lianne doskonale sobie radziła bez jego pomocy.

- Uważaj na ciężarek! - powiedział nagle Kyle. - Przestań zwiijać!

Lianne zobaczyła, że ciężarek znajduje się już na szczytówce w oczku pierwszej przelotki. Szczytówka zaś niebezpiecznie zbliżała się do wody. Pod taflą wisiały kolejne dwa metry żyłki z haczykiem i bardzo nieszczęśliwym łososiem na końcu.

Kątem oka dojrzała, że Kyle wyjmuje z pojemnika spory podbierak i powoli zanurza go w wodzie, obserwując zmęczonego łososia tuż poza zasięgiem siatki. Ryba była piękna, jej łuski błyszczały energią.

- Cudo! Waży chyba z dziesięć kilo - mruknął Kyle. - Jak ci powiem, cofnij się i...

- Trzymaj szczytówkę w górze - dokończyła Lianne z cichym śmiechem. - Umiem to już na pamięć.

- Nie potknij się tylko o pokrywę silnika.

- Zamierzasz podebrać moją rybę czy nadal mi rozkazywać?

- Jestem starszym bratem. Mogę robić obie rzeczy jednocześnie.

- Pospiesz się - poprosiła. - Nie chcę go stracić.

- Nie stracisz. Cofnij się jeszcze trochę. No dalej... Dobrze! Szybki ruch ramion Kyle'a, plusk wody i ryba znalazła się na pokładzie.

Lianne wydała okrzyk zachwyty, upadła na kolana i sięgnęła po łososia. Był czarno-niebieski na wierzchu i srebrny pod spodem. Gdyby nie podbierak, ryba z pewnością by uciekła. Wytrząsnęła hak natychmiast, gdy spadło napięcie żyłki.

- Nie zamierzasz się chyba bawić w sentymenty? - spytał z troską Kyle.

Lianne nie odezwała się ani słowem. Patrzyła na rybę.

- No dobrze - mruknął. - Nie dalej jak wczoraj jadłem świeżego łososia na kolację. Tego mogę wrzucić do wody.

Uniosła głowę.

- Co takiego?

- Sądziłem, że masz wyrzuty sumienia. Oblizwała wargi.

- Tak naprawdę to przypominałam sobie właśnie wszystkie przepisy na łososia.

- Na pewno? Bo wyglądasz...

- Na pewno - przerwała. - Kiedy jestem w Vancouver czy w Hongkongu, chodzę zwykle do takich restauracji, gdzie żywe ryby pływają w basenach. Wybierasz sobie obiad, który jest zabijany i czyszczony na twoich oczach. Dlatego masz pewność, że

podają ci naprawdę świeżą rybę. Jeśli chodzi o tego konkretnego łososia, to żal mi tylko, że nie mogę zjeść go od razu, teraz, kiedy jest taki lśniący, świeży i śliczny.

Zerknął na zegarek.

- Jeśli się pospieszymy, zdążymy go przynajmniej napocą

- To na co czekamy? Daj mi pałkę.

- Mogę to zrobić.

- A ja się mogę nauczyć?

- Zamierzasz go też oprawić?

- Też - odparła z westchnieniem.

- Masz szczęście. Z łososiem pójdzie ci łatwiej niż z wargaczem. Lianne uśmierciła łososia kilkoma szybkimi uderzeniami pałką.

Patrząc na nią, Kyle żałował, że nie można w ten sposób rozwiązać wszystkich innych drobnych problemów. Życie było jednak bardziej skomplikowane.

Ale mimo wszystko sądził, że zabranie pałki do pana Hana Senga nie należy do jego najgłupszych pomysłów.

14

Nieuzbrojony i bardzo uprzejmy strażnik z portu przylegającego do Institute of Asian Communications nie ruszył się z miejsca, dopóki Han Seng nie zaprosił „Tomorrow” do przycumowania. Gdy Kyle i Lianne znaleźli się wreszcie na brzegu, odprowadził ich do pawilonu szefostwa, zadzwonił i czekał chwilę, aż ktoś się pojawi i zajmie gośćmi.

Pawilon lśniący w słońcu stanowił zadziwiająco udaną kombinację szklanych ścian, cedrowych słupów i sufitów o wschodnim kształcie. Czyste, rześkie powietrze pachniało drzewami iglastymi i oceanem. Od południowej strony rozciągało się dwieście stopni słonej wody z torami dla statków handlowych oraz wycieczkowych, bojami nawigacyjnymi i dzikimi wyspami. Najbliższe były niezamieszkałe; należała do nich również Jadeitowa Wyspa. Ciemności rozpraszał księżyc, wychodzący zza grafitowych chmur, światełka z rzadka przepływających statków i lampy palące się w domach położonych na brzegach odległych wysp.

- Ładny widok - powiedział Kyle, balansując pudłem z jadem, które trzymał w wyciągniętych rękach.

Strażnik nie odpowiedział, Lianne też milczała. Była bardzo ciekawa, w którym pomieszczeniu odbędzie się przyjęcie. W pawilonie kierownictwa paliło się jedynie kilka świateł. W drugiej części instytutu również, ale znikąd nie dochodziły charakterystyczne odgłosy towarzyszące zwykle tego typu spotkaniom. Albo więc Seng zamontował idealne wyciszenie, albo impreza okazała się niewypałem.

Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w sposób nieprzystający do standardów wymaganych w instytucie, uchylił z łoskotem cedrowe podwoje i wyjrzał na zewnątrz. Gdy drzwi się otworzyły, Kyle i Lianne poczuli ostry zapach chińskiego tytoniu. W korytarzu, jakieś trzy metry za progiem, siedział młodszy mężczyzna, również Chińczyk, o kamiennej twarzy. Choć miał na sobie bardzo drogie ubranie, krawiec nie zdołał ukryć „armaty” pod jego lewą pachą.

- Miło witać - powiedział mężczyzna w średnim wieku ledwo zrozumiałą angielszczyzną. - Ja być kuzyn pana Han.

- Dziękuję - odparła Lianne po mandaryńsku. - Nie trzeba mu przeszkadzać. Wiem, że jest bardzo zajęty, a my przybyliśmy za wcześnie. Proszę nas po prostu zabrać do pokoju z jadem.

- Niemożliwe - odparł po angielsku i odwrócił się. - Wy zostać. Lianne zaczęła mówić coś po kantońsku, ale on nie zwrócił na nią uwagi i poszedł dalej.

Drugi mężczyzna, ten z nieudolnie ukrytą bronią, nawet się nie ruszył. Patrzył na nich czarnymi, nieruchomymi oczyma.

- Nie znajdujesz wspólnego języka z kuzynem? - spytał cicho Kyle.

- Nawet kilka - odparła ostro. - To Han Ju, kuzyn Han Senga i jego osobisty asystent; Ju mówi po mandaryńsku i rozumie po kantońsku. Jest po prostu niegrzeczny.

- Czyżby Seng nie oszalał z radości na wieść o tym, że przybyłaś tu własną łódką, w dodatku w towarzystwie?

- Zapewne rzeczywiście nie.

- To przykre.

Lianne spojrzała na Kyle'a. Z jego twarzy zniknął wyraz rozradowania, z jakim patrzył na nią i na łososia. Donovan przybrał kamienną minę, taksując wszystkich badawczym wzrokiem. Wydawał się starszy, twardszy, surowszy. Podobny do Archera, jedyne go Donova-na, który ubiegłego wieczoru nie przyjął jej prawdziwie ciepło.

- Wyglądasz zupełnie jak twój brat - powiedziała.

- Archer?

- Tak.

- Nie bardzo. On jest naprawdę przystojny.

- A ty nie? - spytała bez zastanowienia. Kyle popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Nie. Zaufaj mi, proszę. Kilka tuzinów kobiet może na to przysiąc.

- Tak się właśnie kończy przesiadywanie w Instytucie Braille'a -mruknęła, przekładając pudełko z ręki do ręki. - Nie jesteś przystojny? Co za bzdura! Twój uśmiech mógłby zatrzymać ruch uliczny, uśmiech Archera - w najlepszym wypadku zegar.

- Nie podoba ci się mój brat? Wzruszyła ramionami.

- Trudno lubić kogoś, kto nie lubi ciebie.

- On potrzebuje czasu, żeby się rozgrzać.

- A i tak mu się to nie uda bez lampy lutowniczej.

Nagły potok chińszczyzny uniemożliwił Kyle'owi odpowiedź. Seng podszedł do wejścia. Miał na sobie szkarłatny smoking z brokatu, czarne jedwabne spodnie i buty od Gucciego. Przegub Chińczyka zdobił wspaniały rolex, a na jego serdecznym palcu pysznił się pierścień z jademitem. Seng był uczesany, wypolerowany i wyperfumowany jak pan młody albo hazardzista.

Lianne rzuciła Sengowi tylko jedno spojrzenie i poczuła ogromną wdzięczność do Kyle'a za to, że się zdecydował jej towarzyszyć. Nieświadomie przysunęła się do niego bliżej, tak że biodrem niemal dotykała jego uda.

- Zwierzę imprezowe w pełnym rynsztunku - mruknął Kyle.

- Masz tylko w połowie rację - powiedziała cicho.

- Zwierzę?

- Poważnie się tego obawiam.

Mówiła prawdę. Jakaś swą cząstką lękała się Han Senga. Co gorsza, wiedziała, że Tangom bardzo zależy na tej znajomości. Gdyby obraziła Chińczyka, Harry na pewno by się wściekł.

Ale gdyby Seng zachował się w stosunku do niej w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, bezwzględnie by go obraziła.

Na krótki rozkaz Senga jego asystent zabrał pudełko od Lianne. Strażnik pozostał wprawdzie na swoim miejscu, ale przynajmniej nie obserwował już Kyle'a z drapieżnym zainteresowaniem.

Bełkocząc coś po chińsku, Seng ujął Lianne pod ramię i ruszył przed siebie, zaszczycając Kyle'a zaledwie przelotnym spojrzeniem. Kyle nie przejął się tym lekceważącym potraktowaniem, natomiast dostrzegł, że Seng ściska dziewczynę stanowczo za mocno; mógł nawet pozostawić ślady.

Kiedy Kyle ruszył za nimi, Lianne potknęła się spektakularnie i zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami, aby nie upaść. Seng wydał nagle świszczący dźwięk i zgiął się w pół, a Lianne prędko odzyskała równowagę i odskoczyła na bezpieczną odległość.

Zanim strażnik zerwał się z miejsca, a Seng zdołał wyprostować. Kyle stanął między Chińczykiem i Lianne. Dziewczyna szybko zaczęła przeproszać gospodarza za niezręczność. Seng był jednak zbyt zajęty chwytnością oddechu, by jej słuchać.

- Niech on sobie dyszy i miota się jak ryba wyjęta z wody, w porządku, ale asystent mógłby nam tymczasem pokazać te jadeity do wymiany. Pudło zaczyna mi ciążyć - mruknął Kyle.

Kuzyn Senga popatrzył na niego z błyskiem w oku. Najwyraźniej rozumiał angielski znacznie lepiej, niż nim władał. Seng warknął coś pod nosem i zaczął żywo gestykulować.

- Chce, żebyś zaniósł pudło do jego apartamentu. Asystent ci pomoże. Potem masz czekać na pokładzie.

- A ty?

- Seng pokaże mi osobiście jadeity w pokoju konferencyjnym. Wszystko jest przygotowane.

- Co z tym przyjęciem?

- Dobre pytanie. Tyle że ja nie potrafię na nie odpowiedzieć".

- Wolisz, żebym czekał w łodzi?

- Nie - powiedziała wyraźnie Lianne. - To były naprawdę trudne dni. Bardzo trudne. Chcę zapakować jadeity i jechać do domu.

- Dla mnie bomba! Tędy.

Ruszył przed siebie z taką miną, jakby Han i jego ochroniarz w ogóle nie istnieli.

- Dokąd idziemy? - spytała Lianne.

- Do sali konferencyjnej.

- A wiesz, gdzie ona jest?

- Przy końcu korytarza skręć w lewo. Tam trzeci pokój po prawej. Ruszaj się, kochanie! Gospodarz bardzo chciałby zrealizować swój program, ale chyba nie jest przygotowany na podjęcie żadnych drastycznych kroków.

Lianne już od dawna przejrzała zamiary Senga, więc nie musiała zadawać dodatkowych pytań; subtelność nie należała do mocnych stron Chińczyka. A Han był jej całkowicie pozbawiony. Dał Lianne niedwuznacznie do zrozumienia, że ma lizać mu stopy i inne części ciała, które raczy przed nią odsłonić.

Wydał kilka krótkich rozkazów swemu asystentowi, powiedział też, że jest zajęty, i odszedł. Lianne odetchnęła z ulgą i ruszyła za Ky-le'em. Ju pospieszył za nimi.

- Skąd znasz plan instytutu? - spytała, kiedy zrównała się z Kyle'em.

- Farmer jest mistrzem od imprez międzynarodowych. Tak czy inaczej Donovanowie przyjeżdżali w ciągu ostatnich czterech lat na wiele konferencji. Wtedy liczyliśmy się w Chinach bardziej niż Farmer. Nawet SunCo się do nas wtedy zalecało.

-I co?

- Archer wyperswadował ojcu ten alians.

- Dlaczego? Nie podobało mu się połączenie obu korporacji? Kyle słyszał za sobą kroki asystenta. Wiedział też, że Han Ju zna angielski znacznie lepiej, aniżeli by się mogło wydawać.

- Nie tłumaczył się przede mną - wyjaśnił krótko.

- Pytałeś?

- Poznałaś Archera. Jak sądzisz?

- Nie pytałeś.

- Tu jest sala konferencyjna. To pomieszczenie ze złotym lotosem na drzwiach.

Lianne wyprzedziła asystenta, otworzyła salę i weszła do środka. Na długim masywnym stole konferencyjnym, pod przyćmionym światłem lampy lśniły jadeity. Leżał tam również spis zawierający numery i cechy charakterystyczne wszystkich eksponatów.

- Postaw ten karton tam - powiedział Kyle, wskazując Chińczykowi stół, a Lianne powtórzyła polecenie po mandaryńsku.

Asystent Senga bez słowa wykonał polecenie.

- Mam ci pomóc przy otwieraniu? - spytał Kyle. - Opakowanie z grubego białego papieru przewiązanego sznurkiem, uzupełnione czerwonymi pieczęciami, intrygowało go od chwili, gdy zobaczył Lianne niosącą pudła do portu.

- Nie - odparła Lianne. - Wen chce sobie w ten sposób zagwarantować pewność, że odbiorca dostanie dokładnie to, co zostało zapakowane w skarbcu.

Ufna duszyczka. Wzruszyła ramionami.

- Nie jest gorszy od innych, z którymi pracowałam.

- Mówiłem o tobie. Skąd wiesz, co jest w pudłach?

- Nie muszę wiedzieć - odparła, odgarniając pasmo włosów za ucho. - W tym przypadku orientuję się jednak mniej więcej, co zostanie wymienione. Joe nalegał, abym wydała opinię o kilku jade-itach, nim kazał je zapakować.

- Co z innymi?

- Nie musiałam się o nich wypowiadać.

- Dziwne.

- Chińskie metody załatwiania interesów często wzbudzają zdziwienie Amerykanów.

Kyle popatrzył na pudła. Nie można było do nich zajrzeć, nie niszcząc choć jednej z czerwonych pieczęci. Była to stara, niezbyt skomplikowana technicznie, ale bardzo skuteczna metoda przeciwdziałania wszelkim próbom manipulacji.

- Potrzebuję więcej światła - powiedziała Lianne, stawiając torebkę na stole.

- To niekonieczne — rzekł Han Ju po mandaryńsku. - Wszystko jest zgodne z ustaleniami. Szacowny Han Seng chciał po prostu pani zaprezentować jakość tych

jadeitów. Jeśli zechce pani poczekać, na pewno podzieli się z panią bardziej szczegółowymi obserwacjami.

- Czuję się zaszczycona - odparła spokojnie Lianne - ale podobnie jak szanowny Han Seng muszę godzić różne, sprzeczne interesy. -Widzisz tu jakieś kontakty czy gniazdka? - zwróciła się do Kyle'a po angielsku.

Kyle podszedł do panela, który wydawałby się znacznie stosowniejszy w rękawie kosmicznej, i włączył lampy. Efekt przypominał wschód słońca w tropikach - sala rozblęsnęła nagłym, ostrym, rażącym światłem.

- Wystarczy?

- Powinam była wziąć bikini. Przynajmniej opaliłabym się trochę podczas pracy.

- Mogę włączyć ultrafiolet. Jaka muzykę sobie życzysz? - spytał, podchodząc do panela. - Klasyczną? Celtycką? A może chińską operę albo country, bluesa, New Age, rock klasyczny, reggae, rap czy operę europejską? Chyba że wolisz odgłosy natury: deszcz, grzmoty, fale, rzekę, śpiew ptaków, dźwięki dochodzące z dżungli o świcie?

- Wybieram ciszę.

- W takim razie może zapachy? Orchidee i wodospady? - zaproponował Kyle. - Upał i piasek pustyni? Południe w dżungli? Popołudnie na łące? Zmierzch w sosnowym lesie przy padającym śniegu? Albo dobre, morskie, słone powietrze?

Lianne wydała pomruk, który mógł oznaczać dosłownie wszystko, i nachyliła się nad pierwszym jadeitem. Im dłużej patrzyła, tym była mniej zachwycona.

- Jeśli nie robią na tobie wrażenia mury naturalne, mogę zapewnić ci wszystko: od mozaik z Xi'an lub Zakazanego Miasta po Manhattan nocą i Góry Skaliste o dowolnej porze. Jeśli jesteś w nastroju do akademickich dyskusji, postaram się o obrazy ze wszystkich muzeów na świecie. Gdybyś natomiast zapragnęła rozrywki, proszę bardzo - nie brakuje tu również plakatów filmowych i tapet z krajobrazami. A jak masz ochotę zadbać o kondycję - nic prostszego; oto wybór klipów sportowych z każdej części świata. Możesz sobie nawet obejrzyć łapanie kóz na łące w Mongolii.

Lianne oderwała wzrok od jadeitów.

- Kim ty właściwie jesteś? Przewodnikiem wycieczek?

- Dopiero rozpoczynam karierę.

Czując na sobie ponure spojrzenie Ju, Kyle podszedł do Lianne. oparł biodro na mahoniowym stole o rozmiarach lotniskowca i skrzyżował ręce na piersiach.

- Gdybyśmy naprawdę byli gośćmi, a nie gośćcami - ciągnął -mielibyśmy w klapach takie specjalne szpilki sterujące komputerem, który zgodnie z naszym wcześniejszym wyborem zmieniałby temperaturę w pokojach, dobierał oświetlenie, muzykę, zapachy i wystrój wnętrza.

- A gdybyśmy, mimo różnych gustów, znaleźli się nagle w tym: samym pokoju?

- Wtedy należałoby ustalić, kto jest VIP-em, a kto zwykłym śmieciem. Komputerem rządzi osoba najwyższa rangą. -Z tymi słowami Kyle odwrócił się do asystenta Senga. - Do widzenia. Han Ju. Jeśli będziemy czegoś potrzebowali, nie omieszkamy cię o tym powiadomić.

Mężczyzna patrzył przez chwilę na Kyle'a, po czym wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi.

Kyle zbliżył usta do ucha Lianne. - Nie rób i nie mów niczego, na co nie mogłabyś sobie pozwolić w obecności Han Senga. Tu wszystko jest na podsłuchu.

Rozszerzyła oczy ze zdziwienia, ale nie powiedziała ani słowa. Nawet nie skinęła głową. Wróciła po prostu do jadeitów. Wołała znaleźć się jak najszybciej z dala od Han Senga i jego „zabawek”.

Pochylona nad pierwszym jadeitem, zaczęła się zastanawiać, czy spray antynapadowy obezwładni strażnika, zanim ten zdoła wystrzelić. Bardzo w to jednak wątpiła.

- Słyszałaś? - powtórzył szeptem Kyle.

Skinęła głową i drgnęła lekko, gdy poczuła delikatny dotyk palców odgarniających jej włosy, które wymknęły się niesfornie spod spinki.

- Muszę sobie sprawić lepszą klamrę.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie ma takiej potrzeby.

- Rozpraszasz mnie.

- Powiniennem przeprosić?

- Jeśli szczerze, to tak - odparła. Roześmiał się głośno.

Lianne zebrała rozproszone myśli i skupiła się na jadeitach, które Seng oferował Tangom. Choć światło było teraz niezłe, Lianne miała do dyspozycji bardziej

miarodajny punkt odniesienia niż pamięć wzrokowa. Sięgnęła do torebki, wyjęła kilka próbek jadeitu o znanym sobie kolorze i ustawiła je na stole, by sprawdzić, jak działa na nie światło.

- Dobrze - mruknęła. - Oświetlenie dzienne. Zobaczysz teraz barwę, którą gdzie indziej dostrzegłbyś dopiero jutro w południe.

- Jesteś pewna? To oświetlenie śródziemnomorskie. Mogę je zmienić na czyste, północno-wschodnie wybrzeże Pacyfiku.

Kręcąc głową, Lianne wzięła do ręki pierwszy jadeit z kartonika oznaczonego numerem jeden. Był to wisior wielkości połowy dłoni, w zielonym obramowaniu, w kształcie listków i gałązek. W środku tkwiła bladoseledynowa brzoskwinia w cętce. Naturalne wgłębienie owocu wyeksponowano tak przesadnie, że wisior natychmiast kojarzył się ze wzgórkami Wenery.

- Miałaś głośno myśleć - powiedział Kyle. - Pamiętasz? Lianne skinęła głową. Pamiętała również o tym, że Seng podsłuchiwał każde jej słowo.

I co sądzisz?

- Rozumiem, dlaczego Seng chce się pozbyć tego wisiora.

- A co jest w nim złego?

- Stanowi doskonały przykład tego, że szczególne upodobania kolekcjonera mogą obniżyć jakość jego zbiorów.

Kyle popatrzył na wisior.

- Zamieniam się w słuch.

- Han Seng postanowił zbierać chińskie jadeitowe erotyki ze wszystkich dynastii. To trudna decyzja. Choć tego rodzaju rzeźby stanowiły w pełni akceptowaną i oczekiwaną część chińskiego życia, przynajmniej do czasów chrześcijaństwa i Republiki Ludowej - większość erotycznej sztuki chińskiej to obrazy.

- Pomoce wizualne, co? Niewiele ta nowego.

- Są sprawy wykraczające poza różnice kulturowe - powiedziała Lianne. - Jeśli cesarz, książę lub bardzo bogaty urzędnik nie zamówił przedmiotów o charakterze erotycznym, one po prostu nie powstawały lub były wykonywane przez przeciętnych rzemieślników z przeciętnego kamienia.

- Jak ten wisior, który trzymasz w ręku?

- Tak.

- Więc nie temat stanowi tu problem?

- Odzywa się w tobie spadkobierca tradycji purytańskiej - zgodziła się sucho Lianne. - Purytanizm to jednak bardzo późny element chińskiej mieszanki kulturowej. Fakt, że zachodnie muzea wystawiają jedynie przedmioty użytku domowego i obrazy, świadczy raczej o niechęci tych - a nie chińskich - społeczeństw do podejmowania tematyki seksualnej. Chińczycy mają długą i bogatą tradycję erotyczną.

- Jak większość narodów.

- Ale Chiny nie pozostawały w izolacji. Częstotliwość i długość wizyt cesarza u jego żon i konkubin stanowiły taki sam temat publicznej troski i dyskusji jak jego dekrety. Tak naprawdę lubieżność była cechą mile widzianą u władcy.

Kyle z uniesionymi brwiami patrzył na rząd jadeitowych figurek stanowiących rodzaj wariacji na tematy seksualne.

- Czyżbyś był zaszokowany? - spytała, spoglądając na niego spod oka.

Uśmiechnął się leniwie.

- Myślę po prostu, co by się stało, gdyby jakieś muzeum włączyło te jadeity do swojej ekspozycji. Publiczność chodziłaby chyba po ścianach.

- A miejscowi politycy wylatywali przez okno.

- Owszem. Jak już stwierdziłaś, to kwestia różnic kulturowych. - Kyle popatrzył na wisior. - A więc jedyny problem stanowi tu wykonanie i jakość klejnotu, a nie to, co on wyobraża.

Lianne przytaknęła.

- Rodzina Tangów dysponuje wieloma wariantami brzoskwiniowych listków i owoców. Ta biżuteria ma bardzo zmysłowy charakter. Sugeruje przyjemność odnajdywaną w kobiecym ciele, jak również płodność i łączącą się z nią obietnicę nieśmiertelności mężczyzny, zyskiwanej dzięki posiadaniu synów.

- Rzeźbiarz istotnie nieźle uchwycił seksualne elementy wisiora. Ale reszta... - Kyle wzruszył ramionami. - Ma raczej kliniczny niż artystyczny charakter.

- Oczywiście. Żałuję, że nie mogę ci pokazać jednego z wisiorów ze skarbcza. Rozmiar ten sam, kolor znacznie ciekawszy i umiejętności wykonawcy o wiele większe. Artysta wykorzystał najdrobniejsze nawet zmiany odcienia jadeitu, aby

wyeksponować temat. Gdy po raz pierwszy widziałam wisior, zaczęłam się zastanawiać, czy rajski owoc nie był przypadkiem brzoskwinia, nie jabłkiem.

- Jesteś pewna, że to ma być brzoskwinia? - spytał Kyle, patrząc na naszyjnik, którego Seng zamierzał się pozbyć. - Wygląda raczej jak część ciała.

Lianne popatrzyła na niego z ukosa.

- W Chinach brzoskwinia to symbol sromu.

- Jadeitowa brzoskwinia pasująca do jadeitowej łodygi. Czy tak?

- W istocie kobiecy organ częściej bywa nazywany jadeitowym pawilonem. Lub też pawilonem rozkoszy. Znane jest również określenie „dwa centymetry kwadratowe”.

Kyle chciał powiedzieć coś neutralnego, ale nie potrafił. Zupełnie się nie spodziewał, że w rozmowie z Lianne poruszy akurat ten temat.

- W każdym razie ten wisior to podobno ozdoba konkubiny z czasów dynastii Sung.

- Podobno? A ty nie podzielasz tej opinii?

Lianne się zawahała. Ani na chwilę nie mogła zapomnieć o tym, że wszystko, co robi lub mówi, jest monitorowane. Położyła wisior, pogrzebała w torbie i wyjęła z niej szkło powiększające oraz latarkę.

- Co chcesz znaleźć? - spytał Kyle. - Ślady po narzędziach?

- Do pewnego stopnia. Przed epoką produkcji maszynowej praca rzemieślników przebiegała bardzo wolno, w wyniku czego wzory były wyraziste i czyste. Dzięki napędowi maszynowemu tworzymy szybciej, ale wcale nie lepiej: krzywizny nie są tak gładkie i wyraźne.

- Nie można zatrzymać maszyny dokładnie wtedy, kiedy trzeba?

- Właśnie. Popatrz! Tutaj, w tym zagłębieniu brzoskwini, linia powinna być zmysłowa i gładka, a przypomina raczej wyszczerbioną zmarszczkę.

Kyle popatrzył na wisior przez szkło powiększające i dostrzegł postrzępione nacięcie.

- Ten wisior powstał przy użyciu współczesnej technologii - powiedziała Lianne. - Nie stworzyli go rzemieślnicy z Sung posługujący się pedałem nożnym i skruszonym granatem do szlifowania.

- Jak sądzisz, ile on może być wart?
- Sto dolarów, jeżeli nie masz czasu się targować. A dziesięć jeżeli właściciel sklepu potrzebuje pieniędzy. W Hongkongu i Szan haju są sklepy handlujące podobnymi przedmiotami. Oczywiście Dochodzącymi z czasów współczesnych.
- Nowy jadeit. Tak to się chyba nazywa. Wszystko, co powstało po dziewiętnastym wieku.
- Nowy jadeit - zgodziła się i uśmiechnęła gorzko. - Nawet jeśli ma sto lat.
- Czyli tyle, ile czwarta część historii Ameryki.
- I w zależności od tego, jak liczysz, pięćdziesiąta Chin - odparła, zabierając wisior.
- A w dodatku niektórzy Chińczycy nazywają „współczesnymi” wszystkie jadeity po dynastii Han.
- Czyli współczesne jest wszystko od dwóch tysięcy lat?
- Dla Chińczyków - tak.

Lianne położyła wisior, zrobiła parę notatek i przystąpiła do oględzin kolejnego kamienia. Pracowała szybko, wydajnie i formułowała spostrzeżenia, używając pojedynczych wyrazów i zwrotów świadczących o głębokiej znajomości tematu.

- Pih, kolor mchu. Niezły szlif. Temat raczej typowy.
- Przypomina mężczyznę trzymającego rękę na kobiecej sukni -zauważył Kyle.
- Jak już wspomniałam, nie widzę tu nic szczególnego. - Kolejny kamień, wielkości kantalupa, musiała podnieść obiema rękami. -Kilka odcieni jaśniejszych niż pih. Dość wysoki poziom artystyczny. Wykorzystanie naturalnego zróżnicowania kamienia - dobre do doskonałego. Szlif też niezły, choć współczesny. Fatalnie. Gdyby kamień wypolerowano starą metodą, byłby wart znacznie więcej. DziC' ki ręcznej obróbce uzyskuje się lepszy połysk.
- A temat?
- Nic niezwykłego. - Lianne odłożyła jadeit, zapisała coś w notatniku i ruszyła dalej.

Kyle zerknął na kamień, który odłożyła. Obie postacie były zupełnie ubrane. Kobieta leżała w leniwej pozie na plecach, z biodrami na kolanach kochanka i nogami na jego ramionach. Coś w jej twarzy wyraźnie świadczyło, że ta pozycja bardzo jej się

podoba. Mężczyzna też wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany. Szczytował z głową odchyloną do tyłu.

Zanim Kyle zrównał się z Lianne, ona zdążyła ocenić pięć kamieni

- Pi, indygo - tłumaczyła Kyle'owi. - Świetny kolor, bardzo dobra linia. Niestety ogólne wrażenie raczej statyczne niż dynamiczne. Prawdopodobnie dynastia Tang.

Podczas gdy ona robiła notatki, Kyle patrzył na jodeit. Rzeźba wyobrażała kolejną panią unoszącą palce nóg w górę. Sądząc z wyrazu jej twarzy, mężczyzna badał ją właśnie ginekologicznie. On zresztą też nie miał zbyt zachwyconej miny.

Kyle wziął szkło powiększające Lianne i obejrzał dokładniej rzeźbę. Nie miała żadnego wyrazu artystycznego i nie budziła głębszych emocji, ale była niewątpliwie pięknie wykonana. Nawet załamania wydawały się równe, rysunki nie zachodziły na siebie.

- Kau - powiedziała Lianne.

- Co to znaczy? - spytał Kyle, podnosząc wzrok.

- Żółty. Ale w nie najlepszym wydaniu. Typ rzeźby przypomina styl Trzech Królestw, ale symbolizm i tematyka są raczej charakterystyczne dla dynastii Sung.

- Czyli?

- Za czasów dynastii Sung nastąpił renesans stylów Trzech Królestw. Być może rzeźba ta pochodziła właśnie z owych czasów. A może jest bardziej współczesna. Mogę to dostać z powrotem?

Kyle wręczył Lianne szkło powiększające.

- Całkiem nowoczesne - powiedziała po chwili. - Ślady mechanicznego polerowania.

Zapisała coś w notesie, wzięła do ręki kolejną figurkę i obróciła ją w dłoniach.

- Chiung - orzekła. - Czerwień cynobrowa - dodała, nim Kyle zdążył się odezwać. - Nietypowy temat, ale podejrzewam, że ta rzeźba jest też raczej nowoczesna.

Kyle przyjrzał się figurce, którą Lianne obracała wolno w dłoniach. Szaty obu postaci znajdowały się w nieładzie. Mężczyzna trzymał głowę między nogami kobiety.

- Wspaniała forma - powiedziała Lianne z zadowoleniem. - Świetny szlif. Rewelacyjna technika. I jaka dynamika postaci! Konkubina jest najwyraźniej szczęśliwa.

- Skąd wiesz, że to konkubina, a nie żona? - spytał Kyle z rozbawieniem.
- Bo w ten sposób nie zajdzie w ciążę.
- Ale będzie jej przyjemnie - odparował.
- Gdybyś zrobił listę rzeczy najważniejszych dla tradycyjnych Chińczyków - powiedziała Lianne, pisząc coś szybko w notesie - to satysfakcja seksualna żon znalazłaby się mniej więcej na trzydziestym miejscu.

Odłożyła zapiski i przyjrzała się kolejnej rzeźbie, a potem jeszcze następnej. Wszystkie okazy zakwalifikowała jednak jako współczesne, a ich jakość mieściła się w przedziale od dobrej do średniej, z przewagą tej drugiej.

Natomiast trzy figurki, które Lianne przywiozła do Senga ze skarbca Tangów, te trzy, które opisywała osobiście, należały do znacznie wyższej kategorii. Wszelka wymiana mogła zatem przynieść wyłącznie jednostronną korzyść.

Od niej zaś oczekiwano weryfikacji obu ekspertyz - zarówno dotyczącej przedmiotów z kolekcji Hana, jak i zbioru Tangów.

Poczuła ściskanie w żołądku i strużki potu ściekające wzdłuż kręgosłupa. Próbując odzyskać spokój, usiłowała przekonywać siebie, że przesadza. Wykonywała po prostu instrukcje klienta. Nie uczestniczyła w rozmowach między Sengiem i Tangami, nie знаła warunków umowy-Niemniej jednak na certyfikatach miał widnieć jej podpis.

15

- Czy on naprawdę ssie jej stopę? - spytał Kyle.

Lianne drgnęła, odetchnęła głęboko i skupiła uwagę na figurce, na którą patrzyła już od dłuższej chwili, wcale jej nie widząc. Mężczyzna trzymał w ustach małą, z ręcznie okaleczoną stopkę kobiety. Druga stopa była częściowo odsłonięta i skierowana ku niebu.

- Naprawdę! - potwierdziła. - Przez wszystkie te wieki, gdy Chińczycy stosowali krępowanie stóp, „złote lilie” uważano za najbardziej atrakcyjną pod względem seksualnym część kobiecego ciała.

- „Złote lilie”? Stopy?

- Nic wszystkie, tylko te, które rzeczywiście doświadczyły ogromnego bólu. Kiedy dziewczyna miała cztery lub pięć lal, jej palce u nóg wyginano i przywiązywano do

pięt, łamiąc w ten sposób sklepienia stóp. Na skutek tego stopa dorosłej kobiety przypominała wielkością pączek lilii tuż przed rozwinięciem. Siedem do dziesięciu centymetrów. Maksymalnie.

- I to miało być podniecające? - spytał Kyle, mrugając powiekami.

- Dla nich tak. „Złote lilie” były jedyną częścią ciała, której kobieta nie odsłaniała w obecności innych ludzi, nawet przy służących pomagających jej w kąpieli. Jedyne wyjątek stanowił mąż kobiety albo - u prostytutek - jej ulubiony klient.

Kyle gwizdnął cicho.

- Ten bodziec seksualny odzwierciedla jednak różnice kulturowe.

- Mówiłbyś co innego, gdyby on całował jej piersi.

- Jasne.

- Na tym właśnie polega odmienność cywilizacyjna.

- Boże, błogosław Amerykę!

Mimo niepokoju ściskającego żołądek Lianne zdobyła się na uśmiech. Kolejną figurkę brała do ręki w nadziei, że pozostałe okazy proponowane Tangom przez Senga nie są tak matowe jak te, które dotąd obejrzała.

- Soochow - mruknęła nagle. - Niech to cholera! - dodała cicho.

- Coś nie tak?

- Im starszy przedmiot, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że to naprawdę jadeit - powiedziała Lianne. - Historycznie rzecz ujmując, Chińczycy klasyfikowali swoje kamienie raczej według koloru niż składu chemicznego. Jadeitami zwano wiele zielonych kamieni - od steatytu do serpentynu włącznie.

- Są łatwiejsze w obróbce - zauważył Kyle. - W przypadku steatytu wręcz nieporównywalnie łatwiejsze.

- Ale rzeźba szybko traci kształt; czas wygładza brzegi, wzory, aż w końcu nic z nich nie zostaje. Podobnie jak z wosku pozostawionego na słońcu. Poza tym żaden z tych kamieni nie nabiera takiego blasku po oszlifowaniu jak prawdziwy jadeit.

- A ty trzymasz teraz w ręku prawdziwy jadeit?

- W pewnym sensie. To jadeit soochow. Rozumiesz różnicę?

- Soochow to serpentyn, nie jadeit - powiedział Kyle. - Serpentyn jest mniejszy niż nefryt i ma mniejszy ciężar gatunkowy.

- Mam przyjąć, że rozumiesz różnicę między nefrytem i jadeitem?

- Nefryt to silikat wapnia, magnezu i żelaza, nazywany również tremolito-aktinolitem. Jadeit to inna odmiana silikatu. Złożona z aluminium, sodu i żelaza. Znana również jako piroksen. Odmiana zielona, mocno przezroczysta bywa nazywana jadeitem birmańskim. Czy to wyczerpuje najważniejsze zagadnienia?

- Nawet i te mniej istotne. Dlaczego się koło mnie kręcisz?

- Zanim zainteresowałem się jadeitem, byłem geologiem. Chemia to wspaniała nauka, ale brak jej zdecydowanie wycucia historii. A chiński jadeit, niezależnie od swojego składu chemicznego, stanowi kwintesencję chińskich dziejów. Kręcę się natomiast koło ciebie, bo chcę zrozumieć, w jaki sposób udaje ci się poznać, że kobieta z rzeźby, którą trzymasz w ręku, jest panną młodą, a nie na przykład prostytutką.

- Popatrz na wzory na podstawce.

Przysunął się do Lianne tak blisko, że wyczuwała ciepło jego ciała.

- Według mnie to wygląda jak polerowany mahoń, zwyczajna podstawa chińskich rzeźb z jadeitu.

- Drewno ukształtowano tak, aby przypominało łóżko. Na obu jego końcach widzimy stylizowane nietoperze: symbole zarówno szczęścia, jak i nocy. Na sukni wyryto peonie utożsamiane z odnową, wiosną, miłością oraz szczęściem.

- Te wszystkie głupstwa wiązano ze ślubem?

- Głupstwa? Mówisz jak prawdziwy amerykański kawaler - odparła Lianne ze śmiechem. - Chińczykom wesele kojarzyło się zawsze z łączeniem rodzin, wiosek, dynastii i losów. W dzień weselny przeszłość przelewała się z mężczyzny w kobietę i tworzyła przyszłość.

Kyle się pochylił, by spojrzeć na rzeźbę wielkości pięści, którą Lianne trzymała w ręku. Twarz panny młodej była bardzo blada, niewyraźnie zarysowana. Pod pępkiem poły szaty szeroko się rozchylały, ukazując rozsunięte uda. By odkryć to, co czekało na pana młodego, kobieta nie nosiła bielizny. Mocno pofałdowany srom był najbardziej eksponowaną częścią jej ciała.

- Jest całkiem gotowa na to, co ją spotka - powiedział Kyle.

- Częściowo masz rację. Zdolności rzeźbiarza nie sprostają jednak bogatej symbolice kultury chińskiej. Dlatego jest to po prostu kobieta z rozłożonymi nogami. - Lianne odstawiła figurkę i ruszyła dalej.

- Istnieją może jakieś... mmm... delikatniejsze wariacje na ten temat? - spytał Kyle.

- Tangowie mają w skarbcu bardzo podobną rzeźbę, co do wielkości nawet identyczną - odparła Lianne z roztargnieniem, przyglądając się uważnie kolejnemu jadeitowi. - Efekt jest jednak zupełnie inny. Ta druga dziewczyna z pewnością wygrała los na loterii i wyszła za mąż za mężczyznę, który dbał o jej przyjemności. Nazywam tę rzeźbę Marzącą Panną Młodą, choć z wyrazu jej twarzy wnioskuję, że małżeństwo zostało już skonsumowane.

- W jaki sposób...

- W jaki? - Lianne popatrzyła spokojnie na Kyle'a. - Chyba zwyczajnie. Penetracja, a potem wytrysk.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem wybuchnął śmiechem. Lianne oblała się rumieńcem.

- To wiem od przedszkola - powiedział, gładząc jej policzek wierzchem dłoni. - Nie rozumiem natomiast, na jakiej podstawie wyciągasz takie wnioski.

Starając się przybrać nonszalancką minę, Lianne przechyliła się przez stół i wbiła wzrok w kolejną rzeźbę.

- Tak mi się po prostu... wydaje.

- Nie bardzo mi pomogłaś. - Kyle odetchnął głęboko, delektując się zapachem Lianne. Uwieczony między tą gorącą kobietą i sztuką erotyczną odczuwał wyraźny nadmiar testosteronu.

- Mam może jakąś szansę, by wejść do skarbcza Tangów i porównać jadeity?

Pokręciła głową.

- Nikomu poza najbliższą rodziną i oczywiście moją skromną osobą nie wolno tam przebywać. Ale może będę mogła ci służyć jakimiś rzeźbami o tej tematyce, jeśli ci na tym zależy.

- Chcę poznać niuanse. A jeśli sztuka erotyczna może w tym pomóc, to zamieniam się cały w oczy i język.

Lianne ukryła uśmiech. Miała nadzieję, że Kyle nie wyczuje zbyt gwałtownego bicia jej puls. Działo się z nią coś dziwnego. A przecież już wielokrotnie rozmawiała o takich przedmiotach, musiała je też zdobywać dla różnych klientów, z Han Sengiem łącznie, i wówczas ich charakter zupełnie jej nie przeszkadzał.

Przy Kyle' u było inaczej. Nie czuła się jednak zażenowana czy zawstydzona, chyba że własnymi myślami. Wyobrażała sobie bowiem, że leży zaspokojona obok Kyle'a, a on podziwia jej nagie ciało.

- Muszę jednak przyznać, że jakoś nie widzę Wen Zhi Tanga w roli kolekcjonera sztuki erotycznej.

- Bo nie jest to główny przedmiot jego zainteresowań, choć wuj nie pomija żadnej okazji, by powiększyć kolekcję swych przodków. Muszę też przyznać, że jego dziadek i pradziadek mogli się poszczycić naprawdę znakomitym gustem. Wiele ich zdobyczy to prawdziwa sztuka.

- Na przykład Marząca Panna Młoda?

Lianne przymknęła powieki. Przed oczyma stanął jej znów leniwy uśmiech kobiety, jej podpuchnięte wargi, rzadko spotykany szlif jadeitu między udami.

- Owszem - potwierdziła ochryplym głosem. - Jak Marząca Panna Młoda.

Szybko wzięła do ręki kolejny przedmiot leżący w lakierowanym pudełku wyłożonym jedwabiem. Rzeźba była nieco dłuższa niż jej ręka i miała kształt penisa w stanie wzwodu. Odwróciła rzeźbę, odnotowała w pamięci jej jakość oraz rysunek i odłożyła figurkę na miejsce.

Kyle pochylił się nad Lianne, próbując nie zauważać delikatnego, bardzo kobiecego zapachu, który dotarł nagle do jego nozdrzy.

- Nic nie mówisz.

Zamarła, po czym się odprężyła. Kyle stał tak blisko, że jego oddech poruszał delikatne włoski na skórze dziewczyny, powodując gęsą skórę.

- Bo nie ma o czym. Ten przedmiot służył zapewne do szkolenia prostytutek w sztuce fellatio lub była to po prostu niezbyt udana rzeźba. Albo obie rzeczy naraz.

- Tangowie mają na pewno lepszy egzemplarz?

- Bez zastanowienia mogę wymienić pięć. Jadeitowy członek stanowił ulubiony temat sztuki erotycznej. Zapewne odgrywał również w owych czasach rolę rytualną.

Lianne zakończyła dość gwałtownie przegląd rzeźb. Nic, co zobaczyła, nie zmieniło jej stosunku do wymiany, której kazano jej dokonać.

Kyle wyczuł narastające napięcie dziewczyny, ale nie potrafił się domyślić, jaki jest tego powód. Lianne odkładała kolejne figurki, robiła krótkie notatki, a po oględzinach ostatniej rzeźby wyrwała kartkę z zeszytu i zostawiła ją na stole w pokoju konferencyjnym.

- Przez ostatni kwadrans milczałaś jak zaklęta - powiedział Kyle.
- Dodaj to do reszty moich długów.

Szybkim ruchem upchnęła w torebce szkło powiększające, bloczek i długopis. Zarzucając torbę na ramię, próbowała nie myśleć o tym, jak bardzo Tangowie będą się na nią złościć.

Wolała jednak skończyć w piekle, niż sygnować swoim nazwiskiem łapówkę szytą tak grubymi nićmi.

- Nie powinnaś zabrać tych jadeitów ze sobą? - spytał Kyle, wskazując rzeźby.
- Owszem.
- Więc może postaramy się o coś do pakowania?
- To nie będzie konieczne. - Lianne podniosła mniejsze pudło, które sama przyniosła. - Weź to drugie, dobrze?

Kyle uniósł pytająco brwi, ale zrobił dokładnie to, o co prosiła.

- A teraz?
- Wyjdziemy.
- Nie będzie wymiany?
- Ja w każdym razie nie chcę mieć z tym nic wspólnego.
- A jak zareaguje Seng?
- Jak ktoś, komu pokazano szynkę, a dano parówkę.

Kyle chrząknął znacząco. Zza osłony pudła, które trzymał w ręku, wyciągnął rewolwer i natychmiast go odbezpieczył. Dopiero tak uzbrojony wyszedł z sali konferencyjnej.

Lianne deptała mu po piętach. Żadne z nich nie zadało sobie trudu, by pożegnać się ze strażnikiem siedzącym przy głównym wejściu.

Ledwo otworzyli drzwi, z tyłu pawilonu rozległ się krzyk. Strażnik sięgnął pod płaszcz i zamarł na widok Kyle'a z rewolwerem w ręku.

Han Ju wypadł zza zakrętu, ruszył pędem do drzwi, nagle gwałtownie zahamował, po czym zaczął wymyślać po chińsku strażnikowi.

- Ju - powiedział krótko Kyle. Mężczyzna gwałtownie się do niego odwrócił.

- Podnieś słuchawkę i zadzwoń do strażnika w porcie. Powiedz mu, że potrzebujesz eskorty dla gości pana Senga. Mów po angielsku, I nie stój pomiędzy mną a swoim słodkim kick bokserkiem, bo weźmiemy cię w dwa ognie.

Ju nie dyskutował na temat swojej znajomości angielskiego. Podniósł tylko słuchawkę, kazał strażnikowi z portu przyjść do pawilonu i natychmiast się rozłączyć.

- Kyle... - zaczęła Lianne.

- Za chwilę - przerwał, nie odrywając wzroku od Ju. - Smiley rozumie po angielsku? - spytał, wskazując strażnika.

- Nie - odparł Ju.

- Lianne, każ mu położyć broń na podłodze i posunąć w moim kierunku. I niech nie robi żadnych numerów, bo go zastrzele.

Lianne szybko przekazała polecenie po chińsku.

Nie odrywając wzroku od Kyle'a, strażnik wyjął wolno broń, położył ją na podłodze i kopnął w stronę Lianne. W niezbyt jaskrawym świetle korytarza metal zamigotał jak woda.

- Wiesz, jak się obchodzić z bronią? - spytał Kyle.

- Bardzo ostrożnie.

- Na początek wystarczy. Podnieś pistolet!

Niezręcznie, nadal podtrzymując karton z jadem, Lianne wzięła do ręki broń i popatrzyła na Kyle'a.

- W porządku - oświadczył, zerkając na rewolwer. - Jest zabezpieczony. Schowaj go jakoś i ruszaj w stronę łodzi. Będę tuż za tobą.

Odgłos kroków Lianne gwałtownie ucichł.

- Ju - powiedział Kyle. - Każ strażnikowi położyć się twarzą do dołu, z nogami skierowanymi w stronę drzwi.

Strażnik zaczął wykonywać polecenia, zanim Ju skończył mówić.

- Połóż się na nim! - rozkazał Kyle.

Ju zaczął protestować, ale na widok pistoletu Kyle'a natychmiast umilkł. Mrucząc coś po chińsku, położył się na strażniku.

- Wkurzy mnie ten z was, który pierwszy spojrzy w stronę drzwi -spokojnie oświadczył Kyle. - Będę w krzakach, przy drzwiach wejściowych. Zamierzam czekać na strażnika portu.

Kyle wyszedł bezszelestnie na ścieżkę, gdzie wciąż paliły się lampy wyposażone w czujniki ruchu. Zrównał się z Lianne, która wchodziła właśnie na drugi zakręt drogi; nigdzie nie zauważył broni.

Przy trzecim zawijasio wpadł na nich strażnik.

- Dzięki, że przyszedłeś, ale już mówiłem Ju, że znamy drogę -mruknął Kyle. - Pospiesz się, kochanie. Chcemy złapać odpływ.

Lianne wydłużyła krok. Kyle deptał jej po piętach. Strażnik zrobił bardzo niepewną minę. Zaraz jednak przypomniał sobie pierwsze przykazanie: nigdy nie zostawiaj gości bez eskorty, i poszedł za Kyle' em i Lianne do portu. Patrzył, jak wchodzi na pokład „Tomorrow” i przygotowują się do odpłynięcia.

Gdy Kyle uruchomił silnik, natychmiast odezwał się brzęczyk strażnika.

- Czas na nas - powiedział Kyle do Lianne. - Włącz do kabiny, ale zostaw otwarte drzwi.

Rzucił cumy. Sterował z tylnego stanowiska, zamiast korzystać z koła wewnątrz kabiny.

Zdążyli odpłynąć o dobre kilkadziesiąt metrów w głąb morza, gdy strażnik zaczął krzyczeć. Kyle w dwie sekundy przełączył sterowanie na stanowisko wewnętrzne. Z gardłowym rykiem „Tomorrow” weszła w ślizg i uciekła. Zainstalowane światła na jej dziobie rozerwały ciemność w poszukiwaniu pływających kłód stanowiących ogromne niebezpieczeństwo dla nawigacji wokół wysp San Juan.

Lianne usiadła na miejscu pilota po przeciwnej stronie zejścia. Była najwyraźniej zdenerwowana, lecz z jej twarzy nie udawało się absolutnie nic wyczytać.

- Możesz mi zdradzić, o co chodzi?

- Jeszcze nie. Proszę. Muszę się zastanowić. Boże, co za afera! Wen będzie wściekły. Tangowie najwyraźniej chcą się wkraść w łaski Senga.

- Więc zaoferowali łapówkę? Kiepski jadeit w zamian za pełnowartościowe kamienie?

Zacisnęła ręce na kolanach. Decyzja, jaką z braku innych pomysłów musiała podjąć, nie przyniosła jej satysfakcji. Jedynym powodem do radości było to, że nie musiała iść sama na spotkanie z Sengiem. Bez pomocy Kyle'a na pewno nie wywiozłaby jadeitów z Wyspy Farmera.

Nie wspominając już nawet o Sengu i jego nadziejach na upojny wieczór.

- Mów coś! Chcę wiedzieć, co się dzieje - domagał się Kyle.

- Nie chciałam mieć nic wspólnego z tak jednostronną transakcją - odparła cicho. - Jadeity Senga nie umywały się do żadnego z tych trzech przedmiotów, które przywiozłam na wymianę.

Kyle zmarszczył brwi i zmniejszył prędkość, dostosowując ją do warunków nocnych.

- Dużo takich wymian przy zamkniętych pudłach miałaś dotąd okazję przeprowadzić?

- Z Sengiem?

- Z kimkolwiek.

Lianne zawahała się przez chwilę.

- Nie jestem pewna: sześć, może siedem. Ostatnio rzeczywiście z Sengiem tu, w Seattle. A przedtem z takim tajwańskim kupcem i kolekcjonerem z Chin.

- Robisz to również dla innych klientów czy też wyłącznie dla rodziny Tanga?

- Tak naprawdę tylko dla Wena. Zaczęłam pół roku temu. Wtedy zaczął zawodzić go wzrok. Wen był poza tym zbyt słaby, by podróżować.

- Dziś odmówiłaś po raz pierwszy?

- Tak.

- Inne wymiany wydawały ci się sprawiedliwsze? Przymykając oczy, próbowała rozewrzeć zaciśnięte pięści.

- Nie wiem - powiedziała ponuro.

Ale jednak wiedziała. W kabinie zaległa cisza. Lianne zasznurowała usta, zacisnęła dłonie jeszcze mocniej. Pływanie wokół wysp San Juan było i tak już wystarczająco

trudne bez wyciągania informacji z odpornej podejrzanej. Kyle musiał poczekać, aż wróci na brzeg.

Dopiero wtedy miał szansę cokolwiek z niej wyciągnąć.

- Uważaj! - przestrzegł Kyle, odwiązując cumę rufową „Tomorrow”. - Tu może być ślisko.

Bez najmniejszego wysiłku wziął Lianne na ręce, a następnie postawił na mokrym pokładzie. Krzyknęła z przerażenia i nie wypuściła z uścisku jego ramion, dopóki nie wyczuła desek pod stopami.

- Dostrzegam pewien postęp - powiedział. - To dobrze.

- Co takiego?

- Wydałaś dźwięk. Dwa dźwięki. Jeden z nich można by w zasadzie uznać za słowo.

Oblała się rumieńcem. W drodze powrotnej z Wyspy Farmera nie była szczególnie miłym towarzyszem podróży.

- Przepraszam. Nie chcę, żebyś posądził mnie o niewdzięczność. Doceniam wszystko, co zrobiłeś. Bez ciebie... - Aż się wzdrygnęła. - Wolę nie myśleć. Zastanawiałam się tylko nad... jadeitami.

- Nad jadeitami czy nieudanymi transakcjami? Chciała się odwrócić, ale nie mogła. Kyle był zbyt blisko.

- A co byś powiedziała na inną wymianę? Taką, która przynosi obopólną korzyść?

Poczuła na wargach jego ciepły oddech, a potem jeszcze cieplejsze usta. Gorące, żarłoczne, nieustępliwe. Nie czekała na nią żadna taksówka. Wyciągając do niego ramiona, mówiła sobie, że nie powinna. Nie potrafiła jednak odmówić sobie przyjemności zapomnienia, jakie spodziewała się znaleźć w jego objęciach.

Kyle zamierzał posuwać się wolno, finezyjnie, tak aby Lianne zaczęła go błagać o więcej. Kilka pocałunków na pokładzie owianym morskim wiatrem wytwarzającym wokół nich tajemniczą atmosferę, jeszcze kilka na ścieżce, gdzie sosny rozmawiały po cichu z nocą, kieliszek wina przed kominkiem, leniwe odsłanianie ciał i dusz...

Ale gdy poczuł smak jej ust, myślał już tylko o tym, by natychmiast się w nią zagłębić, wydobyć z niej ten najgorętszy rodzaj żaru. Po krótkiej walce z ubraniem dziewczyny odnalazł jej piersi i namacał sterczące sutki, domagające się pieszczoty.

Zanim zdołał się opamiętać, Lianne była już do połowy rozebrana, jego ręce błędziły po ciele dziewczyny, a złaknione wargi przesuwały się z ust na szyję i niżej, na pierś. Chciał podnieść głowę, przestać, lecz palce Lianne wplątane w jego włosy uniemożliwiły jakikolwiek ruch.

- Do domu! - wyszeptał ochryple.

W odpowiedzi wygięła plecy w łuk i coś mruknęła. Pragnęła więcej, pragnęła Kyle'a, i to natychmiast, nim zdoła sobie przypomnieć, dla jakich powodów nie może tego uczynić. Nie była jednak w stanie wykrztusić słowa, gdyż myślała wyłącznie o trawiącym ją pożarze, pożarze, który sprowadzał wszelką logikę do prymitywnych potrzeb.

- Teraz - powiedziała urywanym głosem. - Teraz!

Zanim Kyle zatracił się w niej całkowicie, zdążył jeszcze pomyśleć, że na szczęście to port prywatny i w chatce nie ma nikogo. A zachowałoby się dokładnie tak samo nawet w ulicznym korku albo na klapie bagażnika. Jedną ręką szybko rozpiął spodnie, drugą uniósł jej pośladki, tak że ich biodra znalazły się na tej samej wysokości.

- Obejmij mnie nogami - szepnął i zamknął jej usta swoimi. Dotyk palców Kyle'a pieszczących jej udo doprowadził Lianne do szaleństwa. Ale to jej nie wystarczyło. Chciała dostać wszystko, i to zaraz, natychmiast.

Wiła się pod naporem jego ciała, próbując mu powiedzieć, czego pragnie. Ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ich usta, języki i zęby splotły się, usiłując zaspokoić głód. Zaląła ją pierwsza fala rozkoszy, lecz to było stanowczo za mało. Pragnęła czuć go głęboko i mocno.

Kyle rozsunął uda dziewczyny i wszedł w nią głęboko, zachłannie, do końca. Jej jedwabisty uścisk oraz pierwsze skurcze orgazmu doprowadziły go do stanu absolutnej ekstazy. Wydał gardłowy dźwięk i zatapiał się raz po raz w ciele Lianne, dopóki nie pogrążył się w ciemnościach.

A potem słychać było tylko urywane oddechy dwojga ludzi.

- Nie wiesz, co nas napadło? - spytała po dłuższej chwili. Nogi miała wciąż zaplecione wokół jego bioder. Zaśmiał się i znów lekko poruszył w jej ciele. Dziewczyna drgnęła, a gdy zupełnie niespodziewanie wstrząsnął nią kolejny orgazm,

wydała cichy, nieco zdumiony okrzyk. Kyle poczuł się jak jakiś antyczny bożek, cudotwórca albo bardzo, bardzo szczęśliwy człowiek.

Lianne westchnęła, wymruczała coś ochryple i ugryzła go zmysłowo w tors.

- Nie - szepnął, walcząc z kolejną falą pożądania. - Następnym razem zrobimy to w łóżku.

- Następnym razem? - spytała, - Ach, następnym razem - mruknęła, dostrzegając jego pobudzenie.

I uśmiechnęła się.

Lianne nagle sobie uprzytomniła, że stoi na pomoście w butach, pończochach, spódnicy owiniętej wokół bioder, z przekrzywionymi majtkami. Gdyby zostało jej jeszcze choć trochę siły, z pewnością byłoby jej wstyd. Czowała się jednak zbyt dobrze, by się o cokolwiek martwić.

- Jeżeli cię nie ubiorę, to następny raz odbędzie się tutaj. Ukląkł i poprawił jej majtki. Zanim się jednak wyprostował, musnął ustami udo Lianne i znów stracił głowę...

Minęło jeszcze sporo czasu, nim w końcu dotarli do domku.

16

Niebo zasnęło się chmurami, wiał porywisty wiatr. Na Pace Lane utworzył się korek. W normalnych okolicznościach Lianne na pewno by się niecierpliwiła, ale tego dnia czuła jedynie ulgę. Podróż do Van-cower i rozmowa z Wenera na temat transakcji, której nie przeprowadziła, była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę w swoje trzydzieste urodziny.

Właściwie nie była to ostatnia rzecz. Bo jeszcze mniejszą ochotę miała na oddanie tego wspaniałego jadeitu w zamian za przedmioty niższej jakości i podpisanie umowy własnym nazwiskiem.

Samochody posuwały się w żółtym tempie, choć wzdłuż Pace Lane stosunkowo najszybciej. Aby zabić czas, Lianne podziwiała pierwsze oznaki wiosny i świeżo zasadzone rośliny w Peace Park. Mogła zresztą robić wszystko, byle tylko nie myśleć o czekającej ją konfrontacji z rodziną Tangów.

Z rodziną, lecz nie jej rodziną. Nie jej własną. „Klienci - mówiła sobie w duchu. - Myśl o Tangach, jakby to byli wyłącznie twoi klienci, a wszyscy będą zadowoleni, A tak naprawdę myśl o nich jak o byłych klientach. Byłych, gdyż za parę godzin naprawdę się nimi staną. Byłymi klientami”.

Zmusiła się, by oderwać się od nich na chwilę, i wróciła pamięcią do ostatniej nocy. I tego ranka. Co za wspaniały sposób obchodzenia urodzin! Na samo wspomnienie pięknych oczu Kylie'a zasnutyż pożądanym wstrząsnął nią dreszcz.

Czuła, że żyje i jest kochana. A już na pewno upragniona. Nie знаła do tej pory tak zmysłowego mężczyzny, który by dawał tyle samo, ile brał. A nawet więcej. Po tej nocy wszystkich dotychczasowych kochanków mogła jedynie sprowadzić do kategorii PK. Przed Kylie.

A po Kyle'u?

O tym nie chciała myśleć. Skończyła trzydzieści lat, co wystarczyło, by rozumieć, że Kyle to okaz równie rzadki jak cesarski jadeit. Nie miała jednak ochoty myśleć o rozstaniu, które przecież musiało niebawem nastąpić. Zbyt dobrze się czuła.

Kyle troszczył się o nią nie tylko w łóżku. Naprawdę chciał jej pomóc.

„Lianne, porozmawiajmy poważnie. Czy ty masz jakieś kłopoty przez te jadeity?”

Nic tu nie można zrobić, Kyle. Oddam jadeity Wenowi i powiem mu, że nie zamierzam już firmować tego typu transakcji.

A potem co?

Lianne nie zamierzała wybiegać myślą w przyszłość, a tym bardziej o niej mówić, toteż powstrzymała dalsze indagacje metodą starą jak świat: przesunęła dłońmi po jego cudownym, nagim ciele, a potem zamknęła mu usta.

Pytanie Kyle'a znów odezwało się echem w jej pamięci...

Delikatne pukanie w szybę wyrwało ją z zamyślenia. Przy oknie auta stał starszy mężczyzna w ciemnoszarym garniturze. W rękę trzymał odznakę i pokazywał wyraźnie, by opuściła szybę. Gdy zrobiła, co kazał, chłodne powietrze rozwiało jej włosy.

- O co chodzi? - spytała. - Coś nie tak?
- Czy mógłbym obejrzeć pani dokumenty?
- Prawo jazdy? Paszport?

- Wszystko jedno, proszę pani.

Wzięła z siedzenia torebkę i wyjęła portfel. Nie znalazła w nim jednak prawa jazdy; dokument tkwił w książeczce czekowej, bo gdy ostatnio podejmowała gotówkę, musiała się jakoś wylegitymować.

- Proszę - powiedziała, wręczając mu prawo jazdy. Wziął dokument i przyjrzał się dokładnie fotografii.

- Czy mogłaby pani wysiąść z auta, panno Blakely?

- Dlaczego? Coś nie w porządku? Aktualizowałam prawo jazdy kilka tygodni temu. Otworzył drzwi od strony kierowcy. Czekał.

Marszcząc brwi, Lianne wysiadła z samochodu i stanęła na wprost mężczyzny.

- Panno Blakely, jest pani aresztowana za kradzież, przemyt i handel zrabowanymi przedmiotami.

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart. Zanim jednak zdążyła bodaj wydać okrzyk zdziwienia, policjant obrócił ją tyłem do siebie i nałożył kajdanki. Jak spod ziemi wyrosła tuż przy nim kobieta w garsonce. Z profesjonalną dokładnością sprawdziła, czy Lianne nie ma przy sobie broni, a gdy niczego nie znalazła, popchnęła ją w kierunku zaparkowanego w pobliżu sedana.

Lianne zdołała jeszcze spojrzeć przez ramię i dostrzec, że policjant, który dokonał aresztowania, pochyła się nad kufrem jej auta, otwiera klapę i wyciąga pierwszy karton. Na tle białego papieru błysnęły czerwone pieczęcie.

Kyle zignorował cztery pierwsze dzwonki. Posługując się szkłem powiększającym, składał właśnie w ostrym świetle małe silikonowe płytki na tablicy wysokiego napięcia. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, posiadłość Donovanów zyskałaby system alarmowy z modemem.

Po piątym dzwonku zaklął, odłożył narzędzia i sięgnął po słuchawkę.

- Czego? - warknął.

- ...Kyle?

Głos był tak spięty i niepewny, że w pierwszej chwili nie rozpoznał swej rozmówczynie.

- Czy to ty, Lianne? Brzmisz jak z zaświatów.

- Tak się czuję. - Zaczepnęła powietrza. - Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale moja matka wyjechała na Tahiti z Johnnym i nie wiedziałam, do kogo... - Zamilkła.

Zrozumiał, że to nerwy, a nie złe połączenie odpowiada za zniekształcenie głosu Lianne, i resztki złości natychmiast go opuściły.

- Co się stało, kochanie? - zapytał.

- Zostałam aresztowana i nie wiem... - Odchrząknęła. Ogarnęła go przedziwna mieszanka uczuć: gniew, żal i nawet coś

na kształt pożądania. Stłumił emocje i skupił się na tym, co zaszło

- Gdzie jesteś"?

- W Seattle.

- Jakie ci postawiono zarzuty?

- Kradzież, przemyt, handel skradzionymi przedmiotami i jeszcze parę innych, których nie rozumiem.

- Jakimi przedmiotami? - spytał, choć był niemal przekonany, że wie, co za chwilę usłyszy.

- Sądzą, że ukradłam jadeity Wen Zhi Tanga. A ja przecież tego nie zrobiłam. Nigdy bym...

- Masz adwokata? - przerwał krótko.

- Adwokata? A skąd miałabym wziąć adwokata? Nawet żadnego nie znam.

- Nie martw się. Ja to załatwię. Przed rozmową z Jill Mercer nikomu nic nie mów. Jill Mercer. Zapamiętałaś? Jest gdzieś tam w pobliżu jakiś policjant?

- Jest

- Daj go do telefonu. -Ją.

- Wszystko jedno. I Lianne... -Tak?

Chciał jej powiedzieć, żeby się nie martwiła, że to jakaś pomyłka, którą na pewno uda się wyjaśnić, i wszystko będzie dobrze. Czuł jednak, że to wcale nie pomyłka i że wcale dobrze nie będzie.

- Zobaczą się z tobą, jak tylko to będzie możliwe - powiedział w końcu.

- Pewnie. I dziękuję, Kyle. Nie... miałam do kogo zadzwonić.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak cicho, że niemal ich nie słyszał. Wolalby zresztą, by do niego nie dotarły. Nie przypuszczał, że dziewczyna jest taka samotna, i

niechętnie o tym myślał. Szczególnie po ubiegłym wieczorze, kiedy oddała mu się tak całkowicie i wspięła na szczyt. Razem z nim. Zdziwienie w jej oczach mówiło wyraźnie, że znalazła się tam po raz pierwszy. A przynajmniej w taki sposób.

Zastanawiał się teraz, czy w jego oczach też było wtedy zdziwienie.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś - powiedział. - Tylko nie rozmawiaj z nikim, dopóki nie przyjdzie Jill.

- Ja... pospiesz się, jeśli możesz. Trzymają mnie tu w kajdankach, zamkniętą w... - Urwała. Najwyraźniej ogarniał ją strach.

Twarz wykrzywił mu ból, do którego nie mógł się przyznać.

- Poproś tę policjantkę. A ja zaraz przyjadę.

- I co powiedziała Jill Mercer?

- Nic pocieszającego. - Wyrzał przez okno poddasza, nie widząc wód zatoki marszczonych przez morską bryzę. Mimo iż wiało coraz mocniej, popołudniowe słońce przegrywało batalię z czasem i chmurami. W razie ostatecznej klęski wiatru zrobiłoby się ciemno jeszcze przed wieczorem.

- Federalni nie oskarżyli jej chyba tylko o plucie na chodnik.

- Typowa procedura operacyjna. Im więcej zarzutów, tym większa kaucja.

- Pół miliona. Ona nawet nie ma pieniędzy na jedną pięćdziesiątą tej kwoty.

Archer gwizdnął przez zęby.

- Pół miliona? Nieźle jak na kogoś z czystą kartoteką. Sędziemu padło chyba na mózg.

- Albo ktoś mu opowiedział jakieś niesympatyczne historyjki.

- Zdarza się. Szczególnie jeśli podejrzana brała udział w wywozie z Chin cesarskich szat pogrzebowych.

- Tego nikt jej nie zarzucał.

- Tak, ale obaj wiemy, że to właśnie z tego powodu federalni depczą Lianne po piętach. Przecież kolekcja erotyczna Wena obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg.

- Co z kolei nasuwa bardzo interesujące pytanie - rzekł Kyle, odwracając się plecami do Archera. - Federalni śledzili Lianne, sądząc że doprowadzi ich do cesarza, tak? Dzięki niej chcieli znaleźć szatę i zapobiec konfliktowi na skalę międzynarodową.

- Ja to właśnie w ten sposób widzę.

- Ale federalni wiedzą, gdzie jest teraz ta szata.
- Chińczycy też. Zażądali od Stanów jej zwrotu.
- Dla mnie bomba!
- Farmer twierdzi, że dostał ją z Tajwanu, a nie z Chin.
- A co mówi Tajwan?
- Wskazuje na nas.
- Rany boskie!
- Tajwan twierdzi, że Chińczycy albo sami sprzedali szatę, albo padli ofiarą złodzieja, który ją ukradł.

- Dlaczego?

- Bo to świetny sposób na wrzucenie kamyczka do chińskiego ogródka. Chiny wrzeszczą, że Wujaszek przetrzymuje szatę wykradzioną z Chin przez Czang Kaj-szeka podczas rewolucji lub ostatnio przez jakieś nieznane osoby. Jeśli Wujaszek nie odda skradzionej własności, stosunki między Chinami i Ameryką znacznie się pogorszą. Na pierwszy ogień pójść prawa człowieka. Rząd chiński już psioczy na studentów i prasę z Hongkongu.

Kyle mruknął coś z niesmakiem.

- Przecież prawa człowieka i tak tam nie istnieją. I nie ma to nic wspólnego z szatą.
- Dorośnij! -Archer się zniecierpliwił. - W polityce nie chodzi o rzeczywistość, tylko o to, co ludzie za nią biorą. Jeśli nie nauczyłeś się tego w Kaliningradzie, to już nigdy się tego nie nauczysz.

Kyle odwrócił wzrok, by nie patrzeć w zimne, inteligentne oczy brata. Archer miał rację. Kyle nie chciał zdobywać tego rodzaju wiedzy.

- A jak Tajwan postrzega rzeczywistość?
- Uważa się za jedyny prawny, autonomiczny rząd chiński i ostrzega, że jeśli Wujaszek odda cokolwiek Chinom, z pewnością wpłynie to negatywnie na walkę, jaką demokratyczny Tajwan usiłuje prowadzić z chińskim komunizmem.

- Bzdura!
- Masz w osiemdziesięciu procentach rację - powiedział Archer głosem równie zimnym jak oczy. - A te pozostałe dwadzieścia to wyjaśnienie, dlaczego Wujaszek tak się modli, by cała ta sprawa wreszcie przycichła.

- Kogo obstawiasz?

- Pieniądze zostawiam w kieszeni. Jeśli nic się wkrótce nie wydarzy, będziemy niedługo świadkami międzynarodowych zawodów, których nikt nie może wygrać.

- Biorą w nich jednak udział duzi chłopcy. A ja chcę tylko wyciągnąć Lianne z tego żółtego deszczu.

- Powodzenia! - rzucił ironicznie Archer. - Wujaszek nie chce wybierać między Tajwanem i Chinami. Po co ma wtykać palce między drzwi? Niech te drzwi ścisną lepiej kogo innego. I o takie właśnie rozwiązanie zabiegają federalni.

- Lianne absolutnie na to nie zasłużyła.

- Możliwe. A może Wujaszek złapał złodzieja?

- Nie! - odparł krótko Kyle.

Archer przymknął oczy, a po chwili znów je otworzył. Życie go nauczyło, że strusia polityka nie przynosi żadnych efektów.

- Jesteś pewien jej niewinności z jakiegoś konkretnego powodu, czy po prostu lubisz się z nią pieprzyć?

- Nie mów w ten sposób o Lianne! - warknął Kyle.

- A niech to szlag! - zaklął Archer. - A niech to jasny, jasny szlag!

Rąbnął pięścią w stojący nieopodal stół z taką siłą, że ciężka lampa z brązu aż podskoczyła na blacie.

- Powinienem był cię wyłączyć z gry już w chwili, kiedy zacząłeś się na nią gapić z taką miną, jakbyś nigdy nie widział baby.

- To nie ja ponoszę tu ryzyko, tylko Lianne. Ona się nie nadaje do tej gry. Kiedy zobaczyła tę szatę, była naprawdę zszokowana.

- I wierzysz w to, że nigdy wcześniej jej nie widziała?

Potwierdzenie miał na końcu języka, ale potem przypomniał sobie rozmowę z Lianne, sposób, w jaki prosiła, by umożliwił jej obejrzenie szaty. I ten strach, którego nie potrafiła ukryć, gdy spełnił jej życzenie.

- Nie wiedziała, że szata jest u Farmera - odparł. Tego jednego był przynajmniej pewien.

- Ale widziała ją wcześniej, przed aukcją? - spytał Archer, siląc się na obojętny ton.

- Nie wiem.

- A ja sędzę, że wiesz. Tylko że to, co wiesz, zupełnie ci się nie podoba.
- Cholera jasna! Przecież do dokonania rabunku na taką skalę trzeba mieć odpowiedni sprzęt. A ona go nie ma!

Wargi Archera rozchyliły się w uśmiechu, który wprawdzie przywodził na myśl kawałek lodu, ale tak czy inaczej był to jednak uśmiech.

- To dobrze, że nie wszystkie twoje komórki mózgowe wpadły pod pępek. Właśnie dlatego Wujaszek szuka kogoś z bliskiego otoczenia Lianne.

Wie, że ktoś jeszcze musiał maczać w tym palce.

- Próbujesz mi powiedzieć, że tak naprawdę federalni nie chcą jej trzymać pod kluczem?

- Nieszczególnie.

- Dlaczego w takim razie została zatrzymana i skuta?

- Nie mieli wyboru. Musieli rzucić Chińczykom jakąś kość; ktoś podsunął im Lianne i jadeit.

- Komu tak bardzo zależy na tym, żeby siedziała?

- Wen Zhi Tangowi.

- Ale dlaczego?

Archer powstrzymał się od zgryźliwej uwagi. Wolał współpracować z Kyle'em, niż wtłoczyć mu pięścią trochę rozumu do głowy, o co młodszy brat już od dawna się prosił.

- Ludzie czasem się wściekają, jeżeli ginie im jadeit wart milion dolarów.

- Myślę, że Lianne niczego nie ukradła. Ktoś ją wrobił.

- Myślisz? Ty myślisz? Czym? Swoim nadmiernie aktywnym kutasem?

- Uspokój się, Archer. Mówię poważnie.

- Ja też.

Rozmowa prowadziła donikąd. Zerknął na części elektroniczne leżące na stole, przy którym pracował Kyle przed telefonem Lianne.

- Chyba coś upuściłeś.

Kyle nie skorzystał jednak z szansy, by zmienić temat.

- Słuchaj. Wiem, jak się czuje człowiek w pułapce, taki, który nie może ufać nikomu oprócz rodziny. A Lianne nie ma przecież nikogo bliskiego.

- A matka?

- Anna i jej kochanek są właśnie w drodze na Tahiti. Lianne jest sama. Nie mógłbym się od niej odwrócić, nawet gdybym chciał. Ona naprawdę została sama. I bardzo się boi.

- Cholera! - Archer przesunął szczupłymi palcami po bujnych, potarganych włosach, powstrzymując się z trudem od chęci walki z Kyle'em.

- No dobra. Kto ją zrobił?

- Ten, kto ukradł jadeity.

- Aż mi dech zaparło z wrażenia! - rzekł sardonicznie. - Masz może jakieś inne genialne koncepcje?

- Muszę pomówić z Lianne.

- Zrób to. Przecież wiesz, gdzie jest.

- Nie w celi. Tutaj.

- Podobno ona nie ma nawet pięćdziesięciu kawałków.

- Nie ma - odparł Kyle, ruszając do wejścia. - Ale ja mam.

- To zabierz te forsy do Vegas. Zawsze to większa szansa wygranej.

W odpowiedzi Kyle pokazał Archerowi środkowy palec prawej ręki.

Archer rąbnął pięścią w stół dokładnie w chwili, gdy Kyle trzasnął drzwiami. Lampa drgnęła, zatrzęsała się i zamarła w bezruchu.

- A więc ta niewdzięczna kobieta siedzi w areszcie - powiedział Wen bezbarwnym, lecz wciąż mocnym głosem.

Harry i Joe wymieniły spojrzenia. Żaden z nich nie miał ochoty odezwać się pierwszy. Zdrada Lianne wstrząsnęła Wenem bardziej, niż się spodziewali.

Daniel był zbyt młody, by rozumieć, jak wiele ryzykuje posłaniec przynoszący złe wiadomości.

- Jest pod kluczem. Bardzo mi przykro, dziadku. Rzecz jasna nie z powodu tego aresztowania, ale dlatego, że obdarzyłeś swoją szacowną wiedzą tę niegodną dziwkę.

Wen bez słowa zwrócił twarz ku popołudniowemu słońcu. Bardziej je wyczuwał, niż widział. I tak już z trudem znosił postępujące pogarszanie się wzroku; a to, że Lianne wykorzystała jego kalectwo, sprawiło mu ogromny ból.

Zaufał jej w sprawie Niebiańskiego Kamienia, a ona go zdradziła.

- To dobrze, że Johnny wyjechał ze swoją konkubiną. Miałaś rację, że to najlepsze wyjście - powiedział Wen, odwracając się w stronę Syna Numer Dwa. - Sprawa jest i tak wystarczająco bolesna. Zdrada córki nie powinna się obracać przeciwko ojcu. I rodzime.

- Dzięki - powiedział cicho Harry. - Chcieliśmy ci oszczędzić zmartwień, ojcze. Poczekalibyśmy, aż dołączysz do naszych przodków. Ale taka zwłoka okazała się niemożliwa.

- Zgubiła ją chciwość - rzekł Daniel. - Jeszcze kilka lat, a okradłaby nas całkowicie. Po jadeitach zostałyby nam tylko szuflady wyłożone aksamitem.

Wen nie odezwał się ani słowem. Siedział nieruchomo z twarzą zwróconą ku słońcu, które postrzegał jedynie jako nieco mniejszy mrok.

- Kiedy Daniel przyszedł do mnie i powiedział o tych podmianach, czekałem na powrót Joego - tłumaczył Harry. - Potem obaj doszliśmy do wniosku, że nie możemy przed tobą udawać. Jesteś głową rodziny Tangów. Masz prawo wiedzieć.

Wen zacisnął powykrzywiane artretyzmem palce na jadeitowej gałce laski. Nigdy jeszcze nie czuł się taki stary, słaby i bezradny.

- Niech ona trafi do więzienia. I już nigdy nie przekracza progu domu Tangów. Nigdy! Macie tego dopilnować.

- Tak, ojcze. - Joe przemówił po raz pierwszy. Cieszył się, że oczy ojca przesłoniła mgła. Do tej pory był zbyt sprytny, mądry, zbyt szybko doszukiwał się wad w swoich synach. Nigdy nie pozwalał sobie na błędy czy nawet na zwykłe odruchy litości. Nie istniała szansa, by przebaczył kiedykolwiek nieślubnej córce Johnny'ego. - Na pewno tego dopilnuję - zapewnił. - Jeśli ona bodaj spojrzy w stronę Vancouver, będę o tym wiedział pierwszy.

Wen siedział w bezruchu, jakby zasnął. Nagle podniósł rękę i odprawił synów oraz wnuka.

Trzej mężczyźni wyszli. Wen został w wiosennym słońcu z odchylną głową. Nikt nie widział łez spływających z jego ślepych oczu.

- Jak to? - spytał mężczyzna, chwytając towarzysza za ramię tak mocno, jakby to było gardło wroga. - Do tej pory wszystko układało się znakomicie! Jadeitu ubywało, pieniądze przybywało. Nie miał się czego obawiać. Przecież została aresztowana!

- Kyle Donovan wpłacił kaucję.

- Mówiono mi, że kaucja nie wchodzi w grę.

- Maczał w tym palce rząd Stanów Zjednoczonych. Oni chcą, żeby Lianne Blakely przebywała na wolności.

- Dlaczego?

- Bo tylko będąc na wolności, może ich doprowadzić do grobu Cesarza. Do nas.

Pierwszy ukrył twarz w dłoniach. Żałował, że kiedykolwiek zdecydował się kraść jednemu po to, by płacić drugiemu.

- Koniec ze mną!

- Masz mniej odwagi niż kobieta - powiedział drugi, odwracając z niesmakiem głowę. - Już ja dopilnuję tego, żeby Blakei nie mogła z nikim rozmawiać.

- Jak to?

- A co cię to obchodzi?

Pierwszy mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Pragnął jedynie odsunąć od siebie zagrożenie. Pomyślał więc to, co zwykle myślał w sytuacji, kiedy nie miał pieniędzy, a wynajęci bandyci siedzieli mu na karku, domagając się zapłaty.

Jeszcze tylko ten raz. Ten jeden jedyny raz. A potem przestanę i nikt się nie dowie.

17

Kiedy Kyle pomagał jej wsiąść do samochodu, Lianne była bardzo blada i spięta. Małą czerwoną toyotę zarekwirowała policja. Auto mogło zostać wydane dopiero po uwolnieniu Lianne od zarzutu przemytu. Gdyby jednak została skazana, samochód przypadłby na rzecz federalnych. Pojazdy wykorzystywane do szmuglowania stawały się własnością państwa. - Dziękuję... - zaczęła.

- Jeśli podziękujesz mi jeszcze raz, to chyba cię zaknebluję - Kyle syknął z wściekłością.

Czułby się może mniej winny, gdyby na jego widok Lianne nie rozjaśniła się jak zorza. Nie mogła wprawdzie rzucić mu się na szyję z powodu kajdanek, ale przywarła do niego jak małe zwierzątko szukające schronienia.

Nawet gdy trzymał ją w objęciach, jakaś jego część doskonale zdawała sobie sprawę z dwuznacznej sytuacji. Kyle zwracał Lianne wolność, wykorzystując ją do własnych celów. Ta świadomość bardzo psuła mu humor. Musiał oczywiście sprawdzić, co Lianne tak naprawdę wie o całej sprawie, by można jej było pomóc, ale to usprawiedliwienie nie zmniejszało jego poczucia winy. Ani gniewu.

Wiatr rozwiał mu włosy. Ten sam wiatr, który zadziwiał przepowiadaczy pogody, zmieniając nagle wiosenną szarugę w świetliste złote popołudnie.

Kyle zatrzasnął drzwiczki po stronie Lianne i obszedł auto, by zasiąść za kierownicą. Przez cały czas nakazywał sobie spokój. Wybuch gniewu w niczym by nie pomógł. Omal zresztą nie przyłożył temu zasadniczemu dupkowi, który nie chciał zdjąć dziewczynie kajdanek przed podpisaniem wszystkich świstków. Odzyskanie wolności Lianne zajęło mu stanowczo zbyt dużo czasu.

Gdyby Kyle należał do gatunku podejrzliwych cyników, z pewnością doszedłby do wniosku, że federalni specjalnie przedłużają formalności. Może po prostu potrzebowali czasu, by wysłać za nią ogon. A nawet Wujaszek musiał się nieźle natrudzić, by zorganizować dwudziestoczerogodzinną obserwację podejrzanego, zwolnionego za kaucją.

Zresztą choćby Lianne nie ciągnęła za sobą agentów Wujaszka, przecież i tak nie była naprawdę wolna. Gdyby tylko postawiła stopę za granicą stanu, z powrotem trafiłaby do więzienia.

Ale przynajmniej zdjęto jej kajdanki.

Kyle z trudem powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami. Zapiął pas, włożył kluczyk do stacyjki i popatrzył na Lianne.

- Zapnij pas! - polecił. Jego głos brzmiał stanowczo za szorstko ale Lianne nie zareagowała. I to najbardziej przeszkadzało Kyle'owi. Dziewczyna czuła się najwyraźniej zbyt zobowiązana, by zwrócić mu uwagę, gdy napadał na nią tylko dlatego, że był wściekły.

Sięgając po pas, popatrzyła na swoje ręce, jakby nie mogła ich rozpoznać. Mimo wielokrotnego szorowania nie udało jej się usunąć spod paznokci czarnych pozostałości po daktyloskopijnym tuszu. Zwinęła dłonie w pięści, by ukryć wstydlive ślady.

- Pas, Lianne!

Ona jednak uparcie wpatrywała się w swoje ręce. Kyle sięgnął po pas i sam go zapiął. Lianne pachniała bardziej oficjalnie niż świeżo, już nie kwiatami i deszczem, lecz strachem oraz środkiem dezynfekcyjnym. Czarne spodnium, jakie wyjęła tego samego ranka z torby, było pomięte i trochę zakurzone, jakby Lianne siadała ostatnio w niezbyt czystych miejscach. Włosy opadały w nieładzie na ramiona. Ja-deitowe szpilki skonfiskowano do czasu ustalenia ich prawowitego właściciela.

Lianne nie odrywała wzroku od swoich rąk, a właściwie pięści. Dłonie bolały ją od zaciskania. Szczeka również. I gardło duszące w sobie okrzyki wściekłości, bólu i strachu.

Ukochany dziadek, dla którego tak ciężko pracowała, uwierzył, że jest złodziejką.

- Nie zrobiłam tego - szepnęła ochryple.

- O tym właśnie musimy pomówić - powiedział, włączając zapłon. - Mercer może na chwilę powstrzymać federalnych, ale aby stworzyć jakąkolwiek linię obrony, musi uzyskać od ciebie całą masę informacji.

Lianne skinęła drętwo głową.

Kyle chciał ją o coś zapytać, lecz wystarczyło mu jedno spojrzenie, by ugryźć się w język. Należało zaczekać. Lianne drżała jak dzikie zwierzę na łańcuchu. Zresztą zapewne dokładnie tak się czuła. Kyle poznał ten stan w Kaliningradzie, kiedy zakwestionowano mu paszport, aresztowano bez ostrzeżenia i zamknięto w celi, zanim Jake zdołał uporządkować cały bałagan. Wychowany w przekonaniu, że dla uczciwego obywatela wolność jest równie oczywista jak tlen w powietrzu, doznał prawdziwego szoku.

Z wysiłkiem rozluźnił mięśnie ramion gotujących się do walki. Wyjeżdżając z parkingu, zerknął automatycznie w lusterko.

Brązowy ford taunus włączył się do ruchu tuż za nim. Manewr agenta był równie subtelny jak włączenie czerwonych świateł i syreny. Najwyraźniej pięćdziesiąt

kawałków i wksel na resztę nie usatysfakcjonowały stróży prawa. Postanowili pilnować Lianne BJakęły.

I chcieli, by ona o tym wiedziała.

- Przebrała się miarka - warknął Kyle. - Najwyższy czas na krótką pogawędkę, kochanie. Co tu się dzieje, u diabła?

Lianne odwróciła głowę i spojrzała na Kyle'a zdziwionymi oczyma.

- Już ci przecież mówiłam. Wen Zhi Tang uznał mnie za złodziejkę.

- To mi nie wystarczy. - Kyle wcisnął do dechy pedał gazu i przeleciał jak strzała przez skrzyżowanie, na którym żółte światło zmieniało się właśnie na czerwone. Ogon mógł równie dobrze uczciwie zapracować na pobory, premie i wcześniejszą emeryturę. -Oskarżono cię o kradzież... ale właściwie czego? Jadeitów wartych milion dolarów?

Lianne przymknęła oczy. Nie mogła mówić, oddychać, bolały ją ręce. Tak bardzo chciała się wykapać i napić kawy. A najbardziej pragnęła cofnąć wskazówki zegara do czasu, gdy Wen jeszcze jej ufał, gdy wierzyła, że pewnego dnia zostanie przyjęta do rodziny Tangów jako jej pełnoprawny członek.

- Tak - odparła. - Milion dolarów.

- Nawet gdybyś sprzedała jadeity za ich rzeczywistą cenę - co wydaje się jednak mało prawdopodobne, bo trefnego towaru trudno się przecież pozbyć - to i tak ta kaucja przekracza wszelkie wyobrażenie.

- Co masz na myśli?

- Kaucja odzwierciedla szkodliwość przestępstwa i rośni wraz z możliwościami ucieczki podejrzanego. A ta kradzież była zuchwałą, ale dokonano jej przecież bez użycia siły. Ty z kolei raczej nie uciekniesz, bo nie masz dokąd. Gdziekolwiek się udasz, będziesz podlegać ekstradycji. Wbrew powszechnym poglądom wolność w krajach Trzeciego Świata trudno kupić za milion dolarów. Może za dziesięć milionów. Cena rośnie co miesiąc.

Lianne otworzyła oczy i popatrzyła w jaskrawobłękitne niebo. Powszechne modlitwy o zielononiebieską wiosnę najwyraźniej zostały wysłuchane.

- Zabrali mi paszport - powiedziała.

- I wysłali za tobą ogon.

Przez chwilę nie zrozumiała, o czym on mówi, a potem zerknęła w boczne lusterko. Amerykańskie auto trzymało się tak blisko zderzaka Kyle'a, jakby jechało za nimi na holu.

- Niezbyt subtelne - mruknęła.

- Owszem. Uczciwy podatnik ma prawo się zastanawiać, za co właściwie płaci tym chłystkom.

Lianne popatrzyła na niego pytająco.

- Słuchaj - powiedział niecierpliwie. - Są przecież jeszcze mordercy, gwałciciele dzieci, handlarze narkotyków. Nikt ich jednak nie śledzi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie warto, nie stanowią wielkiego zagrożenia. Dlatego pytam cię jeszcze raz: o co tu właściwie chodzi?

- Milion dolarów to mało? - spytała z niedowierzaniem.

- Mało.

- Więc ile wystarczy?

- Chryste! - mruknął. - Nie będę w stanie ci pomóc, jeżeli mi nie zaufasz. Co tu się dzieje?

- Nie wiem. - Wciągnęła spazmatycznie powietrze i potrząsnęła głową. - Dzisiaj rano obudziłam się szczęśliwa, a ty kochałeś się ze mną, jakbym była boginią. Godzinę później miałam kajdanki na rękach i traktowano mnie jak zbrodniarza. Wszystkiego najlepszego w dniu trzydziestych urodzin.

- Dziś są twoje urodziny?

- Tak. Upiecz mi ciasto z kartoteką w środku. - Miała ochotę się roześmiać, ale w obawie przed atakiem hysterii jedynie zadrżała. Wolałaby, by jej matka nie wyjechała z kochankiem na drugi koniec świata. - Boże! - Znów wstrząsnął nią dreszcz. - Dzięki aresztowaniu można się wiele dowiedzieć.

- Na przykład?

- Jak bardzo jesteś samotny. Nigdy nie sądziłam, że dobrnę do trzydziestki, nie mając nikogo, kogo by obchodziło choć trochę, czy siedzę w więzieniu, czy nie. Ani męża, ani dzieci, ani przyjaciół, ani kochanka...

- Jestem ja - przerwał Kyle bez zastanowienia.

- Na jedną noc. - Wykrzywiła wargi w uśmiechu. - Ale co to była za noc! Są jednak jeszcze dni, prawda? Wszystkie dni. Sądziłam, że wystarczy być niezależną, nikomu niczego nie zawdzięczać, stworzyć własną firmę tak, by nikt nie mógł mnie wyrzucić na ulicę, gdybym mu się nagle przestała podobać...

Kyle nie musiał mieć zdolności telepatycznych, by wiedzieć, o czym ona mówi.

- Johnny Tang i twoja matka są razem dłużej niż niejedna para małżeńska.

- I na pewno to bardzo ją cieszy, kiedy Johnny spędza chiński Nowy Rok ze swoją rodziną, przychodzi na ich urodziny, chrzty, a nasze uroczystości lekceważy, zapładnia żonę, ilekroć przychodzi mu na to ochota...

Znów zadrzała - była to zresztą jedyna zewnętrzna oznaka jej walki o zachowanie spokoju.

- Jakże oni mnie nienawidzą! - szepnęła.

- Oni? Twoja matka też? - spytał Kyle.

- Nie, rodzina mojego ojca. Z uśmiechem na ustach wysłaliby mnie do piekła.

- A ojciec?

- Co ojciec? - spytała zmęczonym tonem. - Wychowano mnie, ubierano i wykształcono za jego pieniądze. To więcej, niż niektórzy ojcowie są w stanie zrobić dla swoich ślubnych dzieci. Jeśli zaś chodzi o resztę, to moja wina.

- Co masz na myśli?

- Izolację. Stworzenie Jade Statements pochłonęło cały mój czas i energię. Kiedy się jednak tym zajmowałam, nie odczuwałam żalu. Może byłam samotna, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Poza tym zamierzałam zawsze dojść do takiego punktu, w którym znajdę wreszcie czas na życie osobiste. Kiedyś... Teraz... - Odchrząknęła z trudem. - Teraz będę miała czas. Aż za dużo czasu. Firma nie przetrwa utraty reputacji.

- Zakładając, że jesteś winna.

- Wszyscy tak pomyślą. Dlaczego nie? Najmłodszy syn Johnny'ego już tak uważa. Ty również.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. - Lianne odwróciła się od słońca wpadającego przez szybę do samochodu. - Ty mnie po prostu obserwujesz tymi zimnymi, taksującymi oczami i wypytyujesz, co się dzieje.

- To...

- Nie - wtrąciła Lianne, unosząc rękę, jakby zamierzała odeprzeć atak. - Ja nie narzekam- Ledwo mnie znasz, a już wpłaciłeś za mnie kaucję. To o wiele więcej, niż mogłabym się spodziewać po numerku na jedną noc.

- Tak to odbierasz?

- Nie. Ty tak to odbierasz.

- Teraz odczuwam tylko wściekłość. Nic poza tym.

Przez chwilę ciszę zakłócał jedynie ruch uliczny. Kyle prowadził auto niemal automatycznie, co dawało mu czas na myślenie. Wciąż pamiętał Kaliningrad i to, że omal tam nie zginął. A potem uświadomił sobie, jak wielką troską otoczyła go wtedy rodzina. Donovanowie zwarli wokół niego szeregi, choć przecież nie prosił ich o pomoc.

Chciał sobie poradzić sam, ale wiedział, że w każdej chwili może na nich liczyć.

W chwilę później znów pomyślał o Lianne i przypomniał sobie jej słowa.

„Ledwo mnie znasz, a już wpłaciłeś za mnie kaucję. To o wiele więcej, niż mogłabym się spodziewać po numerku na jedną noc”.

Wypuścił ze świstem powietrze.

- Przeczucie mówi mi wyraźnie, że jesteś niewinna. Rozum podpowiada pytania.

Gdy Lianne opuściła szybę, owiało ją chłodne powietrze. Orzeźwiający podmuch nie zastąpił wprawdzie kąpieli, ale chwilowo musiało jej to wystarczyć.

- Pytaj - powiedziała wreszcie, odgarniając włosy z oczu. - Może będziesz miał szczęście. Może wiem coś, co uda się wykorzystać. Ale wątpię. Moje odpowiedzi nie usatysfakcjonowały chyba żadnego z przesłuchujących.

Rozum mówił Kyle'owi, że istnieją zapewne dwa wyjaśnienia takiego stanu rzeczy: albo Lianne naprawdę niczego nie wiedziała, a zatem nie mogła okazać się pomocna, albo - co wydawało się zresztą bardziej prawdopodobne - nie chciała się z nikim podzielić swoimi informacjami.

Federalni nie byli w końcu idiotami. Chyba że w sprawach związanych z polityką - wtedy inteligencja każdego z nich spadała poniżej normy.

A grób Cesarza Jadeitu łączył się bardzo nieprzyjemnie z polityką.

- Dostałaś listę brakujących przedmiotów?

- Pani Mercer zażądała takiego spisu.

- I co?

- Tangowie pracują nad inwentaryzacją. - lianne uśmiechnęła się gorzko. - To jednak będzie trudne.

- Dlaczego?

- Oprócz mnie tylko Wen zna dokładnie całą kolekcję. Lub też znał ją kiedyś. Teraz nie potrafi odróżnić oryginału od zamiennika znacznie gorszej jakości.

- Zamiennika? Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę niczego nie brakuje, a federalni biorą zarzuty z powietrza?

- Nie wiem, co robią. Wiem tylko, że przynajmniej dwa okazy z kolekcji zabrano ze skarbcu, a na ich miejsce podłożono niezbyt wartościowe substytuty. A trzy, jeśli liczyć szatę pogrzebową. Zakładając, że w ogóle doszło do podmiany.

- Jesteś pewna?

- Owszem - odparła ponuro. - Za następnymi światłami skręć w lewo. Mieszkam w tym samym domu, gdzie mam biuro.

- Podmieniono tylko dwa przedmioty?

- Być może inne również, niewykluczone. Do wczoraj nie wiedziałam nawet o tych dwóch. Dlatego tak się spóźniłam na spotkanie z tobą. Czekałam, żeby Daniel wyszedł, bo chciałam sprawdzić kilka innych pomieszczeń w skarbcu. Ale on nie ruszył się stamtąd ani na krok.

- Daniel?

- Najmłodszy syn Johnny'ego. Wen wpaja mu wiedzę o jadeitach. To pewnie on namówił Wena na złożenie doniesienia.

Kyle zarejestrował ten fakt, mijając jednocześnie rowerzystę, hamując przy przystanku autobusowym i rezygnując z przejechania przez skrzyżowanie. Światło już zmieniło się na czerwone.

Brazowy ford nie opuścił go ani na chwilę.

- A więc Daniel uważa, że okradłaś Wena? - spytał Kyle. Lianne przypomniała sobie nienawiść i pogardę w oczach przyrodniego brata.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo wiedział o ostrzu. To ostrze należało kiedyś do Wena. Kyle oderwał na chwilę wzrok od brązowego forda, który przyłgął niczym narośl do zderzaka BMW.

- Mówisz o ostrzu z aukcji?

Lianne skinęła głową.

- O tym, które wylicytowałem?

- Tak. Dlatego ja chciałam je kupić. Byłam niemal przekonana, że pochodzi z kolekcji Wena. Teraz zyskałam stuprocentową pewność. Zaglądałam w skarbonce do skrytki, w której je zwykle przechowywano. Leżało tam jednak inne ostrze.

- Gorsze - Kyle bardziej stwierdził, niż zapytał.

Nie musiał pytać. Żadne znane mu ostrze nie dorównywało przedmiotowi, jaki znajdował się obecnie w jego posiadaniu. Wiedział jednak, że nie będzie się nim cieszył zbyt długo. Prawo nakazywało zwrot skradzionych przedmiotów natychmiast po ich odkryciu. Kupiec, nawet niewinny, tracił wszystko.

- Ciekawe, czy to ostrze znajduje się na liście - mruknął.

- Jakżeby inaczej?

Kyle uciekł ze skrzyżowania tuż przed zmianą świateł, jednak brązowy ford dogonił go już po kilkuset metrach.

- A pozostałe jadeity? - spytał - Wspominałaś o dwóch, których byłaś pewna.

- To wielbłąd z dynastii Tangów. Temu, którego podłożono na jego miejsce, brakuje charakterystycznych poduszczyków pod stopami. Ale Wen ma zbyt słaby wzrok i schorowane palce, by zauważyć czy wyczuć tak subtelną różnicę.

- Ile były warte te substytuty? Ostrze i wielbłąd?

- Zależałoby to pewnie od kolekcjonera. Wydaje mi się jednak, że między jedną trzecią a połową tego, co oryginały Wena.

- Tysiąc za każdy albo więcej?

- Na pewno więcej. Nie mogę być jednak tego pewna. Nie dokonywałam wyceny.

- Federalni nie wspomnieli o wymianie, prawda?

- Rzucili kilka sugestii. Ale ja je zignorowałam.

- Zatem brakuje miliona w jadeitach, a substytuty były warte od trzystu do pięciuset tysięcy?

Choć Kyle próbował mówić obojętnym tonem, Lianne wyczuła jego sceptycyzm. Jaki złodziej dokonałby tak kosztownej zamiany?

- Nie wiem o reszcie brakujących przedmiotów, oprócz tych o które chodzi - odparła. - Słyszałam zresztą tylko o dwóch.

- O wielbłądzie i ostrzu? Tak.

- Może jednak udałoby się nam zdobyć jakieś informacje o reszcie?

To „nam” podziało na nią jak łyk whisky, przyprawiając o zawrót głowy. Aż do tej chwili Lianne nie przyznała się nawet przed sobą, jak bardzo nie chce pozostać sama w tej gmatwaninie rodzinnych kłamstw, więzienia i jadeitu.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Bo dopóki tego nie ustalimy, na pewno się nie dowiemy, gdzie są jadeityTangów.

- Nie o to mi chodziło. Dlaczego mi pomagasz, skoro nie masz do mnie zaufania?

- Dobre pytanie. Dam ci znać, jak sam wymyślę dobrą odpowiedź.

Było to mniej, niż oczekiwała, i więcej, niż mogła wymagać od człowieka, z którym nie łączyło ją nic oprócz jadeitu i wspaniałego seksu. Od człowieka, którego lubiła, szanowała i mogłaby z łatwością pokochać.

Do miłości nie miała prawa. Jeśliby naprawdę zależało jej na Kyleu trzymałaby go z dala od tej całej afery. On nie zrobił przecież nic, aby obarczać go takimi kłopotami.

Zaczerpnęła powietrza i odsunęła od siebie pokusę, by oprzeć się na Kyle'u.

- Jesteśmy na rogu - powiedziała cicho. Kyle skrzywił, po czym czekał chwilę, aż przejedzie autobus. Zmarszczył brwi, patrząc na miejsce zamieszkania Lianne nowymi oczyma. A to, co zobaczył, nawet w promieniach jaskrawego słońca i przy akompaniamencie gruchających gołębi, wcale nie budziło jego zachwyty.

Żadna samotna, przystojna kobieta - ani nawet mężczyzna - nie powinna mieszkać w takim otoczeniu. Pioneer Square stanowiło być może atrakcję turystyczną, lecz leżało na terenie, który odznaczał się - najłagodniej rzecz ujmując - specyficznym lokalnym kolorytem. Żebracy, bezdomni i niekoniecznie niegroźni dla otoczenia wariaci leżeli na chodnikach, czekając na naiwnych, którzy wierzyli, że garść

drobnych może zmienić czyjeś życie, lub pragnęli przynajmniej uspokoić wyrzuty sumienia wywołane własnym dostatkami.

- Mam nadzieję, że zainstalowałaś dobre zamki.

- Czynsz jest niski, przestrzeń spora i nie trzeba dojeżdżać do pracy. Ale tak, zamki są niezłe.

- No i jeszcze spray. Nie zapominaj o sprayu.

- Zostawiłam go w domu. W Kanadzie jest nielegalny.

- Faktycznie. Motto Kanadyjczyków to dobry rząd i dużo zarządzeń.

Uśmiechnęła się, co ich oboje zadziwiło.

- Skręć w tę alejkę - powiedziała. - Za pierwszym budynkiem jest taki zatłoczony parking.

Kyle skręcił i zostawił auto na ostatnim wolnym miejscu; ford taunus, trzymający się jego zderzaka jak tablica rejestracyjna, wycofał się na ulicę, skąd mógł obserwować BMW.

- Dlaczego zabrałaś paszport do Kanady? - spytał Kyle, ledwo dziewczyna dotknęła klamki. Chciał się w ten sposób dowiedzieć, czy Lianne zamierzała udać się z Vancouver do Hongkongu - najlepszego miejsca do handlu jademami.

- Nawet mając nalepkę upoważniającą do wielokrotnego przekraczania granicy, bywałam czasem zatrzymywana w drodze powrotnej do Stanów.

Kyle wysiadł z auta i zrównał się z Lianne.

- Dlaczego? Złamałaś kiedyś prawo?

Otworzyła odrapane drzwi prowadzące do ponurego korytarza. Kurz i pozwijane linoleum walczyły o panowanie nad podłogą.

Lianne była jednak tak przyzwyczajona do tego mało estetycznego wejścia, że niemal go nie zauważała. Kyle zauważał.

- Kiedy zmieniła się władza w Hongkongu, do Kanady przyjechało wielu Azjatów z brytyjskimi paszportami - powiedziała Lianne, odwracając się do Kyle'a. - Swoboda poruszania się między byłymi koloniami stanowi niewątpliwie powód do dumy byłego imperium. Czasem Azjaci przybywający do Kanady decydują się mieszkać w Stanach, ale nie chcą przechodzić przez wszystkie formalności imigracyjne.

- Więc udają się po prostu na południe i zostają?

-Tak.

- A te typy na granicy, które nie potrafią odróżnić amerykańskiego Azjaty od Chińczyka, Wietnamczyka czy Koreańczyka, zawracają ci głowę.

- Na początku rzeczywiście tak było. Teraz większość z nich zna mnie bardzo dobrze, ale ilekroć przychodzi ktoś nowy, wdaje się ze mną w pogawędkę, by sprawdzić mój akcent.

- I oczy - dorzucił Kyle.

- Oczy?

- Tak. Szukają oznak zdenerwowania. Jedną z takich oznak jest niechęć, by spojrzeć im w oczy.

- Dlatego jeden z urzędników kazał mi zdjąć okulary przeciwsłoneczne?

- Pewnie tak.

- A ty byś zdjął swoje?

- Teraz? - spytał. Przytaknęła.

Zdjął okulary i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- W ten sposób stajesz się mniej... daleki. - Lianne uśmiechnęła się dziwnie. Stała na palcach, cmoknęła go szybko w podbródek i cofnęła się o krok. - Jestem panu bardzo wdzięczna za to, że zechciał być moim rycerzem, panie Donovan. Jeśli przypomnę sobie coś ważnego, zaraz dam znać pani Mercer.

Kyle natychmiast sobie uświadomił, że Lianne chce wejść do ponurego holu i tym samym opuścić jego życie.

- Zaczekaj - powiedział, chwytając ją za ramię. - Jeszcze z tobą nie skończyłem.

W przyćmionym świetle jej oczy stały się nagle niezwykle ciemne.

- Nie bardzo mi się podoba to sformułowanie.

Kyle mruknął coś pod nosem i zmusił się do uśmiechu.

- Chciałem po prostu zaprosić cię na kolację. Moglibyśmy się wspólnie zastanowić nad tym, jak wyjść z tej kabały.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, ale ty możesz pozbyć się kłopotu w bardzo łatwy sposób. Odjedź stąd i trzymaj się ode mnie z daleka.

- I mam cię zostawić samą?

- Jestem do tego przyzwyczajona.

- Ale...

- Nie. Już i tak wystarczająco mi pomogłeś. Teraz pomóż sobie. Idź stąd, nim zepsujesz sobie reputację.

- Przestań pie...

- Żegnaj, Kyle - powiedziała, przekrzykując coraz głośniejsze wycie syreny policyjnej. - I dziękuję. Mogłam liczyć wyłącznie na ciebie.

Spaczone drzwi głośno się za nią zatrzasnęły i automatycznie zamknęły.

Kyle z trudem zapanował nad chęcią wykopania ich z zawiasów. I wtedy usłyszał krzyk Lianne.

18

Noga Kyle'a uderzyła w drzwi, zanim umysł zdołał ten fakt zarejestrować. Trzeba było aż czterech mocnych kopnięć, aby naruszyć drewno wokół starego zamka. Kyle wcisnął się do środka, nie zważając na wrzaski dobiegające zza jego pleców. Bał się jedynie ciszy, tej przerażającej ciszy, jaka nastąpiła po jednym, jedynym krzyku Lianne.

Nagle wejście ze światła w mrok zmusiło go do krótkiego zatrzymania się w progu. Tyle jednak wystarczyło, by Kyle dojrzał dwa cienie walczące w korytarzu. Usłyszał też pomruki, sapanie, skrzypnięcia butów o podłogę, a potem jakieś stłumione chińskie przekleństwo.

Błysnął nóż.

Kyle rzucił się naprzód; jedną ręką chwycił napastnika za włosy, drugą unieruchomił dłoń trzymającą nóż. Oderwawszy żyłastego Azjatę od Lianne, rzucił go twarzą na ceglana ścianę. Mężczyzna zdążył jednak wykonać mocny wykop do tyłu, próbując zgruchotać Kyle'owi kolano.

W ostatnim momencie Kyle zrobił unik i kopnięcie karate trafiło go w udo, a nie w rzepekę. Niestety gwałtowny skręt ciała pozbawił go równowagi i uniemożliwił złamanie nadgarstka przeciwnika za pierwszym podejściem. W chwilę potem Kyle zdołał jednak wykręcić Azjacie rękę i cisnąć nim ponownie o ścianę. Tym razem nadgarstek pękł, a nóż upadł na podłogę.

Rozbrojony napastnik wcale nie przestał być groźny. Nie zamierzał się również poddać. Wrzeszczał coś po chińsku i odpierał ciosy na wszystkie możliwe sposoby, wykręcając się i kopiąc w zupełnie niespodziewanych kierunkach.

Kyle'owi przypominało to zapasy z gromadą stalowych węży. Wreszcie udało mu się pchnąć Azjatę na ścianę po raz trzeci.

- Poddaj się, dupku - sapnął. - Nie chcę cię zabić, ale zaczynasz mnie wkurzać.

Chińczyk szarpnął się mocno i wyrwał przegub ze śliskiego od krwi uścisku Donovana. Kant jego dłoni ruszył z upiorną szybkością w stronę gardła Kyle'a.

W tej samej chwili wyrzucona wysoko w powietrze noga Lianne trafiła napastnika w ramię, uniemożliwiając osiągnięcie celu; zaraz potem kant dłoni Kyle'a dosięgnął szyi napastnika. Pod wpływem tego ciosu zabójca stracił przytomność, zanim jeszcze - niczym worek mokrego cementu - osunął się bezwładnie na podłogę.

Kyle wykopał nóż spoza zasięgu bandyty i popatrzył na niego jak na martwego, groźnego węża. Azjata nie dawał żadnych oznak życia.

- Niezły kop - powiedział Kyle, nie spuszczać oczu z żyłastego mężczyzny. - Nic ci się nie stało?

Lianne z trudem łapała oddech.

- Chyba nic.

- Najpierw noże kuchenne, a teraz karate. Cieszę się, że jeszcze nie zdążyłem cię wkurzyć.

Zaśmiała się trochę dziko.

- Mnie też nie brakuje powodów do radości.

- Jestem świetny, kochanie, ale ten sukinsyn walczy lepiej w zwarciu. - Kyle wypuścił ze świstem powietrze i potarł udo. - Mam nadzieję, że go nie zabiłem. Nie chciałem uderzyć drania tak mocno, ale nie pozostawił mi wyboru.

- Ja też mam taką nadzieję - odezwał się głos od drzwi. - Nie znoszę tej całej papierkowej roboty.

Kyle i Lianne odwrócili się na pięcie. Nowy przypływ adrenaliny dodał im sił do kolejnej walki. W korytarzu majaczyła sylwetka mężczyzny w ciemnym garniturze. Nieznajomy miał jednak puste ręce.

- To pan jest kierowcą brązowego forda? - spytał Kyle.

- Tak.
- Więc może dla odmiany zrobiłby pan raz coś pożytecznego i skorzystał z radia?

Proszę wezwać gliny.

- Przecież ja jestem z policji.
- Federalnej. My potrzebujemy kogoś z miejskiej.
- Zadzwoń też po karetkę.
- Tak. Temu gnojowi chyba rzeczywiście potrzebny jest lekarz.
- Myślałem o panu.

Kyle popatrzył na swoją prawą rękę w miejscu, gdzie drasnął ją nóż. Przedramię bolało go wściekle, a krew zaczęła ściekać na dłoń w najbardziej niedogodnym momencie walki. Wszystko inne jednak nadal funkcjonowało.

- Nic mi nie będzie.
- To pewnie tylko zadrapanie? - spytał sucho agent.
- Do serca daleko.

Federalny odwrócił się ze śmiechem i wyszedł zadzwonić. Kyle zaczekał, aż agent zniknie mu z oczu, po czym ukląkł, chwycił Azjatę za koszulę i zaczął metodycznie walić go po twarzy.

- Co robisz? - spytała Lianne.
- Zastępuję budzenie. Mówił coś, zanim cię zaatakował?
- Nie. Ledwo zdążyłam wejść do holu, natychmiast otworzyły się drzwi i on się na mnie rzucił.
- To był jego nóż czy twój?
- Jego.

Kyle rąbnął mężczyznę w twarz. Głośne plaśnięcie zabrzmiało jak wystrzał.

- I co dalej?

Lianne wciąż odczuwała działanie adrenaliny, ale wiedziała, że gdy to minie, siły opuszczą ją całkowicie. Na razie jednak byłaby zdolna do skakania przez wieżowce i chwytania kul w zęby.

Gdyby tylko przestała drzeć.

- Lianne? Nie rób mi teraz żadnych numerów.

Dłoń Kyle'a znów wylądowała z trzaskiem na zaczerwienionych policzkach mężczyzny.

- Zaczęłam wrzeszczeć i kopać. Zrobił unik, więc nie trafiłam w krocze, ale uraziłam go w przeponę i wtedy na chwilę przystopował. A zanim znów się sprężył, wsadziłam mu łokieć w nerki. Potem wszystko poszło stanowczo zbyt szybko. Ten facet jest o wiele lepiej wyszkolony niż ja. Właśnie miał zamiar użyć noża, kiedy ty wpadłeś i zacząłeś nim walić o ścianę.

Trzask.

Napastnik jęknął.

Kyle uderzył go znowu. Bardzo mocno. Myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby Lianne wróciła do domu sama, nie opuszczała go ani na chwilę. Czuł również, że nie był to taki zwykły napad w biały dzień. Coś jeszcze się za tym kryło.

Gdy po paru kolejnych uderzeniach Azjata nie odzyskał przytomności, Kyle zerwał z niego skórzaną marynarkę i zaczął szukać dokumentów. Niczego jednak nie znalazł. Jedyne identyfikatory mężczyzny stanowił tatuaż na muskularnych ramionach.

Jeszcze bardziej zaniepokojony, Kyle powrócił do starej metody wydobywania informacji: znów zaczął walić mężczyznę po twarzy. Azjata jęknął, a potem - gdy uniósł dłoń, by osłonić nią twarz - krzyknął głośno z bólu. Złamany nadgarstek uniemożliwił mu jakiegokolwiek ruchy ręką.

Kyle chwycił go za koszulę i podniósł do pozycji siedzącej. Głowa mężczyzny opadła na piersi, czarne włosy oblepiały czoło i uszy. Na twarzy widniały ślady krwi - pamiątki po ciosach Kyle'a a i odrapanej ceglanej ścianie.

- Mówił coś? - spytał Kyle.

- Chińskie przekleństwa też cię interesują?

- Skąd on pochodzi - z kontynentu, Hongkongu, Tajwanu?

- Z Republiki. Przebywał tu wystarczająco długo, by przyjąć zachodni styl ubierania się, ale fryzurę ma kontynentalną.

- Skąd wiesz?

Lianne próbowała się skupić.

- Przebywałeś kiedyś dłużej za oceanem? Nie tylko w czasie wakacji?

- Owszem.

- Gdzie?
- Między innymi w Kaliningradzie.
- Gdybyś zobaczył kogoś stamtąd na ulicy w Seattle, zauważyłbyś różnicę?
- Dobra! To Chińczyk z kontynentu. Fajny tatuaż.
- Triada albo tong.
- Zauważyłem. Próbował cię okraść? Zgwałcić?
- Nie wiem, czego chciał. W ogóle się nie odzywał. Wyskoczył po prostu z ciemności i rzucił się na mnie.

Dłoń Kyle'a wylądowała z trzaskiem na policzku Azjaty. Napastnik otworzył oczy; były czarne i szkliste.

- Spytaj, kto go nasłał - warknął Kyle.
- Ale...
- Pospiesz się. Nie mamy czasu.

Lianne szybko powiedziała coś po chińsku. Mężczyzna przeszył ją wzrokiem.

- Zapytaj jeszcze raz.

Lianne powtórzyła pytanie. Azjata milczał.

- Zamknij oczy - mruknął Kyle.
- Co takiego?
- Zamknij oczy! Zrobiła, co kazał.

Kyle chwycił napastnika za złamany nadgarstek, Lianne usłyszała jęk i kilka urywanych zdań po chińsku.

- Co powiedział?
- Nikt go nie nasłał.
- No dobra. A te malunki zrobili mu na Pike Place Market. I dodali jeszcze świeże warzywa.

Powstrzymując skurcze żołądka, Kyle znów złapał mężczyznę za przegub. Nauczył się w Kaliningradzie, że ceną za cywilizowaną ignorancję jest śmierć.

- Zapytaj go o jego triadę, tongę czy też innych koleśków od tatuażu.

Mężczyzna odpowiedział dokładnie w tym samym momencie, gdy Kyle ścisnął go mocno za nadgarstek.

- Czerwony Feniks - przetłumaczyła Lianne. - Mogę teraz otworzyć oczy?

- Lepiej nie. Zaufaj mi!

Gdy mimo to odemknęła powieki, uznała, że Kyle miał rację. Wolałaby nie wiedzieć, co on właściwie robi. Ale wiedziała. Odetchnęła głęboko i przypomniała sobie, że to nie ona wpadła na pomysł napadu. Ten mężczyzna sam szukał kłopotów.

I z pewnością je znalazł.

- Spytaj go, dlaczego chciał cię zabić - powiedział Kyle, nie odrywając wzroku od Azjaty.

Lianne zaczęła mówić coś po chińsku, zanim Kyle dokończył pytanie. Na odpowiedź musieli jednak czekać.

- Co on gada?

- „Pieprzę ciebie i twoich przodków”.

- Niezbyt użyteczne! - Kyle zacisnął palce na szybko puchnącym nadgarstku. - Dowiedz się, dlaczego kazali mu ciebie zabić.

- Przecież już próbowałam.

- Może teraz będzie bardziej rozmowny. No, jazda! Napastnik ani drgnął.

Lianne głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je wraz z potokiem szybkiej chińszczyzny.

Twarz Azjaty pokryła się perlistym potem.

Pot spływał również po kręgosłupie Kyle'a. Mdłości nie dawały mu spokoju. Przeklinał cicho swój słaby żołądek i niezwykłą wytrzymałość bandyty na ból.

Ciało mężczyzny zwiotczało nagle jak szmaciana lalka.

- Cholera - mruknął Kyle, podnosząc jedną z powiek napastnika; zobaczył tylko białko. - On wcale nie udaje.

W oddali zawyły syreny. Nieco inny sygnał alarmowy odezwał się bliżej, jakby pod domem, i umilkł. Na miejsce dotarła policja z Seattle.

- Nie wspominaj o tym facecie z forda - mruknął Kyle. - Chyba że oni zaczną. To warunek twojej wolności. Nie komplikuj i tak już wystarczająco zagmatwanej sytuacji.

Do korytarza wszedł postawny policjant w średnim wieku. Kołnierz munduru wrzynał mu się wyraźnie w obwisłe fałdy skóry na szyi. W spojrzeniu gliny nie było natomiast nic rozlazłego. Zerknął szybko na rozciągniętego na podłodze Azjatę i

błyskawicznie zauważył wszystko - krew na ramieniu Kyle'a, bladość Lianne i nóż na podłodze brudnego holu.

- Zaczniemy od nazwisk - powiedział, wyciągając notes. - Najpierw pani.

Lianne podała swoje nazwisko, dobrowolnie pokazała prawo jazdy i starała się zachowywać jak wzorowa obywatelka. Nie wspomniała oczywiście o tym, że wyszła właśnie z więzienia za kaucją w wysokości pół miliona dolarów, ani o tym, że śledzą ją federalni.

Do korytarza wpadli dwaj lekarze: mężczyzna i kobieta. Z chłodnym profesjonalizmem, wyposażeni w lateksowe rękawiczki, zbadali nieprzytomnego i uznali, że w tych okolicznościach jego stan zdrowia jest całkiem niezły. Na wszelki wypadek wrzucili go do karetki, by zawieźć tam, gdzie będzie mógł otrzymać najlepszą opiekę medyczną, jaką gwarantował mu wolny świat i podatnicy z Seattle.

Mężczyzna podłączał rurki i czujniki z tyłu karetki, a kobieta wróciła do mieszkania, by zająć się Kyle'em.

Gdy nadeszła jego pora na rozmowę z policjantem, Donovan zachował się dokładnie tak samo jak Lianne - udzielił odpowiedzi na wszystkie pytania, nic nie dodając od siebie. Przesłuchanie odbywało się zresztą w dość dziwnych warunkach, gdyż w tym samym czasie lekarka zdejmowała Kyle'owi ubranie, mierzyła mu ciśnienie, puls, osłuchiwała serce i smarowała skaleczone ramię czymś, co zostawiało żółtobrazowe plamy.

Policjant pisał, zadawał pytania, znów pisał i zadawał pytania.

- A wiec to pan kopnął w drzwi, a nie przestępca?
- Ja. Ona krzyczała, a ja nie miałem klucza.
- I jak tam pańska noga?
- Jak to po kopnięciu w drzwi.
- Lepiej zrobić prześwietlenie.
- Stoję na niej, więc chyba nie jest złamana.

Policjant zerknął na zegarek i postanowił zadzwonić do swojej byłej żony. Musiał ją uprzedzić, że przyjedzie później po dzieci. Robota papierkowa tego typu zwykle ciągnęła się godzinami, szczególnie gdy w aferę zamieszany był ranny obywatel

Seattle i bandyta nie znający angielskiego, którego jedyny dowód tożsamości stanowił tatuaż na żylastym ciele.

Kyle zerknął w stronę wyjścia. Był bardzo ciekaw, gdzie się podział federalny. Z holu nie widział całej wąskiej alejki. Partner policjanta z Seattle podpierał drzwi, aby do środka nie weszli ludzie z ulicy.

- Ma pani przyspieszony puls - powiedział młody lekarz do Lianne.

- Serce jeszcze mi wali - odparła. - Nie co dzień jestem atakowana w ciemnym korytarzu.

Mężczyzna skinął lekko głową.

- W takim razie najlepiej by było pojechać z nami i dokładnie się przebadać.

- Nie, dziękuję.

- A pan? - spytał medyk, zwracając się do Kyle'a.

- Ditto.

Lekarka sumiennie odnotowała, że oboje poszkodowani nie wyrazili zgody na hospitalizację.

- Proszę tu podpisać - powiedziała, wyciągając do Lianne formularz i długopis. - Musi pani potwierdzić, że odmówiła dalszej pomocy medycznej. To niezbędna formalność".

Lianne postawiła parafkę na oświadczeniu. Kyle również. Zanim policjant skończył zadawać pytania i wypełniać wszystkie biurokratyczne blankiety, Kyle był już zabandażowany, ubrany i gotów do dalszego działania. Im dłużej stali w korytarzu, tym większa istniała szansa, że ten, kto nasłał zbira na Lianne, odkryje, iż nie wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Jakimkolwiek planem.

A Kyle odnosił wrażenie, że się domyśla, o co tu chodzi. I wcale go to nie cieszyło.

W końcu policjant odłożył notes, zerknął na korytarz i wyszedł zatelefonować.

- Ile czasu zajmie ci pakowanie? - spytał Kyle, odwracając się do Lianne.

- Pakowanie czego?

- Wszystkiego, czego będzie ci potrzeba, dopóki nie dojdziemy do ładu z tym całym bałaganem.

- Ale...

- Będziesz się kłócić potem - powiedział Kyle, biorąc ją pod rękę i prowadząc w stronę windy.

- Dlaczego miałabym dokądkolwiek wyjeżdżać?

- Lepiej zostać i dać się zabić chłopcom z Czerwonego Feniksa?

Lianne przeżyła kolejny szok, Kyle był pewien, że napastnik chciał ją zabić. Nie dopuszczał nawet innej możliwości. Potknęła się lekko i chwyciła go za ramię.

- Przepraszam.

- Oberwałem w to drugie. - Zatrzymał się na wprost windy upstrzonej graffiti, wyróżniających się jedynie pisownią *fuck* bez c. - Które piętro?

Lianne automatycznie wcisnęła guzik, sprowadzając windę na dół. Nie myślała jednak ani o windzie, ani o swoim mieszkaniu, tylko o słowach Kyle'a.

„Lepiej zostać i dać się zabić chłopcom z Czerwonego Feniksa”.

Winda zatrzymała się jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą, ale drzwi się otworzyły.

- Sądzisz, że to nie był przypadkowy atak? - spytała zduszonym głosem.

- A jak ty uważasz?

- Że to tylko zbieg okoliczności.

- W przedszkolu też wierzyłem w bajki. Które piętro?

- Ostatnie.

Trzęsącą się ręką Lianne odgarnęła włosy z czoła. Kiedy drzwi się otworzyły, chciała od razu wyjść z windy. Kyle wciągnął ją jednak z powrotem do środka.

- Którędy? - spytał.

- Na lewo, potem w prawo.

- Naprzeciwko biura?

- Tak.

- Daj klucz. Zamarła.

- Sądzisz, że ktoś leży w mieszkaniu i czeka na mnie?

- Niewykluczone. Nie nazywają ich gangami, bo polują w pojedynkę.

- Ale...

- Ten, który cię napadł, nie musiał kopać w drzwi. Miał klucz albo wytrych. A może i współnika. - Kyle wyciągnął rękę. - Klucz!

Wyminęła go ostrożnie i wyszła na korytarz.

- Jesteś ranny, ja pójdę.

- Chryste!

Kyle chciał zatrzymać Lianne, ale dziewczyna zrobiła zręczny unik. Klnąc ze złości, Kyle ruszył za nią w stronę mieszkania. Kiedy ją dogonił, już wkładała klucz do zamka. W chwili gdy jednak chciała nacisnąć klamkę, Kyle zdecydowanym ruchem odsunął ją na bok, kopnął w drzwi i przycisnął Lianne do ściany.

Łoskot rozniósł się echem po całym korytarzu. I zaraz potem zapanowała cisza.

- Najpierw sprawdzę, czy wszystko w porządku - powiedział cicho Kyle. -
Zaczekaj!

- To moje mieszkanie, a ty jesteś ranny.

- Urodziłaś się już taka uparta czy tylko dużo ćwiczysz? Lianne uniosła podbródek i otworzyła usta, by powiedzieć mu znacznie więcej niż to, o co prosił. W tej samej chwili Kyle pocałował ją bardzo szybko i mocno.

- Zostań tutaj! - polecił. - Zaraz wracam.

Czekała akurat tyle, by znaleźć się poza zasięgiem jego wzroku i z bijącym sercem weszła do swego jedyne go pokoju.

Był pusty.

Doznała tak ogromnej ulgi, że zakręciło jej się w głowie. A potem miała wielką ochotę się roześmiać na widok Kyle'a przeczesującego każdy kąt, w którym mógłby ukryć się człowiek. Donovan zajął nawet pod rozłożoną kanapę.

Następnie sprawdził łazienkę, stanął na sedesie i wyjrzał na alejkę. Nikogo w pobliżu nie zauważył, nie licząc oczywiście brązowego forda z mundurowym federalnym za kierownicą.

Zszedł z sedesu i wrócił do pokoju.

- Okno od łazienki zostawiasz zwykle otwarte? - spytał.

- Tylko w lecie. Dlaczego?

- Sama zobacz!

Pobiegła za nim do łazienki, zatrzymała się w progu i spojrzała na okno. Było otwarte. Na całą szerokość. A w dodatku w tej pozycji zablokowało się na dobre i absolutnie nie chciało zamknąć.

- Ja to zrobię - powiedział Kyle. - Ty się pakuj!
- Ale...
- Nie chcę tego słuchać - przerwał ostro. - Zbieraj manatki. A jeżeli znowu zaczniesz gadać, że dasz sobie radę sama, zaknebluję cię skarpedcą i wyciągnę stąd jak toból z brudną bielizną.

Lianne otworzyła usta, po czym szybko je zamknęła i zaczęła pakować walizkę.

19

Kiedy Dick Farmer pracował, a nie starał się robić wrażenia na organizacjach charytatywnych lub politykach, nie zawracał sobie głowy gabinetem w firmie, asystentami, archaicznym biurkiem wielkości jeziora Michigan czy też innymi symbolami władzy współczesnych korporacji. Pakował po prostu kilka drobiazgów, zabierał jedyną asystentkę, na której mógł polegać, wchodził na pokład prywatnego samolotu i kazał pilotowi lecieć na swoją wyspę.

A tego dnia Farmer pracował. Dopiero co przybył na miejsce i zamierzał powalczyć z nową, interesującą możliwością, jaką stworzyło mu życie. W tym momencie sposobność ta wydawała się raczej problematyczna niż obiecująca, ale trudności zwykle dodawały mu sił do walki. Farmer zbił majątek na transakcjach, które jego potencjalni konkurenci uznali za zbyt ryzykowne.

Nie chciał poświęcać swojej cennej szaty, ale zdecydował, że to zrobi. Oczywiście za odpowiednią cenę. Dopóki ceny nie ustalono, szata miała pozostać na Wyspie Farmera, a nie w zamkniętym wciąż dla publiczności muzeum, stanowiącym obecnie centrum stanowczo zbyt wielkiego zainteresowania.

Kiedy wchodził do odległego skrzydła instytutu, słońce dopiero majaczyło na horyzoncie. Za pomocą urządzenia w szpilce natychmiast otworzyły się przed nim drzwi, zapaliły światła i zaczęła grać muzyka. A on nienawidził muzyki, podobnie jak szczekających psów, miauczających kotów i ćwierkających ptaków.

Mary Margaret, jego osobista asystentka, udała się od razu na swoje stanowisko w małym pokoiku połączonym drzwiami z drugim pomieszczeniem. Nie czekała na rozkazy ani prośby, doskonale bowiem wiedziała, czego sobie życzy szef. Włączyła

komputer i przystąpiła do pracy nad wiadomościami, jakie już otrzymała i jakie mogła otrzymać.

Farmer wszedł w zamknięty krąg ultranowoczesnych czy - według niektórych - nieco przestarzałych cudów elektroniki, rozsiadł się na obrotowym krześle, wykonanym na jego specjalne zamówienie tak dokładnie jak kanapa astronauty, przysunął sobie telefon i wcisnął guzik na interkomie, by połączyć się z sekretarką, choć mógł ją po prostu zawołać.

- Dzwonił może ten ekspert od jadeitów? - spytał.

- Nie, proszę pana - odparła Mary Margaret, patrząc w ekran komputera. - Telefonował natomiast pan Han Seng w imieniu Suna Minga, który pracuje jako ekspert dla rządu.

- SunCo, co? Ci to potrafią sobie poradzić! Zostawili wiadomość?

- Chcą przedyskutować szczegóły oferty.

Farmer przeklął w myślach sztywnych biurokratów z kontynentu, którzy nie poznaliby się na dobrym interesie, nawet gdyby takowy sam wpadł im w ręce.

- Jakie szczegóły? Ja mam szatę, na której im zależy, a oni mogą mi dać coś, co ja z kolei chcę dostać. Podałem cenę. Niech się decydują albo nie zwracają głowy.

- Rozumiem. Czy życzy pan sobie, abym przekazała tę wiadomość panu Hanowi?

- Cholera jasna, Margaret! Przecież dobrze mnie znasz, czy Seng jest wciąż na wyspie?

- Tak. Odwołałam jego rezerwację, zanim wyjechaliśmy z Seattle.

- Naprawdę? A kiedy on wraca do Chin?

- Nie mówił. Mam się dowiedzieć?

- Jeszcze nie. Gdzie on się teraz podziewa?

Na chwilę zaległa cisza, po czym Mary Margaret poprosiła centralę o odszukanie gościa z guzikiem numer 9-3.

- Siedzi na wschodnim tarasie. Właśnie zamówił śniadanie.

- Poślij tam bułeczki, ser i kawę dla mnie. Jakoś nie mogę się przyzwyczaić do kiszonej kapusty i zielonej herbaty przed świtem.

- Oczywiście, proszę pana.

Farmer odłożył słuchawkę, poprawił spodnie i ruszył w stronę wschodniego tarasu. Jego sportowe buty lekko skrzypiały na marmurowej posadzce, ale starał się tego nie zauważać. Dzięki szpilce wszędzie, gdzie tylko się pojawił, rozbrzmiewała muzyka.

Minął główny pokój konferencyjny, ale nie zajrzał do środka, tylko skrzyżował palce w nadziei, że Seng spakował wreszcie swoje trefne jadeity. Gdy je bowiem zobaczył leżące przedtem na stole konferencyjnym, lekko się zaniepokoił.

Po wschodniej stronie tarasu pojawiły się pierwsze oznaki świtu. Han Seng siedział przy lśniącym mahoniowym stole, a przed nim piętrzyły się przedruki z najróżniejszych gazet. Jak zwykle towarzyszył mu Han Ju i ochroniarz; obaj na widok Farmera natychmiast powstali. Seng nie spieszył się z powitaniem.

Farmer zauważył od razu, że Seng się ociąga, a to wróżyło trudne negocjacje. Przeklinał w duchu Chińczyków za ich grzeczne „tak”, oznaczające w praktyce „nie”. Był ciekaw, czy kiedykolwiek nauczy się azjatyckiego „tak” równającego się po prostu z: „po moim trupie, dupku”.

- Dzień dobry, Seng - powiedział Farmer po angielsku. Był jednym z nielicznych ludzi, którzy wiedzieli, że Seng bardzo dobrze zna ten język. - Przepraszam, że nie mogłem wczoraj przybyć na przyjęcie, ale zatrzymano mnie w Seattle. Sądzę jednak, że ustalenia satysfakcjonują pana.

Seng skłonił się lekko.

Nic w wyrazie jego twarzy nie wskazywało na to, że przyjęcie w ogóle się nie odbyło, a gospodarz poszedł do łóżka sam, bez Lianne Blakely.

- Mary Margaret twierdzi, że do rozmów ze mną oddelegował pana chiński rząd - powiedział sucho Farmer.

- Władze obdarzyły mnie swoim zaufaniem, owszem... - powiedział Seng. - Szata stanowi część chińskiej duszy, więc jej kradzież to bardzo poważna sprawa. Rząd życzy sobie, aby zrozumiał pan powagę sytuacji, zanim popełniony zostanie jakiś poważny, nieodwracalny błąd.

Farmer z trudem powstrzymał westchnienie. Z wielkim trudem Doświadczenie już go nauczyło, że gdy Seng zaczynał bawić się w formalności, cena szła w górę.

- Znasz mnie, Seng. Gdyby to nie było ważne, bardzo ważne, przysłałbym kogoś do negocjacji. Tak jak SunCo.

- Mój rząd docenia pańską troskę - odrzekł Seng, nie zwracając uwagi na wzmiankę o SunCo. Nie sądził, by Amerykanin potrafił zrozumieć subtelne powiązania między rodziną a polityką. W pewnych sprawach SunCo istotnie odgrywał rolę chińskiego rządu. W innych pozostawał po prostu firmą przynoszącą spore dochody. Do tego dochodziło jeszcze guaruci - sieć powiązań zupełnie niezrozumiałych dla ludzi z Zachodu.

- Pańska obecność to wielki zaszczyt dla mojego rządu. Farmer uśmiechnął się blado.

- Jasne! - Przysunął sobie krzesło. - O co właściwie chodzi chińskim władzom?

Seng znów usiadł, upił łyk herbaty i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek zrozumie ludzi Zachodu. Kobiety były aroganckie i źle wychowane, a mężczyźni w ogóle nie wiedzieli, co to jest rytuał i kultura. Zawsze się spieszyli. Gdy jednak Seng postawił filiżankę na białym spodku, uświadomił sobie nagle, że ten zachodni brak czasu działa na jego korzyść. W pośpiechu łatwiej o błąd.

- Wzrusza nas pańska oferta zwrotu szaty prawowitym właścicielom - powiedział Seng. - Społeczność międzynarodowa podziela nasz...

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Farmer praktycznie przestał go słuchać. Odpowiedź brzmiała: nie. Gdyby jednak nie udawał, że interesuje go kontrproponycja Senga, Chińczycy na pewno by się obrazili. A to mogłoby zamienić się w prawdziwą klęskę.

Pięć minut później uniósł do góry palec wskazujący. Tylko tyle. I wystarczyło.

Seng umilkł i zamienił się w słuch.

- Może streszczę... - zaczął Farmer.

Choć nie zabrzmiało to jak prośba, Seng skinął głową na znak zgody

- Pański rząd uważa, że szata z jadeitu to najważniejszy element kultury od czasów Chrystusa, a mimo to nie zapewni mi piętnastoletniej wyłączności na dostawę sprzętu komputerowego do Chin, chce się nawet zgodzić na dziesięć lat.

- Chodzi o prawowitego właściciela, a nie o wyłączność na jakikolwiek czas - powiedział Seng.

Farmer omal się nie uśmiechnął. Warto było wkurzyć Senga, by skrócić te nudne gadki.

- Taki jest zapewne punkt widzenia Chin, ale nie mój. Ja nie mam wątpliwości co do tego, kto jest właścicielem szaty. Ja nim jestem.

- Skarby archeologiczne należą do kraju, z którego pochodzą. Prawo amerykańskie nie budzi w tym punkcie żadnych wątpliwości. Pański rząd z pewnością...

- A kto tu mówi o archeologii? - wtrącił Farmer. - Ja niczego nie wykopałem. Kupiłem po prostu prywatną kolekcję. A szata stanowi jej część.

- Tę szatę wykradziono z Chin. I musi zostać zwrócona. Natychmiast.

- Nie ma mowy.

- Rozmawiał pan już na ten temat z amerykańskim rządem?

- Płacę podatki. To jedyny rodzaj dyskusji, jaki prowadzę z władzami.

Seng wyraził zdziwienie, lekko unosząc brwi.

- Nawet pan nie jest całkowicie niezależny od rządu.

- Całkowicie? Nie. Wciąż posiadam jeszcze jakieś nieruchomości w Stanach.

Seng skinął głową i uśmiechnął się.

Ale- dodał Farmer - mam również przyjaciół w Kongresie. Wielu przyjaciół. Amerykańska kampania polityczna jest wyjątkowo kosztowna, z czego zresztą pański rząd doskonale zdaje sobie sprawę. Czyżby Chińczycy naprawdę chcieli się ze mną porównywać? Proszę bardzo! Seng umilkł.

- Znacznie lepiej! - pochwalił Farmer. - Spróbujmy jeszcze raz. Ja mam coś, czego pragną Chiny, Chiny mają coś, czego ja pragnę. Do otwarcia muzeum pozostały jeszcze trzy dni. Mów do mnie, Seng. Powiedz, dlaczego powinienem ci oddać moją bezcenną szatę, a w zamian otrzymać jedynie międzynarodowe klepięcie po ramieniu?

Archer zamknął za sobą drzwi do domu. Na mikrokapusiu pojawił się kod Kyle'a, toteż widok brata siedzącego przy kuchennym stole i parzącego kawę wcale go nie zaskoczył. Po tym jednak, czego dowiedział się od Wujaszka, nie rozumiał, dlaczego Kyle jest sam.

- Gdzie Blakely? - spytał ostro.

- W łóżku, czyli tam, gdzie i ja chciałbym być.

- Z nią?

- Wtedy bym nie zasnął.
- Wciąż myślisz kutasem?
- Gdyby tak było, nie siedziałbym tutaj - odciął się Kyle.
- Jesteś w dobrym humorze, prawda? Pokaż mi swoje ramię.
- Jak się dowiedziałeś o... A zresztą nieważne. Mogę się założyć, że twój informator jeździ fordem taunusem. Co wiesz o tym, co się wydarzyło?

- Blakely śpi w twoim łóżku?

Archer najwyraźniej nie chciał od razu odpowiadać na pytania. Kyle również postępował podobnie. Wyrzwał przez okno w kuchni. Świt igrał z niebem jak bojaźliwa kochanka - uśmiechał się wprawdzie uwodzicielsko, lecz wciąż umykał. W mgłę majaczyły światła Seattle. Ponad mgłą, w srebrnym, godnym pozazdroszczenia majestacie szczyty Olympics czekały na to, na co zwykle czekają góry.

- Kyle? - ponaglił go Archer.

- Zamknij się i nalej kawę! - Kyle potarł nieogoloną twarz. - Tak, Lianne śpi w moim łóżku.

Ton Kyle'a nie zachęcał do pytań i pustych rozmów. Archer wcale się tym nie przejął. Był przyzwyczajony do porannych złych humorów swego rodzeństwa; sam zresztą także nie przejawiał entuzjazmu.

- Sądzisz, że to mądre?

- Mądrzejsze niż inne wyjście.

- Tylko dlatego, że zabandażowała ci męskie rany...

- Tym zajął się pielęgniarz - przerwał Kyle. - Dawaj tę cholerną kawę!

Archer postawił kubek na stole. Kyle upił łyk, skrzywił się i podszedł do lodówki po mleko. Archer patrzył na niego w milczeniu. Brat nie miał tej charakterystycznej zadowolonej miny faceta, który spędził noc w łóżku ze swoją ostatnią kochanką. Wyglądał raczej jak ktoś bardzo zmartwiony.

Lub przerażony.

- Kończmy te wygłupy - powiedział Archer.

Kyle odstawił mleko, zamieszał kawę palcem i wypił do dna, choć cappuccino parzyło mu przełyk. Następnie podstawił kubek po kolejną porcję.

- To proste - odparł. - Ktoś chce zabić Lianne.

- Policjant twierdzi, że to był zwykły napad rabunkowy. No wiesz, bezdomny imigrant z nożem, samotna kobieta z torebką...

- Bzdura!

- Jak wiele innych. Adwokat bezdomnego wyciągnął go z aresztu już w godzinę po tym, jak ten typ otworzył oczy.

- Adwokat? - spytał z niesmakiem Kyle. - A co taki nielegalny imigrant może wiedzieć o adwokatach?

- Na tyle dużo, aby do niego zadzwonić.

- Jak się nazywa ta papuga?

- Ziang Lee.

- Czy to łowca odszkodowań?

- Nie. Ziang i jego partnerzy specjalizują się w prawie azjatyckim. Dbają również o interesy triady na północno-wschodnim wybrzeżu Pacyfiku.

- Jakie interesy?

- Typowe: prostytutki, hazard, narkotyki, pożyczki pod zastaw rozprowadzanie narządów zwierząt znajdujących się pod ochroną.

Kyle popatrzył na brata ze zdziwieniem.

- Medycyna azjatycka - wyjaśnił Archer. - Chińczycy są gotowi zapłacić naprawdę sporo za leki z pęcherza żółciowego niedźwiedzia czy tygrysięgo penisu.

- Za wcześnie na tego rodzaju dyskusję.

- Przestań marudzić. Nie spałem całą noc.

- Dlaczego?

- Grałem w „Dwadzieścia Pytań” z Wujaszkiem.

- On wymyślał hasła, a ty zgadywałeś, czy odwrotnie?

- Na zmianę.

- I co?

- Może przedtem zjesz omlet?

- Aż tak źle?

Archer nie odpowiedział. Zabrał się po prostu do pracy.

Tymczasem Kyle zrobił tosty i jeszcze trochę kawy. Usiedli przy stole akurat w chwili, gdy słońce zaczęło się wdzierać do kuchni przez okno.

- Próbujesz mi się podlizać, a ja utyję - powiedział Kyle, zanurzając sztucce w talerzu uginającym się pod solidną porcją frytek i hiszpańskim omletem.

- Wystarczy mi, żebyś żył.

Kyle zatrzymał widelec w powietrzu.

- Nie bardzo mi się to wszystko podoba.

- A ktoś ci obiecywał, że będziesz zachwycony?

Archer spałaszował śniadanie z apetytem człowieka, który wie, że minie sporo czasu, zanim uda mu się zjeść kolejny pożywny posiłek. Gdy skończył, nalał sobie kilka ostatnich kropli kawy i zaczął mówić.

Był przy tym tak skupiony, jakby samą siłą woli usiłował przekonać brata, że jego emocjonalny związek z Lianne Blakely to śmiertelny błąd.

- Tak zwany włamywacz to porucznik triady Czerwony Feniks — wyjaśnił Archer.

- Należy do nieformalnego programu wymiany kulturalnej. Wujaszek Sam zamyka lub deportuje jednego członka triady, a oni przysyłają dwóch na jego miejsce.

Kyle polał miodem ostatni kawałek tostu. Wiedział, że to, co za chwilę usłyszy, na pewno mu się nie spodoba.

- Ten wąż, z którym walczyłeś, jest zawodowym zabójcą — ciągnął Archer. - Chcesz usunąć kogoś z drogi? Nic prostszego. Nasz człowiek przyleci do Seattle pierwszym samolotem z Chin, Hongkongu lub Singapuru. Zabije swoją ofiarę i wróci do siebie, zanim ktokolwiek zrozumie, co się dzieje.

- Nie tym razem.

- Miałeś cholerne szczęście - powiedział Archer bezbarwnym głosem. - Qiang Qin, twój anioł śmierci, ma za sobą sporo sukcesów. Wymordował dla triady już wielu ludzi. Sześciu w samym Hongkongu, a to wcale nie był jego najlepszy rok.

- Zajęty chłopiec - mruknął Kyle. - Mimo miodu tost zaczął nagle smakować jak wióry. Myśl o Lianne pozostawionej sam na sam z zabójcą triady spowodowała nagle skurcze żołądka.

- Skąd tyle o nim wiesz?

- Jak myślisz?

- Albo gadałeś z tym federalnym, albo Wujaszek postanowił nam pomóc.

- Wujaszek.

- Cholera! Wolałbym federalnego. Taka szczerść Wujaszka zawsze mnie niepokoi. Czego teraz od nas chce nasz kochany rząd?

- Tego samego co poprzednio. Wtyki w rodzinie Tangów.

- W takim razie dlaczego ci się nie podoba, że przywiozłem Lianne do domu?

- Bo Archer żałuje, że Qiang Qinowi nie udało się mnie zabić -powiedziała nagle Lianne, stając w progu.

Archer i Kyle odwrócili się do niej jak na komendę. Na ich twarzach malował się identyczny wyraz zdziwienia i zagniewania. W innej sytuacji Lianne na pewno by się roześmiała, ale teraz było jej po prostu przykro. Ogarnęła ją również złość; wdzięczność, jaką odczuwała do Kyle'a, że pomógł jej wyjść z więzienia, wydała jej się nagle niemal groteskowa.

Teraz wiedziała, dlaczego Donovan tak się o nią troszczył, i ta świadomość utkwiała w gardle jak ostry kawałek lodu.

Okazała się beznadziejnie głupia.

Naiwna jak dziecko.

Uwierzyła, że mężczyzna pokroju Donovana może zainteresować się kobietą bez rodziny, pieniędzy i koneksji. Kobieta wyróżniająca się jedynie wiedzą o jadeitach, gotową je zdobywać niezależnie od tego, jakie niespodzianki niesie życie.

- Nieprawda - zaprzeczył spokojnie Archer. - Wcale nie chcę, żebyś zginęła.

- Przynajmniej dopóki nie zachowam się jak Judasz i nie poprowadzę mojej rodziny na rzeź.

- Twojej rodziny? - spytał Archer, mrużąc oczy. - To zabawne, ale w krytycznym momencie tylko rodzina Donovanów przysłała ci na ratunek. Tangowie osaczyli cię jak psy myśliwskie rannego jelenia.

Uniosła dumnie podbródek. Nie mogła niczemu zaprzeczyć, choć prawda z ust człowieka, który nie darzył jej sympatią, była szczególnie niemiła. Jednak ludzie pokroju Lianne zawsze godzili się z prawdą, nawet gdy spadała na nich jak miecz.

- Odczep się! - Kyle popatrzył groźnie na Archera. - Ona nic nam nie zawdzięcza.

- Jasne. Bez naszych pieniędzy wciąż tkwiłaby za kratkami w kajdankach na rękach.

Kyle zerwał się na równe nogi.

- To była moja własna forsa, a nie pieniądze Donovanów.

- Siadaj!

Kyle wychylił się do przodu i oparł o stół.

- Odczep się, Archer, bo jak nie, to zaraz stąd wyjdę. Oczywiście razem z Lianne.

- Tak po prostu? Bierzesz sobie do łóżka kobietę na jedną noc, a potem wojujesz o nią z rodziną?

- Co w ciebie wstąpiło?

- Nic. Tylko że byle panienka wodzi mojego brata za kutasa, a mnie to strasznie denerwuje.

Bez chwili namysłu Kyle rzucił się na niego z pięściami. Archer odepchnął jednak ręce brata i zerwał się na równe nogi.

- Przestańcie - powiedziała Lianne, wkraczając między braci. - Nie musicie rozbijać kuchni tylko po to, żeby odegrać przede mną komedię.

Bracia popatrzyli na Lianne w tym samym momencie: Kyle ze zdziwieniem, Archer domyślnie.

Lianne napotkała tylko spojrzenie Archera. To z nim rozmawiała, jego próbowała przekonać. Nie chciała patrzeć na Kyfe'a i przypominać sobie swego głupiego oddania, chętnych ust, rąk i żywiołowej reakcji na jego pieszczoty.

- Mam coś, na czym wam zależy - powiedziała głosem równie martwym jak jej wzrok. - A wy macie coś, czego z kolei ja pragnę. Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia.

- W twojej sytuacji trudno pertraktować.

- Mylisz się. Gdybyście mnie nie potrzebowali, zostałabym w więzieniu.

- Nie jest jeszcze za późno na powrót. A może sądzisz, że twój tatuś szybko wróci z wycieczki i ułagodzi rodzinę? Bo to jest jego rodzina, Lianne, nie twoja. Dzieci z nieprawego łoża nie mają rodzin.

- Dostyc już tego - powiedział zimno Kyle, wyciągając rękę do Lianne. - Idziemy!

- Nie! - Lianne szybko wyrwała rękę. Ani na chwilę nie spuszczała oczu z Archera.

- Twoje podpuchy nie pomogą - powiedziała z zimnym uśmiechem. - Nigdy nie tracę panowania nad sobą i nie robię głupstw. Nie zdarzyło mi się to ani razu od trzeciej

klasy szkoły podstawowej, kiedy to zbiłam mojego kolegę z klasy. Nazwał mnie wtedy skośnookim bękartem, a moją matkę dziwką Chińczyka.

- Wcale cię nie podpuszczam, tylko mówię prawdę. Nikt z twojej tak zwanej rodziny nie chciał ci pomóc.

- Zdaję sobie z tego sprawę lepiej niż ty.

- Lianne... - zaczął Kyle, ale nie wiedział, co mówić dalej, a ona nawet na niego nie patrzyła. Położył więc rękę na jej ramionach i zaczął masować mięśnie napięte z bólu i złości, uczuć, których Lianne nie okazała jak dotąd w żaden inny sposób.

- Przestań! - strząsnęła jego rękę i odsunęła się od obu mężczyzn. - Udawaliście, że się o mnie troszczyacie. Teraz już wiem dlaczego. Dostyc tej farsy!

- Skoro już mowa o farsie... Zanim Kyle zaczął cię na aukcji, śledziłaś go przez dwa tygodnie. Więc może lepiej przestańmy sobie wypominać różne rzeczy, tylko znajdziemy wspólny punkt widzenia. Kawy?

Lianne otworzyła szeroko oczy. Była to dokładnie ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała.

- Chętnie - odparła automatycznie. Archer się uśmiechnął.

- No proszę, czułem, że możemy się dogadać w cywilizowany sposób. Siadaj, braciszku.

- Wolałbym cię uderzyć!

Stalowe oczy Archera prześliznęły się po Kyle'u, który zmełł w ustach przekleństwo i odsłonił zęby w groteskowym grymasie.

- Widzisz, jaki jestem cywilizowany? Nawet się uśmiecham.

- To dobrze - powiedział łagodnie Archer. - W ten sposób będzie ci łatwiej.

- Jak cholera! - Kyle zerknął na Lianne, która patrzyła na braci z miną, jakby obserwowała węże. - Chcesz coś zjeść?

- Nie- odparła.

- Na pewno? Archer potrafi zrobić taki świński omlet...

- Po Archerze nie mogłabym się spodziewać niczego lepszego. Archer zaśmiał się głośno, czym po raz kolejny zadziwił Lianne; jego śmiech był równie szczery jak gniew. I tak jak gniew odmieniał go całkowicie.

Przez krótką chwilę żałowała, że nie są przyjaciółmi. A potem spojrzała w jasną, zimną głębię jego oczu i zrozumiała, że z takim samym powodzeniem mogłaby pragnąć, by Kyle interesował się nią jak kobietą, a nie wtyka do rodziny Tangów. Oba marzenia wydawały się równie beznadziejne, jak i pozbawione sensu.

- Śmietanka, cukier? - spytał Archer.

- Poproszę czarną - odparła cicho Lianne. - Bardzo, bardzo czarną.

Z fałszywym spokojem usiadła, podwinęła rękawy czerwonego aksamitnego szlafroka i czekała, by się przekonać, jaki układ zaproponuje jej ten diabeł o stalowych oczach.

20

Kyle usiadł bardzo blisko Lianne, przypierając ją niemal do cedrowej ściany aneksu kuchennego. Popatrzyła na niego spod oka, tak jak się patrzy na nieznanego w autobusie, który rozpycha się na siedzeniu. Nie wiedziała, co robić. Jak należy traktować mężczyznę, który jednej nocy jest demonicznym kochankiem, a następnej czułym misiem? Ten kontrast i w ogóle cała ta sprawa z Kyle'em wyprowadzały ją z równowagi. Dlatego postanowiła go po prostu zignorować i wróciła do omletu przygotowanego przez Archera.

- Dobrze było - powiedziała, przelękając ostatni kęs. Archer usiadł na wprost niej.

- Dziwisz się, że facet potrafi gotować?

- Wcale nie. Dziwiłabym się raczej, gdybyś znalazł sobie taką, która robiłaby to za ciebie.

- Powinieneś być dostać dodatek za waleczność - mruknął Archer, odwracając się do Kyle'a.

- Nie przejmuj się. Dla niego byłam łagodna - wtrąciła Lianne, zanim Kyle zdążył otworzyć usta.

- Jak pożar - mruknął pod nosem Kyle.

- Chodziło mi o słowa - powiedziała, patrząc na Archera. - Dogadalibyśmy się chyba szybciej bez twojego brata.

- Mam na imię Kyle, kochanie, i bez ciebie absolutnie nigdzie się nie wybieram.

Lianne nie odpowiedziała, ale odsunęła się od niego. Powieki drgnęły jej lekko, zacisnęła palce na kubku. Jak na tak inteligentną kobietę - a Archer nie wątpił w jej inteligencję - zbyt wolno uświadamiała sobie korzyści płynące z faktu, że jest kochanką Kyle'a. Patrzyła natomiast na niego tak, jakby zamierzała wsadzić mu nóż w plecy. Widocznie rzeczywiście przeżyła szok, gdy się dowiedziała, że Donovan miał ukryte powody, by nawiązać z nią znajomość.

Archer powoli zmieniał opinię o Lianne Blakely; wolał się jednak łudzić, że niepotrzebnie. Życie byłoby naprawdę wspaniałe, gdyby Lianne okazała się oszustką, dzięki której Wujaszek rozwiązałby z łatwością dyplomatyczny pasztet, spowodowany kradzieżą szaty. Wszystkie inne rozwiązania bardzo komplikowały sprawę.

- Dlaczego mnie śledziłaś? - spytał po chwili Kyle. - Tylko bardzo proszę, bez bajerów. Nie jesteś typem podrywaczki.

- Typem podrywaczki?

- Śmiała, trochę zblazowaną kobietą uwielbiającą przyjęcia, gotową na seks z każdym dopiero co poznanym mężczyzną - odpar, sięgając po kawę.

Uśmiechnęła się do niego zimno. Przez kilka dni Kyle zdołał poznać ją lepiej niż ojciec przez całe życie.

- Johnny prosił, żebym cię poderwała i przyprowadziła do Tangów.

- Johnny? Mówisz o swoim ojcu? - spytał Archer.

- Można go i tak określić.

- Czego on właściwie ode mnie chciał?

- Nie wiem.

Archer nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia i niedowierzania,

- A czego zwykle sobie życzył, kiedy ci kazał zaczepiać obcych mężczyzn?

- To było pierwszy raz.

- Jasne!

Lianne spojrzała Archerowi prosto w oczy. Palce zaczynały ją boleć od ściskania kubka.

- Możesz mi nie wierzyć, ale ja nie kłamię - powiedziała spokojnie.

- Nawet się nie domyślasz, dlaczego mu zależało na spotkaniu ze mną? - spytał Kyle.

Zmarszczyła brwi, szukając w pamięci strzępów tamtej rozmowy.

- Mówił tylko, że to bardzo ważne. I jeszcze, że to sprawa rodzinna. Nic więcej.

- Wiedziałaś, że Tang Consortium chciało robić interesy z Donovan International? - spytał Archer.

Lianne skinęła głową.

- Kiedy? - spytał Kyle.

- W zeszłym roku. Odmówiliśmy.

- Dlaczego? To nie była dobra propozycja?

Archer zawahał się przez chwilę, po czym doszedł do wniosku, że prawda może się okazać bardziej przydatna niż jakiegokolwiek kłamstwo.

- Z tego samego powodu, z jakiego odmówiliśmy się z SunCo: z powodu triady.

- Co takiego? - spytali chórem Lianne i Kyle.

- Obie rodziny - Sun i Tang - są powiązane z chińskimi gangami. Lianne zmarszczyła brwi.

- Triady, przynajmniej w większości, nie są gangami w czysto amerykańskim sensie. Ich członków nie należy utożsamiać z kryminalistami. Chińczycy mają inny stosunek do prawa niż Amerykanie. Chiny - zarówno konfucjańskie, jak i komunistyczne czy kapitalistyczne - górują nad prawem; w Ameryce prawo góruje nad państwem.

Nawet biorąc pod uwagę różnice kulturowe, powiązania Tangów, a już szczególnie Sunów z gangami, są zbyt silne, abyśmy mogli je zaakceptować.

- Czyżby to właśnie Johnny był łącznikiem Tangów z gangami? - spytał Kyle.

- Nie. Tę rolę odgrywa jego brat, Harry. Najważniejsza kochanka Harry'ego to siostra szefa Czerwonego Feniksa.

Lianne przypomniała sobie inteligentną, opanowaną kobietę, występującą nieoficjalnie w charakterze gospodyni przyjęcia po aukcji.

- Nic dziwnego, że mógł sobie pozwolić na taką bransoletkę.

- Też to zauważyłaś? - spytał sucho Kyle. - Ten środkowy rubin musiał mieć chyba ze dwadzieścia karatów. - Odwrócił się do Archera. - Znowu Czerwony Feniks? Chłopcy naprawdę dają o sobie znać.

- W Stanach też. Z Azjatów to właśnie oni najbardziej zależli Wujaszкови za skórę.

Lianne odstawiła kubek i całą uwagę skupiła na Archerze.

- Więc Johnny chciał, żebym poderwała Kyle'a i w ten sposób Tangom, a więc i Czerwonemu Feniksowi utorowała drogę do Donovan International?

- A masz jakiś lepszy pomysł? - spytał spokojnie Archer.

- Nie w tej chwili. Ale dlaczego to niby miało być takie pilne? Tego wieczoru przed aukcją Johnny był niemal przerażony. Powiedział, że muszę poznać Kyle'a, zanim on wyjedzie z matką na Tahiti.

- Zapytaj go, gdy wróci - zasugerował Archer.

- Skąd wiesz, że będzie chciał ze mną rozmawiać?

- Bo to twój ojciec - odparł Kyle ze zdziwieniem.

- Raczej kochanek mojej matki - przerwała Lianne. - Rządowi zależało na tym, by Kyle przeniknął do rodziny Tangów. Dlaczego?

Kyle chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Mógłby zacząć mówić, gdyby Archer ukrywał prawdę. Na razie jednak Lianne wołała rozmawiać z Archerem niż z nim.

Taka sytuacja nie dawała mu wcale powodów do radości, ale na razie niewiele mógł zdziałać, by ją zmienić. Gdyby zostali sami, to co innego. Najpierw rozebrałby Lianne i oplótł ją wokół siebie, a potem usiłował przemówić jej do rozumu. Gdyby i to nic nie dało, mógłby zawsze wrócić do bardziej zmysłowej argumentacji.

- Nasz rząd uważa, że Tangowie pośredniczyli w sprzedaży grobu Cesarza Jadeitu - powiedział Archer.

Lianne otworzyła usta i natychmiast je zamknęła; nie miała nic do powiedzenia.

- I co ty na to? - spytał Archer.

- Po prostu osłupiałam - wyznała. - W jaki sposób Tangowie uzyskaliby dostęp do takiego skarbu? Przecież już od siedemdziesięciu lat nie mają żadnej władzy na kontynencie.

- Ale triada ją ma - wyjaśnił krótko Archer. - Na przykład Czerwony Feniks. Od kiedy Chiny próbują realizować na pół socjalistyczną wersję kapitalizmu, Czerwony Feniks bardzo się wzbogacił dzięki okupom, hazardowi, narkotykom i prostytutce. A SunCo zarobiło miliard dolarów na praniu pieniędzy. Tang Consortium nic radzi sobie

jednak aż tak dobrze. Wen nie uznaje hazardu i ma moralną awersję do narkotyków. Woli proste umowy eksportowo-importowe, handel wpływami, szmuglowanie imigrantów, nowe tożsamości dla repatriantów i wymuszenia.

Lianne wypuściła ze świstem powietrze.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, wiesz o Tang Consortium więcej ode mnie.

- A jak ty sobie wyobrażałaś ich działalność?

- Wiem tylko, że Tangowie prowadzą różne interesy na międzynarodową skalę: od umów handlowych poczynając, przez nieruchomości, na bankach kończąc. Jadeit to raczej ich pasja, a nie główne źródło dochodu.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nic nie słyszałaś o Cesarzu Jadeitu?

- Owszem.

Archer wymamrotał coś pod nosem i popatrzył na budzącą się ziemię. Nadeszła właśnie ta magiczna pora, kiedy niebo zaczynało jaśnieć, a na tle czarnego aksamitu lśniły światelka jak klejnoty.

- Wierzysz czy nie, ale to prawda - powiedziała Lianne. - Słyszałam już różne spekulacje związane z Cesarzem Jadeitu, ale nie od Tangów.

- Dziwne, prawda? - zauważył Kyle. - Przecież Wena powinien fascynować ten temat.

- Kiedy parę miesięcy temu zaczęły się plotki, spytałam Wena, co o tym sądzi.

- I co powiedział?

- Że jest za stary na bajki. A kiedy zaczęłam go cisnąć, strasznie się zniecierpliwił. Stwierdził, że muszę się jeszcze dużo uczyć, a jemu nie zostało wiele czasu, więc powinniśmy się raczej skupić na jadeitach, zamiast zastawiać pułapki na Feniksa.

- A Johnny? Co on sądził o grobie? - dociekał Archer.

- Johnny wie o jadeitach mniej niż ty. Jego pasją są finanse. Liczby, umowy, budynki, banki. Jedyne Tang, którego tak naprawdę interesują jadeity, to Daniel.

- Twój przyrodni brat?

- Syn Johnny'ego - odparła sucho Lianne. - Został czeladnikiem Wena.

- I wysadził cię z siodła?

- Nie było takiej potrzeby. Sama odeszłam.

- Daniel wspominał o Cesarzu Jadeitu? - spytał szybko Kyle.

- Aż do dnia aukcji nie rozmawiałam z Danielem. On po prostu nazwał mnie złodziejką i próbował odwieść od spotkania z Wenem.

- A według niego co ukradłaś?

- Nie wymienił niczego szczególnego - Lianne zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała coś, czego tak naprawdę nie zamierzała mówić. - Myślę... Możliwe... — Urwała.

Archer czekał.

Kyle wsunął rękę pod stół i położył jej dłoń na udzie. Jego gest miał jednak raczej pocieszający niż prowokujący charakter. Lianne drgnęła, ale nie cofnęła nogi. Nawet nie próbowała się odsunąć. Bo i po co? Nie miała dokąd uciec.

- Co jest możliwe, kochanie?

- Nie nazywaj mnie w ten sposób.

- Skarbie, złotko, myszko, żabko - poprawił się Kyle. - Co jest możliwe?

Czułość, z jaką na nią patrzył, i intymność pieśczoły doprowadzały ją do szału. Wyjaśnili już sobie wszystko, a jednak Kyle nie przestawał udawać, że łączy ich jakiś prawdziwy związek. Zeszłego wieczoru położyła się sama na kanapie, a obudziła w środku nocy w jego ramionach.

Mogła znieść te wszystkie pytania i brak wiary, ale nie ucieczkę w udawaną miłość, podczas gdy tak naprawdę nie istniało nic poza koniecznością wydobycia z niej informacji. Informacji wykorzystanych przeciwko jej rodzimej, jedynej rodzinie, jaką znała, rodzinie, która ją zdradziła.

Zdrada. Wszędzie, gdzie się obejrzała, dokądkolwiek się zwróciła. Zdrada. A już najbardziej doprowadzała ją do furii zdrada w pięknych, kłamliwych oczach Kyle'a.

Archer spojrzał na Lianne i zmarszczył lekko brwi. Widział, co się z nią dzieje. Albo ta dziewczyna była świetną aktorką, albo naprawdę zamierzała wtłoczyć Kyle'owi do gardła kubek z kawą.

- Ostrze i wielbłąd to nie jedyne zamienniki w kolekcji Wena - powiedziała.

- To wiemy - rzekł Archer. - Wolałbym usłyszeć od ciebie coś nowego.

- Szata, która znajduje się teraz w posiadaniu Farmera, niegdyś należała do Wena.

Po chwili zdumionego milczenia Archer gwizdnął przeciągle.

- Jesteś pewna? - spytał

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zawtórował mu Kyle.

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić? Ty mi nie wyjaśniałeś, dlaczego się ze mną pieprzysz.

- Bo doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Do dziś wyjmuję sobie z tyłka pokładowe drzazgi. Czyż nie byłem dżentelmenem, kochanie? Tobie powchodziły tylko w kolana!

Archer uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko, zasłaniając twarz kubkiem. Pewnie by się roześmiał na cały głos, gdyby nie autentyczna wściekłość w głosie Kyle'a: jego brat prowokował Lianne na wszystkie sposoby, a ona nie pozostawała mu dłużna.

- Doprowadzałam cię do szału? - spytała głośniej. - Ty sukinsynu! Nawet nie wiedziałam, że tak można to robić, a już tym bardziej nie miałam pojęcia, że... - Przypomniała sobie nagle, że przy stole siedzi ktoś poza nimi, brat Kyle'a, i oblała się rumieńcem. - Nieważne - mruknęła. - To nie ma nic wspólnego z jadeitami.

- Może kawy? - spytał słodko Archer.

Nikt się nie odezwał. Archer wlał resztę kawy do filiżanki, wypił ją i ostatecznie zrewidował opinię o Lianne Blakely.

Nie zajęło mu to zresztą zbyt wiele czasu. Archer miał z pewnością wiele wad, ale nie był głupi.

- Jesteś pewna co do tej szaty? - spytał.

- Tak. Widziałam ją dwukrotnie w skarbcu.

- Dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś?

- Bo dałam słowo, że o szacie będę rozmawiać tylko z Wenem. Ale teraz... - Popatrzyła na żółte kawałki omletu porzucane po całym talerzu. - Jadeity zginęły i Wen uważa mnie za złodziejkę. Ktoś okrada Wena i wrabia w to mnie.

Archer skinął głową.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego policji? Przecież federalni mają tylko poszlaki. Tak przynajmniej twierdzi Mercer, Poza tym zwolniliby cię na pewno, gdybyś się zgodziła na współpracę.

- Jestem niewinna. Niech się odpieprzą.

- Rozumiem twoje uczucia, choć nie podzielam sposobu rozumowania.

- Niezależnie od tego, czym się kierował, Kyle ocalił mi życie i...

- Sama bardzo dzielnie o nie walczyłaś - przypomniał Kyle.

- ...i wyciągnął mnie z więzienia - dokończyła, nie zwracając na niego uwagi. - Jeśli mogę pomóc Donovanom, na pewno to zrobię.

Archer się uśmiechnął. Ten sposób myślenia pojmował doskonale. Poczucie lojalności. Być może Lianne wolałaby nie zawdzięczać niczego Donovanom, ale skoro już zaciągnęła u nich dług, chciała go spłacić.

- Co wiesz o szacie Wena, tej, która - jak twierdzisz - znajduje się teraz u Farmera?
- spytał Archer.

- Przypomina szaty z dynastii Han, ale nie mogę przysiąc, bo jej dokładnie nie obejrzałam. To raczej nefryt niż serpentyn.

- Nie rozumiem. Możesz mi to bliżej wyjaśnić?

- Serpentyn jest zdecydowanie bardziej miękki i łatwiej w nim rzeźbić - powiedział Kyle. - Przed dziewiętnastym wiekiem wiele z tego, co Chińczycy nazywali jadeitem, to nawet nie nefryt, ale inne kamienie szlachetne.

- Dobrze. Mów dalej, Lianne!

- Nie wszystkie szaty pogrzebowe są wykonane z nefrytu. Warsztaty cesarskie miały monopol na wzory i materiały. Jedynie wyższe sfery zyskały prawo do najlepszego. Jadeit jednak często zastępowano serpentynem, gdyż łatwiej poddawał się modelowaniu.

- Ale szata Wena to autentyk - powiedział Archer.

- Owszem. Jest naprawdę niezwykła: kamień przejrzysty, w głębokim zielonym kolorze, z żyłkami na najważniejszych częściach. To prawdziwe dzieło sztuki, stanowiące jednocześnie podsumowanie wierzeń w życie, śmierć i istnienie po śmierci.

- Ta sama szata znajduje się teraz u Farmera? Jesteś pewna? - naciskał Kyle.

Zawahała się i wypowiedziała wreszcie na głos to, w co głęboko wierzyła. -Tak.

- I jest to prawdziwy jadeit?

- Nie przeprowadzałam analizy chemicznej, ale tak mi się wydaje. Kamień miał odpowiedni połysk, wyglądał jak jadeit, w dotyku też niczym się od niego nie różnił. Na brzegach nie zauważyłam zniszczeń, jakie na pewno by tam powstały w innych kamieniach. No i stosunek Wena do tej szaty również wydawał się znamieny. Wenus zawsze wolał nefryt od innych rodzajów jadeitu.

- Dlaczego zatem sprzedał szatę Farmerowi?
- Dla pieniędzy - powiedział zwięźle Archer. - Dostał za nią miliony.
- To niewystarczający powód - zauważył Kyle. - Wen to kolekcjoner. Rozstanie z tą szatą równałoby się dla niego zaprzedeniu duszy diabłu.

Archer zerknął na Lianne.

- On ma rację - powiedziała zwyczajnie. - I oczywiście rodzina bardzo chciała... - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Nie. Wen zastawiłby raczej całą kolekcję, niż sprzedał jakąkolwiek jej część. A już na pewno nie szatę.

- Może rzeczywiście wziął pożyczkę pod zastaw szaty, nie spłacił długu i klejnoty stały się własnością banku? - domyślał się Archer.

Kyle wstał i podszedł do kuchenki. Lianne patrzyła, jak wychodzi z cienia prosto w jasność, i nie mogła się zdecydować, czy woli blask jego złotozielonych oczu w mroku, czy też złocisty połysk włosów w słońcu. Ale czy to w świetle, czy w ciemnościach najwyżej ceniła jego inteligencję, poczucie humoru i siłę widoczną w każdym ruchu.

Szkoda, że zależało mu tylko na informacjach i seksie - pomyślała gorzko. I to w dodatku w takiej kolejności. Musiała mu jednak przyznać, że nie tylko żądał, ale i dawał. Poza tym ocalił jej życie.

- Lianne? Co sądzisz o tym pomysle z zastawem? - Archer wyrwał ją z zamyślenia.

Zamrugła powiekami i niechętnie odwróciła wzrok od Kyle'a.

- Wątpię.
- Dlaczego?

- Trudno byłoby utrzymać taką pożyczkę w tajemnicy. Kolekcja musiałaby przecież zostać wyceniona. Ten, kto by ją wyceniał, miałby z pewnością przyjaciół, wspólników, kochanki, rywali. Niezależnie od tego, ile przysięg by złożono, tajemnica wydobłaby się na światło dzienne po prostu dlatego, że jadeity Tangów są naprawdę unikatowe. To by było... - Zawahała się, próbując znaleźć analogię zrozumiałą dla Archera. - Tak, jakby De Beerowie chcieli oszacować swoją kolekcję brylantów w związku z koniecznością jej zastawienia.

- Wszyscy doznaliby szoku - mruknął Archer. Kyle podniósł wzrok znad kubka.
- Czy ktoś z rodziny Tangów miałby powód, żeby doprowadzić Farmera do ruiny?

- Nie rozumiem - powiedziała Lianne.

Ale Archer zrozumiał i popatrzył na Kyle'a z aprobatą. Ten chłopak naprawdę nie myślał kutasem.

- Farmer wiąże się z SunCo - rzekł Kyle. - Co to oznacza dla Tangów?

- Nic dobrego - odparła Lianne, marszcząc brwi. - Sunowie mają większe wpływy na kontynencie. Trzech Sunów poślubiło czerwone księżniczki. Sun Sen, wnuczka patriarchy rodu, zaręczyła się z Den Qiangiem, cioteczynym wnukiem zmarłego Mao, jednym z najpotężniejszych ludzi w dzisiejszych Chinach.

- Nowa arystokracja - zauważył Kyle z niesmakiem. - Stanowczo za dużo uprzywilejowane dzieci i wnuki kohorty Mao poślubiają najpotężniejszych przedstawicieli świata przestępczego dwudziestego pierwszego wieku.

- Innymi słowy, Tangowie mają bardzo wyraźny powód, by sabotować sukcesy Sunów?

- Tak, ale jak to się łączy z Farmerem i szatą? - spytała Lianne.

- Pamiętaj to stare powiedzenie: „Chwytaj byka za rogi”? - powiedział Kyle, podchodząc do stołu.

Przytaknęła.

- No cóż - ciągnął. - To bardzo zachodni sposób załatwiania spraw. - Usiadł tuż przy Lianne, dotykając biodrem jej uda. - Tak zachodni jak ja.

Lianne mimo woli się uśmiechnęła.

- A jeszcze lepiej znaleźć kogoś, kto schwyta tego byka za ciebie. Nic ci wtedy nie grozi.

- Bardzo niebezpośrednie i wschodnie - wtrąciła Lianne. -A przy tym sprytne.

- Wspaniałe, jeśli to nie ciebie wybiorą na matadora. Spoglądała na swoje ręce ściskające dzbanek z kawą tak, jakby to była lina ratunkowa, i z trudem się zmusiła, by go puścić. Potem popatrzyła w fusy na dnie w nadziei, że wyczyta z nich przyszłość.

Archer zaczął coś mówić, ale powstrzymało go spojrzenie Kyle'a.

- Twierdzisz, że rodzina Tangów wrobiła mnie rozmyślnie w tę całą aferę, by zdyskredytować Dicka Farmera i SunCo?

- Nie jestem pewien, czy to możliwe - powiedział Archer.

- Dlaczego? - spytała surowo.

- Szukam kogoś, kto miałby bardziej przekonujący motyw, by ukraść te jadeity.

Kyle przymrużył oczy. Przyglądał się swemu starszemu bratu tak, jakby widział go po raz pierwszy.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lianne.

- Bo w końcu się obudził i poczuł zapach kawy - odparł Kyle. - Wierzy, że tego nie zrobiłaś.

Zerknęła na Kyle'a, potem na Archera.

- To prawda - powiedział Archer. - Ale wierzyć nie znaczy dowieść. Potrzebujemy czegoś, co przekonałoby federalnych. Czegoś, dzięki czemu rząd odczepiłby się wreszcie zarówno od nas, jak i od Lianne.

- A właściwie co wy macie z tym wszystkim wspólnego?

- To długa historia związana z carami i bursztynem - odparł Kyle. - Później ci opowiem. Teraz powinniśmy się skupić na znalezieniu przekonującego podejrzanego, który nie nazywa się Lianne Blakely.

- Takich chyba nie brakuje - odparła.

- Ale nam zależy tylko na tych, którzy mają motyw, sposobność i środki.

- To już zawsze coś na dobry początek - powiedział Archer. - Bo teraz federalni uważają, że to właśnie Lianne miała środki i możliwość, by ograbić skarbiec.

- Ale nie doszukali się motywu - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Mylisz się, kochanie. Motyw jest jasny: zemsta. Rozszerzyła oczy ze zdziwienia. A potem jej twarz ponownie przybrała martwy wyraz - patrzyły na niego tylko czujne oczy w kolorze whisky.

- Rozumiem. Córeczka z nieprawego łóża wyrównuje rachunki z pseudorodzinką, puszczając ją z torbami. Tak wygląda ten scenariusz?

- Owszem. Ale skoro ty tego nie zrobiłaś, musimy wziąć pod uwagę innych, którzy mogli się dostać do tych jadeitów.

- Wen, Joe, Daniel i ja.

- I to wszystko? - spytał Archer. - Żadnych żon, dziewczyn, służby, fachowców od alarmu, dezynsekcji, elektryków czy ochroniarzy?

Lianne potrząsnęła głową.

- Absolutnie nikt. Przyjmując amerykańskie standardy, rodzina Tangów ma obsesję na punkcie własnego bezpieczeństwa. Według standardów chińskich Tangowie są po prostu przezorni. I bardzo tajemniczy.

- W jaki sposób je zabezpieczono?

- Zamki są stare. I bardzo solidne. Takie jak w późnodziewiętnastowiecznych bankach.

- Cholera! - zaklął Kyle. - Bębny, szyfry i żadnego prądu. To coś dla ciebie, Archer.

- Takie zamki lubią się zacinać. Kto je oliwi?

- Kiedyś robił to Wen. Myślę, że później nauczył tej sztuki Joego, ale Joe rzadko bywa w Vancouver i jego obowiązki przejął Daniel.

- Na pewno?

- Kiedy powiedziałam, że jeden z zamków zaczyna się zacinać, Wen winił za to Daniela.

- Daniel chyba za tobą nie przepada, prawda? - spytał cicho Kyle. Uniosła głowę i nie odpowiedziała.

Kyle pieszczotliwie pogłaskał ją po policzku.

- Wiem, że nie chcesz donosić na brata, ale kto nam zostaje? Przecież to on musiał powiedzieć Wenowi o brakujących jadeitach.

Lianne z trudem powstrzymała gorące łzy zbierające się pod powiekami. Nie chciała wierzyć, że ktokolwiek zastawił na nią pułapkę. A gdyby to Daniel okazał się winny? Wyobraziła sobie Daniela, Daniela o uśmiechu ojca i jego oczach... Poczowała skurcze żołądka.

Tak.

Zdrada była tak blisko niej.

- A Wen? - spytał Archer. - Mógłby zrobić coś takiego?

- Jest ślepy - odparł Kyle, nie odrywając wzroku od Lianne. -I słaby. Założę się, że bez pomocy nie dotarłby nawet do skarbcza, a co dopiero mówić o sortowaniu jadeitów. Prawda, kochanie?

Potrząsnęła głową. Miała ochotę uciec od Kyle'a, Archera i tego rozumowania. Ktoś ukradł jadeity i zrobił wszystko, by posądzono o to właśnie ją - bękarta Johnny 'ego.

- A Joe? - spytał Archer.

- On nie potrafi odróżnić nefrytu od steatytu - odparła cicho Lianne. - Ten, kto to zrobił, musiał wiedzieć, które kamienie ukraść, a które zostawić w spokoju. I w jaki sposób odnaleźć ich zamienniki. Nawet gdyby Joe posiadał taką wiedzę, w jakim celu miałby to robić? Przecież to jego własne dziedzictwo, bogactwo, duma i dusza Tangów. Konsorcjum finansuje cała rodzina, a jadeity od samego początku przekazywano pierworodnemu synowi.

- Co znaczy, że Daniel zostałby na łodzi - powiedział bezlitośnie Kyle. - Trzeci... a może czwarty syn Johnny'ego, trzeciego syna Wena, zajmuje bardzo odległe miejsce w kolejce do królestwa jadeitów, prawda?

- Tak - przyznała smutno.

- Od jak dawna zna kombinację do skarbca? - spytał Archer.

- Nie wiem.

- Dziesięć lat? Pięć? Dwa?

Lianne otuliła się szczelniej szlafrokiem, jakby było jej zimno.

- Rok. Może krócej. Otwierał skarbiec pod nieobecność Joego, ilekroć Wen nie był w stanie wyczuć kombinacji.

- Innymi słowy Daniel miał masę czasu na zwinięcie jadeitów -skonstatował Archer.

- Tak, ale...

- Ale co?

- Dlaczego mnie w to wrobił? Aż tak bardzo mnie nienawidzi? Niczym sobie na to nie zasłużyłam. Naprawdę!

- Błąd w założeniu - mruknął Archer. - Nienawiść nie ma tu nic do rzeczy. A już na pewno nie to, na co sobie zasłużyłaś, a na co nie. Wybrał cię wyłącznie ze względów pragmatycznych.

Popatrzyła na Kyle'a, jakby go wzrokiem prosiła, by przeciwstawił się bezlitosnej logice brata.

- Łatwiej było mu zrobić złodziejkę z nieślubnej córki Joanny'ego niż z Syna Numer Jeden - powiedział cicho Kyle. - prawda, kochanie? Nie ma nikogo, kto mógłby cię bronić, żadnego patrona wpadającego w słuszny gniew na wieść o tym, że

jesteś szykanowana. Całe życie spędziłaś na samym końcu konaru, a teraz ktoś odpilowuje ten konar tuż przy pniu.

Uniosła lekko podbródek. Rozumowanie Kyle'a nie wzbudzało w niej zachwyty, ale miało sens. Nie pasował tu tylko jeden element.

- Daniel nie zna szyfru do schowka, w którym przechowywano szatę.

- Są na to dowody? - spytał natychmiast Kyle.

- Nie.

- A Daniel? Potrafiłby udowodnić, że nie zna szyfru?

- Trudno dowieść, że się nie jest wielbłądem - odparła Lianne z gorzką satysfakcją, gdyż ona znajdowała się w podobnej sytuacji. Musiała przekonać cały świat, że to nie ona ukradła jadeity.

- Owszem - zgodził się Kyle. - Nie mamy za wiele, ale dosyć, żeby zamieszać kijem w mrowisku. Chyba powinniśmy zadzwonić do Wujaszka, jak sądzisz?

Archer zmrużył oczy tak, że przypominały błyszczące stalowe szparki. A potem wstał i podszedł do telefonu.

21

Na ekranie telewizyjnym, nie grubszym niż karta do bankomatu i nie mniejszym niż siedzisko krzesła, trzy głowy dyskutowały na temat zmiennej sytuacji międzynarodowej. Dick Farmer poświęcał audycji jedynie część swojej uwagi; wraz z zebranymi w półkolistym gabinecie skanował jednocześnie kilka ekranów komputera.

- Jak sądzicie, jaki to wywrze wpływ na międzynarodową sytuację walutową w najbliższym czasie? Interesuje mnie również wasza prognoza długoterminowa - powiedziała gospodyni programu, Helen Coffmann, kobieta o wystających kościach policzkowych, przeciętnym wyglądzie, ubrana w męską, tweedową marynarkę.

- Na razie trudno to ocenić - odparł Ted Chung, rezydent specjalista od spraw azjatyckich. - Wiele zależy od reakcji zamorskich pożyczkodawców oraz innych partnerów handlowych Chin. Jeśli znów powstaną bariery uniemożliwiające swobodną wymianę handlową, raczej nie widzę tu szans na rozwiązania bezbolesne ekonomicznie. Efekt domina będzie bardzo kosztowny, szczególnie w Chinach.

- W takim razie w interesie Chin leży znalezienie środków na uzdrowienie sytuacji
- powiedziała Helen.

- Z ekonomicznego punktu widzenia — tak. Ale w końcu Chinami zawsze rządziły symbole. Ludziom Zachodu trudno to zrozumieć, lecz Chińczycy woleliby raczej sprowokować zamieszanie ekonomiczne, niż ugiąć się przed wolą Ameryki, a już tym bardziej Tajwanu.

- A co pan o tym sądzi? - spytała Helen, zwracając się do drugiego mężczyzny.

- Chinom grozi klęska - odparł krótko Lev Kline, ekonomista występujący gościnnie w tym programie. - To naprawdę przełomowy moment w rozmowach między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Jeszcze trzy dni temu dyskutowaliśmy na temat dostaw samochodów w zamian za import ubrań, a także omawialiśmy umowę gwarantującą przestrzeganie przez Chiny międzynarodowych...

Farmer skupił swoją uwagę na monitorach komputerów. Gadające głowy z ekranu wiedziały o sytuacji handlowej znacznie mniej od niego. Chiny eksportowały również broń, o czym jednak nie wspomniał żaden z gości. Tak czy inaczej brutalna prawda była taka, że gospodarka chińska opierała się na eksporcie wszystkiego - od broni poczynając, na smoczkach gryzaczek kończąc. Gdyby Chiny nie zmieniły swojej absurdalnej roszczeniowej postawy, pojawiłyby się kolejne bariery handlowe, a chińskie towary przestałyby zalewać amerykański rynek; powódz zmieniłaby się w cienką strużkę.

To wszystko groziłoby zagranicznym kredytom udzielonym Chinom, gdyż brak wpływów z eksportu uniemożliwiłby skutecznie spłatę rat. Zachód poniósłby zaledwie marginalne straty - Chiny klęskę.

Niewywiązywanie się z umów kredytowych pociągnęłoby za sobą szereg konsekwencji. Jedną z nich byłoby na pewno dodrukowywanie pieniędzy, pieniędzy bez pokrycia. To z kolei spowodowałoby inflację, która - z braku innych wpływów - mogłaby się szybko wymknąć spod kontroli i po pewnym czasie chińska waluta nadawałaby się jedynie na podpałkę.

Ludzie wyszliby na ulicę, gdyż za tygodniową pensję nie udałoby im się nawet kupić miski ryżu. Bunt niewątpliwie spotkałby się z surowymi represjami ze strony rządu. A gdyby i to nie załatwiło sprawy, doszłoby być może do przewrotu

wojskowego, przywrócono by porządek, a w wypalonej skorupie starych Chin narodziłoby się nowe państwo.

Tak już bywało w przeszłości i mogłoby się wkrótce powtórzyć. Nie można zmienić praw rządzących światem.

Farmera nie obchodziła jednak ani wartość chińskiej waluty, ani koszt miseczki ryżu. Na kontynencie nie posiadał bowiem niczego o znaczącej wartości. Gdyby jednak zdażył się już tam zakorzenić, co zresztą dawno zaplanował na najbliższą dekadę, walczyłby, używając wszystkich możliwych wpływów i wszystkich możliwych kłamstw o zażegnaniu narastającego kryzysu, tak jak to zapewne obecnie czynili inni partnerzy handlowi Chin, ze Stanami Zjednoczonymi łącznie.

Ale Farmer nie był jedynym takim partnerem. On ryzykował jedynie utratę jadeitowej szaty; sytuacja w Chinach nie wpływała w żaden sposób na lukratywne rynki południowoamerykańskie czy rosyjskie. Ale Farmer wiedział, że za osiem lat, najwyżej za szesnaście, rynki te zostaną całkowicie nasycone.

Poszukiwał zatem jakiejś innej populacji na niskim szczeblu rozwoju technicznego, populacji, której mógłby sprzedawać wyroby elektroniczne. Takiego kraju, gdzie dokonano już rewolucji przemysłowej, ale nie wprowadzono komputerów na szeroką skalę. Oczywisty wybór stanowiły zatem Chiny, Afryka i Indie. Afryka nie miała jednak pieniędzy na wejście w dwudziesty pierwszy wiek. A nawet gdyby otrzymała kredyty, gęstość zaludnienia w tym kraju stała pod ogromnym znakiem zapytania. Zbyt wiele państw afrykańskich za długo ignorowało AIDS.

Indie dysponowały zarówno dostateczną populacją, jak i funduszami na komputery, ale gdy ten rynek wypłynął na powierzchnię. Farmerowi zabrakło środków, by na niego wejść. Jego przedsiębiorstwo zyskało tam zaledwie czternaście i cztery dziesiąte procent udziałów. Było to więcej, niż miał ktokolwiek inny, ale za mało, by przebić zmieniające się koalicje międzynarodowych korporacji ustawicznie redukujących ceny.

Chiny przypominały słodki, uroczy sen. W Chinach Farmer musiał jedynie zdobyć przewagę nad resztą międzynarodowych rekinów biznesu. Próbował zwykłych łapówek, wejść i metod, co przyniosło mu spodziewane rezultaty. Niezłe, lecz niezbyt korzystne.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu jadeitowa szata stała się właśnie tą bronią, której szukał. Chińczycy nie mieli innego wyjścia, tylko ostatecznie pogodzić się z nieuniknionym i stanąć do negocjacji. Gdyby zaś rząd usztywnił stanowisko, Farmer zmieniłby całkowicie priorytety i skupił się na tym, jak czerpać zyski z ruiny finansowej Chin. Od zaraz.

Dzień, który rozpoczął się przed świtem, nie chciał się skończyć.

- Kawy, Mary Margaret, czarnej i mocnej!

- Cindi, możesz nam teraz przedstawić kryzys od strony lokalnej - powiedział dziennikarz prowadzący wiadomości.

Lianne oderwała się niechętnie od obrazów i popatrzyła na ekran telewizora, wystarczająco duży, by oglądać filmy z podróży, które tak lubiła Susa, a jednak za mały, by mógł zdominować przestronne wnętrze salonu.

- Dzięki, Carl. - Ubrana w piękną garsonkę w kolorze starego burgunda, kremową jedwabną bluzkę i kolorową apaszkę, Cindi odwróciła się do kamery. Dzięki zwodniczym cudom telewizji cyfrowej mogło się wydawać, że stoi na wprost kompleksu Boeing McDonnell.

- W fabryce Boeinga panuje dziś wyjątkowo napięta atmosfera. Pracownicy, pewni dotąd zatrudnienia, dzięki chińskim kontraktom na samoloty, są teraz w wyjątkowo ponurym nastroju. Boją się redukcji etatów lub czegoś jeszcze gorszego. Dopóki nie zostanie rozwiązany problem wymiany handlowej, ci mężczyźni i kobiety stracą pracę, zanim dzieci rozpoczną wakacje. Wracam do ciebie, Carl.

- Dzięki, Cindi. A teraz relacja z protestów w sprawie „Nudę Taco”, restauracji, która wprowadziła do naszej północno-zachodniej kuchni zwyczaj przyrządzania potraw na oczach klienta.

Lianne wcisnęła guzik pilota i wyłączyła telewizor. Choć oczekiwanie na rozpoczęcie negocjacji z rządem Stanów Zjednoczonych wytrącało ją z równowagi, na pewne rzeczy nie chciała tracić czasu. Należały do nich między innymi popołudniowe wiadomości.

- Nie interesujesz się „Nudę Taco”? - spytał Kyle, stając za jej plecami.

Zerknęła przez ramię. Donovan opierał się o drzwi, taksując ją pożądlwym wzrokiem.

- Wolałabym się raczej skupić na czymś, co tam podają. Na przykład parówki w...
- Jeśli chodzi o parówki, to mogę...

Otworzyły się drzwi. Na widok Archera, popychającego przed sobą uderzająco piękną Chinę, Kyle natychmiast stracił ochotę do żartów.

Widział tę kobietę już wcześniej, na przyjęciu wydanym przez Tangów po aukcji. Strój Chinki był jednak wówczas bardziej skąpy, a włosy dłuższe, co nie znaczyło, że w szytej na miarę grafitowej garsonce wyglądała jak uboga krewna. Absolutnie nie.

Lianne, przymrużywszy powieki, patrzyła na młodą kobietę, która ze zwykłej dziwki przeobraziła się nieoczekiwanie w pewną siebie businesswoman.

- Proszę się teraz grzecznie zachowywać, chłopcy i dziewczynki - powiedział Kyle.
- Chyba przyjechał Wujaszek.

Dziewczyna spojrzała na Kyle'a spod oka.

- Bingo. Byłoby jednak o wiele łatwiej, gdybyś skorzystał z numeru telefonu, który wsunęłam ci do kieszeni.

- Miałem pełny talerz - odparł sucho.
- To jest pani April Joy. April, poznaj Lianne Blakeley i mojego brata Kyle'a.
- Już się poznaliśmy - powiedziała April
- April Joy? - Kyle uniósł kącik ust. - To imię pasowało do pani o wiele lepiej, kiedy jeszcze miała pani włosy za pupę, której zresztą poza nimi prawie nic nie zakrywało.

April podeszła do Kyle'a kołyszącym się krokiem. Widok jej bioder i piersi mógł każdego mężczyznę przyprawić o przyspieszone bicie serca.

- A teraz? Wciąż jest pełny?
- Daruj sobie - mruknął niecierpliwie Archer, zanim Kyle zdołał odpowiedzieć. - Już wypróbowałaś na nim te sztuczki. Nie podziałało.

- Może wypróbuję je teraz na tobie? - spytała April, odwracając się do Archera.

Uśmiechnął się nieprzekonująco.

- To zależy, ile masz czasu do stracenia.
- Daj spokój! Czytałam twoje akta. Żyjesz jak ksiądz. - Popatrzyła na Lianne. - Nie ufaj tym mężczyznom, sestro. Wykorzystają cię i zapomną - powiedziała szybko po kantońsku.

- Donovan Numer Cztery uratował mi życie - odparła Lianne w tym samym języku.
- Ma do tego prawo.
- Jesteś Amerykanką, nie Chinką.
- Nie pod tym względem.
- Cholera! - zakląła April po angielsku i odwróciła się do mężczyzn. - Dajcie mi choćby jeden powód, dla którego nie miałabym was wszystkich zamknąć za utrudnianie śledztwa.
- Tu jest Ameryka, nie Chiny - powiedział Kyle. - Trzeba mieć dowody, żeby kogoś wsadzić.
- Niekoniecznie. Wystarczy spolegliwy sędzia.
- Gdybyś знаła takiego, nie byłoby cię tutaj - zauważył Archer. -Skończ tę zabawę i przystąpmy wreszcie do interesów.
- Podasz mi kawę, czy zachowasz się jak cham? - spytała Archera.
- Jak sądzisz?
- Optuję za chamem. Ale mam dziś szczęście... - April znów popatrzyła na Lianne.
- Wyplucz z oczu seks oraz gwiazdny pył i pomyśl: rząd może ci pomóc bardziej niż Donovanowie. To my wsadziliśmy tego zabójcę z triady na pokład samolotu i odesłaliśmy do Chin.
- Ale przedtem zamknęliście mnie w celi. A Donovanowie zwrócili mi wolność.
- Mogłaś wyjść w każdej chwili, gdybyś tylko chciała wydać swego chińskiego współnika. Niczego więcej od ciebie nie oczekiwaliśmy.
- I to jest właśnie problem. Nie miałam żadnego „wspólnika”. I nadal go nie mam.
- Bzdura. Nie udałoby ci się wywieźć z Chin czegoś takiego jak ta szata, gdyby nie kontakty z kontynentem. Wiele kontaktów. Chcemy je poznać. A potem dzięki Ustawie o Zabytkach Kulturalnych możemy je skonfiskować, odesłać tam, gdzie ich miejsce, i zająć się znacznie ważniejszą sprawą, czyli westernizacją Chin.
- Powodzenia! - mruknął Kyle.
- Amen - zgodził się Archer. -To raczej my zostaniemy zsinologizowani.
- Istnieje w ogóle takie słowo? - spytał Kyle.
- Komedianci! - prychnęła z pogardą April. - Chryste, zostawcie te wygłupy na scenę, mądrale! Musimy się zająć poważnymi sprawami.

- Mądrała to ty czy ja? - Kyle spytał Archera.
- Chyba ty - odparł Archer. - Ja jestem raczej od czarnej roboty.

Gdybym przewiozła tę szatę do Stanów, to masz rację -wtrąciła Lianne, zanim April zdążyła wybuchnąć. - Potrzebowałabym pomocy. Ale nie przewiozłam jej i nie mam żadnych koneksji na kontynencie. Kropka.

- Uwierz jej - powiedział Archer. - Ja wierzę.

April popatrzyła na Archera i jej gniew natychmiast minął. Szybko przeanalizowała w myślach inne warianty działania, gdyż metody, które stosowała dotychczas, nie przyniosły efektu.

- W porządku - powiedziała, podjąwszy decyzję. - Powiedzmy, że rzeczywiście uwierzę w niewinność Lianne. Co wtedy?

- Wtedy dasz jej spokój i pozwolisz nam posprzątać.
- W jaki sposób?
- Nie mów jej - odparł szybko Kyle. - Znowu może być przeciek.

Odwróciła się do niego gwałtownie. Przestała grać. Stała się znów jedynie zimną, profesjonalną agentką, znającą więcej niż jeden sposób zabijania.

- Wytłumacz, co chciałeś przez to powiedzieć!
- Nie rozumiałem, dlaczego federalni włączą się za Lianne mimo kaucji - powiedział Kyle. - Ten biurokrata, który ją wypuszczał, zwlekał, jak tylko mógł.
- Urzędnicy to zaraza. I co z tego?
- Ktoś musiał donieść o kaucji. A ktoś inny wysłał za nią tego zabójcę z triady.
- Chyba wyciągasz zbyt daleko idące wnioski - powiedziała April, patrząc na Archera. - No dobra. Co tu jest grane?
- Zaraz do tego dojdziemy.
- Naprawdę uważacie, że coś nam grozi?
- Chyba nie pierwszy raz, prawda?

Agentka wzięła się pod boki. Gest podkreślił jej cienką talię ale ona zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- No dobra, dziewczynki i chłopcy - powiedziała. - Słuchajcie: tańczą po was naprawdę duże i ciężkie słonie. Na razie jesteście tylko trawą pod ich stopami, ale za

chwile zostaniecie wdeptani w błoto. Możecie jednak chwycić się Wujaszka i wskoczyć słoniom na grzbiet. Wtedy będziecie bezpieczniejsi.

- A Farmer? - spytał Kyle. - Przecież to on kupił szatę. Na pewno mógłby was naprowadzić na jakiś trop.

- Twierdzi, że nabył ją w Tajwanie.

- Dlaczego w takim razie tak się czepiasz Lianne? April nie odpowiedziała.

Zrobił to za nią Archer.

- Z dwóch powodów. Nasi ludzie z Tajwanu utrzymują, że szata wcale nie pochodzi stamtąd. Tajwan woli jednak nie zaprzeczać i zirytować Chińczyków, a przy okazji zmusić Stany do zajęcia stanowiska. Wujaszek, rzecz jasna, wolałby się nie bawić w tę grę.

- A drugi powód?

- Jesteś łatwiejszą zwierzyną do upolowania niż Dick Farmer, który zna prawie cały Kongres. - Archer odwrócił się do April. - Prawda, panno Joy?

- Prawda czy nie, to nie mój problem, tylko wasz. - Popatrzyła na Kyle'a wyrazistymi czarnymi oczyma. - Daję ci ostatnią szansę, przystojniaczku. Obiecuję, że będę delikatna.

Kyle uśmiechnął się do April i pokręcił głową. Agentka odwróciła się do Lianne.

- Niezależnie od tego, jak silny i piękny jest tygrys, zawsze bezpieczniej iść na piechotę, niż jechać na jego grzbiecie - powiedziała po kantońsku.

- Bez wątplenia - odparła Lianne czystą angielszczyzną. - Ale muszę przyznać, że jazda jest naprawdę niesamowita.

- Pewnie - April zerknęła na Kyle'a. - Też mi się tak wydaje. - Odwróciła się do Archera. - Ktoś musi wylądować w pudle za tę szatę. Najchętniej odkrylibyśmy wszystkie powiązania, byle tylko coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Skoro jednak udało się nam złowić jedynie małą rybkę, to ją usmażymy i zaczniemy udawać, że w menu tej pieprzonej uczyty nie było po prostu więcej potraw. Jestem pewna, że rozumiecie, o co mi chodzi.

Archer skinął głową. Zrozumiał aż za dobrze. Kiedyś i on postąpiłby dokładnie w ten sam sposób.

- Trzy dni, mądrale! - zapowiedziała April, przenosząc wzrok z jednego Donovana na drugiego. - Potem Farmer otworzy swoje muzeum i zaczniemy smażyć Lianne.

Na pierwszy rzut oka Kyle nie dopatrył się żadnego podobieństwa między Lianne a jej jasnowłosą, kosztownie i elegancko ubraną matką. Zapewne zwiódło go sztuczne oświetlenie domu, a także błyszcząca biżuteria i markowy strój. Potem jednak Kyle przyjrzał się Annie Blake-ly raz jeszcze i uznał, że związek biologiczny między matką i córką znajduje swój wyraz w ich charakterystycznym uśmiechu, dumnym uniesieniu podbródka, powabnym, niezwykle kobiecym sposobie poruszania się i długości kształtnych palców. Mama i córka tuliły się do siebie tak długo, jakby się nie widziały wiele miesięcy, a nie kilka dni.

Po wielokrotnych zapewnieniach, że Lianne czuje się dobrze. Anna wypuściła ją z objęć i obrzuciła badawczym spojrzeniem.

- Dlaczego od razu nie zadzwoniłaś? - spytała lekko ochrypłym głosem. - Kiedy się dowiedziałam o tym wszystkim od Johnny'ego, myślałam, że oszaleję.

- Zostawiłam wiadomość w hotelu, ale ty się do mnie nie odezwałaś... - Nie dokończyła. Milczenie matki sprawiło jej o wiele więcej bólu niż oskarżenia Wena.

- Tangowie powinni chyba poszukać innego biura podróży - powiedziała Anna, lekko krzywiąc usta. - Pomyłono rezerwacje i w końcu zatrzymaliśmy się zupełnie gdzie indziej, niż planowano. Na szczęście Johnny zadzwonił do hotelu, w którym mieliśmy mieszkać, żeby sprawdzić, czy nikt nie zostawił dla niego wiadomości. Gdyby nie on, w dalszym ciągu siedzielibyśmy na Tahiti, a ty byłabyś sama.

- Niech oni wreszcie wejdą - odezwał się Johnny, stając za Anną. - Wewnątrz możemy swobodniej rozmawiać.

Lianne zeszywniała i odsunęła się od matki. Nie spodziewała się tego spotkania. Wolalaby, aby Johnny'ego tu nie było. Bała się, że i on uważa ją za złodziejkę.

- Do środka! - powtórzył Johnny, ciągnąc Annę do pokoju.

Kyle popatrzył na niego ostro, ale Chińczyk był całkowicie zaabsorbowany obserwacją ulicy. Donovan doznawał dziwnego wrażenia, że Johnny się martwi.

„Wewnątrz możemy swobodniej rozmawiać”.

Może ktoś z rodziny Tangów napomknął Johnny'emu, że jego córka z nieprawego łoża przyciąga uwagę nieodpowiednich ludzi, lub sam tak sądził.

Może Chińczyk wiedział również o wynajęciu zabójcy.

Kyle poczuł, jak ogarnia go dzika furia. Nie chciał myśleć, że Johnny był świetnie poinformowany o planowanym aresztowaniu Lianne, toteż zabrał swoją kochankę i wyjechał na Tahiti, pozostawiając dziewczynę na pastwę policji. Samo przypuszczenie, że Johnny miał coś wspólnego z napadem, doprowadzało Kyle'a do szaleństwa.

Bardzo delikatnym gestem otoczył Lianne ramieniem i wprowadził ją do środka. Johnny i Anna stali po przeciwnej stronie pokoju, busko bufetu oddzielającego kuchnię od salonu. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

Nawet wówczas, gdy zatrasnęły się za nimi drzwi, Kyle nie przestał obejmować Lianne. Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdziwieniem i pewnego rodzaju tęsknotą, a nawet lękiem. Przez chwilę nawet opierała głowę na jego ramieniu, ale potem znów się wyprostowała. Kyle przycisnął ją jednak mocniej, nie chcąc, by się od niego odsuwała.

- Nie musisz być sama - powiedział zwyczajnie.

- To część eskorty „wypchanego słonia”? - spytała chłodno, choć wargi mocno jej drżały.

- Chciałem cię poznać, bo Archer mnie o to prosił - powiedział Kyle. - Kochałem się z tobą, bo cię pragnąłem. I nadal cię pragnę, i nie ma to związku z niczym innym oprócz nas.

Pocałunek był czuły, a głód w oczach Kyle'a prawdziwy. Lianne wmawiała w siebie, że nie powinna mu wierzyć; Kyle czuł się związany z rodziną równie mocno jak Johnny.

A potem objęła go w talii. Nie zważając na przeszłość i przyszłość, zamierzała przyjąć to, co Kyle dawał jej teraz. Desperacko tego pragnęła.

„Nie musisz być sama”.

Wzmocniła uścisk. Musiała jakoś przebrnąć przez ten dzień, wieczór, kolejną godzinę. Wszystko inne zeszło na dalszy plan.

- Herbaty? - spytała Anna Kyle'a i popatrzyła na Lianne typowo matczynym, zatroskanym, ale i pełnym nadziei wzrokiem.

- Z przyjemnością. Proszę o ulung, jeśli można. Anna uśmiechnęła się z aprobatą.

- To ulubiona herbata Lianne. Oczywiście, że można. Johnny?

- Mam ochotę na brandy - odparł. - Wypiłem takie ilości chińskiej herbaty podczas lotu, że wystarczy mi chyba na całe życie.

- Herbata dobrze ci robi - powiedziała Anna, patrząc na cienie pod oczyma Johnny'ego i bruzdy zmęczenia po obu stronach ust, tego dnia Johnny wyglądał wyjątkowo staro.

- Brandy będzie lepsza. - Johnny przysiadł na jednej z niskich kozetek, oparł się o poduszkę i przymknął oczy. - Co się właściwie dzieje, Lianne?

- Mielśmy nadzieję, że ty nam powiesz - odparł Kyle, zanim Lianne zdołała otworzyć usta.

Gdy jednak zaczęła mówić, ścisnął ostrzegawczo jej ramię.

- Posłuchajmy najpierw twojego ojca - powiedział spokojnie. Od strony kuchni dobiegł ich trzask - Anna upuściła kieliszek do koniaku.

Lianne drgnęła, ale nie z powodu stłuczonego szkła. Nie przywykła do tego, by ktokolwiek nazywał Johnny'ego jej ojcem. A już na pewno nie w obecności Anny ani tym bardziej przy Tangu.

- Przepraszam - rzekł sardonicznie Kyle. - Czyżbym stwierdził, że pod tym wspaniałym chińskim dywanem leży kupa wielkości Empire State Building?

Po raz pierwszy Lianne zdała sobie sprawę, że Kyle jest naprawdę wściekły. A obiektem jego gniewu był Johnny Tang.

- Proszę o podwójny koniak - powiedział Johnny. - Lianne przyprowadziła do domu faceta, który chyba ma gdzieś Tang Consortium.

- Nie całkiem - odparł Kyle. - Potrzebuję informacji, a Tangowie je mają. Tak czy inaczej na pewno je zdobędę.

Choć Johnny miał zamknięte oczy, wyczuł, że Anna pochyła się nad kanapą z kieliszkiem w rękę. Wziął go od niej i wypił do dna, a potem zamrugnął powiekami, wymamrotał coś po kantonsku i uśmiechnął się łagodnie. Anna spłonęła rumieńcem jak mała dziewczynka.

- Informacje od Tangów - powtórzył bezbarwnym głosem. - Po co panu informacje? Żeby Donovanowie mogli położyć łapę na azjatyckich rynkach?

- Pieprzę rynki. Chcę, żeby Lianne wypadła z gry, więc muszę się dowiedzieć, w jaki sposób szata Wena Zhi Tanga trafiła do Dicka Farmera.

Johnny wyprostował się na kozetce; był najwyraźniej zszokowany.

- Jadeitowa szata? O czym pan mówi, u diabła? Kyle milczał co najmniej dziesięć sekund.

- Święty Walenty! - mruknął. - Ale mi idzie! Jak po grudzie.

22

- A więc ktoś kradł jadeity ze skarbca, sprzedawał je, a na ich miejsce podkładał śmieci? - spytał Johnny zmęczonym głosem. Ze zdziwieniem popatrzył na zegarek. Trudno mu było uwierzyć, że nie minęło nawet pół godziny od chwili, gdy Kyle pogwałcił wszelkie zasady i nazwał Lianne jego córką.

- To jedno z możliwych wyjaśnień - odparła Lianne, sięgając po następną filiżankę herbaty. - Drugie jest takie, że Wen potrzebuje gotówki i sprzedaje jadeity, by ją zdobyć.

- Prędzej sprzedałby drugiego i trzeciego syna - powiedział Johnny. - Wcale nie żartuję.

- A pierwszego?

- Tylko Amerykanin może zadawać takie pytania.

- Wen prędzej by umarł, niż utracił Joego - odparła spokojnie Lianne. - Chińczycy wyżej cenią synów niż córki, pierwszych synów niż drugich, drugich niż trzecich i tak dalej. Prawda, Johnny?

Johnny wzruszył ramionami. Zrozumiał i zaakceptował konsekwencje seksu oraz prawo narodzin na długo przedtem, zanim poznał słowa, którymi można opisać którekolwiek z tych zjawisk. Preferencje kulturowe, w jakich go chowano, były równie niewygodne i nieprzyjemne jak proces starzenia się.

- Przestań tak chodzić, Anno - powiedział Johnny. - Usiądź przy mnie. Zapach twoich perfum pozwala mi zapomnieć, że nie śpię od trzydziestu dwóch godzin.

Anna popatrzyła pytająco na Lianne i usadowiła się na kanapie. A gdy Johnny wziął ją za rękę, niemal oniemiała ze zdziwienia. Mimo iż Tang potrafił się doskonale dostosować się do Amerykanów, nigdy nie dotykał Anny publicznie;

- Jeśli Wen nie sprzedał jadeitów, to znaczy, że je skradziono - powiedział spokojnie Kyle.

- Ostre słowa - zauważył Johnny.

- Proszę najpierw popatrzeć na swoją kobietę zakutą w kajdanki, śmiertelnie przerażoną, a potem bawić się w delikamość - odparował Kyle. - Ale skoro optuję za wrażliwością międzykulturową, mogę równie dobrze użyć słowa „pożyczone”. Czy dzięki temu lepiej się pan czuje?

- Nie musi pan być nieuprzejmy - powiedziała Anna. - Mówimy tu przecież o rodzinie Johnny'ego, nie o obcych.

- Proszę mnie wyprowadzić z błędu, jeśli się mylę... - Kyle spojrzał na nią chłodno - ale ktoś należący do rodziny Tangów siedzi również obok mnie, więc...

- Nieważne - wtrąciła Lianne. - Tematem tej dyskusji jest jadeit, nie rodzina.

- Jak cholera! Temat to dysputa o tym, w jaki sposób spora partia jadeitu ulotniła się ze skarbcza! Wielu członków rodziny wskazuje na ciebie i dlatego trafia mnie szlag. Z tego, co widzę, robiłaś, co mogłaś, żeby zadowolić Tangów, a w zamian wrobiono cię w kradzież.

- Jadeit - powiedziała ostro Lianne. - Skupmy się na tym cholernym jadeicie.

- Chryste! - mruknął Kyle. - Ty też? Zawsze chcesz się potykać o to wszystko, co wepchnięto pod dywan?

Przymknęła oczy. Upokorzenie, smutek i gniew odbierały jej zdolność mówienia.

- Nie chcę. Ale co to ma wspólnego z naszą sprawą? Co?

- Cóрко! - To jedno jedyne słowo przerwało potok gniewnych pytań Lianne. Dziewczyna otworzyła oczy i wbiła wzrok w ojca, który nigdy nie uznał jej za swoje dziecko. Aż do dziś. Patrzył na nią teraz płomiennym wzrokiem, odzwierciedlającym jego przeżycia.

- Nie sędzę, byś mogła to zrozumieć - mówił Johnny. - Ale cenię cię tak samo jak moje ślubne córki. Obawiam się, że nawet bardziej. Jesteś tak podobna do matki... to jedyna kobieta, którą kochałem, a nie ożenię się z nią, dopóki żyje moja żona. Nie

zdobyłbym się zresztą na to nawet po jej śmierci. Anna miałaby ciężkie życie jako moja małżonka. Wen na pewno by już wtedy nie żył, a jego Syn Numer Jeden nie przepada za kobietami z Zachodu. Harry również nie. Nie chciałbym też pogłębiać rozgoryczenia moich synów, zmuszonych do zaakceptowania osoby, do której czuli urazę już od chwili, gdy zaczęli się domyślać, dlaczego spędzam tyle czasu w Ameryce. Po twarzy Anny spływały łzy, które żłobiły lśniące szlaczki w jej starannym makijażu. Patrzyła gdzieś przed siebie, zdawała się nie zauważać nawet córki - owocu miłości do Johnny'ego.

- Uraza - powiedział Kyle. - Ciekawe. Podobnie jak zemsta, uraza to motyw stary jak świat.

Johnny nie zaprotestował.

- Jak wielką urazę czuje do Lianne jej przyrodnie rodzeństwo? - spytał Kyle. - Wystarczająco silną, by posłać dziewczynę na dziesięć lat do więzienia? Czy też może ich zemsta miałaby bardziej osobisty i ostateczny charakter? Na przykład płatny morderca w holu...

- Niech pan nie będzie śmieszny! - warknął Johnny.

- A można inaczej wytłumaczyć powód, dla którego zabójca z triady napadł wczoraj na Lianne?

- Co takiego? - Johnny zerwał się na równe nogi. - Lianne, czy to prawda?

- Kochanie, nic ci się nie stało? - wpadła mu w słowo Anna.

- Nic - mruknął Kyle. - Ma świetny kop karate. - Zwrócił się do Lianne: - Zdaje się, że nie wspomniałaś swoim rodzicom o tej małej przygodzie?

- Po co? - Lianne była najwyraźniej zła na Kyle'a za poruszenie tego tematu. Mówiły mu to wyraźnie jej zwięzione oczy. - Już po wszystkim. Odesłano go do Chin.

- Zaraz ci wytłumaczę. Miałaś ostatnio wiele przykrości z powodu Tangów. Chcę wiedzieć, który z nich jest za to odpowiedzialny, a potem położę temu kres.

- Moi synowie nie lubią Anny i tę niechęć przenoszą również na Lianne - rzekł po chwili Johnny. - Nie są jej jednak niechętni do tego stopnia, by mogli zabić.

- Za Daniela też pan ręczy?

- Kyle - rzuciła groźnie Lianne. - Nie!

Nie zwrócił na nią uwagi. Dziwnymi złotozielonymi oczyma patrzył na Johnny'ego jak duży kot czyhający na obiad.

- Za Daniela? Dlaczego podejrzewa pan akurat Daniela?

- Bo tylko on się zna na jadeicie - powiedział zwięźle Kyle. Gniew zniekształcił twarz Johnny'ego.

- Twierdzi pan, że mój syn okradałby rodzinę?

- Niewątpliwie ktoś z rodziny Tangów jest złodziejem. Wykluczamy Lianne. Skoro nie Daniel - to kto? Kto inny wie jeszcze tyle o jadeicie, zna szyfr i ma powód, by życzyć Lianne jak najgorzej?

- Daniel za bardzo szanuje i kocha swego dziadka, wujów i ojca, żeby zrobić coś takiego.

- A Lianne nie? - odpalił Kyle.

- Ale... - Johnny usiadł wolno na kanapie. Różnica czasu wciąż dawała mu się we znaki, spowalniała umysł. Westchnął, a raczej jęknął głośno. - Kiedy poprosiłem Lianne, żeby nawiązała z panem kontakt, nie przewidziałem takiego rozwoju wypadków.

Przerażona nagłą bladością kochanka, Anna wzięła go za rękę. Dłoń Johnny'ego była zimna jak lód.

- Co nasuwa kolejne pytania - wtrącił gładko Kyle. - Dlaczego w ogóle pan ją o to prosił? Donovanowie odrzucili propozycje Tangów już wiele miesięcy temu. Czyżby Tangowie sądzili, że będą łatwiejszym celem niż Archer? Albo może...

- Proszę, niech pan przestanie go dręczyć! Nie widzi pan, że jest zmęczony? - przerwała Anna.

Kyle popatrzył na nią ostro.

- Wciąż widzę pani córkę w kajdankach na rękach. A jeżeli pani kochanek nam nie pomoże, również i pani będzie miała okazję to zobaczyć.

Anna wzdrygnęła się jak uderzona. Johnny dotknął delikatnie jej twarzy.

- Nic mi nie jest - powiedział zmęczonym głosem. - Zależało mi akurat na panu, gdyż Donovanowie nie chcą niczego od Tangów. Styszałem o tym incydencie z rosyjskim bursztynem. Nie znam wszystkich szczegółów, ale z tego, co wiem, wynika

wyraźnie, że w razie kłopotów nie odwróciłby się pan i nie uciekł. - Niemal się uśmiechnął. - Miałem rację, prawda?

- Kyle ocalił mi życie - powiedziała Lianne. - Napastnik...

- Bzdura - odparł Kyle. - O ile pamiętam, to ty uratowałaś moje.

- Nie zrobiłam...

- Oczywiście, że tak - przerwał. - Złamałaś mu rękę, w której trzymał nóż. A więc teraz moje życie należy do ciebie. Nie wywiniesz się z tego, kochanie. Takie są stare chińskie zasady.

Lianne popatrzyła na Kyle'a ze zdziwieniem, po czym powąchała jego filiżankę. Nie było w niej nic oprócz herbaty ulung.

Kyle przesunął palcami po jej policzku aż do zagłębienia szyi -dotyk ten był jednocześnie zdawkowy i tak przesycony intymnością, że Lianne zaparło dech. Podniosła oczy i odczuła uśmiech Kyle'a jak kolejną pieszczotę.

- To nie brandy - powiedział cicho. - To tylko twoje perfumy uderzają mi do głowy. - Jaki pan miał plan? - zwrócił się ostro do Johnny'ego; cała jego delikatność nagle zniknęła.

- Zdrowy młody człowiek, znający się na sztuce walki, piękna młoda kobieta, która może potrzebować takiego mężczyzny u boku...

Johnny wzruszył ramionami.

- Nie miałem żadnego planu.

- Dlaczego pan sądził, że Lianne może się przydać ochrona? - spytał niecierpliwie Kyle. Dziwił się, że musi wyciągać te odpowiedzi z Johnny'ego jak policjant przesłuchujący podejrzanego. W końcu przecież i oni próbowali pomóc jego córce.

Johnny przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Całą uwagę skupił na bladej dłoni Anny spoczywającej na jego ramieniu.

- Martwię się o Han Senga - przyznał w koricu Johnny. - Moja rodzina chciałaby się wkraść w jego łaski.

Lianne poczuła, że przeszywają dreszcz. Wbiła wzrok w ojca nie dowierzając własnym uszom.

- I Lianne miała wam w tym pomóc? - spytał Kyle obojętnie choć całkiem zeszywniał.

- Mówiłem Joemu, że Lianne nie lubi Senga, a już na pewno nie będzie chciała zostać jego kochanką. - powiedział Johnny.

- A Wen? - spytała Lianne, bojąc się jednak usłyszeć odpowiedź. - On też sądził, że zostanę konkubina Senga?

- Byłaś kochanką China, więc równie dobrze mogłaś teraz zostać kochanką Senga. Nie widział różnicy.

- To znaczy, że naprawdę jest ślepy - powiedział Kyle. - Zarówno Chin, jak i Seng to dranie, ale Chin jest przynajmniej przystojny.

Lianne zignorowała Kyle'a.

- Sądziłam, że kocham China. A on mnie. Popełniłam błąd: on kochał tylko rodzinę Tangów.

- Oczywiście - odparł niecierpliwie Johnny. - Chin urodził się i wychował w Chinach. Naprawdę sądziłaś, że zależało mu bardziej na twoim ciele niż na układach rodzinnych?

-Tak.

Johnny potrząsnął głową. Nie potrafił zrozumieć swojej amerykańskiej córki. Była inteligentna, bardzo inteligentna, znała się świetnie na chińskiej sztuce, władała biegle językami. A jednak nie potrafiła pojąć fundamentalnej siły napędowej chińskiej kultury: rodziny. Wobec potrzeb rodziny pragnienia jednostki w ogóle się nie liczyły.

- A więc nie potrafił pan do końca przejrzeć zamiarów Senga i to pana niepokoiło? - spytał Kyle. - Nie bez racji. Kiedy pan odlatywał na Tahiti, Harry dał Lianne parę jadeitów na wymianę z Sengiem.

- Nie po raz pierwszy dokonywano takiej transakcji - odparł spokojnie Johnny. - Tangowie stwarzali po prostu Lianne okazję do intymnych kontaktów z Sengiem. A z tego układu czerpałaby korzyści cała rodzina.

W oczach Kyle'a błysnął gniew.

- Okazja do intymnych kontaktów! - powtórzył z wściekłością. - Zdaje się, że to jedna z definicji gwałtu.

Johnny westchnął. Chciał zapewnić Lianne amerykańskiego opiekuna, takiego, który by nigdy nie płaszczył się przed Tangami. No i zrealizował zamierzony cel.

- Lianne też by na tym skorzystała. Seng to bogaty, wpływowy człowiek. Niezbyt stały w uczuciach, ale hojny wobec swoich kobiet. Lianne nie chciała przyjmować pieniędzy od Anny, Tangowie płacili jej grosze... -Wzruszył ramionami.

Lianne nie zerwała się na równe nogi tylko dlatego, że Kyle mocno trzymał rękę na jej ramieniu.

- ...a Seng jest hojny - dokończyła cicho, patrząc na ojca. - Pozwól więc, że ci powiem jak bardzo. Wyznaczono mi spotkanie w sprawie jadeitów. W nocy na Wyspie Farmera. Ponieważ nie pływają tam o tak późnej porze żadne promy, ktoś z instytutu miał mnie odebrać z Orkas. Uznano za oczywiste, że przyjadę sama i spędzę noc u Senga.

Johnny'emu drgnęły powieki. Podświadomie zawsze się tego obawiał, choć wolał nie dopuszczać do siebie takich myśli, Wen pilnował oczywiście interesów rodziny i postępował pragmatycznie, ale nie okrutnie. Nie zastawiałby pułapek na własną wnuczkę.

- Kiedy dotarłam na miejsce, Seng miał na sobie piżamę i pachniał jak tania kurwa - ciągnęła Lianne. - Wbrew zapowiedziom w domu nie odbywało się żadne przyjęcie. Nie było tam nikogo oprócz asystenta Senga i uzbrojonego strażnika. Powiedz, Johnny, co by mi pozostało, gdyby Kyle nie pojechał ze mną do instytutu? Czy mogłabym nie zostać jedną z jego dziwek?

Johnny przymknął oczy.

- Przykro mi. Nic o tym nie wiedziałem. - Odwrócił się do Anny, która patrzyła na niego z wyrazem cierpienia. - Tangowie naprawdę nie sądzili, że Lianne odrzuci propozycję Senga; w Chinach wszystkie kobiety zabiegają o jego względy. Jak już mówiłem, jest hojny. A Lianne w końcu nie jest niewinną dziewczyną.

- Żał mi tych kobiet, które oprócz samych siebie nie mają nic do sprzedania - powiedziała Anna, z trudem pokonując ucisk w gardle. -Lianne nie była jeszcze nigdy tak zdesperowana. Musisz poinformować o tym swoją rodzinę. I to natychmiast. - Głos jej drżał. - Nigdy więcej, Johnny! Obiecuj mi to, proszę. Lianne nie jest bezdomną kobietą bez rodowodu, zmuszoną do... jak ja. - Urwała. - Wyjaśnij im wszystko.

- Zrobię to.

Lianne odetchnęła głęboko i odgarnęła z policzka pasmo czarnych gęstych włosów.

- Nie martw się, mam. Tangowie na pewno nie będą już próbowali mnie umówić z hojnym gwałcicielem. Na razie zieją tylko nienawiścią do mnie i na nic innego nie starcza im czasu. Nigdy by się nie spodziewali, że tak wkurzę Senga.

- Odmową? - spytał Johnny. - Przecież on sobie kupi kobietę trzy razy piękniejszą od ciebie.

- To może być trudne - zauważył sucho Kyle. - Pewnie pan tego nie zauważył, ale Lianne jest po prostu cudowna.

Lianne zignorowała Kyle'a.

- Owszem, odmową. Nie zgodziłam się na wymianę jadeitów Tangów na te nedoróbki Senga.

- Nie zgodziłaś się na wymianę? - spytał z niedowierzaniem Johnny.

- Nie - odparł Kyle. - Seng poszczuł nas swoim strażnikiem dopiero wówczas, gdy skierowaliśmy się do drzwi z jadeitami w zapieczętowanych pudłach. - Odwrócił się do Lianne. - Naprawdę jesteś cudowna, wiesz?

- Nic podobnego - odparła. - Ale i tak dziękuję. Każda kobieta bardzo by się cieszyła, gdyby tak oszałamiający mężczyzna dostrzegł w niej coś pięknego.

Kyle roześmiał się i przesunął kciukiem po policzku dziewczyny. Johnny nie słuchał tej rozmowy. Ze zmarszczonymi brwiami rozważał uwagę Lianne o wymianie, do której nie doszło.

- Te pudła... - zaczął. Lianne odwróciła się do ojca.

- Co z pudłami?

- Co było w środku?

- Piękne okazy z kolekcji erotyków. Inne rzeczy też, ale dokładnie nie wiem jakie. Pudła zapieczętowano, zanim przyjechałam po nie do Vancouver.

Na twarzy Johnny'ego pojawił się wyraz bezbrzeżnej ulgi.

- To wszystko wyjaśnia. Daniel twierdził, że brakuje również erotyków. To na pewno wielkie nieporozumienie. Kiedy pudła wrócą do Tangów, oskarżenie natychmiast zostanie wycofane.

- Chyba nie myślisz jasno - powiedziała Lianne. - Wen zapakował pudła i sam mi je dał. Wiedział o wymianie. Dlaczego miałby mnie oskarżać o kradzież tych samych rzeźb?

- Może dlatego, że nie doszło do wymiany, i on się wkurzył - zasugerował Kyle.

- Liczył na dobrą wolę Senga - rzekł niechętnie Johnny. - Rodzina Tangów potrzebuje przyjaciela na kontynencie.

- Wsadzenie Lianne do więzienia na pewno go wam nie przysporzy - powiedział szorstko Kyle.

- Jeśli Wen tak bardzo chciał, by Seng dostał te jadeity, dlaczego sam mu ich nie dał? I dlaczego tak się upierał, żebym podpisała dokumenty własnym nazwiskiem? No a już na pewno nie powinien był mówić Danielowi, że to ja ukradłam jadeity.

- A zrobił to? - spytał Johnny.

- Ktoś musiał. Daniel patrzył na mnie jak na złodziejkę. Bardzo boleśnie to przeżyłam; on ma twoje oczy.

- Ty też - odparł smutno Johnny.

Lianne wstrzymała na chwilę oddech i uśmiechnęła się nerwowo.

- Nie martw się - powiedział Johnny. - Zaszło nieporozumienie. Porozmawiam z Wenem. On na pewno oddali zarzuty.

Kyle bardzo w to wątpił. Stawka w tej grze była znacznie wyższa niż dobra wola Senga i kilka pudeł z jadeitowymi rzeźbami. Johnny miał się wkrótce o tym boleśnie przekonać.

- Lubi pan zakłady? - spytał cicho Kyle.

- Jestem Chińczykiem - odparł Johnny ze słabym uśmiechem.

- Idę więc o zakład, że pańska rodzina nie oddali zarzutów przeciwko Lianne.

- Ale...

Kyle nie pozwolił sobie przerwać.

- Jeśli się mylę, zrobię wszystko, by Archer wyraził zgodę na tę spółkę. Przynajmniej na próbę.

Johnny wyprostował się jak struna.

- Może pan to zrobić?

- Daję ci słowo, że spróbuję.

- Świetnie. Zaaranżuję spotkanie pomiędzy Joem i...

- Chwileczkę - przerwał Kyle. - Nie wie pan jeszcze, czego zażądam, jeśli pan przegra.

- Czego?

- Dostępu do skarbcza.

- Po co to panu? - spytał Johnny.

- Zgoda czy nie?

Johnny przez chwilę taksował go wzrokiem.

- Zgoda - powiedział w końcu.

- Jest tylko jedno łóżko - powiedziała krótko Lianne.

Kyle zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po apartamencie. Sprzątaczką najwyraźniej wykonała wszystkie swoje obowiązki zgodnie z planem - łazienka lśniła od czystości, a brudne skarpetki nie wały się po podłodze. Łóżko, kwestionowane przez Lianne, było starannie posłane, jak również wystarczająco duże, by pomieścić nawet trzech Donovanów.

- Nie szkodzi - powiedział Kyle. - Nie zajmujesz wiele miejsca.

- Nie będę z tobą spała.

- Zeszłej nocy jakoś spałaś. A parę minut temu, dopóki nie zjawił się Johnny, oczy same ci się zamykały ze zmęczenia. Zaśniesz jak dziecko.

- Nie o to mi chodziło.

- W taki razie o co? - wymamrotał, ściągając sweter.

Wyobraziła sobie ciepło wełnianego pulowera, wzmocnione żarem męskiego ciała. Przeszedł ją dreszcz. Mimo że odwróciła się do Kyle'a plecami, pragnęła znaleźć oparcie w jego sile, zapomnieć o tym, że zbliża się północ, a następnego dnia znów czekają ją trudne chwile.

Wen odmówił wycofania oskarżeń. I choć Lianne właściwie niczego innego nie oczekiwała, potraktowała tę decyzję jak policzek.

- Nie zamierzam uprawiać z tobą seksu.

- To dobrze.

Odwróciła się na pięcie. Kyle się uśmiechał; jego oczy błyszczały pożądaniem. Wyciągnął ręce i opuszkami palców przesunął delikatnie po włosach, policzkach i podbródku Lianne. Kciukiem namacał pulsującą szybko żyłkę na szyi.

- Już ci mówiłam, że...

- Przyjąłem to do wiadomości. Nie chcę uprawiać z tobą seksu. Seks to coś, co dzieje się między ludźmi, którzy potrzebują afrodyzjaków.

Lianne prześliznęła się wzrokiem po ciemnobrązowych włosach na torsie Kyle'a, pasku spodni i erekcji rozpychającej znoszony dżins.

- Kogo chcesz nabrać? - spytała. - Ty przecież już się napaliłeś. Dotknął podbródka Lianne i uniósł delikatnie jej głowę.

- Wczoraj też byłem gotów, ale nie przeszkadzałem ci w odpoczynku. Teraz też nie zamierzam. - Popatrzył jej w oczy i zrozumiał, że mu uwierzyła. - Chcesz się najpierw wykapać?

Lianne potrząsnęła wolno głową. Poprzedniego wieczoru była wściekła na Kyle'a za to, że ją wykorzystał, by wkraść się w łaski Tangów.

- Dobrze. W takim razie ja pójdę.

Znowu pokręciła głową.

Wczoraj postąpiła jak idiotka. Archer miał rację: Lianne i Kyle chcieli się nawzajem wykorzystać. Kyle jednak dał więcej, niż wziął. Lianne nie miała nigdy przedtem takiego kochanka - czulego i wymagającego zarazem, równie namiętnego co silnego. Wątpiła, czy spotka jeszcze kiedykolwiek mężczyznę, który by jej tak bardzo odpowiadał jak Kyle Donovan.

A gdyby nawet się okazało, że Kyle dbał o nią wyłącznie jak o kochankę, nie zamierzała przeklinać losu, który kazał kobietom kochać mężczyzn czujących do nich jedynie pożądanie.

Zaniechała wysiłków, by skostniałe dłonie ogrzać przez pocieranie równie zimnych ramion, i postanowiła skorzystać z torsu Kyle'a. Poczowała, jak pod dotykiem jej palców tężeją mu mięśnie. I choć wiedziała, że powinna się powstrzymać, nie potrafiła zwalczyć pokusy - schyliła głowę i delikatnie ugryzła go w sutkę.

Kyle wypuścił ze świstem powietrze.

- Chryste, Lianne, nie zamierzałem się z tobą droczyć! Zatoczyła językiem kilka delikatnych kółek.

- Lianne!

W odpowiedzi wydała jedynie ochryply dźwięk rozkoszy.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - wykrztusił. Włożyła mu rękę w spodnie i dotknęła jego męskości.

- Masz rację - wymamrotał. - Trudno o głupsze pytanie. Włóż mi język do ust, zanim powiem coś naprawdę idiotycznego.

Lianne oplotła Kyle'a nogami, wsunęła mu palce we włosy i poszukała ustami jego ust. Drżała z pożądania. Jakaś jej część nie mogła się nadziwić, że Kyle potrafi ją doprowadzić do takiego stanu podniecenia. Reszta dbała jednak wyłącznie o to, by dzielić z nim tę żądzę, głód, namiętność, ciało. Od jutrzejszych trosk odgradzała ją jeszcze tylko ta jedna noc. I zamierzała z niej skorzystać!

Nie uświadamiała sobie, kiedy i jak zerwali z siebie ubrania. Pamiętała tylko, że rozkosz wbiła w nią pazury niczym piękny potwór i rozerwała ją na strzępy. Miała ochotę krzyknąć, ale zabrakło jej tchu. Kyle unosił ją coraz wyżej i wyżej, aż znikło wszystko, oprócz jaskrawych barw ekstazy.

Potem opadła bezwolnie na piersi Kyle'a, który - leżąc w poprzek szerokiego łóżka - oddychał głęboko, równo, jak biegacz długodystansowy w połowie drogi do mety. Uśmiechnął się, zdmuchnął włosy Lianne ze swoich ust i przesunął długimi, sprytnymi palcami po jej kręgosłupie.

- To dobrze, że nie zamierzałaś uprawiać ze mną seksu, bo chyba bym tego nie przeżył.

Lianne czuła się zbyt dobrze, by odczuwać wstyd.

- Ugryź mnie!

A potem ona zaczęła go gryźć. Ale po paru sekundach musiała zaczerpnąć powietrza, aby się nie udusić.

- Chodź, kochanie, czas na prysznic. Wydała koci pomruk i nie ruszyła się z miejsca.

Kyle usiadł na łóżku, przeciągnął się i wstał, nie wypuszczając Lianne z objęć.

- Zrobię to rano - mruknęła.

- Dobrze. Nie należy przesadzać z czystością.

Lianne zdjęła głowę z jego ramienia. Kyle naprawdę chciał wejść pod prysznic. Przypomniała sobie zresztą, że w dużej kabinie, z wbudowanymi ławeczkami, można było tańczyć. Ale nawet jeśli, to...

- Wolałabym się przespać - powiedziała.

- W takim razie niepotrzebnie mnie gryzałeś.

- Przecież niemocno.

- Zapamiętam.

Spojrzała w jego zielonozłote oczy. Wzrok Kyle'a przeszywał ją niemal tak głęboko, jak doznana przed chwilą rozkosz, sprawiał że pragnęła umrzeć - tu i teraz.

- Zabierz mnie z powrotem do łóżka, to cię przeproszę - powiedziała, uśmiechając się leniwie.

- Już się nie mogę doczekać - mruknął, odkręcając kran.

- Ty mówisz poważnie, prawda? - spytała Lianne.

- Jak diabli!

- Dlaczego?

- To proste. Apartamenty są dźwiękoszczelne, ale łóżko Archera stoi przy tej ścianie co nasze. Ale jeśli woda będzie głośno szumiała, może Archer nie usłyszy twoich krzyków.

- Krzyków? O czym mówisz? Mam do czynienia z sadystą? Kyle wszedł ze śmiechem pod prysznic, pociągając za sobą Lianne.

- Raczej z napalonym mężczyzną. Nie czujesz?

- Jak mogłabym nie czuć?

Wypełnił ją sobą i znów się wycofał, ale nawet ten krótkotrwały kontakt dał jej rozkosz. Kyle się pochylił i ucałował Lianne w usta, drażniąc je językiem.

- Możesz wstać? - szepnął.

Przytaknęła i stanęła na palcach, by go pocałować. Przesunął usta najej piersi, a dłonią powiódł wzdłuż ciała. Klęknął. A gdy gorącym językiem dotknął wilgotnej kobiecości, Lianne omal nie upadła. Wbiła mu palce we włosy, walcząc o równowagę, oddech i zrozumienie.

Odnalazła jedynie bezwzględny, oszałamiający żar jego ust. Próbowwała go prosić, by przestał, czuła, że nie jest w stanie znieść większej rozkoszy, ale w tej samej chwili rozsypała się na tysiąc błyszczących kawałków ekstazy.

Nawet wtedy nie przestał jej pieścić. Nie mógł. Podobnie jak ona wpadł w sidła własnej zmysłowości. Lianne jęknęła i oddychając spazmatycznie, osunęła się na podłogę.

- Lianne? - szepnął. - Wszystko w porządku?

Przytaknęła.

- Więc lepiej wstań. Popatrzyła na kłęby pary.

- Kończy się gorąca woda?

- Woda nie, ale moja cierpliwość - tak. Jeszcze chwila, a wezmę cię na podłódze, tak jak wtedy na łódce. Tylko że rym razem ty będziesz pod spodem.

Oblizwała wargi, policzyła do dwóch i uśmiechnęła się do Kyle'a.

- Dobrze - powiedziała.

23

Lianne wpatrywała się długo w betonowo-stalowy budynek. Nie należał on jednak do tych wielu interesujących architektonicznie obiektów, w jakie obfitowało Seattle. Powstał na zlecenie rządu z jego skąpego budżetu. Nawet gdyby Lianne nigdy nie była w środku, poznałaby po fasadzie, że mieszczą się w nim głównie biura handlowe wyłożone tanimi, ale mocnymi dywanami, udekorowane plastikowymi drzewkami figowymi i obsługiwane przez recepcjonistki w średnim wieku o mocno ufarbowanych włosach. Jedyne niezwykle element wnętrza stanowił korytarz wyposażony w wykrywacz metali, obok którego siedział znudzony strażnik.

- Nie rób takiej nieszczęśliwej miny - powiedział Kyle do Lianne. - Tym razem cię nie zatrzymają.

- Skąd wiesz?

- Wchodzimy przez główne wejście. A może chcesz o wszystkim zapomnieć i wrócić do domu?

Lianne uświadomiła sobie, że zaczyna się ociągać, i uniosła dumnie podbródek.

- Oczywiście, że nie.

- Na pewno? Johnny i ja moglibyśmy się zająć identyfikacją...

- Jeżeli się nie pośpieszysz, to na pewno się spóźnimy. Zerknął na małą szczupłą kobietkę i uśmiechnął się do siebie.

Każdy, kto patrzył na czarne spodnie, wygodne buty i skromny węzeł włosów na karku, nigdy by się nie domyślił, że ostatni pobyt Lianne pod prysznicem mógł się naprawdę tragicznie zakończyć. Kyle przypomniał sobie, z jaką miną powiedziała „dobrze”, i znów poczuł przyływ żądy.

Lianne przeszła przez wykrywacz bez zatrzymania. Kyle'owi, który wcześniej wyjął z kieszeni bilon i kluczyki, również się to udało. Broń i kabura znajdowały się teraz bezpiecznie w sejfie.

- Przecież ci mówiłam - mruknęła Lianne, gdy podeszli do recepcji.

- Co takiego?

- Za dużo farby.

Kyle popatrzył na włosy recepcjonistki, które skojarzyły mu się natychmiast z hełmem motocyklisty. Powstrzymał się jednak od komentarza.

- Donovan i Blakely do pani Joy.

- Szóste piętro - powiedziała recepcjonistka. - Proszę skorzystać z windy po lewej.

Na drugim piętrze do windy wtoczył się wózek zasypany aktami; na trzecim dołączyły jeszcze dwa. Gońcy obsługujący wózki rozmawiali o wynikach sportowych. Wysiedli na piątym. Kyle i Lianne znowu zostali sami.

- Myślałam, że komputery zastąpią te koszarne ilości papieru - powiedziała Lianne.

- Żartujesz? Komputery ułatwiają tylko sprawdzanie raportów oraz wysyłanie poprawionych kopii do kolejnych sprawdzaczy, którzy z kolei...

- Zatrudniają gońców przewożących raporty z piętra na piętro.

- To sposób Wujaszka na bezrobocie.

Z April Joy, ubraną równie skromnie jak Lianne, spotkali się na szóstym piętrze. Na tanim metalowym łańcuszku na jej szyi zwisał identyfikator.

- Mam nadzieję, że to będzie naprawdę niezłe, Donovan - mruknęła.

- Wszystko jest lepsze od tego, co masz. Dlatego przyszliśmy.

Mówił prawdę. Ta prawda niezbyt się April podobała. Ale w końcu na świecie było bardzo dużo rzeczy, które nie wzbudzały w niej radości.

- Numer pięćset jedenście - powiedziała. - Wszystko jest tam. Odwróciwszy się na piecie, pognąła przed siebie, nie czekając aa

Kyle'a i Lianne. Gdy dotarła do pokoju pięćset jedenście, wsunęła kartę w czytnik. Zapaliło się zielone światełko. April otworzyła drzwi i przytrzymała je, czekając, by weszli jej goście.

Lianne ruszyła bez słowa na środek pokoju w stronę stalowego stołu konferencyjnego. Na jednym jego końcu stały dwa kartony zawinięte w biały papier, przewiązane szpagatem, którego węzły przypominały makramc. Na obu pudłach widniały czerwone woskowe pieczęcie. Lianne pochyliła się i przyjrzała uważnie pu- j dłom. Mocne, skomplikowane węzły wyglądały identycznie jak tego dnia, gdy je wiazano. Pieczęcie ozdobione stemplem Wena były nienaruszone.

- Jeśli nawet ktoś zaglądał do tych pudeł, to nie zostawił śladów -powiedziała Lianne.

April lekko się uśmiechnęła.

i Powinnaś obejrzeć zdjęcia rentgenowskie.

- Wolałabym zobaczyć jadeity. Będą mi potrzebne nożyczki albo nóż.

- W środkowej szufladzie.

Gdy Lianne ją otwierała, zgrzyt metalowych rolek niemal wywołał u niej ból zębów.

- Zamiast przerzucać akta z kąta w kąt, dlaczego po prostu nie każesz naoliwić zawiasów biurka?

- Poruszę tę sprawę na następnym zebraniu - powiedziała April. Z jej tonu wynikało wyraźnie, że nie bardzo się tym przejmuje.

Małe nożyczki miały plastikowe uszka i okazały się dosyć ostre. Lianne przecinała sznurek zręcznymi, wprawnymi ruchami. Kiedy już uporała się ze szpagatem, pieczęciami oraz papierem i chciała otworzyć pierwszy karton, Kyle położył jej ostrzegawczo rękę na ramieniu.

- Masz tę listę, którą ci przefaksowała? - zwrócił się do April. -Chciałbym się po prostu upewnić, że nie popełniono błędu.

- Tak. A jeśli twoje podejrzenia są prawdziwe, w tych kartonach możemy znaleźć sporo interesujących rzeczy.

- Do dzieła! - powiedział Kyle do Lianne.

Otworzyła pierwszy karton, wyjęła z niego coś owiniętego w folię z bąbelkami i zaczęła ją delikatnie zdejmować. Po kilku chwilach trzymała już w ręku wspaniałego jadeitowego penisa. Poczula tak ogromną ulgę, że aż dostała zawrotu głowy. Uśmiechnęła się do jade-itu jak dumna matka.

April uniosła wysoko ciemne brwi.

- To jest, jak rozumiem, jedno z tych dzieł sztuki?

- Wspaniały kolor - orzekł śmiertelnie poważnie Kyle.

- Jeśli delikwent nie żyje — odparowała April. — No dobra. Jeden zielony zwis męski skreślamy z listy.

Lianne miała nadzieję, że nikt nie zauważa jej radości. Logicznie rozumując, Senga przekupywano jadeitami wymienianymi za klejnoty pośledniejszego gatunku. Logika ta mogła się jednak okazać zawodna i należało wziąć pod uwagę inne wyjaśnienie substytutów ze skarbcza.

Kolejną rzeźbę wykonano z białego jadeitu z delikatnymi smugami w kolorze lawendy. Minerale wyrzeźbiono tak, że ciemniejsze fragmenty sugerowały fałdy ubrania, zgięcie kończyn i cień między udami kobiety. Płynna linia kobiecego ciała na kolanach kochanka przywodziła na myśl istotę kobiecego oddania. Nachylona, silna sylwetka mężczyzny stanowiła kwintesencję samczej żądzy zdobyczy.

I choć dokładnie nie było widać, co robią jadeitowe figurki, wymowa rzeźby nie pozostawiała wiele miejsca na wyobraźnię.

April gwizdnęła przez zęby.

-Chciałabym postawić sobie coś takiego na stoliku nocnym.

Lianne odłożyła z szacunkiem rzeźbę, delektując się jedwabistym ciężarem jadeitu.

- Z tysiąca eksponatów z kolekcji Tangów ten z pewnością należy do najcenniejszych. Kamień jest w ogóle nietknięty: nie ma tu żadnych zarysowań, szczerbin, zmian faktury. Wyrzeźbiła go ręka mistrza, a polerowanie trwało niewątpliwie niewiarygodnie długo. Temat jest wart zarówno kamienia, jak i artysty. Unia seksualna stanowi jądro filozoficzne taoizmu: ten moment fuzji między yin i

yang, kiedy wszystkie siły się równoważą, a harmonia we wszechświecie zwiększa. To, co ludzie Zachodu uważają za zwykłe połączenie fizyczne między kobietą a mężczyzną, dla taoisty jest doświadczeniem czysto metafizycznym, aktem wpływającym na równowagę stworzenia.

Lianne odstawiła wolno rzeźbę na porysowaną metalową powierzchnię stołu.

April przeniosła wzrok z figurek na twarz Lianne. Malował się na niej szacunek i miłość do jadeitu oraz tradycji, widoczne również w sposobie, w jaki ta dziewczyna dotykała tych bezcennych przedmiotów. Jej gesty były całkowicie wyzute z chciwości, żądzy posiadania czy goryczy, wypływającej ze świadomości, iż te skarby należą do starego, ślepego człowieka, niezdolnego, by je docenić.

April poczuła, że Kyle na nią patrzy. Jego spojrzenie mówiło wyraźnie: „Widzisz. Przecież ci mówiłem! Lianne Blakely nie jest złodziejką”.

Przez chwilę słychać było jedynie szelest folii i zdawkowe komentarze Lianne.

- Fantastyczny kamień. Sztuka najwyższego lotu. Przyjrzyj się dokładnie temu, Kyle. Widzisz, jak te czerwone żyłki pasują do całości? Efekt naprawdę trudny do osiągnięcia w tak wyrazistym kolorze. Doskonale wypolerowane. Fantastyczna płynność. Tego przedtem nie widziałam. Świetnie wyrzeźbione! Spójrz na wyraz jego twarzy -poddanie i ekstaza jednocześnie. Ta kobieta całkowicie zapanowała nad jego jadeitowym fletem.

Kyle poczuł się jak nastolatek; znów ogarnęło go pożądanie.

- Owszem - mruknął. - Wygrywa na nim z pewnością niesamowite melodie.

April spojrzała na niego z ukosa.

- Bierze cię, chłopczyku?

Lianne uniosła wzrok znad rzeźby. Jej uśmiech przyprawił Kyle'a o przyspieszone bicie serca.

- Uważałabym, że coś z tobą nie tak, gdybyś nie zareagował. Celem tych rzeźb jest przypomnienie ludziom o tym, że do metafizyki prowadzi wiele dróg, a jedna z nich ma czysto fizyczny charakter.

- Będę pamiętał - obiecał. - A ty?

- Kiedy ty jesteś w pobliżu, nie mogłabym zapomnieć. Odwrócił się do April.

- Nie miałabyś ochoty na kawę czy coś takiego?

- Zawiąż sobie supelek, Romeo. - April zerknęła na zegarek. -No dobrze. Założmy, że Lianne naprawdę wrobiono w tę wymianę z Sengiem, a jej się to wszystko nie podobało, w związku z czym opuściła Wyspę Farmera bez rozpakowywania kartonów.

- I dlatego została aresztowana, gdy wracała do Kanady z jadeitami, które tymczasem uznano za zaginione - po raz kolejny zasugerował Kyle.

- Nie wiemy jednak, co się stało z innymi skradzionymi jadeitami. Na moim biurku leży dwustronicowy faks. Kamienie w pudłach to zaledwie część tych rzeczy.

- Chciałabym zerknąć na ten faks - rzekła Lianne. April ją zignorowała.

- Jak już powiedziałam - zwróciła się do Kyle'a - założmy, że Lianne wpadła pułapkę i nie mamy dowodów, by ją zaaresztować. Co nam z tego?

- Zyskujemy szansę, by uszczęśliwić Chiny i zrobić z Farmera idiotę.

April natychmiast odzyskała czujność.

- Szata z jadeitu? Kyle skinął głową.

- Interesuje cię to?

- Owszem.

- Lianne musi się swobodnie poruszać. Wycofaj zarzuty.

- Sądzisz, że Farmer wywiózł tę cholerną szatę ze Stanów? - spytała szybko April. - Zabrał ją rzeczywiście na tę swoją wyspę, ale uznaliśmy, że nie zdołał jej przeszmuglować za granicę. Cholera! Jeszcze by nam tego brakowało! Oboje znamy kanadyjską biurokrację. Ale numer!

Kyle jednak całkowicie skupił się na planie B, według którego jadeitowej szaty nie było w Seattle. Wcale mu się ten plan nie podobał, ale w końcu nikt go nie prosił o aprobatę.

- Cholera! - powtórzyła April z emfazą, popatrzyła na Lianne, która wróciła do rozpakowywania jadeitów, po czym przeniosła gniewny wzrok na Kyle'a. - Gdybyś był bratem kogokolwiek innego, od razu bym cię stąd wykopała.

- Powiem Archerowi, że ci na nim zależy.

April nie zwróciła na to uwagi. Rozważała wszelkie możliwości w tempie dobrze wytrenowanego, inteligentnego agenta. Dojście do sedna sprawy nie trwało zbyt długo.

Żadna z możliwości nie budziła w niej entuzjazmu, a tylko jedna z nich prowadziła do szybkich rozwiązań. Brakowało czasu. Im dłużej trwał ten pat, tym większe istniało niebezpieczeństwo, że Chiny poświęcą kilka dekad rozwoju gospodarczego dla dumy narodowej.

Chińscy przywódcy nie ucierpieliby wskutek kryzysu. Zachodnie zabawki i wschodnia estetyka nadal znajdowałyby się w ich posiadaniu. Dick Farmer też niczego by nie stracił; mógł w końcu zarabiać miliardy dolarów na innych rynkach. Kryzys dotknąłby tak naprawdę wiele milionów Chińczyków, którzy musieliby się raz na zawsze pożegnać z szansą na godne życie w dwudziestym pierwszym wieku - na pewno wciąż niedoskonałe, ale lepsze niż wegetacja w rolniczych Chinach, gdzie dzieci karłowaciały w łonach matek.

April patrzyła na odpakowywane jadeitu z mieszaniną goryczy i akceptacji. Aspiracje kulturowe artysty zawarte w kamieniu twardym jak serce despoty. I choć nieraz się zastanawiała, ile milionów ludzi żyło i umarło w biedzie po to, by wspierać tę kosztowną sztukę, jakaś jej pragmatyczna część wiedziała, że to nie ma znaczenia. Problem należał do przeszłości. Teraz liczyła się tylko zabytkowa szata z jadeitu, dla której chińscy przywódcy byli nawet gotowi wszcząć wojnę handlową i zniszczyć własną gospodarkę.

- Jak wygląda ten plan? - spytała April.

- Nie chcesz wiedzieć - odparł Kyle.

Popatrzyła na niego oczyma pozbawionymi wyrazu, ale myślała o Archerze Donovanie. Archer miał bowiem niezwykłą umiejętność: potrafił wyciągać z ognia najgorętsze kasztany, nie parząc sobie przy tym palców.

- Spisz się dobrze, mądralo!

- Wezmę to pod uwagę.

- Czego od nas potrzebujesz? - spytała April po pełnej napięcia minucie milczenia.

Lianne przysłuchiwała się rozmowie, odwijając jednocześnie ostatni jadeit. Po chwili trzymała w rękach Marzącą Pannę Młodą -tak pierwotną i ulotną jak jej własne wspomnienia.

- Trzy akwalungi z obwodem zamkniętym? - spytała April. -Może jeszcze FOKI? Na pewno bardzo chętnie poćwiczą.

- Co to jest akwalung z obwodem zamkniętym? - zainteresowała się Lianne.
- Sprzęt do nurkowania nie pozostawiający bąbelków na powierzchni wody.
- Jeden z nich jest dla mnie?
- Nie.
- W takim razie prosimy o cztery.
- Nie ma sprawy.

Kyle już otwierał usta, żeby zaprotestować, lecz tylko wzruszył ramionami. W razie gdyby któryś z trzech kompletów się zepsuł, czwarty mógł się przydać. Ale jeśli Lianne sądziła, że będzie im towarzyszyć, była w błędzie.

- Coś jeszcze? - spytała April.
 - Trzeba wymusić na Farmerze zgodę na ekspertyzę szaty.
 - Już ją wyraził.
 - Cholera! Jaka szkoda, że mnie tam nie było.
 - Do ekspertyzy jeszcze nie doszło. Chiny wysyłają własnego rzeczoznawcę. - April skupiła uwagę na Lianne. - Naprawdę sądzisz, że to podróbka?
 - Naprawdę chciałabym jej się bliżej przyjrzeć — odparła gładko Lianne. - Ale na pewno wszyscy bardzo by się ucieszyli, gdyby to był tylko falsyfikat.
 - Pod warunkiem, że pod tą opinią podpisałby się również chiński ekspert. Nie musielibyśmy się wtedy z wami opieprzać.
 - A kto reprezentuje Wujaszka?
 - Ja - odparła April, nie spuszczać wzroku z Lianne.
- To oświadczenie nie wywarło na Kyle'u większego wrażenia,
- Wyruszamy na prywatną Wyspę Farmera na dzień przed planowanym otwarciem muzeum - dodała April.
 - Pojutrze?
 - Tak. Postaram się o to, żeby Lianne mogła pojechać ze mną. Jestem dobra, ale ona lepsza. Oczywiście, jeżeli nie będzie siedziała w więzieniu. Ryzykowne założenie. - April odwróciła się do Lianne. Miałaś okazję oglądać ją z bliska choć przez chwilę. Sądzisz, że była prawdziwa?
 - Jeśli znikniesz z horyzontu do czasu ekspertyzy, szata przestanie stanowić problem - powiedział Kyle, zanim Lianne zdołała odpowiedzieć.

- Co zamierzasz?
- Na pewno nie chcesz wiedzieć. April położyła ręce na biodrach.
- Jak was złapia, nie liczcie na mnie. Kyle skinął głową.
- Kiedy dostanę sprzęt?
- Dostarczą ci go do domu na osiemnaście sto.
- O szóstej -przetłumaczył Kyle. - Co z jej paszportem?
- Ja się tym zajmę.
- Skreśl ją też z listy imigracyjnej.
- Spróbuję, ale... - Wzruszyła ramionami i skierowała się do drzwi. - Na tym polega biurokracja, Donovan. Nazwisko Blakely nigdy nie powinno było wylądować w komputerze na granicy.
- Nie potrzebuję paszportu, żeby... - zaczęła Lianne, ledwo April znikła za drzwiami.

Nie dokończyła, gdyż Kyle zamknął jej usta mocnym pocałunkiem.

- Skończyłaś? - spytał po chwili.

Lianne popatrzyła na rzeźbę, którą trzymała w dłoni. Pragnęła wyjść jak najszybciej z tego miejsca, gdzie zakuto ją w kajdany, ale nie potrafiła się rozstać z Marzącą Panną Młodą.

Kyle wyjął figurkę z rąk Lianne i po raz pierwszy dokładnie obejrzał to dzieło. Jego przeciągły gwizd stanowił rodzaj muzycznego hołdu dla talentu artysty: rzeźbę stworzył wyłącznie po to, by wykorzystać mieniący się jadem między udami kobiety - fizycznymi drzwiami do doświadczenia metafizycznego.

- Czy właśnie tę rzeźbę nazwałaś Marzącą Panną Młodą? - spytał Kyle, nie odrywając oczu od błyszczącego jadeitu.

- Tak.

- Rozumiem, o co ci chodziło. Jest znacznie wspanialsza niż ta, którą widziałem u Han Senga. - Przesunął kciukiem po najważniejszym punkcie rzeźby. - Wspaniała. Ale...

- Co?

- Ty masz ładniejszą.

Dwie godziny po spotkaniu z April Lianne czuła się jak pogromczyni lwów pozbawiona bata. Na podłodze w domu Donovanów, gdziekolwiek spojrzeć, leżały ogromne, zdrowe, potencjalnie niebezpieczne zwierzęta. Przy tej masie mięśni i kości Lianne poczuła się jak miniaturowa i tak już niewielkiej kobiety.

- Jak Susa wytrzymuje z tymi wielkimi, deprymującymi, onieśmielającymi bestiami?

Mężczyźni, do których skierowała pytanie, nie zwrócili na nią uwagi. Rozważali różne koncepcje wtargnięcia na Wyspę Farmera. Faith popatrzyła na nich znad katalogu biżuterii i uśmiechnęła się.

- Wyobrażasz sobie, jak to wygląda, kiedy jest jeszcze z nimi tatuś, Justin i Lawę?

- Przerazająco.

- Ale wyłącznie wówczas, kiedy oni nie stoją po twojej stronie. - Faith wykrzywiła usta. Dręczył ją niechętny stosunek rodziny do jej narzeczonego. Nawet Honor, na którą zwykle mogła liczyć, najwyraźniej zmuszała się do uśmiechu w towarzystwie Tony'ego.

A Honor - jakby czytała w myślach swojej siostry bliźniaczki - spytała Faith dokładnie w tym momencie właśnie o to, gdzie się podziewa jej przyszły mąż.

- Nadal na Tahiti. Zajęty public relations. Opracowują wizerunek sklepów z perłami. Dzwonił do mnie rano i mówił, że nie wróci wcześniej niż za tydzień.

- Pewnie żałujesz, że zostałeś w Seattle - orzekła Honor. Faith wykrzywiła wargi w nieszczerym grymasie. Bardzo chciała jechać na Tahiti, ale nikt jej nie zaprosił. Tony dostał szału, gdy mu powiedziała, że nie zamierza namawiać Donovan International, by powierzyło swoje interesy firmie reklamowej jej przyszłego teścia.

- Po co? I tak jest zajęty szesnaście godzin na dobę. Wynikało z tego wyraźnie, że noce miał wolne, ale nikt z zebranych nie podjął tematu.

- Kyle - zaczęła Lianne. - A może...

- Nie - przerwał, nie podnosząc głowy. - Nigdzie się nie wybierasz.

- Opisz szatę Farmera - powiedziała.

- Jest zielona.

- A co zrobisz, jeśli się okaże, że on tymczasem zdążył zamienić te szaty? - spytała.

- Muzeum rozpocznie działalność, a my zostaniemy w punkcie wyjścia. Mogłam się

też pomylić i szata wcale nie należy do Wena. Wtedy dopiero otworzy się puszka Pandory, a ja trafię z powrotem do więzienia. Ty nigdy nie widziałeś szaty Wena, ja tak.

Trzy męskie głowy uniosły się jak na komendę. Cała uwaga mężczyzn skupiła się na Lianne, co wcale nie wprawiało jej w dobry nastrój.

- Jestem wam potrzebna - powiedziała.

- Nie - odparł Kyle bezbarwnym głosem. Archer i Jake wymienili spojrzenia.

- Ale dlaczego właściwie ona nie miałyby jechać? - spytała Honor. - Przecież przez dwie ostatnie godziny usiłowaście mi wytłumaczyć, że to całkowicie bezpieczna wyprawa. Po prostu spacer po parku. Tak mówiłeś, Jake, prawda?

Jake mruknął tylko coś pod nosem - Archer przekreślił się na bok.

- Ma rację - powiedział.

- Jak cholera! - Kyle nie odrywał wzroku od Lianne. - Umiesz nurkować?

- Nie, ale...

- Właśnie - wtrącił Kyle. - Zostajesz!

- Szata nie leży w końcu na dnie oceanu - oponowała Lianne.

- Możemy wziąć łódź i podплыnąć tutaj - powiedział Archer, wskazując pewien punkt po wschodniej stronie wyspy. - Lianne nawet nie zamoczy nóg. A jak się już znajdziemy na brzegu, strażnicy będą od razu mieli dosyć gasnących światełek na swoich konsolach.

- Nie! - prychnął Kyle.

- Dlaczego? - spytał Archer.

- Na miłość boską, przecież ona jest...

- Kobieta - powiedziały chórem Honor, Faith i Lianne, po czym uśmiechnęły się do siebie, zadowolone z tej nieoczekiwanej jednomyślności.

Kyle miał minę osaczonego zwierzęcia.

- A gdyby to chodziło o Honor... - zwrócił się do Jake'a - pozwoliłbyś jej jechać?

Jake uśmiechnął się do żony z rozbawieniem.

- Pozwoliłbym ci jechać, kochanie?

- Wcale bym cię nie pytała o pozwolenie. Po prostu bym pojechała, dokładnie tak jak ostatnim razem, kiedy kazałeś mi zostać.

- Czy to wyczerpuje temat? - spytał Jake.

- Cholera!

- Byłeś na miejscu, kiedy napadł ją ten bandyta - przypomniał Jake. - Chyba nie wpadła w panikę, prawda?

- Nie, ale o mało nie zginęła.

Archer usiadł na dywanie i popatrzył na Lianne spokojnymi, srebrnozielonymi oczyma.

- Pozostawienie łodzi na brzegu zwiększa ryzyko. Czy gdyby zaszła taka konieczność, mogłabyś włożyć kostium i przepłynąć kilkadziesiąt metrów w absolutnych ciemnościach?

- Tak.

Mierzył ją wzrokiem jeszcze przez chwilę, skinął głową i znów skierował uwagę na mapę

- W zodiaku zmieszczą się swobodnie cztery osoby.

- Archer - poprosił Kyle pełnym napięcia głosem. - Nic rób mi Jego!

- Myśl mózgiem, a nie kutasem - odparł spokojnie Archer. Potrzebujemy kogoś, kto dokona szybkiej, pewnej ekspertyzy jadeitu dysponując jedynie wprawnym okiem, latarka i odwagą. Ty masz odwagę, ja latarkę, ale i tak nie możemy być pewni swego. Nie wolno nam tego spieprzyć. Wujaszek Sam nie jest w nastroju do żartów.

- Co nasuwa kolejne pytanie: Czy będzie się trzymał od tego z daleka?

- Od chwili, gdy wywieziemy te szatę z wyspy, to już będzie wolna amerykanka. Wujaszekowi zależy na szacie. Jeżeli jacyś nadgorliwi chłopcy sprzątają nam ją sprzed nosa. to niby komu będziemy się skarżyć?

- Tak też sądziłem. - Kyle przymknął oczy i zaklął w duchu. - Jest może na naszej liście płac ktoś, kto potrafi pilotować mały samolot i trzymać buzię na kłódkę?

- Walker - odparł natychmiast Archer.

- A gdzie on się teraz podziewa?

- Właśnie wrócił z Australii do Seattle. Latał z geologami. Robili jakieś rozpoznanie dla Donovan International.

- Dobra. Z samolotem na pewno sobie poradzi - powiedział Kyle. - A co z innymi sprawami?

- Mówicie o Walkerze? - spytał Jake, Archer skinął głową.

- Nic ma zmartwienia. Walker był ochroniarzem VIP-ów Wujaszka. Sprawdzi się w każdej sytuacji.

- Nie pytasz, po co mi samolot? - zdziwił się Kyle, odwracając głowę do Atchera

- Wolę się zastanowić, skąd wezmę kombinezon pasujący na Lianne. Czy w tym sklepie przy Faith Street zadbali również asortyment dla dzieci?

Lianne wydała pełen oburzenia okrzyk i chciała walnąć Archera w plecy, ale ten zdążył się tymczasem przetoczyć na drugi bok. Kyle złapał Lianne za rękę i przyciągnął ją do siebie.

- Przyzwyczaj się do niego, kochanie. Nam się to jakoś udało - Zaczął coś szybko pisać na kartce, a gdy skończył, podniósł wzrok na Honor. - Dobra, siostrzyczko. To był twój genialny pomysł. Daję wam trzy godziny na zakupy dla Lianne. Oto lista.

Faith, Honor i Lianne weszły do domu obciążone torbami.

- Już zamierzałem wysłać po was ekipę ratowniczą - mruknął Kyle. - Co was tak długo zatrzymało?

- Posłuchaj, kwiatuszku - powiedziała słodko Honor. - Spróbuj kupić sztuczne paznokcie, kostium płetwonurka, perukę z fryzurą w stylu Dolly Parton, buciki numer pięć na dziesięciocentymetrowych obcasach oraz seksowne ubranko w dziale dziecięcym u Nordstroma, a zobaczymy, po jakim czasie ty wrócisz do domu.

- To nie był dział dziecięcy, tylko stoisko dla drobnych kobiet - powiedziała Lianne.
- Powtórz: dla drobnych kobiet!

Faith mrugnęła do Lianne.

- Honor jest po prostu zazdrosna. Przy tobie i Susie czujemy się jak słupy telegraficzne.

Lianne popatrzyła na postawne bliźniaczki i przewróciła oczami.

- No jasne!

Archer stanął w korytarzu ubrany w ciemnobrązowe spodnie i czarną jedwabną marynarkę. Wyglądał równie niedbale, jak bardzo. bardzo zamożnie.

- Dwadzieścia minut!

Kobiety jak na komendę pobiegły szybko korytarzem do apartamentu Faith.

- Żadnych perfum! - krzyknął za nimi Kyle. - Jeśli ja potrafiłbym rozpoznać Lianne po zapachu, to innym też się to może udać.

- Węszenie w ciemnościach - mruknęła Faith. - Mężczyźni są tacy prymitywni.

- Pewnie - przytaknęła Honor. - Czyż to nie wspaniałe?

W dziewiętnaście minut później z apartamentu Faith wyłoniła się Lianne. Stukot jej wysokich obcasów na marmurowej posadzce był jedynym słyszalnym dźwiękiem w pomieszczeniu.

Trzej mężczyźni patrzyli na nią z mieszaniną zdziwienia i pożądania.

Czerwona prosta suknia opinała Lianne niczym głodny kochanek. Długie rękawy i dekolt w formie litery V podkreślały krągłość piersi, spódnica eksponowała kształt pupy, obnażając jednocześnie uda. W ciemnoszarych rajstopach nogi Lianne wyglądały jak długa, seksowna tajemnica. Zręczny makijaż - dzieło Faith - nadał cerze śniady odcień, oczom wyzywający wygląd, a ustom cyniczny grymas. Lianne odrzuciła do tyłu kręcone, ciemne włosy i oparła na biodrze dłoń zakończoną czerwonymi szponami.

- Gotowa na każde wezwanie! - oświadczyła.

- Słodki Jezu! -jękął Kyle. - Już nigdy nie pójdziesz po zakupy z moimi siostrami.

- Nie podoba ci się kolor? - spytała niewinnie Lianne. - Pasuje do moich paznokci.

- I jest go tam więcej niż na tobie. Gdzie reszta tej kreacji?

- To wszystko.

- Chyba się mylisz! Zapomniałaś o spódnicy.

- Przestań zrzędzić - powiedział Archer, taksując Lianne wzrokiem. - Ona ma być moją dziewczyną, nie twoją.

- Dlatego się martwię - odparł gorzko Kyle, łypiąc na brata.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Archer, wyciągając rękę do Lianne. - Wyglądasz świetnie i bardzo pociągająco.

- Właśnie - odrzekł ponuro Kyle. - Lianne siądzie ze mną z tyłu.

- O co ci chodzi? - spytała Faith, która właśnie do nich doszła. -Życzyłeś sobie, żeby nawet rodzina nie mogła jej poznać. No to nie może. Spadaj!

Honor wiele by dała za to, by Faith postępowała podobnie z Tonym; tymczasem on owinał ją sobie dookoła palca.

- Johnny już jest? - spytała Lianne.
- Czeka w holu - odparł Archer. - Chodźmy.

Gdy mercedes Archera zaparkował pod domem Tangów, po niebie rozlało się światło w kolorze sukni Lianne. Johnny wysiadł z samochodu, powiedział coś do domofonu i znów usiadł w aucie obok kierowcy. Potem się odwrócił, popatrzył na siedzącą z tyłu syrenę i ze zdumieniem pokręcił głową. Tak ślicznie, jak Lianne tego wieczoru, Anna nie wyglądała nawet jako szesnastolatka.

- Wen spotka się ze mną w apartamencie - zaczął Johnny. - Powiedziałem mu o kolacji z Donovanami, o twoim kilkudniowym pobycie w Vancouver i próbach rokowań w sprawie jadeitów. Wen zaproponował, żebyśmy zeszli do skarbcza, ale Daniel chyba wyszedł a nikt inny nie zna szyfru.

- To uprości sprawę - mruknął Archer. - Chyba że przy okazji Wen chce się spotkać również z nami.

- Nie. Daniel mówił prawdę: Wen od trzech tygodni nie wstaje z łóżka.

- Jest tak poważnie chory? - spytała niespokojnie Lianne.

- Nie chory. Po prostu stary, wyczerpany. To wszystko było dla niego bardzo trudne.

Uniosła głowę.

- Idź do niego - zaproponowała ojcu. - Ja zabiorę Kyle'a i Archera do skarbcza.

Zgodnie z oczekiwaniami Lianne ani w kucani, ani w bdu prowadzącym do skarbcza nikt się nie kręcił. Po piątej służba wracała do swoich pokojów nad chińskimi sklepikami i restauracjami albo do starych pomieszczeń, gdzie na powierzchni przeznaczonej najwyżej dla kilku osób gnieździły się trzy duże rodziny.

Jedynymi dźwiękami dochodzącymi z holu był odgłos męskich kroków i stukot dziesięciocentymetrowych obcasów. Kyle z trudem oderwał wzrok od kręcącej się pupy Lianne. Krótki płaszczyk pozostawiał zbyt dużo pola dla wyobraźni. Albo też zdecydowanie zbyt mało.

Na widok jadeitowego parawanu zasłaniającego drzwi do skarbcza Kyle gwizdnął z uznaniem.

- Znam muzea, które posunęłyby się do rabunku, byleby tylko zdobyć tak bezcenny eksponat.

- Nie byłyby to pierwszy skradziony przedmiot wystawiony w muzeum - powiedziała sucho Lianne i nachyliła się nad tarczą sejf. - Ilekroć jakiś obraz starego mistrza pojawia się na wystawie, któryś z wnuków drugiej wojny zaczyna twierdzić, że Hitler ukradł płótno jego przodkom.

- Zawsze istnieje taka możliwość - odparł Archer, patrząc, jak Lianne przekreśla tarczę.

- Oczywiście. Ale po jakim czasie wygasa prawo własności? Po jednym pokoleniu? Dwóch? Po stu latach? Nigdy? Już wkrótce podzielimy los Hongkongu... cholera! - mruknęła Lianne i znów zaczęła majstrować przy szyfrze. - Będziemy w sytuacji Hongkongu w chwili powrotu do Chin. Firmy, kolekcjonerzy, w ogóle wszyscy właściciele spakowali swoje zbiory i wywieźli je do Vancouver, Seattle, San Francisco, Los Angeles czy Nowego Jorku. Gdziekolwiek tam, gdzie nie mogłyby ich skonfiskować kontynentalne Chiny.

Lianne zmarszczyła brwi, próbując bezskutecznie otworzyć sejf.

- Niezmierzone dobra kulturalne po prostu zniknęły tylko dlatego, te nagle zaczęły obowiązywać inne reguły gry. - Podniosła wzrok - Tak jak teraz. Ktoś zmienił zasady. Albo -jak w tym przypadku - kombinację.

- Przepraszam - powiedział Archer, odsuwając Lianne na bok.- Odsuń się, kochanie - poprosił Kyle. - Zabrałem go ze sobą w takim właśnie celu.

Lianne popatrzyła zdumiona na Archera, który wyjął z kieszeni coś, co przypominało mały magnetofon ze słuchawkami. Nałożył słuchawki na uszy, a skrzynkę przycisnął do drzwi, tuż obok zamka. Z przymkniętymi oczyma i wyrazem skupienia na twarzy pochylił się nad tarczą jak mężczyzna nad kochanką, żyjąc jedynie tą jedną jedyną chwilą, kolejnym dźwiękiem, następnym delikatnym drgnieniem sygnalizującym reakcję.

W tej ciszy nawet ledwo słyszalny oddech Lianne wydawał się głośny. Archer pogłaskał tarczę opuszkami palców i zaczął nasłuchiwać, nasłuchiwać, nasłuchiwać... Czekał na ten charakterystyczny odgłos, jaki wydaje bęben zamka, gdy znajdzie się na swoim miejscu, po czym należy znów pokręcić tarczą, odnaleźć kolejny numer, nowy bęben i tak aż do skutku.

Dziesięć minut później drzwi do skarbcza stanęły otworem.

- A ja myślałam, że z ciebie to tylko taki zwykły przystojniak -mruknęła Lianne.
- Podobno uczymy się całe życie. - Archer przetarł tarczę czystą chusteczką. - Idź przodem, Lianne!

Spojrzała na braci Donovanów, różniących się wprawdzie kolorem włosów, ale pod najważniejszymi względami identycznych.

- Powinniście nosić tabliczki ostrzegawcze.
- Niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, prawda braciszku?
- Jasne!

Kyle popchnął Lianne do środka, Archer deptał im po piętach. Dziewczyna zamknęła ciężkie drzwi i zapaliła światło. Kyle zerknął tylko raz na białą jadeitową misę stojącą na mahoniowym stoliku, zaklął cicho i podszedł bliżej.

- Niczego nie ruszaj! - ostrzegł Archer.
- Odpieprz się! - Kyle obchodził stół z rękami w kieszeniach, pożerając misę wzrokiem.

Lianne podeszła szybko do schowka, w którym spodziewała się znaleźć największą dumę Wena. Drzwi były jak zwykle zamknięte. Popatrzyła podejrzliwie na zamek, a potem przeniosła spojrzenie na Archera.

- Chyba będziesz mi znowu potrzebny.
- Do usług!

Lianne zaczęła wolno przekręcać tarczę. Palce miała zimne jak lód, choć w skarbcu było ciepło. Po kilku chwilach zamek wydał charakterystyczny trzask: Lianne odetchnęła z ulgą. Ale drzwi się zacięły. Szarpnęła je mocno, a gdy nie ustąpiły, ponowiła próbę. Tym razem skuteczną.

Na stole wielkości trumny leżała jadeitowa szata: nieruchome odcienie zieleni, stłumiony blask złotych nitek w świetle górnej lampy.

- No i co? - spytał Kyle.
- To nie jest szata Wena - orzekła krótko Lianne.
- Dobrze podrobiona?
- Idealnie. Po prostu idealnie!

Kyle odsłonił zęby w wilczym uśmiechu.

- Idę po torby.

Lianne patrzyła, jak Jake, Kyle i Archer upychają resztę ciężkich toreb na pokładzie łodzi podrygującej w rytm kaszlu zapalonego silnika. Sto metrów „Tomorrow” kołysało się miarowo i ciągnęło za liny mocujące jacht do przystani położonej tuż obok stojącej na urwisku chatki Kyle'a. Na dachu białej kabiny leżał czarny jak noc dmuchany ponton zodiak.

Księżyc jeszcze nie wstał. Jedynie w oddali, spod chmur, przebły-skiwały światła Victorii i Vancouver. Ciemną, iskrzącą się lekko cieśninę ożywiały podmuchy wiatru.

W portach nie było innych łódek, a w okolicy domów. Kyle wybrał sobie tę chatkę z dwóch powodów: jej odosobnienia i prywatnej mariny nieopodal. Nie po raz pierwszy obie te rzeczy okazały się przydatne.

Wysiadł z łódki razem z Lianne. Drogę oświetlały jedynie kolorowe odbicia światła w wodzie. Nikt nie włączył lamp w kabinie „Tomorrow”; nie było to konieczne. Jeśli komukolwiek zależało na dobrej widoczności, miał do dyspozycji specjalne nocne gogle.

Kyle objął Lianne i przyciągnął ją do siebie. Owinęła ich wstążka wiatru niosącego ze sobą zapach sosen i morza.

- Nie musisz tego robić - powiedział cicho.
- Ale zrobię. Nie masz na to żadnego wpływu.
- Wiem - szepnął. - Wiem, cholera!

Pochylił się i pocałował ją w usta, nie zwracając uwagi na sztywność, która jednak pod naporem jego czułych warg bardzo wolno ustępowała.

W końcu Lianne całkowicie się odprężyła. Choć powtarzała sobie wielokrotnie, że z Kyle'em łączyć ją będzie wyłącznie gorący seks i zimne interesy, zawsze bardzo silnie reagowała na jego pieszczoty. Widocznie dochodziła do głosu adrenalina, nerwy, zwyczajne hormony albo jeszcze coś innego. Nie wiedziała. A teraz, akurat w tym momencie, było jej najzwyczajniej wszystko jedno. Pragnęła Kyle'a na tyle sposobów, że nie chciała nawet o tym myśleć.

Ta intensywność przeżyć przerażała ją bardziej niż którekolwiek z dotychczasowych zdarzeń.

- Drżysz - powiedział Kyle i owionął gorącym oddechem jej skronie, powieki, usta i zuchwały podbródek.

- Chcesz moją kurtkę?

Potrząsnęła głową. Od chwili, gdy zmieniła czerwoną suknię na normalne ubranie, nie odczuwała zimna.

- Boisz się? - spytał.

- Jutra? Nie.

- W takim razie o co chodzi?

- Nieważne. Wkrótce wszystko się skończy, a wtedy... nic już nie będzie miało znaczenia. Ja wrócę do swoich interesów, a ty do swoich.

- O czym ty mówisz?

- O biznesie, o niczym więcej.

- Silnik rozgrzany. Jake twierdzi, że jeśli szybko nie wyruszymy to trafimy w przesmykach na niezłą huśtawkę.

- Jestem gotowa - powiedziała Lianne.

Kyle chciał jej pomóc przy wejściu do luku, ale wysliznęła się z jego objęć i zbiegła do kabiny, nawet się na niego nie oglądając.

Poczuł, jak ogarnia go gniew i niepokój jednocześnie. Coś było nie w porządku. Nie z jadeitami czy z planowaną na dzień następny ryzykowaną wyprawą. Dotyczyło to Lianne, która zachowywała się tak, jakby nie mogła się doczekać rozstania.

„Nieważne. Wkrótce wszystko się skończy, a wtedy... nic już nie będzie miało znaczenia”.

Chciał za nią pogonić i wyjaśnić, co się dzieje w tej szybko myślącej, inteligentnej, szaleńczo kobiecej głowie, ale zrezygnował z tego zamiaru. Jake miał rację. Musieli ruszać, gdyż w przeciwnym razie mogli się nadziać na odpływ w którymś z przesmyków. Nie chodziło o tempo, silnikowi na pewno starczyłoby mocy, by pokonać przeciwny prąd. Gdyby jednak dali się złapać w przyboju, byłaby to naprawdę cholerna jazda,

Kyle nachylił się i zaczął odwiązywać liny. Z otwartej kabiny dolatywały do niego głosy.

- He czasu zajmie dopłynięcie na Jadeitową Wyspę? - Lianne spytała Jake'a wywołującego właśnie program na elektronicznym ploterze do map Kyle'a.

- To zależy od fali w przesmykach i tego, czy prędkość wiatru spadnie poniżej piętnastu węzłów. - Jake wcisnął kolejny guzik. -Powinniśmy zakotwiczyć nieopodal wyspy o takiej porze, by zdążyć się jeszcze dobrze wyspać.

- Mów za siebie - powiedział Archer. - Przegrałem łóżko w losowaniu.

- No tak - zgodził się Jake, patrząc na drewniane siedzisko. -Nawet gdybym przybrał pozycję embrionalną, to i tak się tu nie zmieszczę.

- Możesz zawsze iść ze mną do tej kryjówki Kyle'a - zaproponował Archer. - On twierdzi, że jest tam całkiem wygodnie.

- Podczas swego ostatniego pobytu na wyspie Kyle był ranny i nieprzytomny z powodu odwodnienia - odparł Jake. - Widziałem tę rozpadlinę, w której się schował. Jeśli będzie padało, zaleje nas woda.

- Może w takim razie włożę od razu kombinezon pletwonurka -powiedział Archer.

Odgłosy, jakie wydawał silnik, zmieniły się całkowicie, gdy Kyle wrzucił jałowy bieg. Archer wychylił głowę przez drzwi kabiny i popatrzył na brata stojącego na rufie z ręką na dźwigni.

- Chcesz, żebym przygotował cumy? - spytał Archer.

- Mam je. Usiądź przy sterze. Przyjdę do ciebie, jak tylko wypłyniemy z zatoki.

Kyle wycofał „Tomorrow” z portu, kierując dziób jachtu w stronę Thatcher Pass.

- Trzymaj kurs! - zawołał do Archera.

- Przejąłem ster.

Kyle zamknął drzwiczki, a Archer zwiększył prędkość do czternastu węzłów. Jacht mógł wyciągnąć dwa razy tyle, ale nie było takiej potrzeby. Na wodach wokół wysp San Juan pływało zbyt wiele kłód, glonów i innych śmieci. A że nikt do nich nie strzelał, czternaście węzłów absolutnie wystarczyło.

Lianne oparła się o stolik, aby zrobić miejsce Kyle'owi przechodzącemu przez wąski korytarzyk między kabiną i kają. On jednak nie zamierzał jej minąć. Zatrzymał się w pół drogi i chwycił obiema rękami krawędź stolika, odcinając dziewczynie jakąkolwiek możliwość odwrotu.

Podniosła na niego wzrok, z trudem chwytając powietrze. Pokładowe światła zmieniły deszcz w rozplywające się powoli zielono-czerwone klejnoty. Oczy Kyle'a błyszczały jak lodowe sople.

- Nie wiem, co cię gryzie - powiedział bezbarwnym głosem - ale to będzie musiało poczekać do czasu, kiedy wreszcie uda się nam pozbyć Wujaszka. Jasne?

- Dobrze - odparła sztywno.

- Nie mówisz szczerze.

- Sądzisz, że sobie nie poradzę?

- Możesz zrobić wszystko, co przyjdzie ci do głowy - powiedział cicho Kyle. - Mnie niepokoi tylko to, co się dzieje w twoim mózgu.

- Kyle! - krzyknął Archer. - Czy ten wir z tyłu jest ciągle pełen śmieci z przyływu?

- Tak. Chcesz, żebym przejął ster? - spytał Kyle, nie odrywając wzroku od Lianne.

- Dobry pomysł. Przynajmniej zajmiesz się czymś pożytecznym, zamiast zastraszać naszego eksperta.

- Naszego? Przykro mi, że muszę ci o tym przypomnieć, ale Lianne nie jest nasza, tylko moja.

- Czyżby? - mruknął Archer, zerkając na nich przez ramię. - Teraz wygląda tak, jakby chciała cię kopnąć w jaja.

- Daruj sobie! - krzyknął Jake, zanim Kyle zdążył otworzyć usta. - Mam lepsze rzeczy do roboty niż obijać sobie kłykcie o dwie twarde głowy. Do diabła, Archer! Chyba nie chcesz wszczynać teraz awantury z członkami ekipy!

- Ja nie, ale Kyle najwyraźniej niczego innego nie pragnie.

- O co ci chodzi? To nie ja mówiłem...

- Szczuleś Lianne - odparł Archer. - A czy ci się to podoba, czy nie, ona jest członkiem naszego zespołu. Naszego, braciszku. Nie twojego.

Kyle stłumił przekleństwo i przecisnął się obok Lianne, aby przejąć stery. Zanim dotarł na miejsce, Archer usadowił się obok Jake, a Lianne odetchnęła głęboko i podeszła do jednej z ławeczek przy burcie. Kyle stanowczo za szybko ją rozszyfrował. Ledwo spróbowała zwiększyć dystans między nimi, natychmiast ściągnął ją z powrotem na miejsce.

„Interesy. To tylko interesy”.

Tyle że dla niej to wszystko znaczyło znacznie więcej, więcej nawet niż pożądanie. Bała się dać zbyt wiele z siebie mężczyźnie, który nie pragnął niczego więcej niż tylko

seksu. Przymykając oczy, poważnie się zastanawiała, czy już w chwili urodzenia została skazana na ignorancję w sprawach męsko-damskich, czy też doprowadziła tę cechę do perfekcji przez ostatnie trzydzieści lat.

Lianne oparła ręce na stole, położyła na nich głowę i słuchała dudniących męskich głosów, dyskutujących o pogodzie, wodzie i holownikach, które od czasu do czasu przepływały obok „Tomorrow”. Stopniowo warkot silnika zaczął zagłuszać wszystkie dźwięki. W końcu dziewczynie udało się zasnąć; w jej snach jadeity mieszały się z oskarżeniami, strachem i czarnym sercem zbliżającej się burzy.

- Czy już czas wyjść na brzeg? - spytała Lianne głosem zamglonym od snu.

- Nie - odparł Kyle. - Ale pora iść do łóżka.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyniósł ją z niszy, postawił na pokładzie i ni to poprowadził, ni to popchnął w stronę dzioba. Jake próbował tymczasem usunąć stół z podestu i zrobić miejsce na łóżko.

- Uważaj na głowę! - przypomniał Kyle.

Mimo ostrzeżeń Lianne i tak uderzyła się w głowę, gdy schodziła do koi, ale nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Zasypiała na stojąco. Ściągnęła tylko buty, zakiet i dzinsy, po czym wśliznęła się pod kołdrę w kształcie litery V.

Kyle zrzucił z siebie ubranie i położył się obok.

- Co ty... - zaczęła.

- Zrób mi kawałek miejsca - powiedział.

Odsunęła się tak daleko, że spadła z niej kołdra, ale i to nie wystarczyło. Łóżko szerokie z jednej strony nie zostawiało wiele miejsca na intymność po drugiej. Materac ugiął się pod ciężarem ciała Kyle'a, a pod kołdrę dostały się chłodne i wilgotne palce powietrza.

Zadrzała i zaczęła żałować, że zdjęła zakiet i dzinsy. Cienka bielizna i bluzka nie zapewniały ciepła. Ale Lianne nie wykonała nawet najmniejszego gestu, by zbliżyć się do źródła ciepła, czyli Kyle'a Donovana.

Mruknął niecierpliwie, przetoczył się na bok i przyciągnął Lianne do piersi.

- Nie jest mi zimno - mruknęła.

- Mnie tak.

Kłamał. Emanował gorącem jak słońce. Starła się bezskutecznie, by to ciepło nie wniknęło w nią, lecz już po chwili poczuła, jak zalewa ją błogość i spokój.

Westchnęła, odprężyła się jeszcze bardziej i znów zeszywniała, gdyż jej biodro otarło się przypadkiem o ciało mężczyzny. Kyle był już w pełni pobudzony.

- Nie martw się - mruknął jej do ucha. - Chociaż miałbym na to wielką ochotę, Jake ma uszy jak lis. Przytul się tylko do mnie, to razem pokonamy jakoś zimne łóżko.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął się przekonywać, że wcale nie jest masochistą, tylko chce rozgrzać Lianne. A jego dłoń zawędrowała między piersi dziewczyny jedynie przypadkiem.

Również przypadkiem odkrył, że sutki Lianne są twarde i naprężone. Pogłaskał je delikatnie kciukiem, najpierw wyłącznie po to, by usłyszeć jej przyspieszony oddech, zmusić ciało do wyrażenia pragnienia, którego nie chciała wypowiedzieć. I wcale nie zamierzał jej pieścić, drażnić, pobudzać i bardziej podniecać, ale robił wszystko, a Lianne bała się nawet poruszyć - tylko jej serce biło j oszalałe. Dotyk Kyla się po ciele Lianne jak słońce po wierzchołku góry, aż do najciemniejszej doliny, wraz z jej głębokimi cieniami. A szczególnie do tego najgłębszego, w którym jedynie mogło się zanurzyć jego zbolące ciało.

Takiej rozkoszy żadne z nich nigdy przedtem nie przeżyło.

Zasnęli w ciszy, nieruchomi, spleceni w uścisku.

25

Całe rano wiał silny wiatr; burzył fale, powodował nagłe ulewy. W końcu przycichł, ale deszcz nie ustawał. Ani deszcz, ani wicher nie mogły jednak powstrzymać Kyle'a przed poinstruowaniem Lianne, jak sterować łódką, posługiwać się systemem lokacyjnym i przede wszystkim, jak oddychać pod wodą za pomocą specjalistycznego sprzętu.

Kyle udzielał lekcji Lianne, a Archer i Jake na zmianę wdrapywali się na wąską grań, dzielącą Wyspę Jadeitu na dwie równe części. Z wierzchołka widać było Wyspę Farmera położoną o trzy mile dalej. Walcząc z wiatrem, osłaniając lornetki przed deszczem, Archer i Jake ani na chwilę nie zaprzestali obserwacji okolicy.

Nie dostrzegli żadnej nietypowej aktywności, żadnego znaku, który mógłby wskazywać na to, że Farmer planuje przyjęcie lub tajną konferencję. Nawet gdy wiatr ucichł, na przystań nie zawinęła ani jedna łódź, nie wylądowały tam żadne samoloty. Awionetki nie stały również na prywatnym pasie startowym. Dick Farmer przebywał najwyraźniej w Seattie i grał w ciuciubabkę z Chinami i Wu-jaszkiem Samem.

- Bez zmian - powiedział Jake, ześlizgując się ze wzgórza i wręczając lornetkę Archerowi. - Nawet jeśli ktoś nas wczoraj zauważył albo wypatrzył zodiak, to najwyraźniej nie przejął się tym na tyle, by podjąć jakieś działania.

Archer zerknął na kompas, a potem na Kyle'a, który po raz ostatni sprawdzał akwalungi z zamkniętym obwodem powietrza. W przeciwieństwie do zwykłych aparatów tlenowych, ten nowoczesny sprzęt do oddychania pod wodą nie pozostawiał po sobie śladów w postaci bąbelczek. Była to niewątpliwie użyteczna cecha - szlak bąbelków mógł się bowiem okazać zabójczy w razie konieczności nurkowania na wrogim terenie.

- Jaka jest woda? - spytał Kyle, odwracając się do Jake'a.

- Wzburzona, ale da się przeżyć.

Kyle popatrzył w niebo. Przy odrobinie szczęścia mieli szansę na mżawkę, w której z łatwością skryłyby się zodiak, podczas gdy oni bawiliby się w chowanego ze strażnikami Farmera.

- Sprzęt gotowy - powiedział Kyle, prostując plecy.

- A co z elektroniką? - spytał Archer.

- Jest w nieprzemakalnej torbie przypiętej do pasa przy kombinezonie.

- Ten cholerny kluczyk na pewno działa? - upewniał się Jake.

- Wkrótce się przekonamy - mruknął Archer.

- Miejże trochę wiary - upomniał brata Kyle. - Pamiętaj o mikrokapusiu i budziku Honor.

- Nawet mi o nim nie wspominaj - mruknął Jake. - Kiedy pierwszy raz usłyszałem ten dźwięk, myślałem, że ktoś ją morduje. Przybiegłem z portu do chatki całkiem goły, z pistoletem w ręku.

- Żałuję, że nie widziałem miny mojej kochanej siostrzyczki - prychnął Kyle.

- Było ciemno.

Kyle znów popatrzył w niebo. Zachód mienił się wszystkimi kolorami tęczy, na wschodzie dominowała spokojna ciemnoniebieska barwa przechodząca w mrok.

- Ubierajmy się! Zadanie okazało się szczególnie trudne dla Lianne, która po raz pierwszy w życiu musiała włożyć sirój nurka z przywierającego mało rozciągliwego neoprenu. I choć miała na sobie jedynie bikini, szybko straciła nadzieję na powodzenie. Po wielu wysiłkach, wspartych ogromnymi ilościami talku, wbiła się wreszcie w oporną tkaninę.

Gdy weszła na ścieżkę prowadzącą na wąską plażę, gdzie czekał już na nią zodiak, zobaczyła śmiejącego się Kylea.

- Kochanie, ten numer zrobiłby furorę w każdym klubie nocnym! -zawołał, patrząc na Lianne pożądlivym wzrokiem.

Nie zwróciła na niego uwagi.

- Gdzie jest mój aparat do oddychania?

- W zodiaku. Ale ty i tak z niego nie skorzystasz. Wyciągniemy łódź na brzeg pod osłoną deszczu, więc będziesz mogła po prostu iść.

- Oby! - mruknęła.

Wolała wierzyć, że Kyle się nie myli. Opłyniecie wyspy zodiakiem musiało się udać. Ponowne wejście do łodzi niekoniecznie. Dzięki karate Lianne nie miała kłopotów z koordynacją ruchów, ale nie trenowała mięśni górnych partii ciała koniecznych do wydzwi-gnięcia się z wody w tak ciężkim stroju.

Jake i Archer czekali przy łódce. Spadło sporo deszczu: zaciemnił niebo, zwilżył ziemię i pofałdował powierzchnię wody. W popołudniowym zmierzchu majaczyły sylwetki mężczyzn, powiększone o sprzęt do nurkowania. Kupno gładkiego czarnego stroju dla Lianne okazało się niemożliwe, toteż Kyle zamalował jasnokoraiowe fragmenty neoprenu czarną pastą do butów.

Lianne poszła na dziób, przysiadła na burcie i zacisnęła palce na pasach, które miały ją chronić przed uderzeniem pierwszej fali; bardzo na nie Uczyła.

Mężczyźni weszli do wody, unosząc ze sobą zodiak- Archer i Jake przetoczyli się na pokład ze zwinnością profesjonalistów: Kyle szybko poszedł w ich ślady. Przysiadłszy na płaskim, czerwonym, metalowym zbiorniku gazu, uruchomił silnik, sprawdził, czy wszystko gotowe, i ruszył na Wyspę Farmera.

Zanim tam dotarli, Lianne rozboleły ręce. Kyle, mimo mżawki osiadającej na nocnych goglach, nie musiał korzystać z kompasu. Postrzępiony kształt Wyspy Farmera przypominał czarny drogowskaz.

Donovan zerknął na zegarek. Za kwadrans siódma. Mieli czas, Walker zaplanował odlot z Seattle dopiero na dziesiątą.

Kyle ograniczył obroty silnika do minimum i podpłynął do wyspy. Znajdowali się dokładnie na wprost portu oraz kompleksu budynków Farmera. Otaczała ich pustka i cisza. Las wyglądał jak ściana. Łodziom udawało się dobić do wąskich, kamienistych plaż jedynie podczas odpływu. Gdyby nie gogle rozpraszające ciemności, nie zdołaliby odnaleźć miejsca, do którego zamierzali przybić. Tuż za plażą majaczył łąd porośnięty drzewami.

- Na ciebie już pora - szepnął Kyle do Archera.
- Sześćdziesiąt minut - odparł Archer takim samym tonem.
- Sprawdź lokalizator!

Archer włączył miniaturowy nadajnik, dzięki któremu Kyle będzie wiedział dokładnie, gdzie ma brata szukać.

Mały odbiornik w ręku Kyle'a ożył i obrócił się w stronę Archera.

- Robi się gorąco - powiedział Kyle. - Idź już!

Archer wyłączył nadajnik, zanurzył się w wodzie i - poruszając mocno niewidocznymi płetwami - zaczął płynąć w kierunku plaży.

Kyle zawrócił łódkę i skierował się w stronę następnego przystanku. Rozpadało się na dobre, ale nikt z pasażerów zodiaku tego nie zauważył. Stroje, które przysparzały wiele kłopotów przy wkładaniu, znakomicie chroniły przed deszczem.

Na konsoli mignęło światełko. Kiedy jednak strażnik nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, dołączył do niego głośny brzęczyk o przeraźliwie wysokim dźwięku.

- I co teraz? - mruknął ochroniarz, odkładając pismo. - Jeżeli ten debil ogrodnik znów szlaja się po krzakach z pokojówką, to chyba mu obetnę kutasa.

Światełko ostrzegawcze nie dotyczyło sektora dla służby, tylko innego, znajdującego się przy końcu wyspy, niedaleko pasa startowego. To mógł być jeleni; kilka takich zwierzaków pętało się przecież po wyspie. Albo też odwiedził ich ktoś na dwóch nogach.

Strażnik połączył się z siedzibą personelu. Kiedy nie planowano konferencji ani przyjęć, wyspy strzegło jedynie dwóch strażników. Nie miało to znaczenia, gdyż wszędzie panowała niemal usypiająca cisza. Strażnicy pracowali na dwie zmiany: od szóstej do osiemnastej i od osiemnastej do szóstej. Gdy Murray pełnił dyżur, Steve miał wolne. Chyba że działo się coś niezwykłego.

A coś niezwykłego właśnie się działo.

- Steve - warknął Murray. - Zwlec dupę z krzesła i przyjdź tutaj ! Ruch w sektorze szóstym, po wschodniej stronie.

- Do diabła, Murray! Jesteś pewien, że to nie Lopez z tą leniwą dziwką?

- Chyba nie sądzisz, że poszli to robić na pas?

- W takim razie obstawiam jelenia. Pięć do jednego.

- Pięć do jednego, że cię wyleją, jak się W zaraz nie zjawisz.

Mnąc w ustach przekleństwo, Steve wyciągnął kurtkę przeciwdeszczową i ruszył w stronę dżipa. Pięć minut później jechał już z rykiem silnika na odległy koniec wyspy. Nawet w świetle reflektorów nie zobaczył jednak niczego oprócz pustej drogi i deszczu. Wziął mikrofon do ręki.

- Murray, tu Steve - powiedział krótko. - Nic nie znalazłem. Nawet śladów po jeleniu.

- Spróbuj na plaży,

- Pada jak cholera.

Dlatego dostajesz piętnaście dolców za godzinę. Steve wysiadł z dżipa, trzasnął drzwiami i niechętnie powlókł się w stronę punktu, z którego droga opadała na plażę. Mimo metodycznych ruchów latarki, rozświetlającej ciemności, w potokach deszczu dostrzegł tylko kamienie i karłowatą sosnę, która schroniła się przed morzem na skalnej półce. Przy brzegu nie przycumowano ani nie zakotwiczono żadnej łodzi.

Po kołnierzu jego wdzianka ściekał deszcz; twarz miał wilgotną a buty kompletnie przemoczone. Skórzane rękawiczki kleiły się do rąk. Wsiadł z powrotem do dżipa, trzasnął drzwiami i znów wziął do ręki mikrofon.

- Murray, tu Steve, Tylko skały i deszcz.

- Tak myślałem. Wracaj!

Kiedy światła dżipa zniknęły w deszczu, Archer wyłonił się niepostrzeżenie na czarną powierzchnię morza i sprawdził tarczę zegarka. Najpóźniej za kilka minut na przeciwnym brzegu wyspy miał się pojawić Jake.

- Już cię namierzyłem - mruknął cicho Ryle. - Idź!
- Pięćdziesiąt minut.
- Zgadza się.

Jake zeskoczył do wody po południowo-zachodniej stronie, w odległości trzystu metrów od miejsca, w którym nurkował Archer. Gdy Jake zniknął w ciemnościach, Kyle natychmiast zawrócił i skierował się ku cieśninie, skąd mógł bezpiecznie obserwować całą akcję.

Gdy znów zapaliło się światło interkomu, z kurtki Steve'a przewieszanej w prysznicu jego małego mieszkańca wciąż ściekała woda.

- Znowu się pali, Steve!
- Gdzie?
- W tym samym sektorze.
- Dokładnie tam, gdzie wtedy?
- Nie. Po przeciwnej stronie, na południowym zachodzie. Chyba że popsuły się czujniki. Czasem tak się dzieje, kiedy pada.

A na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku znaczyło to tyle, że sprzęt bywa zawodny.

- Na pewno znowu to samo, co wtedy, kiedy byłem tam po raz ostatni, czyli nic.
- Piętnaście doliczów za godzinę, pamiętasz?
- Niech to szlag! Zadzwoń, jak dotrę na miejsce.

Lianne patrzyła nerwowo na Kyle'a, który powoli przygotowywał się do zejścia pod wodę. W rękę mocno ścisnęła odbiornik z dziwną, słabo oświetloną tarczą.

- Wypróbuj! - poleciła. Kyle włączył nadajnik.
- Dobra. Jesteś namierzony. Dwadzieścia minut.

Kyle objął Lianne za szyję, musnął wargami jej usta - jedyną część ciała wolną od neoprenu - a następnie przetoczył się przez burtę zodiaku i zniknął w zimnej wodzie.

Lianne wypłynęła łodzią nieco dalej w głąb cieśniny. Rozpoczęło się najdłuższe oczekiwanie w jej życiu. Dzięki goglom widziała zarysy wyspy. Raz nawet odniosła

wrażenie, że na tle ciemnych skał mignęła jej jakaś jasna postać biegnąca po wyniszczonej przez zimę trawie.

Z prawej strony dobiegł ją nagle dziwny świst, jakby nurek wyłonił się na powierzchnię, zaczerpnął powietrza i znów skrył się pod wodą. Lianne odwróciła się tak gwałtownie w tamtym kierunku, że omal nie wypadła z łodzi.

Nie zobaczyła jednak nic oprócz dziwnie połyskującej w nocnych goglach jedwabistej gładzi. Do jej uszu docierał tylko plusk tal uderzających o burtę. Kiedy już nabierała przekonania, że poniosła ją fantazja, ponownie usłyszała ten sam dźwięk, tym razem bliżej. Serce jej zabiło jak szalone. Podejrzewała przez chwilę, że to jakiś nurek chce się zakraść na pokład zodiaku.

Z wody cicho wynurzył się czarny kształt, który zaczął z wolna przybierać postać trójkątnej płetwy, znacznie większej od Lianne. Rozległ się świst, szelest, unosząca się nad wodą mgła zawirowała i wieloryb zabójca zniknął w morzu z taką samą ogromną, tajemniczą siłą, z jaką się z niego wyłonił.

Groza przejęła Lianne dreszczem kłujących igiełek. Dziewczyna wstrzymała oddech, zamieniła się w słuch, ale wielki ssak już nie wrócił.

Okolice skalistej zatoki, a dokładnie miejsce, w którym Kyle zamierzał zejść na ląd, omiotło niespodziewanie światło reflektorów. Lianne wychyliła się niespokojnie w nadziei, że światło zaraz zniknie. Pojazd mknął jednak najwyraźniej na koniec wyspy, tam, gdzie Archer i Kyle włączali na zmianę czujniki.

Odetchnęła z ulgą. Archer miał rację. W ciemnej małej zatoczce nie było fotokomórek. W końcu Farmer chciał jedynie odstraszyć kajakarzy, obserwatorów ptaków i przypadkowych turystów. Nie przewidywał natomiast zbrojnego ataku na wyspę.

Dwadzieścia minut po zanurzeniu się Kyle'a pod wodą zapaliło się światło lokalizatora. Lianne obróciła łódź we właściwym kierunku i ruszyła spokojnie na spotkanie z niewidzialnym.

Podpłynęła tak blisko, że omal go nie potrafiła. Musiała więc wyłączyć silnik i przez chwilę dryfować w miejscu. Nagle zodiak niebezpiecznie się zakołysał; to Kyle gramolił się na pokład, rozpryskując dookoła słoną wodę.

- Ja się tym zajmę - powiedział, sięgając po ster. - Idź na dziób!

W ciągu godziny czujniki odebrały jedenaście sygnałów, w tym trzy w czasie, gdy Steve parkował na cyplu. Znudziło mu się ciągle bieganie tam i z powrotem, był przemoczony do suchej nitki, zmarznięty i całkowicie zde gustowany.

Po zakończeniu bezowocnych poszukiwań nie wrócił jednak a siebie; poszedł prosto do pokoju strażników, gdzie Murray - suchutki i zupełnie nie zziębnięty - patrzył bezradnie na szalejące urządzenia elektroniczne Farmera.

- Chyba jakiś wirus dostał się do systemu - mruknął Steve z obrzydzeniem. — To pewnie przez tę wodę. Zmokłem jak cholera, a nie widziałem nic oprócz deszczu.

- Zrób sobie filiżankę kawy. Z samego rana zgłoszę to konserwatorom. - Na konsoli znów rozblęskło światełko. - Cholera jasna!

- Co jest? - spytał Steve.

- Właśnie zapalił się sektor trzeci.

- I sądzisz, że powinienem to sprawdzić, tak jak zrobiłem z czwartym, piątym i szóstym?

- Piętnaście dolców za...

- Łatwo ci mówić - przerwał ze złością Steve. - Siedzisz sobie spokojnie na tyłku, nie mokniesz, a ja gonię swój własny ogon i marznę. Jeżeli tym razem niczego nie wypatrzę, idę do łóżka, a ty możesz tkwić tutaj i gapić się na konsolę.

W sektorze trzecim nie było niczego prócz skał, drzew i pustej żwirówki. Żadnych łodzi, żadnych ludzi. I ani jednego jelenia.

- Murray? Tu Steve. Nie ma tu nic! Dlaczego Farmer nie kupił sobie psów? Psy nie dostają pierdolca od odrobiny deszczu.

- Farmer nienawidzi psów. Nigdy w życiu nie trzymał żadnego kundla w swojej posiadłości.

Steve nie trudził się nawet, żeby odpowiedzieć. Szedł w stronę budynków i był tak wściekły, że miał ochotę coś kopnąć. Najchętniej leniwy tyłek Murraya.

Przed dziesiątą obaj strażnicy siedzieli przed konsolą i obstawiali, które ze światełek zapali się w następnej kolejności, ale żaden z nich już się nie fatygował, żeby cokolwiek sprawdzać. Po trzech godzinach bieganiny w strugach wody obaj mieli ochotę wysadzić w powietrze system elektroniczny Farmera.

Piętnaście doliczając za godzinę to stanowczo za mało jak na taką robotę.

Archer wsunął się do zodiaku z taką łatwością i gracją, że Lianne pożałowała z zazdrości. Musiała mocniej chwycić się pasów, gdyż łódka zachwiała się nagle i niebezpiecznie zakołysała pod dodatkowym ciężarem, dla którego Lianne, Kyle i Jake razem wzięci nie stanowili wystarczającej przeciwwagi. Ponadstukilogramowy facet wdrapujący się na pokład musiał stanowić zagrożenie dla małego pontonu.

- Wszystko w porządku? - spytał szybko Kyle.

- Absolutnie. Przestali reagować albo po prostu wyłączyli system.

- Dokładnie tak, jak sądziłem - mruknął Jake.

- Zimno ci? - Kyle zwrócił się do Archera. Sam niedawno bardzo boleśnie się przekonał, że woda może być naprawdę bardzo zimna.

- Nie na tyle, żebym z czegokolwiek zrezygnował.

- To dobrze. Płyniemy na brzeg i zabieramy się do roboty.

Usłyszeli charakterystyczny turkot śmigłowca, który startował właśnie z prywatnego pasa na Wyspie Farmera. Dźwięk urwał się nagle, rozległ ponownie, wyrównał i znów umilkł. Kyle spojrzał na zegarek.

- Dziesiąta. Punktualnie - powiedział do Archera. - Opiekuj się Lianne!

- Nie spuszczę jej z oka - obiecał Archer. - Idź! Jeżeli wpakujesz się w kłopoty...

- Zajmij się Lianne - przerwał Kyle. - Ja będę na siebie uważał.

- Akurat... - mruknął Jake.

- Właśnie - dopowiedziała Lianne.

- Plan jest taki, że albo wszyscy razem opuścimy wyspę, albo nikt się stąd nie ruszy - dodał Archer, zanim Kyle zdołał podjąć dyskusję. - Tracisz tylko czas.

Kyle odwrócił się i poszedł w stronę instytutu. Kryjąc się za drzewami, zmierzał prosto do samotnego budynku stanowiącego prywatną rezydencję Farmera. W poświacie księżyca, który przedarł się przez targane wiatrem chmury, słabo zaśniły szklane ściany. Wokół całego kompleksu rozbłysły światła włączane automatycznie przez czujniki, którymi poruszały niewidzialne podmuchy wiatru szeleszczącego w krzewach i drzewach.

Przeklął w duchu kretyńskie lampy. Przez ich nieprzewidywalne błyski nocne gogle stały się mało użyteczne. Jedna tylko żarówka udaremniała skuteczne działanie

delikatnego mechanizmu skupiającego światło. Lampy wrażliwe na ruch były również odpowiedzialne za wciąż świeże porcje adrenaliny napływające Kyle'owi do krwi.

Mógł się pocieszać jedynie tym, że strażnicy przyzwyczaili się do migania świateł w czasie wichury. A wiatr, podobnie jak chmury i deszcz, to w tych okolicach typowe zjawisko, tak czy inaczej ochroniarze nie zwróciliby na nie uwagi. Byliby zbyt zajęci nieproszonym samolotem, który miał się w tym czasie pojawić na pasie startowym.

Tak przynajmniej wyglądał plan.

Kyle nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, że idą za nim Archer i Jake. A wraz z Archerem Lianne. Wolały ją oczywiście zostawić w Seattle, ale dziewczyna się uparła; na szczęście brat zdołał jej zapewnić minimum bezpieczeństwa.

Archer obiecał, że się nią zajmie, a zwykle dotrzymywał słowa.

Kiedy znów zawiął wiatr i błysnęły światła, Kyle specjalnie się tym nie przejął. Miał na sobie ciemne spodnie, ciemną kurtkę przeciwdeszczową i również ciemną wełnianą czapkę rybacką. Oczywiście, gdyby go schwytano, nie potrafiłby wytłumaczyć zawartości swego plecaka i neoprenowego stroju pływaka pod ubraniem, ale nie zamierzał w ogóle dopuścić do takiej sytuacji. W najgorszym razie mógł zawsze liczyć na Archera i Jake'a, którzy z pewnością przewyższali umiejętnościami ochroniarzy Farmera.

Pokusa, by co chwila zerkać przez ramię i szukać wzrokiem Lianne, okazała się silniejsza od Kyle'a, lecz dziewczyna, podobnie jak on ubrana w czerń, mogła być w tych ciemnościach widoczna tylko jak cień.

Drzwi wejściowe do rezydencji Farmera wykonano z sosny rzeźbionej na wzór indiańskich totemów plemienia Haida. Kyle nie dostrzegł jednak żadnych zamków ani klamki. Wkrótce miał się przekonać, czy okaże się takim mistrzem elektroniki, za jakiego się uważał. Albo też stwierdzić, że Farmer zmienił w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy częstotliwość swego osobistego „klucza”.

Kyle sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy „klucz” jest na miejscu. Małe nadajnik działał dzięki bateriom polaroida, podobnie jak bomby wysyłane w przesyłkach pocztowych. Tyle że ta „bomba” nie wybuchała. Służyła do tego, by otwierać drzwi przed Dickiem Farmerem... lub kimkolwiek innym, kto miał ją przy sobie.

Wszedłszy do środka, odkrył, że to maleńkie urządzenie włącza również światła, muzykę, a nawet tapety. Poczul nowy, tak silny przypływ adrenaliny, że zdrętwiały mu ręce. Rozejrzał się uważnie, wypatrzył na ścianie ręczny panel i wygasił światła. Muzyka rozbrzmiewała jednak dalej. Była to „Symfonia z Nowego Świata” Dvoraka - zbiór huczących, natarczywych nut. Ruchoma, migająca tapeta przedstawiała Broadway nocą: obrazy jadących szybko aut oraz tłumów na chodnikach zmieniały się bardzo prędko, a hałaśliwa muzyka świetnie uzupełniała całość.

Lianne weszła do środka; Archer i Jake deptali jej po piętach. Ogromne bagaże na ich plecach wydawały dziwne, prawie melodyjne dźwięki.

- Ucisz to cholerstwo! - mruknął Jake
- Jak tylko znajdę wyłącznik - zgodził się Kyle.
- Strażnicy i tak nic nie słyszą - powiedział Archer. - Pobiegli na pas. Znajdź szatę!

Otuleni w zmieniający się dziwnie kokon tapet i muzyki rozpoczęli wędrówkę po budynku. Na widok Kyle'a wszystkie pomieszczenia otwierały się natychmiast jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, lecz w żadnym z nich nie było szaty pogrzebowej Hana z bezcennego jadeitu.

- Jakie to ego potrzebuje tak ogromnej liczby dzwonek i gwizdków? - spytał Jake, gdy otworzyły się ósme drzwi i z głośników popłynęły dźwięki poematu symfonicznego „Tako rzecze Zaratustra”.

- Takie z kompleksem fałszywego bożka - odparł Kyle, gasząc automatycznie światła. - Ale to ułatwia nam życie: jeden klucz pasuje do wszystkich drzwi.

Chciał ruszyć naprzód, ale zatrzymał się w pół kroku. Ustawione w półkole siedzenia na podwyższeniu, przeznaczone dla audytorium, upodobiały pomieszczenie do uniwersyteckiej sali wykładowej. Niedużą scenę zasłaniały ciemnozielone kotary sięgające od podłogi do sufitu.

Kyle wyciągnął z kieszeni maleńką latarkę.

- Co robisz? - spytała Lianne.
- Te zasłony... Ciekawe, co za nimi jest.
- Sądzisz, że ktoś zostawiłby coś tak cennego jak ta szata w otwartej sali? - spytała Lianne.

Dlaczego nie? - Kyle powiódł cienką stróżką świetlną po centralnej nawie.

- Z punktu widzenia Farmera cały ten kompleks jest bardziej bezpieczny niż skarbiec Wena.

Zasłony nie rozsunęły się jednak na znak Kyle'a. Aby odnaleźć baterie włączników, musiał najpierw przeszukać pulpit. Pierwsza dźwigienka zapalała światła, druga włączała mikrofon, trzecia rozsuwała zasłony.

Gdy cienkie strużki światła latarki Kyie'a pogłaskały błyszczące odcienie zieleni, Lianne z trudem powstrzymała okrzyk i ruszyła pędem na podium, nawet nie czując, że podskakujący plecak obija jej kręgosłup. Całą uwagę skupiła na jaszczurkowej szacie, która na metalowym blacie stołu wyglądała jak lśniąca rycerska zbroja.

Kyle deptał Uanne po piętach. Gdy dziewczyna wyciągnęła dłonie w kierunku szaty, mimo ciężaru bagażu wskoczył na scenę jednym długim susem.

- Bingo? - spytał Archer.

- Owszem - odparł Kyle, nie czekając na odpowiedź Lianne. Wyraz jej twarzy wydawał się bowiem wystarczająco wymowny.

- W takim razie zabieramy się do pracy - powiedział Archer, zrzucając plecak. - Za godzinę odlatuje Walker.

Kyle sięgnął do plecaka Lianne.

- Nie ruszaj się, kochanie. Zaczniemy od głowy.

Zanim Murray i Steve dotarli na lotnisko, Walker otworzył skrytkę piper azteka, gdzie mieścił się silnik. Natychmiast rozbłysła lampka zasilana bateriami, a na brezentową płachtę rozłożoną pod skrzydłem spadło kilka zabrudzonych smarem części. Walker pochylony nad silnikiem prezentował ochroniarzom długie nogi i szczupłe siedzenie odziane w dżinsy.

- Hej! - ryknął Murray przez okno dżipa. - To prywatny pas! Jest pan na cudzym terytorium!

Walker wyprostował się wolno i odwrócił do strażników. Z uprzejmym uśmiechem i krótko przystrzyżoną bródką mógł się nawet wydawać sympatyczny, gdyby nie oczy: niebieskie i równie zimne co wyraziste. Walker otaksował ochroniarzy jednym kródcim spojrzeniem. Obaj zbliżali się do trzydziestki; przez siedzący typ pracy mieli skłonności do tycia. Z pewnością nie spodziewali się żadnych większych kłopotów nad te, z którymi mogliby sobie poradzić.

- Przykro mi chłopcy - powiedział z charakterystycznym, teksańskim akcentem, - Silnik zaczął się dławić. I to bez ostrzeżenia. Zaciął się, skurwysyn. Nawet nie macie pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy zobaczyłem na mapie ten stary pas.

- To teren prywatny - powtórzył Murray.

- Rozumiem. Z przyjemnością zapłacę, ale nie mogę nigdzie polecieć, dopóki tego nie naprawię. To chyba coś w przewodach paliwowych.

- De czasu to zajmie? - spytał Murray.

- Staram się, jak mogę - odparł i znów pochylił się nad silnikiem. - Oczywiście - dodał po chwili - gdybyście mi pomogli, byłoby z pewnością szybciej.

Znów zerwał się wiatr, lunęło. Walker poczuł, że kurtka klei mu się do pleców.

- Nie jesteśmy mechanikami - mruknął Murray.

- Jeszcze czego - zawtórował mu Steve. - Nie zamierzam się nigdzie szlajać w taką zawieruchę!

Strażnicy czuli jednak, że nie mogą tak po prostu odjechać i zostawić intruza samemu sobie. Wiedzieli ponadto, że nic ich nie czeka w zabudowaniach. Absolutnie nic. Murray podniósł szybę, wyłączył reflektory oraz silnik, usadowił się wygodnie za kierownicą i obserwował, czy nieznajomy nie zamierza przypadkiem ukraść czegoś z pasa.

Walker już się na nich nie oglądał. Gwiżdżąc fałszywie, zdemontował kilka części, wytarł je, poukładał na brezencie i zajął się silnikiem. Od czasu do czasu zerkał dyskretnie na zegarek. Ręce miał zimne, a twarz tak mokrą, że deszcz ściekał mu z nosa, ale przez cały czas w równomiernym rytmie wyciągał, wycierał i ponownie sięgał do komory silnika.

Ilećć któryś ze strażników opuszczał szybę, aby go o coś zapytać, Walker zapewniał solennie, że jest bliski rozwiązania problemu.

I był. Z każdym ruchem wskazówki zegarek zbliżał się do jedenastej. Gdy Walker wreszcie uznał, że nadszedł czas, poskładał części w znacznie szybszym tempie, niż je wyjmował. Zgasił lampę, zwinął brezent, wyciągnął klocki spod kół i zaczął porządkować wnętrze. Miejsca miał dość; tam, gdzie znajdowały się zwykle siedzenia dla pasażerów, było zupełnie pusto. Tego wieczoru aztek przeistoczył się w dwuosobową awionetkę.

Strażnicy patrzyli obojętnie, jak Walker wchodzi do samolotu. Umierali z nudów, ale nuda stanowiła istotny element ich pracy.

- Nie sądzicie, że moglibyście włączyć światła?! - zawołał Walker.

- Tylko dla pana Farmera! - odkrzyknął Steve. - Wylądowałeś w ciemnościach, to i ze startem dasz sobie radę!

- Dzięki - odparł Walker z uśmiechem. Od tych leniuchów nie mógł oczekiwać innej odpowiedzi. - Doceniam waszą pomoc.

- Odpieprz się!

Walker uruchomił silnik, wsłuchując się uważnie w jego pomruki. Zdążył się już wprawdzie przyzwyczać do tego, że musi sobie dawać radę sam ze swoją maszyną, ale nie robił tego nigdy na obcym pasie i to w dodatku w środku nocy podczas ulewy. Mocny, mały samolocik warknął ochoczo i zebrał wszystkie siły potrzebne do lotu.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dżipa, Walker zaczął kołować po pasie. Dotarł do samego końca, skręcił, przystanął na chwilę przed ostatnią rundą i zwiększył obroty. Ryk bliźniaczych silników rozerwał ciszę.

Z szerokiego rowu, biegnącego równoległe do pasa, wyłoniła się nagle jakaś postać. Walker zdążył otworzyć drzwi samolotu akurat w samą porę, by złapać plecak, który wyleciał z ciemności.

- Ciężki sukinsyn -jęknął.

- Nie mów! - zakpił Kyle. - Męcę się z nim już od kwadransa. Przybiegłem tutaj truchcikiem z tym cholerstwem na grzbiecie.

- Złośliwy sukinkot z tego Archera, nie? - spytał pogodnie Walker.

- Słyszałem - odezwał się Archer. - Łap!

Walker chwycił drugi plecak i umieścił go obok pierwszego.

- Nowa dostawa! - krzyknął Jake, zrzucając z grzbietu swój ładunek.

- To ty, Mallory? - spytał Walker.

- Tak.

- Słyszałem o twoim ślubie. Moje kondolencje. Jake roześmiał się skrzekliwie.

- Nic się nie zmieniłeś, prawda?

- Po co naprawiać coś, co się nie zepsuło? No, jazda, chłopcy, bo te obiboki zaczną coś podejrzewać.

- Nie ruszaj się przez chwilę, kochanie - mruknął Kyle.

- Kochanie - powtórzył Walker. - Chłopczyku, nieży z ciebie ananas. Jeszcze nawet nie zostaliśmy sobie przedstawieni, a ty już się do mnie dostawiasz.

- Odpieprz się! Mówiłem do Lianne. Zaśmiała się i uwolniła z plecaka.

- Uważaj! - krzyknęła nagle, gdy Kyle wrzucił go do awionetki.

Ostrza białego światła dochodzące z drugiego końca pasa raptownie przecięły deszcz oraz ciemności i ukazały samolot w pełnej krasie. Jake i Archer natychmiast zanurkowali do rowu, Kyle o sekundę później, ciągnąc za sobą Lianne. Wszyscy rozpląszczyli się na ziemi. Po chwili Kyle wychylił się z kanału i zerknął na pas.

- Mamy kłopot, panowie - oznajmił Walker. - Przez tego dzipa na pasie nie mogę odlecieć, a nie starczy już czasu na rozładowanie plecaków. Chcecie uciszyć tych facetów na dobre, czy tylko ich uspokoić?

- Uspokoić - powiedział Archer. - O ile to tylko możliwe. Lianne zerwała z siebie żakiet i zaczęła się uwalniać ze spodni.

- Wyoście się stąd, zanim was zobaczą! - krzyknął Walker. -Już ja coś wymyślę.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - mruknął Archer.

- Chodź! - Kyle ponaglił Lianne.

- Pomóż mi jakoś zdjąć ten mokry kostium - odpowiedziała, ciągnąc górę.

- Co takiego? - spytał Kyle.

- Pomóż mi!

Nie wiedział, o jaką pomoc chodzi Lianne, ale znał dobry sposób na pozbycie się neoprenu. Szybko wyciągnął nóż i zaczął ciąć. Wystarczyło parę sekund, by Lianne została w samych majteczkach bikini. Dziewczyna chwyciła żakiet.

- Zabieraj resztę rzeczy i uciekaj! - popędzała Kyle'a szeptem. -Rób, co mówię! I pospiesz się! Oni już tu są!

- Ale...

- Nic mi nie będzie - przerwała, popychając go lekko. - Zwiewaj. Proszę cię, Kyle. Wyoś się stąd!

Chciał zaprotestować, ale Archer i Jake pozbierali tymczasem mokre ubrania i poczołgali się w mrok. Zdawali sobie sprawę, że do tego, co powiedziała Lianne, nie ma już nic do dodania.

Kyle zaklął cicho pod nosem, chwycił porzucone spodnie Lianne i dołączył do pozostałych, kryjąc się przed światłem.

Lianne odzyskała panowanie nad sobą, narzuciła lekką marynarkę, nawet jej nie zapinając, i wyłoniła się z rowu. Omiotły ją natychmiast światła reflektorów, ukazując długie jasne nogi i rozwiewany wiatrem żakiet, to odsłaniający, to znów kryjący nagie piersi i biodra. Nie zwracając uwagi na strażników, Lianne wyciągnęła ręce do Walkera.

- Dobra! - zawołała. - Już! Lećmy wreszcie!

Walker wciągnął ją do samolotu tak energicznie, że aż się zdziwiła.

- Lećmy wreszcie! - przedrzeźniał. - Może się na to nabiorą. Jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

- Musiałam zrobić siusiu.

- Rozumiem. Z tyłu samolotu leży taka brezentowa płachta. Ułóż ją jakoś. I nie zapinaj żakietu. Nic tak nie robi facetom wody z mózgu jak gołe cycki. Goły tyłek jest jeszcze lepszy.

- Niektóre rzeczy lepiej pozostawić wyobraźni – odparowała Lianne.

- Ale nie to. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak taka różowa pupcia działa na inteligencję.

- Hej! - Murray załomotał w skrzydło. - Co się tu dzieje? Widziałem na zewnątrz jakichś ludzi!

- Widziałeś, jak pomagam mojej słodyczce zrobić siusiu - odparł Walker. - Znasz kobity. Nie potrafią nalać do butelki jak faceci.

- Co takiego? - spytał Murray.

- Słodyczko! Pokaż bużkę!

- Kochanie - mruknęła Lianne najbardziej seksownie, jak potrafiła. - Zimno mi. Kiedy wreszcie stąd odlecimy i będziemy się mogli pieprzyć?

Walker popatrzył na Murraya z uśmiechem dumnego ojca.

- Taka jest właśnie moja słodyczka. Nigdy nie używa brzydkich wyrazów.

Murray skierował światło latarki na tył samolotu. Zobaczył jedynie gołą dziewczynę leżącą na czymś, co z daleka przypominało pospiesznie posłane łóżko. Ilekroć starał się wymyślić jakieś pytanie, panienka nabierała powietrza w płuca, jej

piersi się poruszały, a w dodatku spod obróbka żakietu wystawał kuszący, ciemny wzgórek.

Kiedy jednak strażnik poruszył latarką, by zobaczyć więcej, Walker wstał i całkowicie zasłonił mu pole widzenia.

- Ruszysz wreszcie tego dżipa, stary? Nie chcę, żeby moja słodyczka musiała czekać. Może stracić humor.

Murray oderwał się niechętnie od samolotu i kazał Steve'owi usunąć dżipa z drogi. W dwie minuty później aztek wyskoczył z pasa i odleciał w deszczową noc. Odjechał również dżip.

Kyle patrzył na tę scenę zza skały, wychylając się w stronę samolotu w taki sposób, jakby żałował, że on nie umie latać.

- Spokojnie - powiedział Archer. - Walker na pewno się nią zajmie. Jest naprawdę niezły.

- Tego się właśnie obawiam.

Kyle spojrzał na awionetkę po raz ostatni i zaczął się zsuwać po urwisku do jaskini. Archer i Jake tymczasem odsłoniли ponton i ściągnęli go do wody.

Kiedy wszyscy znaleźli się na pokładzie, Jake uruchomił silnik, Archer przymocował reflektor do masztu i ruszyli w kierunku Jadeitowej Wyspy, nie przejmując się zupełnie tym, czy zostaną dostrzeżeni, czy też nie.

Po minięciu przesmyka i okrążeniu wyspy zobaczyli biały kadłub „Tomorrow”, a potem czarnego bostona whalera, łódź używaną w akcjach przez komandosów.

- Widać chłopcom bardzo zależy na odzyskaniu sprzętu - powiedział Kyle.

- Chyba nie - odparł Archer ze sztucznym uśmiechem.

Na pokładzie „Tomorrow” zapaliły się światła. April Joy otworzyła drzwiczki i wyszła na rufę. W chwilę później dołączyły do niej dwie ciemne sylwetki.

- To dobrze, że już nie jesteś taki ufny - zwrócił się Jake do Kyle'a. - Wolałbym teraz nie siedzieć na plecach pełnych ja-deitu.

- Długo byś nie posiedział - zaśmiał się sardonicznie Archer. - Mam przeczucie, że ci chłopcy chcą coś podpieprzyć.

- Halo, tam na pokładzie! - zawołał Kyle.

- Trzymajcie ręce na widoku! - odrzyknęła April.

Jake zręcznie podprowadził ponton pod burłę „Tomorrow”. Kyle i Archer położyli grzecznie ręce na kolanach.

- Wiem, że uważacie się za supermanów - powiedziała spokojnie April - ale moje FOKI są lepsze. I na pewno zechcę to udowodnić, jeżeli tylko... - urwała, widząc, że w zodiaku są tylko trzy osoby. -Gdzie jest Lianne Blakely ?

- Nie wiem - odparł Kyle całkowicie zgodnie z prawdą.

- Wychodź! - nakazała April. - Pojedynczo. Ty najpierw, Archer. Potem twój brat. Na końcu Jake.

Kiedy tylko zodiak opustoszał, weszli do niego dwaj komandos. Z minami ludzi, którzy spędzili całe życie na pontonach, rozpoczęli poszukiwania. Do końca dotarli w ciągu minuty.

- Cztery aparaty do nurkowania, pocięty strój, kanister, bajowa torba. To wszystko.

- Odwróćcie ponton do góry dnem!

Spełnienie tego żądania wymagało wysiłku, ale komandos świetnie dali sobie radę i szybko przewrócili zodiak. Dno łodzi okazało się czyste jak morze.

April podeszła do Archera z dłońmi groźnie opartymi na biodrach.

- Gdzie to jest?

- Gdzie jest co?-spytał.

- Nie udawaj idioty, bo ci zrobię wycieraczkę z dupy. Gdzie ta cholerna jadeitowa szata?

Kyle i Jake stanęli przy April. Komandos czujnie obserwowali tę scenę, ale trzymali ręce przy sobie.

- Ostatnio widziałem taką szatę u Farmera - odparł swobodnie Kyle. -A ty będziesz mogła obejrzeć ją jutro. O dziesiątej, o ile mnie pamięć nie myli.

April popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Jeżeli to spieprzyłeś, czeka cię długie bardzo nieszczęśliwe życie.

27

- Wolalabym już nigdy w życiu nie oglądać tej wyspy - mruknęła Lianne, gdy „Tomorrow” dopłynęło do portu Farmera. - Na spotkanie ze strażnikami też nie mam

specjalnej ochoty. A co będzie, jeżeli mnie rozpoznają? Byliśmy tu przecież nie daleko jak wczoraj. - Zadrżała na samo wspomnienie.

Kyle uśmiechnął się ponuro.

- Nie martw się. Z tego, co mówił Walker, wynika wyraźnie, że te przyglupy nie zerknęły ani razu na twoją twarz...

Walker mówił również, jak bardzo podziwia Lianne za jej odwagę, szybki refleks i pewne... bardziej kobiece cechy. Kyle nie miał jednak ochoty go słuchać. Był niezadowolony, że Lianne dobrowolnie naraziła się na takie ryzyko.

- Pani Joy chyba już tu jest - powiedziała Lianne na widok małej kobiedd na końcu molo. Tuż obok stał mężczyzna w ciemnym pogniecionym garniturze i okularach w czarnej oprawie. Między środkowym i serdecznym palcem prawej ręki trzymał zapalonego papierosa.

- To chyba chiński ekspert od jadeitów - upewnił się Kyle.

- Farmer przyleciał?

- Jeśli to jego samolot lądował przed paroma minutami, na pewno dotrze do sali przed nami. My oczywiście nie wiemy, dokąd zmierzamy, prawda?

- Oczywiście, że nie.

Lianne wyprostowała plecy i przesunęła wyżej na ramię pasek czerwonej torebki. Torebka pasowała do butów i miała odcień identyczny z lamówką czarnego jedwabnego zakietu. Czarne wąskie spodnie dopełniały całości. Patrząc na dziewczynę, trudno było uwierzyć, że spała zaledwie trzy godziny.

- No dobra, kończmy z tym - powiedziała. — Nie będę mogła spokojnie oddychać, dopóki nie załatwimy sprawy i szata nie znajdzie się z powrotem w Vancouver.

Kyle poszedł za Lianne do portu. Ubrany był znacznie mniej elegancko: miał na sobie dżinsy, oliwkowy pulower, ciemny sportowy płaszcz i buty rybackie. Na jego twarzy malowały się wyraźne oznaki zmęczenia - odmówił charakteryzacji.

Osobista asystentka Farmera wybiegła z budynku, nakazała strażnikom powrócić na stanowiska i przedstawiła wszystkich wszystkim. W tempie efektywnej sekretarki pognęła gości do rezydencji, odprowadziła do sali teatralnej i po kolejnej serii prezentacji przekazała gości szefowi.

April i San Ming szybko wymieniali po chińsku jakieś uwagi, korzystając z każdej przerwy w rozmowie.

- Powiedzieli coś interesującego? - spytał szeptem Kyle.

- Nie. Wciąż znajdują się jeszcze na poziomie kurtuazyjnych powitań. Nie przejdą do interesów, dopóki nie zobaczą szaty.

- Bardzo się cieszę, że znaleźli państwo czas i przybyli do mnie na wyspę - powiedział Farmer, podnosząc lekko głos, tak by było go słychać w całym pokoju. - Proszę podejść bliżej - dodał z uśmiechem, przywołując ich gestem ręki.

Zasłony za Farmerem były szczelnie zasunięte, dokładnie tak, jak zostawił je Kyle, który teraz nie spuszczał oczu z gospodarza. Mnltime-lioner wyglądał zresztą jak zawsze, wydawał się nawet pewniejszy siebie niż kiedykolwiek. Jeśli coś podejrzewał, ukrywał to znakomicie.

Po kręgosłupie Kyle'a przeszedł dreszcz. Nie wiedział, co zobaczy za kurtyną, gdyby się okazało, że Farmer jakimś cudem odkrył zamianę i zaczął działać.

- Wiem, że podobnie jak ja nie macie czasu, więc nie zamierzam was zanudzać szczegółową analizą dokonaną przez mojego eksperta. Jeśli sobie życzycie, Mary Margaret rozda wam kserokopie. - Sięgnął do włącznika. - Patrzcie, ile dusza zapagnie. Za kilka minut rozpoczynam międzynarodową konferencję prasową. Na wasze pytania odpowiem natychmiast po powrocie.

Kurtyna rozsunęła się szeroko, zanim skończył mówić. Popatrzył na scenę, zmarszczył brwi i zbliżył się do tablicy rozdzielczej, by poprawić oświetlenie.

- Dziwne - mruknął. - Kolor jest jakiś wyblakły. Żółtawy. Kyle zerknął na szatę.

- Niektóre jadeity mają taki odcień - powiedział.

Jak również większość serpentynów. Tej uwagi jednak nie wypowiedział na głos. Występował tutaj w roli asystenta Lianne, a nie eksperta od jadeitu.

April i Ming zbliżyli się do podium, Lianne szła tuż za nimi. Przez najbliższą minutę Kyle słuchał z rosnącym zniecierpliwieniem potoków chińszczyzny

- Mówcie po angielsku, bo nie będę mógł wam pomóc - zwrócił się do Lianne.

- Przepraszam - powiedziała Lianne, nie odwracając oczu od szaty. - To serpentyn, nie jadeit. Ale nie dlatego budzi moje... wątpliwości.

Pomieszczenie miało bardzo dobrą akustykę. Choć Farmer znajdował się już w połowie drogi do wyjścia, przystanął i odwrócił się do sceny.

- Najbardziej martwią mnie te nitki. Nie są utkane z czystego złota - orzekła, przesuwając palcami po nitkach spajających setki płytek. - Czas i wilgoć nie mogłyby uszkodzić złota; na tych widnieją jednak dziwne brązowe ślady.

- Jesteś pewna? - spytał Kyle.

- Na tyle, na ile mogę być pewna bez zbadania metalu - powiedziała Lianne. - Złoto nie zmienia koloru, nie matowieje, nie koroduje. Jest nieśmiertelne, takie, jakimi pragnęli się stać książęta i cesarze. A niektóre z tych nitok są lekko zardzewiałe. Na przykład tutaj, w tym miejscu. Spójrzcie!

Kyle ruszył w stronę sceny. Farmer natychmiast podążył za nim.

- Pańska konferencja... - zaczęła Mary Margaret.

- Przenieś ją!

- Ale... oczywiście, proszę pana.

- Rzecz jasna, musiałabym obejrzeć tę szatę dokładniej, odnoszę jednak wrażenie, że do złota domieszano miedź albo inny metal -mówiła Lianne, nie zważając na Farmera. - Może to po prostu gorszy stop, na przykład dziesięcio- albo nawet ośmiokaratowe złoto, co stawia pod znakiem zapytania autentyczność szaty. Złoto w Chinach należało do rzadkości, ale rodzina cesarska nie musiała oszczędzać na szatach pogrzebowych.

- Podzielam ten pogląd - odezwała się April, przesuwając nitkę między palcami. - Jeśli to współczesna podróbka, fałszerz, kimkolwiek był, musiał się liczyć z ilością czystego złota potrzebnego do zszycia płytek. Koszt złota byłby z pewnością znaczny, szczególnie w Chinach.

Lianne wyjęła z torebki małe mocne szkło powiększające, pochyliła się nad szatą i dokładnie obejrzała kilka płytek, zwracając szczególną uwagę na miniaturowe dziurki, przez które przeciągnięto metalowe nitki.

- To maszynowa robota - orzekła. - Wszystkie dziurki są identyczne, odległości między nimi równe. Polerowanie też maszynowe. Widać nawet ślady. - Przeniosła spojrzenie na April. -Moim zdaniem ta szata nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Jak pani sądzi?

- Zgadzą się. - April odwróciła się do Suną i powiedziała coś szybko po chińsku. Ekspert odpowiedział równie gwałtownie i zaczął żywo gestykulować.

Farmer nie wykrztusił nawet słowa, ale rumieniec na jego policzkach wyraźnie świadczył, że multimilioner nie był w tym momencie szczęśliwym człowiekiem.

- Co oni mówią? - spytał Kyle.

- Sun Ming nadal twierdzi, że to autentyk, ale będzie musiał zmienić zdanie. I to nawet wówczas, gdy chińskiemu rządowi będzie bardzo zależało na tym, by wyciosać Wujaszкови jeszcze trochę kołków na głowie. Wystarczyłyby dowody z oględzin, ale testy laboratoryjne rozwieją resztki złudzeń. - Odwróciła wzrok od szaty i obrzuciła Farmera takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności. - To bardzo trudne zadanie. Ciężko powiedzieć kolekcjonerowi, że jakiś przedmiot, stanowiący jego własność, nie jest dokładnie tym, za co uchodzi.

Farmer popatrzył na Lianne z obrzydzeniem, a następnie odwrócił się w stronę April i Suną. I choć nie znał chińskiego, zrozumiał doskonale sens rozmowy.

Zmiał pod nosem przekleństwo i ruszył w stronę wyjścia, nie żegnając się ze swoimi gośćmi.

Wen siedział w skarbcu; jego powykrzywiane artretyzmem dłonie spoczywały na rzeźbionej gałce laski. Na kolanach starca leżało wspiane ostrze z epoki neolitu; zwrócił je Kyle prawowitemu właścicielowi.

Nawet doskonale skrojony garnitur seniora rodu Tangów nie krył coraz gorszej kondycji ciała jego właściciela. Jadeitowa szata połyskująca wszystkimi odcieniami nieśmiertelnej zieleni, znajdowała się w zasięgu ręki Wena. Nici z czystego złota przeszywały ja-deitowe płytki niczym ostre promienie słońca. Wen nie rozróżniał kolorów, nie potrafił wyczuć różnicy między jadeitem polerowanym ręcznie i maszynowo. Jednak sama obecność cesarskiej szaty pogrzebowej przynosiła mu ukojenie, przypominała o tym, że dobro zwycięża zło.

Lianne z troską patrzyła na dziadka; ze wzroku Kyle'a i Archera trudno było cokolwiek wyczytać. Minione dni obfitowały w wydarzenia i dla rodziny Tangów okazały się brzemiennie w skutki. Bolesne odkrycie tajemnicy jadeitowej szaty pozostawiło widoczne ślady na twarzy Joego Tanga.

- Pierwszy Synu, czy wszyscy są tutaj? - spytał Wen po chińsku. Jego głos brzmiał tak cicho, jak szelest wiatru w zeschniętej trawie.

- Johnny stoi po lewej - odparł Joe.

Lianne tłumaczyła rozmowę Donovanom, a Kyle taksował wzrokiem rzadniejące siwe włosy i napiętą twarz Syna Numer Jeden. Garnitur Joego, szyty na miarę, miał ten sam kolor co ubranie Wena. Wątle, przygarbione sylwetki obu mężczyzn też wydawały się podobne.

- Po prawej masz Daniela - ciągnął Joe. - Ja stoję naprzeciwko, za mną Lianne oraz pierwszy i czwarty syn Donalda Donovana.

- A Harry? - spytał Wen.

- Jest w Szanghaju - odparł Joe po krótkiej chwili wahania. - Nie odpowiedział na moje wezwania.

Wen nie rzekł ani słowa, tylko przygarbił się jeszcze bardziej i westchnął, a następnie przesunął dłonią po szacie, jakby sprawdzał jej wymiar.

- Przemów do swego młodszego brata! - rozkazał Wen. Joe odwrócił się niechętnie do Johnny'ego.

- Okryłem rodzinę i pamięć przodków wstydem i hańbą -zdławionym głosem.

Johnny otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Czegoś podobnego zupełnie się nie spodziewał.

- Nie wierzę.

- Ja... - Joe urwał na chwilę i odchrząknął. - Grałem za dożo na wyścigach.

- Przecież to nic nowego. Ty zawsze grałeś, Wen cię upominał. A jednak słońce wschodziło i zachodziło jak zwykle.

- Ojciec nie chciał mi już dać pieniędzy — wycedził Joe. — Wiedziałem, że mogę się odegrać, odzyskać cały stracony majątek i zdobyć znacznie więcej. Wystarczyłby mi całkowicie jeden wyścig. Jeden, jedyne wyścig. I koń, którego dżokej też potrzebował pieniędzy. Czerwony Feniks wszystko załatwił. Ja musiałem tylko zdobyć fundusze na zakład.

Kyle i Archer wymienili spojrzenia. Lianne tłumaczyła wprawdzie dla Donovanów, ale nie spuszczała wzroku z dziadka. Twarz Wena nie wyrażała nic, tylko jego oczy były stare i ciemne jak zdrada.

- Han Seng zaproponował mi wyjście z sytuacji - powiedział cicho Joe. - Miałem wymienić kilka przedmiotów z kolekcji Tangów na znacznie gorsze okazy Senga. W ten sposób nie tylko spłaciłbym długi, ale zostałyby mi jeszcze dość pieniędzy na wszystkie gonitwy kontrolowane w przyszłości przez Czerwonego Feniksa. Zarobiłbym krocie i odkupił jadeity Tangów. Nikt by się o niczym nie dowiedział.

Johnny zerknął na ojca. Wen nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Oczy miał martwe, ręce kalekie, ciało osłabione wiekwn, i zdradą.

- Ale tak się nie stało - ciągnął Joe szeptem. - Obstawilem w kolejnym wyścigu i znów przegrałem. Jadeity Wena opuściły kolekcję, a na ich miejscu pojawiły się zamienniki Senga.

- Kiedy postanowiłeś zrobić Lianne? - spytał Kyle.

Lianne przetłumaczyła pytanie. Twarz miała równie obojętną jak Wen i równie jak on ponure oczy.

Po obliczu Johnny'ego przebiegł skurcz, ale Joe nawet nie mrugnął okiem. Dostatecznie już się upokorzył, nie pozostały mu nawet resztki dumy. Teraz kierowała nim jedynie chęć odkupienia win.

- W ogóle o tym nie myślałem - odparł. - To Harry. On odkrył w jakiś sposób moją wymianę z Hanem.

- W jakiś sposób? - powtórzył Archer. - Ja ci powiem w jaki: Harry, Han Seng i Czerwony Feniks to sitwa. Dlatego odradziłem ojcu interesy z Tang Consortium i SunCo.

Po wysłuchaniu tłumaczenia Lianne starzec natychmiast odwrócił głowę w stronę Archera i - mrużąc oczy tak, jakby jednak coś widział - wyrzucił z siebie kilka szybkich, urywanych zdań.

Lianne milczała uparcie, dopóki Archer nie trącił jej łokciem.

- Wen nie zgadza się z jednostronną opinią o triadach - powiedziała w końcu.

- Czyżby? - rzucił sucho Archer. - Spytaj go w takim razie, dlaczego nie poszedł na ścisłą współpracę z Czerwonym Feniksem? A dokładniej, dlaczego nie wyraził zgody na pranie pieniędzy z narkotyków w instytucjach finansowych Tangów?

Lianne rozszerzyła oczy ze zdumienia.

- Czy to prawda?

- Zapytaj go! - ponaglił Kyle.

Gdy to uczyniła, Wen uniósł głowę tak, że mógł patrzeć na każdego z Donovanów.

- Niektórych interesów z triadą trudno uniknąć, niektórych można. Dopóki ja stoję na czele na tej rodziny, będę się trzymał z dala od narkotyków.

- Dobry pomysł - rzekł Kyle i zmierzył Joego chłodnym spojrzeniem. - A więc Harry złapał cię na gorącym uczynku? Co było potem?

Joe nawet nie czekał, by Lianne skończyła tłumaczyć.

- Harry przejął kontrolę nad wymianami. Postarał się o to, by Lianne pełniła rolę posłańca, i o to, by brak jadeitów skojarzono z jej wizytami w skarbcu - dodał, a jego spojrzenie wyrażało jednocześnie napięcie, nienawiść i błaganie o wybaczenie. – Robiłem, co kazał. Potem nawet więcej. Napiwki od Senga nie zawsze przynosiły efekty. W końcu zadłużyłem się u niego po uszy. Dwukrotnie podwajałem zakłady. Chciałem przerwać wypływ jadeitów ze skarbcza Tangów. Ale im bardziej ryzykowałem, tym więcej musiałem pożyczać.

Z ciemnych oczu Joego popłynęły łzy po pomarszczonych policzkach. Kyle'owi zrobiło się go nawet trochę żal: nałogowy hazardzista stanowił łatwy łup dla Harry'ego i Hana Senga. Współczucie Kyle'a nie było jednak głębokie. Wszak Joe zastawił pułapkę na własną bratanicę. Chciał, by to ona poniosła karę za jego przestępstwa.

A tego nie mogły zmienić żadne przeprosiny, łzy ani usprawiedliwienia nałogiem.

- Kto zaplanował tę jadeitową szaradę? - spytał chłodno Kyle.

- Han Seng - odparł Joe z westchnieniem.

- No jasne! - mruknął Kyle.

- To był dobry sposób, by wyjaśnić obecność tak wspaniałych jadeitów na rynku - dodał smutno Joe. - Seng sprzedał niestety wiele rzeźb, pozostawił tylko erotyki.

- Mogę się założyć, że zarobił na tych transakcjach o wiele więcej niż ty.

- Nie mogłem sobie pozwolić na targi. Ale fakt, nigdy nie pokryłem strat.

- A dobry stary Harry jakoś cię wyciągnął z tej kabały. Dlaczego? Co on z tego miał?

- On mnie chronił.

- Bzdura! Budował własne imperium... - Kyle zerknął pytająco na Archera.

- No dalej — ponaglił go brat. — Jeśli ktoś powinien znać całą prawdę, to właśnie Wen.

- Harry wiedział, że nigdy nie zostanie Synem Numer Jeden, ale miał swoje ambicje - zaczął Kyle. - Zdawał sobie sprawę z tego, że fortuna triady pochodzi głównie z handlu narkotykami, hazardu, wymuszeń i tak dalej. Chciał coś na tym zyskać, a Han Seng był gotów spełnić jego pragnienie. Najpierw Harry musiał jednak zrobić coś szczególnego dla Senga i jego triady.

- Szata - podpowiedziała Lianne.

- Owszem - zgodził się Kyle. - SunCo, za pośrednictwem Senga, próbowało skłonić Farmera do współpracy, podsuwając mu jadeitową szatę. Szatę, powiedzmy, wątpliwej proveniencji. Szata nie wytrzymała jednak krytyki eksperta, którego zatrudnił Farmer. Tak więc SunCo musiało wycyganąć coś lepszego z któregoś muzeum, ale na szczęście Chiny nie przypominają pod tym względem Rosji. Rządowi jakoś udaje się chronić muzea państwowe przed złodziejami dzieł sztuki. A triada potrzebowała jadeitowej szaty. Szatę miał Harry Tang.

- Więc Harry przehandlował prawdziwą za falsyfikat - podsumowała Lianne. - Sądził, że Wen nigdy nie spostrzeże różnicy. Ale co ze mną? Co ze spisem, jaki miałam przeprowadzić pod koniec roku?

- Ty rzeczywiście stanowiłaś problem, kochanie - powiedział Kyle, głaszcząc ją delikatnie po policzku. - Dlatego najpierw Harry chciał cię wtrącić do więzienia, a potem wynajął od triady zawodowego mordercę.

Johnny wyglądał przez chwilę równie staro jak Wen.

- Co takiego? Przecież nie możesz być tego pewien.

- Wręcz przeciwnie! - wtrącił się Archer. - Kiedy pojawiła się możliwość, że Lianne wyjdzie za kaucją, adwokat Harry'ego zadzwonił do Vancouver. Już w kilka godzin później dwóch zabójców triady czekało na Lianne w jej własnym domu. Żadnych śladów włamania nie znaleziono. Gdyby nie Kyle, Lianne zostałaby zamordowana, a wina za wszystkie kradzieże jadeitów spadłaby na nią.

Johnny odwrócił się do Wena. Starzec siedział nieruchomo jak posąg, z głową wspartą na złożonych rękach.

- Ojcze, wierzysz w to wszystko?

- A mam jakiś inny wybór? - spytał Wen, unosząc głowę. - Harry postawił wszystko na jeden zuchwały plan. Syn Numer Dwa jest sprytny, ale nie tak sprytny, jak mu się wydaje.

- Niech się lepiej postara - poradził Kyle. - Farmer był naprawdę wkurzony, kiedy zobaczył fałszywą szatę na ołtarzu. Nic dziwnego, że uznał ją za falsyfikat, który Seng już raz usiłował mu wcisnąć. Poszedł więc prosto do Senga i zrobił potworną awanturę. A Seng wie, że fałszywa szata mogła pochodzić jedynie ze skarbcza Tangów. Seng będzie naprawdę musiał się gęsto tłumaczyć przed chłopcami z Czerwonego Feniksa. Na pewno bardzo by chciał, żeby Harry mu w tym pomógł.

-Triada nie będzie szczęśliwa, jeśli straci taką grubą rybę jak Farmer - dodał Archer. - A wraz z nim wszystkie kuszące możliwości łapówek, korupcji i prania pieniędzy w Nowym Świecie. Jeśli więc nawiążesz kontakt z Harrym, poradź mu, żeby znalazł sobie jaskinię i dobrze się w niej schował. A potem go tam zakop.

- Wolałbym nie nawiązywać z nim kontaktu - powiedział ostro Johnny. - Wstydzę się, że to mój brat.

- Gdybyś jednak zamierzał zmienić zdanie, to pamiętaj, że na liście krewnych do odstrzału następną pozycję po Lianne zajmował Daniel — powiedział Archer. — Stary, dobry Harry nie zamierzał zbierać cięgów za żaden brakujący jadeit.

Johnny zbladł jak ściana i popatrzył na swego najmłodszego syna. Daniel Tang zabrał głos po raz pierwszy.

- Kilka miesięcy temu Harry kazał mi sprawdzić zawartość skarbcza pod kątem zgodności z ostatnio sporządzonym spisem. Nie powiedział jednak dlaczego.

- Chciał, żebyś oskarżył Lianne o kradzież. No i jego pragnienia bardzo szybko się spełniły.

- Miałem powód, by tak sądzić.

- Gównu miałeś, a nie powód! - zirytował się Kyle. Lianne przestała tłumaczyć, ale on kontynuował. - Byłeś tak zazdrosny o związek Lianne z Wenem, że aż się paliłeś do tych oskarżeń. A że Lianne jest córką stałej kochanki twego ojca, zemsta stała się jeszcze słodsza.

Danielowi drgnęły powieki.

- Przeprosiłem już Wena i moją rodzinę.

- Nie całą. Masz jeszcze przyrodną siostrę.

- Kyle - przerwała Lianne. - Dość już tego!

- ...siostrę, która nie obwiniała cię o nic, choć był czas, kiedy bardzo by jej to pomogło. Miałaś możliwość, motyw i okazję, by ukraść jadeity, ale ona nigdy nie powiedziała złego słowa przeciwko tobie.

Twarz Daniela pociemniała z gniewu.

- Nie mógłbym okraść własnego dziadka!

- Ale założyłeś, że Lianne jest do tego zdolna? - spytał Johnny urywanym głosem. - Doszedłeś do wniosku, że moja córka, a twoja siostra przyrodnia to złodziejka? Dlaczego? Co ona ci zrobiła, że tak jej nienawidzisz?

Daniel nie mógł podać żadnego innego powodu niż ten, który już wskazał Kyle: zazdrość.

Wen zastukał laską w podłogę.

- Daniel fałszywie ocenił swoją siostrę - powiedział.

Joe i Johnny zamarli z wrażenia. Ich ojciec nigdy dotąd nie mówił głośno o jakichkolwiek związkach krwi z Lianne.

- Ale to moja wina - ciągnął Wen. - On po prostu mnie naśladował. A ja wykorzystałem wrodzony talent Lianne do jadeitów i jej chęć, by stać się częścią rodziny Tangów.

Lianne nie była w stanie dokończyć tłumaczenia. Zrobił to za nią Johnny.

- Moi synowie również wzięli ze mnie przykład - starzec mówi dalej. - Wykorzystali Lianne. W przeciwieństwie do mnie nie żywili do niej żadnych uczuć. Nie martwili się również o to, co się stanie, jeśli złożą ją na ołtarzu swoich głupich ambicji. Lianne była w końcu tylko kobietą, w dodatku bez rodziny.

- Lianne ma rodzinę! - przerwał gniewnie Kyle. - Moją rodzinę. Każdy Donovan będzie się o nią bił. Powiedz to swoim, Wen. Lianne już nie jest sama. Następną ofiarę musicie sobie znaleźć gdzie indziej.

Lianne odwróciła się do Kyle'a, ale on tego nie zauważył. Skupił się całkowicie na Wenie. Na cienkich białych wargach starca pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Szkoda, że nie mogę zobaczyć obrońcy mojej wnuczki - mruknął Wen. - Łatwiej bym sobie wtedy wyobraził własne prawnuki. Pobierzcie się szybko, nie zostało mi wiele czasu.

- Nikt nie mówi o ślubie - wtrąciła Lianne, przerywając tłumaczenie ojca.

- Tylko w ten sposób ostrze z epoki neolitu zostanie w rodzinie -zauważył Kyle. - To byłby naprawdę świetny prezent ślubny.

Lianne popatrzyła na niego jak na wariata.

- Jeszcze nie rozumiesz, kochanie? - spytał Kyle, uśmiechając się łagodnie. - Mężczyzna rozpoznaje od razu swoją partnerkę. Tylko kobietę trzeba do wszystkiego namawiać. Ile jeszcze czasu ci zajmie dodawanie dwóch do dwóch?

Johnny przetłumaczył szybko słowa Kyle'a, a Wen roześmiał się sucho. Lianne chciała protestować, ale starzec zastukał gniewnie laską w podłogę.

- Ostrze będzie moim najskromniejszym prezentem ślubnym -powiedział do Lianne. - Prawnuczka Cesarza Jadeitu musi mieć stosowny posag.

Lianne była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Wen się uśmiechnął zupełnie tak, jakby widział jej minę.

- Nie żartuję. Rozejrzyj się i przekonaj na własne oczy, że doskonaliłaś swój naturalny talent w otoczeniu największych skarbów kultury. Wieki temu twoi przodkowie odkryli sekretne wejście do grobu Cesarza Jadeitu. - Wen uniósł chudą, drżącą dłoń gestem obejmującym cały skarbiec. - A. teraz to wszystko należy do nas.

Znów stuknął laską w podłogę,

- A teraz idźcie już. Jestem zmęczony. Kyle objął Lianne i wyprowadził ze skarbcza.

- Jestem ci winien obiad w „Rain Lotus”. To spokojne miejsce. Możemy tam pogadać.

- O czym?

- O udoskonaleniu mojej kolekcji erotyków - odparł bez zastanowienia.

- Nie wiedziałam, że zbierasz takie rzeczy. - Lianne zerknęła na niego spod oka.

- Dopiero zaczynam. A ty mi pomożesz.

- Naprawdę?

- Pewnie! Pomyśl, ile godzin nauki jesteś mi winna za eskortę „wypchanego słonia”.

- Mmm.

- A jeżeli do tej pory nie wiesz, ile jest dwa dodać dwa, to chcę skorzystać z tej trzeciej szansy, którą mi obiecałaś. Chociaż wolę zachować ją na zapas. - Kyle lekko pocałował Lianne w usta. - Życie nie stwarza zbyt wielu dodatkowych okazji. Szczególnie takim uparciuchom jak my, kochanie.

Zajrzała w piękne oczy Kyle'a i zrozumiała, że powinna potraktować to wszystko poważnie.

- Nie wiem, czy chcę stać się częścią tej kolekcji - powiedziała z uśmiechem.

- Może w takim razie ja będę eksponatem w twojej?

- Nie posiadam takich zbiorów.

- Czas najwyższy, żeby to zmienić.

Lianne przytuliła się do Kyle'a i oparła mu głowę na ramieniu.

- Skoro tak twierdzisz... Dobrze.